



CANDICE PROCTOR

PODEJRZENIA

Rozdział 1

Lipiec 1862 roku, Nowy Orlean pod władzą Jankesów

Dzień był parny i upalny jak niemal zawsze w tym mieście. Zbierało się na burzę i choć do nocy pozostało jeszcze sporo czasu, wokół panował mrok jak o zmierzchu. Z dali dochodził głuchy odgłos gromów, a gdy błyskawica rozdarła szarówkę, Emmanuelle przyspieszyła kroku, ponaglając też swego towarzysza.

- Chyba źle zrobiliśmy - powiedział doktor Henri Santerre, gdy za bramą skręcili w główną alejkę cmentarza św. Ludwika. - Trzeba było przyjść wcześniej albo w ogóle zrezygnować. Za dużo wojska na ulicach, jak na mój gust.

Rozmawiali po francusku. To był ich język. Angielski należał do Jankesów, a Jankesi to okupanci.

- Rozłazą się po mieście jak szczury - zawtórowała mu Emmanuelle. - Obrzydlistwo, a najgorszy to ten ich generał, Benjamin Butler. Ale ani on, ani nikt z tego tałatajstwa nie powstrzyma mnie od złożenia kwiatów na grobie rodziców. Dziś jest rocznica.

- Emmanuelle... - zmitygował ją stary doktor. - Tak nie wolno mówić. Możesz nienawidzić munduru, ale pamiętaj, że nie każdy, kto go nosi, jest łotrem.

- Tak... - Stała jak wryta i obróciła się do towarzysza. Oczy jej błyszczały.

- Mundur nie zabija, ale ludzie, którzy go noszą, sięją śmierć i

zniszczenie - wyrzuciła z siebie.

Jak zwykle o zmierzchu pachniało jaśminem. Cykady śpiewały wieczorną pieśń, a w mroku jaśniały białawe kamienie grobowców i pomników.

- Nie tylko ludzie w mundurach sięją śmierć - zaprotestował doktor Santerre. - Zabójców, niestety, nie brakuje. Zabójczyń zresztą też.

- Co ty opowiadasz, Henri! - oburzyła się Emmanuelle. -Kobiety nie zabijają.

Gdy doszli na miejsce, uklękła, starannie ułożyła kwiaty i pogрузzyła się w cichej modlitwie.

Coroczne wyprawy na cmentarz miały swój ustalony porządek. Najpierw zatrzymywali się przed grobowcem rodziny Maretów, a potem szli na grób pani Santerre.

Henri nie ukląkł; nie był w stanie, bo wiek i artretyzm dawały o sobie boleśnie znać przy każdym ruchu, a zresztą nigdy nie odmawiał modlitwy- Czasami tylko przysiadł na ławeczce przy grobie i cierpliwie czekał, aż Emmanuelle skończy.

Ona zaś zwykle odmawiała cały różaniec. Dziś jednak poprzestała na krótkiej modlitwie. Grzmiało coraz potężniej, błyskawice raz po raz rozdzierały mrok. Robiło się coraz bardziej ponuro.

- Twoja matka byłaby z ciebie dumna, gdyby widziała cię dziś w szpitalu - rzekł Santerre cicho. - Ojciec też.

- Tak myślisz? - Emmanuelle wstała z klęczek. - Nie jestem pewna.

- Zawsze byli bardzo wymagający... - Henri nie dokończył. Jego towarzyszka, wstając, zachwiała się i gdyby nie on, upadłaby. Z zadziwiającą jak na swój wiek i zdrowie szybkością podniósł się z miejsca,

śpiesząc jej z pomocą.

Nie zdążył.

Coś zaszumiało i Henriego rzuciło do tyłu, bezwolne ciało osunęło się po ścianie grobowca na ziemię, a na białym kamieniu wykwitła ciemna plama krwi.

Emmanuelle zmartwiała. Patrzyła w niemym przerażeniu na miniaturową strzałę, która utkwiała w piersi starca.

- *Mon Dieu* - szepnęła, przytomniejąc. Pochyliła się i wyciągnęła rękę, próbując go podnieść.

- Uciekaj - odszepnął ostatkiem sił. Oczy mu zmętniały, ciało przeszedł dreszcz i znieruchomiało. Z ust zaczęła się sączyć strużka krwi.

Emmanuelle widziała niejedno gasnące ludzkie istnienie. Zrozumiała, że nic już się nie da zrobić i wiedziona odruchem, zaczęła biec.

Rozdział 2

Lało jak z cebra, światło gazowych lamp, stojących przy ulicy, ledwo przebijało przez strugi lejące się z zaciągniętego ołowiem nieba. Wsparty o framugę okna w gabinecie generała, major Zachary X. Cooper z korpusu Kawalerii Stanów Zjednoczonych patrzył w zadumie na nawałnicę szalejącą nad Nowym Orleanem. Nigdy nie pada tu normalnie, myślał. W tym mieście żywioł zawsze objawia się z całą mocą. Teraz też woda nie mieściła się w rynnach, spadała miliardem wodospadów na chodnik, rozlewając się w coraz większe jeziora. W ogóle wszystko było tu inne, jakby dziewicze, a zarazem

rozbuchane, dni gorące i parne, a noce wabiące jak kobieta i kuszące jak grzech.

Zza pleców dobiegł go odgłos kroków. Brat generała, pułkownik Andrew Butler, wreszcie zabrał się do wyjścia, ale Zach nawet się nie odwrócił. W trosce o karierę i nerwy starał się zawsze trzymać od niego z daleka.

- Przepraszam, że musiałeś czekać, Cooper. Napijmy się po kieliszku.

Zach oderwał się od okna i z dyskretnym ukłonem przyjął z rąk generała Benjamin Butlera kieliszek brandy.

- Dziękuję, Cooper, że zechciałeś poczekać. A teraz proszę. Generał Benjamin Butler - Upiór Nowego Orleanu, jak go nazywano za plecami - niski, krępy, miał wyjątkowo dużą głowę i potężnego zeza, przez co wyglądał śmiesznie. Ale mieszkańcy tego miasta zdążyli się już przekonać, że mimo komicznej postury był groźny, niebezpieczny i przebiegły.

- Waszyngton się odezwał - oznajmił, przemierzając w charakterystyczny dla siebie sposób bezcenny turecki dywan, zdobiący salon. Posuwał się drobnymi nerwowymi kroczkami, jakby w ciągłym pośpiechu. Dotarł w ten sposób do wielkiego mahoniowego biurka, na którym leżało pismo z jakże znanym nagłówkiem. Dywan, biurko, brandy i dom należały przed wojną do jednego z generałów armii konfederackiej. Butler nie słyszał z sukcesów w polu, ale wszyscy wiedzieli, że w dziele rekwirowania cudzej własności nie ma sobie równych. Zajął teraz miejsce w fotelu swego nieżyjącego poprzednika, złożył ręce jak do pacierza i obrzucił Zacha baczny spojrzeniem.

- Wygląda na to, Cooper - rzekł po chwili - że sekretarz stanu musiał wyrazić oficjalne ubolewanie wobec Holendrów, za, jak to określił,

„nieuprawnione i brutalne" potraktowanie ich konsula.

- Ach tak- odparł Zach, wprawiając zawartość kieliszka w okrężny ruch. Bursztynowy płyn rozlał się po kryształowych ściankach, a wspaniały aromat trunku rozszedł się po całym gabinecie. - Jego ekscelencja konsul mógł przecież uniknąć rewizji osobistej. Nie kazałbym zdzierać z niego ubrania, gdyby oddał klucze, jak prosiłem. A swoją drogą ciekaw jestem, co sekretarz stanu zrobi z ośmiuset tysiącami konfederackich dolarów w srebrze, które dobyliśmy z kasy jego ekscelencji?

Butler wsparł się na fotelu, a ręce złożył na biurku.

- Nie sądzę, aby Waszyngton zechciał je komukolwiek oddać, a co do ciebie, to polecono mi zwrócić ci uwagę, jako szefowi żandarmerii, byś na przyszłość nie zmuszał obcokrajowców do ściągania majtek. - Generał skrzywił się w uśmiechu, ukazując wyjątkowo znakomity garnitur zębów. Wiedział, że ma ujmujący uśmiech i potrafił z tego korzystać. - Tak więc, Cooper, uznaj się za skarconego.

Zach wypił łyk brandy. Trunek był naprawdę przedni, ale niewiele mu pomógł, a już na pewno nie stłumił oczekiwań i nadziei, że może jednak...

- W rzeczy samej, panie generale, chciałem prosić... - Starł się mówić obojętnym tonem.

- Nie.

- Panie generale?

- Wykluczone. - Tym razem Butler okraślił odpowiedź ujmującym jak zawsze uśmiechem. - Wykluczone - powtórzył. - Nie zgadzam się twój powrót do pułku. Jesteś mi potrzebny.

Nagły przeciąg targnął drzwiami i gabinet wypełnił się gorącym, przesyconym wilgocią powietrzem. Zach zamknął drzwi i zasunął zasuwkę.

- Panie generale - nie dawał za wygraną - wojsko potrzebuje

doświadczonych oficerów kawalerii. Od początku wojny jazda Południa daje się nam we znaki. Stale nas podchodzą.

Mówił prawdę, tak rzeczywiście było. Konne zagony południowców zjawiały się nie wiadomo skąd i siały popłoch w szeregach Unii, ale też nie był to jedyny, ani - tym bardziej - najważniejszy powód zabiegów Zacha o zezwolenie na powrót do macierzystej jednostki. Zdawał sobie sprawę, że niejeden zazdrości mu obecnego przydziału. Szef żandarmerii w mieście, i to jakim, to łakoma funkcja, a przede wszystkim bezpieczna i wygodna. Wieczory w operze, teatr i brandy w kryształowych kieliszkach, zamiast marszów w skwarze i błocie i krwawych szarż na pozycje przeciwnika - każdy by wolał, każdy poza majorem Zacharym X. Cooperem. Zach nie nosił w sobie strachu ani przed śmiercią, ani kalectwem. Nie bał się ani szczęku szabel, ani gwizdu kul, ani łomotu artylerii, siejącej śmierć. Bał się czegoś zupełnie innego, a mianowicie, że im dłużej będzie pozostawać w mieście, im dłużej będzie dowodzić żandarmerią, tym głębiej wsiąknie w to wszystko i nie będzie już odwrotu.

- Nasza jazda daje sobie coraz lepiej radę - oznajmił Butler, a widząc minę Zacha, zaśmiał się i dodał: - Nie mówię, że już, ale sprawy idą w dobrym kierunku.

- Poszłyby lepiej, gdyby chłopców staranniejsz wyszkolić;

- Posłuchaj, Zach. Nie wątpię, że jesteś znakomitym kawalerzystą, ale jesteś też doskonałym żandarmem i jesteś mi tu potrzebny i po to, aby trzymać to miasto w ryzach, i po to, aby zatkać paszcze tym kojotom w Waszyngtonie, którzy tylko marzą, żeby mnie stąd wygryźć. Nawet jeśli nie aprobują twoich metod, to cię szanują. Wiedzą, że skończyłeś West Point i zdobyłeś bogate doświadczenie w służbie liniowej na Zachodzie.

Nie dodał, choć pomyślał o tym, że Zacha cenią też za nieskazitelną

uczciwość. Nigdy o tym nie mówił, ale wiedział, że ta cecha charakteru Zachary'ego X. Coopera gwarantowała jemu, Butlerowi, utrzymanie urzędu i pozycji.

Jak wielu - zbyt wielu - generałów Unii Butler zawdzięczał stopień i stanowisko układom politycznym. Należał do wybrańców prezydenta Lincolna. Przed wojną prowadził kancelarię adwokacką i z żołnierką nie miał nic wspólnego aż do dnia, kiedy to prezydent przypiął mu generalskie gwiazdki i wysłał w pole, nie zastanawiając się, że pod takim dowództwem niewielu chłopców w mundurach będzie miało szansę wrócić do domu cało i zdrowo. I pewnie niejeden by poległ, gdyby nie to, że Butler nad generalskie obowiązki przedkładał urząd wojskowego komisarza Nowego Orleanu. Nie prowadził operacji wzdłuż Missisipi, jak tego oczekiwano, ale zajął się miastem, rządził nim żelazną ręką i łupił bez litości. Bogacił się, a za jego przykładem, w stosownej oczywiście proporcji, bogacili się też jego żołnierze, łupiąc mieszkańców na miarę swoich możliwości.

- Za pozwoleniem pana generała, żandarmerią miałem dowodzić tylko do czasu, gdy zabliznią mi się rany.

Butler uśmiechnął się wyraźnie rozbawiony.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że już wydobrzałeś?
- To właśnie chcę powiedzieć.
- Myślę, że zmieniłbyś zdanie po jednym dniu w siodle.
- Staram się jeździć codziennie, panie generale.
- Wiem, wiem, dziś też jeździłeś i nawet moja żona zauważyła, czym to się skończyło. Ledwie powłóczyłeś nogami, gdy przyszedłeś do nas na kolację.

- Panie generale...

- Dość tego, majorze. - Butler zerwał się zza biurka wyraźnie

rozsierdzony.

- Tak jest.

Przez chwilę obaj mierzyli się wzrokiem. Butler pierwszy ustąpił.

- Napijemy się jeszcze po jednym.

- Dziękuję, panie generale, ale... - Zach nie dokończył, bo zapukano do drzwi.

- Wejść. - Generał podniósł głos.

- To ja, panie generale, Fletcher. Do majora Coopera. -W drzwiach stanął wysoki, osiłkowaty oficer z dystynkcjami kapitana, wielką grzywą rudych włosów i sumiastymi wąsami, sięgającymi daleko poza okraszone kroplami deszczu policzki. Zresztą kapitan Hamish Fletcher cały spływał strużkami deszczu i wokół wyglansowanych butów na dębowej podłodze rozlało się jeziorko. Wzrokiem wyszukał Zacha i nie musiał o nic pytać, bo było oczywiste, że major znów niczego nie wskórał. Prośba o przeniesienie do pułku została ponownie odrzucona.

- Mamy zabójstwo - zameldował.

Zach drgnął. Poczul dreszcze na plecach, jakby dawny koszmar znów dał o sobie znać. Tego właśnie się lękał. Zabójstwo! Jeszcze jedno i jeszcze... Gardło mu się ścisnęło i z trudem łapał powietrze, nie mogąc dobyć słowa. Zastąpił go Butler.

- Draństwo morduje się nawzajem. Ilu to już w tym miesiącu? Czterech? Pięciu? - odezwał się ze złością, wymachując butelką brandy. - Tydzień temu ofiarą był Irlandczyk, za tydzień będzie Włoch albo Murzyn, albo Niemiec czy Polak. Za każdym razem będzie pan zawracał głowę panu majorowi?

- Nie, panie generale - odparł Fletcher dziwnym, szkocko-nowojorskim akcentem. Szkocki odziedziczył po rodzicach, a nowojorskim

przesiąkł za młodu, dorastał bowiem na Manhattanie. - Tyle tylko że dzisiejszy przypadek jest raczej niezwykły. Zamordowano Kreola, znanego lekarza.

- Kreola? - parsknął Butler ze wzdrgnięciem, odmierzając sobie wyjątkowo sporą porcję brandy. -I co z tego? Najwyższy czas, żeby miejscowi zrozumieli, że wcale nie są tacy ważni, jak im się zdaje.

Hamish zmilczał; patrzył na majora. Zach jednym haustem wypił resztę trunku i odstawił kieliszek na biurko. Zdążył się już opanować i stłumić lęk, lęk niegodny mężczyzny. Miał jednak świadomość, że nie do końca się go pozbył, że lęk gdzieś tam pozostanie w zakamarkach duszy, ale na razie nie przeszkodzi mu działać. A Butler chyba ma rację. W tym mieście bez przerwy ktoś kogoś morduje, a to zabójstwo jest pewnie takie jak wszystkie inne. Nic nie wskazuje, aby stało się coś szczególnego, coś, co miałyby się powtórzyć. Jak kiedyś.

- W porządku, idziemy - rzekł, sięgając po pelerynę. - Gdzie jest ciało?

- Na cmentarzu św. Ludwika. Tam właśnie to się wydarzyło - dodał Hamish, gdy Zach spojrzał nań badawczo.

- Nadzwyczaj wygodnie- syknął Zach, przypinając szablę. Ręce wcale mu się nie trzęsły.



Ciągle jeszcze padało, gdy wysiedli z powozu na wysłużony drewniany chodnik, ciągnący się wzdłuż cmentarnego muru przy Basin Street.

- Zostawiłem paru chłopców na straży - oznajmił Fletcher tonem

świadczącym o znajomości rzeczy. Rzeczywiście, znał się na policyjnej robocie jak majo kto z podwładnych Zacha. Przed wojną służył w nowojorskiej policji, co jego przełożonego zawsze zastanawiało. Nie mieściło mu się w głowie, że można z własnej nieprzymuszonej woli zostać policjantem i przez całe życie zajmować się najgorszymi ludzkimi brudami.

- Przeszukaliśmy cały cmentarz, ale niczego nie znaleźliśmy - ciągnął.

-Sam przyznasz, że miejsce jest wprost wymarzone na zasadzkę. Tyle tu grobowców i w ogóle, a każdy może stanowić doskonałą kryjówkę.

Zach wyciągnął szyję i ogarnął wzrokiem wysoki bielony wapnem cmentarny mur, za którym widać było szczyty co większych grobowców. Zaklął, gdy deszcz jął saczyć mu się za kołnierz. Opuścił głowę, nasunął kapelusz na czoło, łypnął na kałużę, która utworzyła się przy cmentarnej bramie, i z rezygnacją ruszył w bród. Każdy krok sprawiał mu ból - piekący prąd biegł od rany na udzie aż po biodro. Generał miał rację; nie powinien się tak forsować. Rana doskwierała strasznie i Zach miał chwilami wrażenie, że ból zaczyna żyć własnym życiem. Ale nic to. Najważniejsze, że udało się uratować nogę. Po takim postrzale chirurdzy w ogóle się nie zastanawiają, tną i już, bo tak jest łatwiej i szybciej. Przez lata służby Zach napatrzył się na rzeźników, czyniących ze zdrowych i silnych mężczyzn kaleki, i nie miał szacunku dla wojskowych chirurgów. Jemu udało się uratować nogę tylko dlatego, że ostrzegł rzeźników, że obetnie im jaja, jeśli któryś spróbuje mu ją odjąć.

- A co, u diabła, poczciwy doktor robił tu w taką ulewę? - spytał, przekrzykując szum deszczu.

- Odwiedzał grób żony. - Hamish zaśmiał się.

Zach spojrzał mu w oczy. Hamish jeszcze chichotał, poruszając zabawnie wąsami. - Z czego się tak cieszysz?

- Wiesz, jeśli podcinają gardło jakiemuś biedakowi na przedmieściu, to oczywiście smutna sprawa, ale zwyczajna, a ten przypadek -zatarł dłonie - to prawdziwa zagadka, a zagadka to przyjemność dla policjanta.

- Nie znoszę zagadek- uciał Zach. Kiedyś było inaczej. Lubił zagadkowe sprawy, uważał nawet, że ma talent i jest całkiem niezłym detektywem. Ale dwa lata temu pewien zawistnik postanowił udowodnić mu, że wcale tak nie jest, że w istocie nie ma pojęcia o rozwiązywaniu zagadek. I postawił na swoim, co niestety pociągnęło za sobą śmierć pewnej bardzo w Zachu zakochanej dziewczyny, Racheli. - A poza tym - dodał z mocą -nie jestem policjantem, lecz kawalerzystą.

- Tak powiadasz? - Hamish klepnął go w plecy, po przyjacielsku, ale na tyle mocno, że Zach aż się potknął. - Zajrzyj lepiej do regulaminów i sprawdź, na czym polegają obowiązki komendanta garnizonowej żandarmerii.

- A ten coś widział? - Zach wzrokiem wskazał dozorcę cmentarza, który nerwowo przestępował z nogi na nogę i w ogóle podrygiwał dziwnie, jakby pisał w takt niesłyszalnej muzyki. W ręce trzymał latarnię, która kołysząc się w tę i w tam, rozświetlała i wygaszała na przemian pobliskie grobowce.

- Bóg jeden raczy wiedzieć. -Hamish wzruszył ramionami. -Nie mówi po angielsku. A ty przypadkiem nie znasz niemieckiego?

- Coś tam kiedyś liznałem, ale nie mówię.

- No to rano trzeba będzie kogoś znaleźć, kto go przepytą. Zach przebrnął przez kałużę, podszedł do dozorcę, wyjął mu latarnię z dłoni i gestem nakazał stanąć przy bramie.

- Danke schon! - rzucił na zakończenie.

- Hej, jednak mówisz po niemiecku - zdumiał się Hamish.

- Przesłyszałeś się. - Zach uniósł latarnię wysoko nad głowę. Gdzie tylko sięgało światło, widać było marmurowe krypty, świątynki, zameczki i domki, w których spoczywały prochy właścicieli. Stały gęsto, jeden przy drugim, wzdłuż porośniętych trawą alejek, upstrzonych gdzieniegdzie kamiennymi złomami, które oderwały się od mniej zadbanych budowli. Krople deszczu rozbijały się o płyty grobowców, zbierały w kałuże i spływały strumykami po frontonach, wymywając napisy. Co starsze groby nosiły na sobie znaki upływającego czasu. Spod popękanych płyt przeziierała ziemia, a tu i ówdzie poczerniałe deski trumien, a jeszcze gdzie indziej w mrocznych czeluściach białe ludzkie kości. - A ten doktor to kto? Powiedz mi coś o nim - zażądał Zach, kierując się w głąb środkowej alejki.

- Henri Santerre - odparł Hamish, podążając za przyjacielem. - Prowadzi, a raczej prowadził szpital de Santerre on Bienville. To jedyny prywatny szpital w tym mieście, który nie zaprzestał działalności z wybuchem wojny, ba, nadal jest czynny, co sporo mówi o samym doktorze.

- Miał rodzinę?

- Był wdowcem. Mieszkał z siostrą, Elise Santerre on Conti. Tutaj. - Fletcher przystanął, wskazując na dwie postaci w granatowych mundurach, mającące w mroku pod ceglany murem z rzędem krypt. - W tę stronę.

Gdy podeszli bliżej, Zach zobaczył, że obok żołnierzy stoi jeszcze kobieta. Pewnie siostra, o której wspomniał Fletcher, pomyślał. Drobną kobietą w czerni, bladą, z przemoczonymi włosami, stała nieco z boku, jakby brzydziła ją obecność ludzi w granatach Unii. Zach wcale się nie zdziwił. W tym mieście kobiety znacznie częściej i znacznie śmieiej niż mężczyźni demonstrowały pogardę i nienawiść do okupantów. Właśnie dlatego Butler wydał niesławne rozporządzenie w sprawie kobiet.

Zach nie poświęcił jej sekundy uwagi, nawet na nią nie spojrzął,

skupił się na zwłokach. Ciało leżało tuż pod kryptą z wykutym w kamieniu nazwiskiem MARET. Deszcz siekł po martwych policzkach, wsiąkał w siwą, krótką brodę i spływał strumieniem ku piersi, rozmywając plamę krwi otaczającą drewnianą strzałę, która utkwiała głęboko w żywym do niedawna ciele.

Zach przykucnął przy zwłokach. Lewą dłonią przetarł oczy, bo krople deszczu dostały mu się pod powieki, i czoło, bo poczuł, że zrosił je zimny pot; prawą, w której trzymał latarnię, uniósł nieco, aby oświetlić twarz zmarłego. Doszedł go zapach jaśminu zmieszany z wonią butwiejących liści i krwi. Doktor miał zamknięte oczy; wyglądał, jakby spał. Zach dotknął skóry na karku - była jeszcze ciepła.

- Jesteście pewni, że nie żyje? - rzucił do żołnierza, który stanął nad nim.

- A pan przeżyłby, gdyby pan dostał strzałą z kuszy prosto w serce?
- usłyszał damski głos z wyczuwalnym francuskim akcentem i równie wyczuwalną nutą wrogości.

Rozdział 3

Zach spojrział na kobietę w czerni. Przemoczona, blada i zdumiewająco młoda. Twarz bez jednej zmarszczki, oczy ciemne, głębokie i pełne nienawiści. Z pewnością nie była to siostra świętej pamięci Henriego Santerre'a.

Niezwykła w każdym calu, wytworna w dobrym francuskim stylu, drobnokoścista, z długą szyją, talią jak osa, krągłymi, wysoko osadzonymi piersiami, miała w sobie coś z prawdziwej arystokratki, bywalczyni salonów, pani na włościach, dziedziczki tytułów, której przodkowie - bywało - musieli salwować się ucieczką przed gilotyną. Jednocześnie jednak sprawiała wrażenie osoby nader skromnej, delikatnej i ogromnie wrażliwej, mimo że jej pełne usta i roziskrzzone oczy zdawały się temu przeczyć. Nawet przemoczona od deszczu, z włosami klejącymi się do czoła i policzków, ociekających kroplami dżdżu, zadartym nosem, wyglądała zjawiskowo.

- Widywałem wielu ludzi, którzy przeżyli mimo śmiertelnych, zdawało się, ran. - Zach wolno stanął na nogi.

- Nie wątpię - młoda dama popatrzyła wymownie na jego szablę i kolta, a potem spojrzała mu prosto w oczy. - I nie wątpię, że wiele z tych ran pochodziło z pańskiej ręki.

Zach obrócił się do Fletchera.

- A co właściwie ta pani tu robi?

- Madame de Beauvais towarzyszyła dżentelmenowi, który padł ofiarą zabójstwa.

Zach ponownie zwrócił się do damy. Emanował z niej niebywały - zważywszy na okoliczności - spokój i pewność siebie.

- Rozumiem więc, że była pani świadkiem zdarzenia.
- Byłam.

Większość kobiet w podobnej sytuacji dostałaby ataku hysterii albo zemdłałaby, albo jedno i drugie naraz, ta jednak mimo tragedii zachowała spokój. Zaintrygowało go to, a zarazem nasunęło pewne podejrzenia.

- A nie mogli państwo wybrać bardziej pogodnego dnia na wyprawę na cmentarz?

- Małżonka doktora Santerre'a i moja mama zmarły tego samego dnia w osiemset czterdziestym dziewiątym w czasie epidemii żółtej febry. W każdą rocznicę przychodzimy tu z doktorem, żeby złożyć kwiaty na ich grobach. - Spojrzała na leżący w błocie pęk jaśminów, z plamami krwi na białych płatkach. Cokolwiek czuła, jej twarz pozostała niewzruszona.

Boże, co za spokój, pomyślał Zach.

- Widziała pani sprawcę?

Nie odpowiedziała od razu, obrzucając go badawczym i pełnym niechęci spojrzeniem.

- A dlaczego tą sprawą zajmuje się wojsko? Czy nie powinien się tu zjawić ktoś z nowoorleańskiej policji.

- Może i powinien, tylko że nowoorleańska policja przestała istnieć - burknął.

- Boście ich wtrącili do więzień - powiedziała ze złością.

- Nie wszystkich, ale ma pani rację - zgodził się Zach. -A teraz proszę mi opowiedzieć, co się tu stało.

Hamish, nie bacząc na deszcz, dobył z kieszeni mocno zużyty notes i ołówkę, gotów notować zeznania. Pani de Beauvais spojrzała na niego, po

czym, patrząc w przestrzeń, zaczęła:

- Jak zawsze zatrzymaliśmy się najpierw tu, przy grobie mojej matki... grobowiec Santerre'ów jest dalej, w głębi alejki. Zwykle odmawiam tu cały różaniec. Dziś jednak przerwałam.

Jej spokój był pozorny. Zach zauważył, że kobieta drży, ale cały czas stara się panować nad sobą i ukryć uczucia, które nią targały. Wiedział też, że maska, którą rozmówczyni z takim wysiłkiem próbuje utrzymać, to także reakcja na widok ich mundurów. Miała ich za wrogów i traktowała jak wrogów, a wobec nieprzyjaciół - wiadomo - nie okazuje się słabości. Podejrzewał wszelako, że to nie wszystko, że rozmówczyni należy do tego gatunku kobiet, które nigdy, przenigdy nie okazują słabości.

- A dlaczego zrezygnowała pani z modlitwy? Coś pani zobaczyła? A może kogoś?

- Nie, nikogo nie widziałam, ale zbierało się na burzę i uznałam, że pośpiech jest wskazany. - Zamilkła, przez chwilę przetykała ślinę. - Właśnie wstawałam z klęczek, gdy zza moich pleców nadleciała strzała wypuszczona z kuszy.

- Z kuszy? Tak pani sądzi?

- A pan nie? - odrzekła z nutą wyższości w głosie. Prowokowała go, prowokowała świadomie i z rozmysłem.

Zach zacisnął zęby, przykląkł i jeszcze raz obejrzał pocisk tkwiący w piersi nieżyjącego doktora.

- Nie sądzę, strzała jest za krótka, a poza tym sporządzona z drewna.

Spodziewał się, że znów usłyszy coś wzgardliwego i złośliwego zarazem, tymczasem jednak madame de Beauvais milczała. Spoglądała bez słowa w przestrzeń. Deszcz nie ustawał. Ciężkie krople toczyły się po murze, spływając do kamiennego rynsztoka ciągnącego się wzdłuż alejki.

Strumienie płynęły też po jej bladych policzkach i nagle wydała się strasznie zmęczona i przygnieciona nieszczęściem. Jeśli jeszcze przed chwilą swoją wyniosłą postawą budziła w Zachu gniew, to teraz ogarnęło go uczucie litości.

- Proszę to włożyć! - Zdjął z ramion pelerynę i jej podał. - Jest pani przemoczona, jeszcze się pani rozchoruje.

Cofnęła się gwałtownie, jakby wylękniona granatową tkaniną. Oczy jej zaiskrzyły, a dorodne usta skrzywiły się w grymasie obrzydzenia.

- Ja miałabym to włożyć? Nigdy.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem przez kurtynę deszczu.

- Jak pani chce - mruknął wreszcie Zach, narzucając pelerynę na ramiona. - Gdzie pani mieszka? Nie odpowiedziała od razu, dopiero po chwili syknęła przez zaciśnięte zęby:

- Na rue Dumaine, między Royal i Chartres.

- Kapitan Fletcher odprowadzi panią do domu.

- Dziękuję, ale nie ma potrzeby.

Zach skwitował to kwaśnym uśmiechem.

- Wybacz pani, lecz musimy sprawdzić pani adres i tożsamość.

- Skoro pan chce - odrzekła z nieskrywaną pogardą.

Wokół panowała gorąca, parna cisza, przerywana tylko szumem deszczu. Zach wytrzymał pełne wzgardy spojrzenie pani de Beauvais. Sądząc po stroju - oceniał w myślach - owdowiała niedawno. Przyszła, żeby pomodlić się na grobie matki. Stała się mimowolnym świadkiem gwałtownej i brutalnie zadanej śmierci starego przyjaciela. Powinna budzić współczucie, jeśli nie litość, i należałoby ją otoczyć opieką. Tylko dlaczego, u licha, zachowywała się tak wyzywająco. Nie odczuwał współczucia ani litości, ale złość i... pożądanie.

Oderwał od niej wzrok i obrócił się energicznie do Fletchera.

- Zabieraj ją - warknął.



Elise Santerre - siostra doktora - okazała się bardzo wiekową niewiastą. Starsza od brata, i to sporo, myślał Zach, siedząc w fotelu przy kominku naprzeciw niej, tam gdzie mu wskazała. Sama usiadła na krześle. Trzymała się sztywno, ręce splotła na kolanach. W migoczącym świetle świecy jej włosy połyskiwały srebrem. Pod skórą jak pomarszczony pergamin rysowały się drobne kości, ale oczy, żywe i błyszczące, świadczyły o tym, że umysł ma bystry.

- To bardzo uprzejmie z pana strony, że pofatygował się pan osobiście, majorze. Jestem panu wdzięczna. - Podziękowała, choć zdawała sobie sprawę, że nie przyszedł tu ani z uprzejmości, ani tym bardziej powodowany troską o to, jak starsza pani przyjmie tragiczną wieść.

Przyszedł, bo nakazywała to logika śledztwa. Chciał wypytać, czy zmarły mówił coś, co mogłoby rzucić jakieś światło na sprawę. Bez względu na to, co Butler może sądzić, gwałtowna śmierć prominentnego obywatela stanowiła przypadek szczególny, a takich nie zostawia się prostym żołnierzom. Przybył więc osobiście i teraz rozglądał się ciekawie po salonie rezydencji Santerre'ów. Wysoki bielony sufit, ciężkie meble pokryte - jak to w lecie - białymi ochronnymi pokrowcami, nawet na abażury gazowych lamp nałożono tiulowe zasłonki przed muchami i komarami. Z oddali dobiegał dźwięk dzwonów katedry, obwieszczający kolejną godzinę.

Zach pochylił się do przodu i przeszedł do rzeczy.

- Przykro mi, madame Santerre, ale muszę zadać pani kilka pytań.

Zacznijmy od tego, czy może ma pani jakieś podejrzenia, kto mógł zamordować pani brata.

Pani Santerre przez chwilę milczała. Zastanawiała się, płytko oddychając.

- Nie, nie wiem, kto mógłby to zrobić, ale Emmanuelle, jak sędzę, mogłaby coś wiedzieć.

- Emmanuelle?

- Emmanuelle de Beauvais.

- Rozumiem. - Zach obracał w ręku filcowy kapelusz z insygniami korpusu kawalerii. Emmanuelle de Beauvais... dama z cmentarza.

Wystarczyło, że usłyszał jej imię, by znów coś się w nim poruszyło, coś co nie miało nic wspólnego ani z zabójstwem, które go tu sprowadziło, ani w ogóle z obowiązkami powierzonymi mu przez Butlera. - A dlaczego właśnie pani de Beauvais?

Zdążył podnieść wzrok, by w oczach rozmówczynie dostrzec dziwny błysk, który skłonił go do zastanowienia, co takiego starsza pani mogła wyczytać w jego twarzy.

- Pani de Beauvais pomagała mojemu bratu w szpitalu -usłyszał w odpowiedzi, udzielonej ze śpiewnym francuskim akcentem, podobnym, choć niezupełnie, do akcentu pani de Beauvais. - Widzi pan, szpital był całym życiem mojego brata. W rzeczy samej założyli go we trójkę, mój brat, ojciec Emmanuelle, Jacques Maret, i jej mąż, Philippe de Beauvais.

- Ojciec i mąż pani de Beauvais też byli lekarzami? - Pytanie miało znaczenie. Potwierdzająca odpowiedź tłumaczyłaby niezwykle spokoj tej pani w obliczu śmierci.

- Owszem. Jacques Maret zmarł w czasie epidemii żółtej febry w pięćdziesiątym trzecim. - Zawiesiła głos, zasznurowała usta, z rozmysłem

prowołując go zadania następnego pytania.

- A Philippe de Beauvais? - Posłusznie odpowiedział na wyzwanie.
- Philippe poległ na wojnie. Dwa miesiące temu.

Dwa miesiące, powtórzył Zach w myślach. To wyjaśniało demonstracyjną niechęć młodej wdowy do granatowego munduru, ale przysięgłby, że jej oczywista wrogość ma jeszcze inne podłoże.

- Wie pan - ciągnęła pani Santerre - Emmanuelle zawsze marzyła o lekarskiej profesji, ale cóż... nie było jej to dane. Nie ma przecież kobiet lekarzy. - W tonie starszej pani było coś takiego, że Zach zastanowił się, czy sama nie snuła podobnych marzeń, na które też nie otrzymała społecznego przyzwolenia.

Zadał jeszcze wiele pytań i otrzymał wiele odpowiedzi o szpitalu, o zwyczajach i życiu starego doktora, o jego znajomych i przyjaciółach, ale dopiero pod koniec rozmowy, a ściślej gdy zabierał się do wyjścia, Elise Santerre, bez pytania, z własnej inicjatywy, dorzuciła znamienne zdanie.

- Niewykluczone, że mój brat padł ofiarą pomyłki. - Powiedziała to takim tonem, jakby sprawa nurtowała ją przez cały czas i wreszcie postanowiła ją wyjawiać.

Zach zatrzymał się w połowie schodów. Spojrzał w górę -pani Santerre została na piętrze.

- Chce pani powiedzieć, że sprawca czyhał na życie pani de Beauvais.

- Ależ nie, w żadnym przypadku.

Po raz pierwszy w czasie całego wieczoru Zach odniósł wrażenie, że starsza pani nie mówi całej prawdy.



Emmanuelle stała w drzwiach sypialni syna, słuchając miarowego oddechu chłopca pogrążonego we śnie.

- Dominik - szepnęła.

Nie miała zamiaru go budzić - spał tak słodko - ale pragnęła usłyszeć jego imię. Z tej samej potrzeby serca otworzyła przed chwilą drzwi łączące ich pokoje. Chciała i musiała się upewnić, że chłopiec jest bezpieczny, że żyje i nic mu nie jest.

W wielkim mahoniowym łożu z czterema kolumnami i moskitierą wyglądał jak drobinka, a przecież nie był już małym dzieckiem. Miał jedenaście lat i szybko dojrzewał. Wkrótce stanie się mężczyzną. Ale jedenastoletni chłopiec, a zwłaszcza w takim niebezpiecznym mieście jak Nowy Orlean, wymagał szczególnej troski. Nawet przed wojną w mieście nie było spokoju, a życie niosło ciągle zagrożenia. Bez przerwy trzeba było walczyć a to z tyfusem, a to z żółtą febrą, a to z zarazą ciągnącą z okolicznych bagien i mokradeł. Śmierć atakowała na ślepo i stale. Stojąc w ciemności u progu sypialni i patrząc na śpiącego syna, Emmanuelle czuła, że jej serce wypełnia miłość tak bezgraniczna, tak wszechogarniająca, że aż groźna. Musiała z całej siły zacisnąć dłonie, aby nie dotknąć śpiącego, nie wpleść palców w jego jasne kędziory, i nie pogłaskać go. Jednak najłżejsza nawet pieczyta wytrąciłaby go ze snu.

Oderwała się od drzwi - czas już pójść do łóżka - lecz zmieniła zamiar. Usiadła przy otwartym oknie sypialni, wychodzącym na pustą o tej porze, spływającą deszczem rue Dumaine. Domyślała się, że jest już późno, bo wokół panowała głęboka cisza. Ulica milczała, z kabaretów nad rzeką nie dobiegały już żadne dźwięki, tylko szum wody spływającej z dachów i

szemrzącej deszczowymi strumieniami na ulicach wpisywał się w nocny spokój.

Odezwały się targnięte delikatnym powiewem wiatru paprocie i rozmaryn w doniczkach na oknie. Ciepły, przesycony deszczem zefir wdarł się do pokoju, musnął ją po twarzy, owinał wokół ramion i Emmanuelle nagle uświadomiła sobie, że drży. Dreszcz strachu, smutku i lęku ogarnął całe jej ciało, kłuł w serce, kołatał duszą, a przed oczami znów i znów rozgrywał się ten sam straszny moment, gdy wysłany z kuszy pocisk wbija się głęboko w ciało jej towarzysza, jego pierś spływa krwią, a oczy przysłania cień nadchodzącej śmierci.

Krew i śmierć - dla większości ludzi widok straszny, przerażający, nie do zniesienia. Ale ona - adeptka medycyny, która poświęciła życie na ratowanie innych - nie powinna tak reagować. A jednak nie potrafiła pozbyć się lęku, przerażenia i strachu. Zastanawiając się nad własną reakcją, uznała, że to dlatego, iż śmierć zabrała Henriego Santerre'a tak nagle i tak niespodziewanie, pozostawiając puste miejsce, którego nikt i nic nie wypełni. Bo kto będzie badał tajniki ludowej medycyny, kto dokończy artykuł o zagrożeniach, jakie niesie puszczanie krwi? Co stanie się z oddziałem położniczym, który doktor planował otworzyć, gdy tylko wojna wreszcie się skończy? Henri chciał jeszcze tyle zrobić. Ale kto wie, może śmierć w pełni sił jest jednak szczęśliwsza niż taka, która dopada człowieka u schyłku drogi. Może więc dobrze się stało. Jednak z drugiej strony Henri zostawił tyle spraw, tyle niespełnionych marzeń, a tak nie znosił zostawiać niczego w połowie drogi.

I był jej tak bardzo potrzebny.

Zawstydzila się sama przed sobą swoim małym egoizmem, zdając sobie sprawę, że część żalu wypełniającego jej serce ma właśnie taki

samolubny sens. W jednej krótkiej jak mgnienie chwili straciła najbliższego przyjaciela, mądrego nauczyciela, przewodnika i nieocenionego współnika. Teraz cały ciężar utrzymania szpitala w tych trudnych wojennych czasach spocznie na jej i tylko jej barkach.

- *Mon Dieu* - dobiegł ją głos pełen troskliwego oburzenia.

-Rozchorujesz się jak nic siedząc na zimnie bez niczego, tylko w koszuli nocnej.

Emmanuelle poczuła na ramionach ciepły szal.

- Ależ, Rose, jest gorąco jak za dnia. - Zaśmiała się.

- Ale ty jesteś zimna jak lód. - Ciemnoskóre ręce starannie otuliły ją szalem. - Dłonie grabieją, gdy się ciebie dotknie. Przeżyłaś wstrząs, powinnaś się położyć. W nocy wszystko jawi się znacznie gorzej niż rankiem.

- Ranek niewiele pomoże, Rose.

Murzynka westchnęła tylko i usiadła ciężko na krześle obok.

- Chyba masz rację.

Przez chwilę siedziały w milczeniu - Emmanuelle i czarna kobieta - kiedyś niewolnica, a teraz najoddańsza służąca i najwierniejsza przyjaciółka.

- Dlaczego? Komu mogło zależeć na śmierci starego doktora? -

Rose wypowiedziała wreszcie pytanie, które od początku cisnęło się na usta.

- Nie wiem. - Emmanuelle potrząsnęła głową. - Myślałam o wszystkich, których znał i którzy go znali, o pacjentach, kolegach lekarzach, i nie znalazłam nikogo, kto żywiłby do niego złość albo miałby choćby cień powodu, żeby życzyć mu śmierci, a tym bardziej zadać ją w tak brutalny i tchórzliwy sposób...

Uklękła do modlitwy; ciągle jeszcze nie była w stanie opanować drżenia. I nagle usłużna pamięć przypomniała jej jeszcze coś. Henri jak

nigdy nie chciał iść na cmentarz. Czyżby coś przeczuwał? A może coś wiedział? Ktoś mu groził?

Podniosła wzrok i spojrzała na krople deszczu za oknem. Czuła w sercu ciężar żalu i winy zarazem.

- Cały czas myślę, że nie powinnam była go namawiać na pójście na cmentarz - zwierzyła się. - I nie trzeba było siedzieć tam tak długo.

Gdybym go posłuchała, gdybym się nie upierała...

- Przestań mówić głupstwa - ucięła Rose gderliwie. - Co się stało, to się nie odstanie, i przestań się obwiniać, bo to nie ma sensu.

- Ale ja też miałam przeczucie, Rose. Nie umiem tego określić, czułam jednak coś złego, coś mrocznego... sama nie wiem... -Przerwała, szukając słów, których i tak znaleźć się nie da.

- Nie ma się co dziwić, żeś coś czuła. Jak ktoś za dnia kroi trupy, a o zmierzchu chodzi na cmentarz, to musi się czuć nieswojo.

Emmanuelle zaśmiała się cicho i zaraz umilkła, patrząc na wpółprzymknięte drzwi do pokoju Dominika. Znow ogarnął ją niepokój o syna. Nie dlatego, że coś mogłoby im się stać, ale serce ścisnął jej odwieczny niepokój każdej maiki.

- Gdybym umarła, to co z nim będzie? Śmierć zawsze przychodzi zniecka. Bywa, że jest grotem strzały wypuszczonej z kuszy, bywa, że niesie ją zdradliwe ukąszenie owadzich żuchw, a bywa, że spada na ofiarę cięciem szabli.

- Myślisz, że ta śmierć była przeznaczona tobie? - odezwała się Rose, ubierając w proste, ale ciężkie słowa to, co już czas jakiś kołatało w duszy Emmanuelle, a czego ona sama nie miała odwagi wyrazić.

- Wielki Boże, Rose! - krzyknęła Emmanuelle z cicha, kryjąc twarz w dłoniach. Przez chwilę wzdychała tylko ciężko, jakby przygniecione

ciężarem płuca nie mogły nabrać powietrza. -Miałam przeczucie, mówiłam ci. To nie jego miała zabrać ta śmierć. Ta strzała był przeznaczona dla mnie. Gdybym się nie potknęła, gdyby Henri nie pochylił się, żeby mnie podtrzymać, strzała ugodziłaby we mnie.

- A powiedziałaś o tym temu jankeskiemu majorowi, o którym wspominałaś?

Emmanuelle opuściła bezradnie ręce i spojrzała na przyjaciółkę.

- Nie sądzę, aby uwierzył, że Henri zginął... przypadkiem.

- Kto wie, może jednak dałby wiarę, jeśli już ktoś na ciebie czyha....

- Ale cóż to może obchodzić Jankesów? - ucięła Emmanuelle. -

Nie sądzisz chyba, że zaczną mnie chronić. - Zerwała się z fotela, ogarniając się szalem. - A poza tym, to nie są policjanci, lecz żołnierze, żołnierze wrogiej armii i wszystko im wolno. Aresztować w każdej chwili, ciebie, mnie, wszystkich, i skazać na śmierć po parodii procesu albo i bez. A co się tyczy tego majora, komendanta żandarmerii, to ma mnie zapewne za pierwszą podejrzaną.

- Ciebie? Niby dlaczego?

- Trzeba było widzieć, jak na mnie patrzył. Jakby był pewien, że coś ukrywam.

- Ale ty przecież niczego nie ukrywałaś.

- Nie, to znaczy... - Nie dokończyła. Z sąsiedniej sypialni dobiegł jakiś niespokojny odgłos. Nie dokończyła, niczego przecież nie ukrywała, ale te oczy, te jego oczy! Patrzył na nią tak, jakby wszystkie mroczne i uwierające sekrety jej życia nie stanowiły dla niego żadnej tajemnicy, i zdjął ją lęk, że z wolna, jeden po drugim, zaczniesz te sekrety odsłaniać i dobywać na światło dzienne.



O świcie przestało padać. Pogryzając piętękę bagietki, Zach wziął kawę i wspinał się schodami na górę, na taras okalający całe piętro neoklasycyznej willi, którą generał Butler zarekwirował na użytek swojego sztabu. Choć ranek ledwie się zaczął, słońce już nieźle przygrzewało. Ziemia parowała po wczorajszym deszczu, rozsiewając wokół wilgotne wonie butwiejących liści.

Patrząc na gęstwinę zieloności otaczającą willę i całą okolicę - wielkie dęby spowite brodami hiszpańskiego mchu, rozłożyste bananowce okupujące parter pod dostojniejszymi drzewami i paprocie porastające kępami każdy skrawek ziemi niezawłaszczony przez szlachetniejszą florę - zastanawiał się, co takiego jest w tym mieście, co tak go fascynuje, podnieca i dociera do najgłębszych, najmroczniejszych i najbardziej zmysłowych zakamarków jego jestestwa. Urodził się i wychował w Rhode Island. Ojciec, dziadek i wszyscy przodkowie po mieczu zawsze byli związani z Nową Anglią. Należeli do tych, co na życie patrzają trzeźwo, cenią dyscyplinę, umiarkowanie, cierpliwość i mienia się przyzwoitymi pod każdym względem. Ale matka... Matka wywodziła się z innego świata -pełnego egzotycznych kwiatów, gorących nocy i tęsknych dźwięków gitar, przy których krew szybciej krąży w żyłach. Czasami zabierała go do tego swojego świata, tchnącego słońcem Kastylii i błękitem Morza Śródziemnego. Nie na długo wprowadzie, na chwilę, żeby zerknąć, popatrzeć, posmakować, ale nawet te krótkie wyprawy wystarczyły, by Zach za nim zatęsknił. Kastylijską krew dała o sobie znać i Zach szybko zaczął przedkładać świat matki nad świat ojca, co ten starał się wybić mu z głowy i to w bardzo dosłownym sensie, ale bez większego skutku. Tęsknota za

słońcem i błękitem okazała się silniejsza, a w zakamarkach duszy Zacha już na zawsze zagnieździła się owa odrobina szaleństwa, którą to miasto zdawało się przywoływać do życia. Miasto i ta kobieta w czerni -tajemnicza, kusząca i groźna Emmanuelle de Beauvais. Za ich to sprawą - miasta i tej kobiety - kastylijska krew zaczynała dawać o sobie znać i budziło się w nim coś szalonego i nieokiełzanego zarazem. Nagle patrząc na pyszniejącą wokół zieleń, zdał sobie sprawę, że zabójstwo, które miało miejsce, zagraża także i jemu - jego karierze, przyszłości i życiu.

Tak właśnie dumał, siedząc w bujanym fotelu, z nogami na poręczy otaczającej taras.

- A siostra Henriego Santerre'a? - usłyszał za sobą. - Powiedziała coś ciekawego? - Kapitan Hamish Fletcher przysunął sobie krzesło i usiadł obok przyjaciela.

- Czy ja wiem? Chyba nic, może tylko tyle, że wczoraj przypadała trzynasta rocznica śmierci małżonki Santerre' a i matki pani de Beauvais. Obie zmarły tego samego dnia w czasie epidemii żółtej febry.

- Podejrzewałeś ją o kłamstwo? - spytał Fletcher.

Nie wymienił nazwiska, nie musiał, Zach i bez tego wiedział, o kogo pyta. Młoda francuska dama w żałobie wszystkim utkwiała w pamięci.

- Wydaje mi się, że pani de Beauvais potrafi kłamać i w ogóle.

- Nie spodobała ci się. - Fletcher zastrzygł wąsami.

- Nie zauważyłem, aby się starała wzbudzić sympatię.

- To prawda. - Hamish zaśmiał się. - W drodze na rue Dumaine nie odezwała się ani słowem, a potem zatrzasnęła mi drzwi przed nosem, nie pozwalając nawet powiedzieć dobranoc. Niełatwo będzie z tych ludzi wycisnąć cokolwiek, a jak na razie nie mamy nic, od czego moglibyśmy zacząć śledztwo. - Rozejrzał się na boki. - A siostra Santerre'a ma jakieś

podejrzenia?

- Żadnych, a przynajmniej nic nie powiedziała. Ale coś jednak mamy. Popatrz. Chirurg mi to przysłał, uważał, że to może mieć znaczenie.

- Niech mnie kule! - zawołał Hamish, biorąc do ręki przedmiot, który jego przełożony dobył z kieszeni. - De Beauvais miała rację, choć to małe, to jednak wystrzelono to z kuszy. - Mrużąc oczy, obejrzał dokładnie miniaturową strzałę. - A ten grot to z czego?

- Ze srebra.

Fletcher aż podskoczył na krześle.

- Wielkie nieba, czy to ma znaczyć, że ktoś, widząc tego biedaka na cmentarzu, wziął go za wampira?

- Nie sędzę. - Zach potrząsnął głową. - Jeszcze było całkiem jasno. Tak czy owak warto się zastanowić, dlaczego zabójca wybrał takie niezwykle narzędzie zbrodni, kuszę, i to kuszę strzelającą takimi dziwnymi strzałami.

- No cóż... - Hamish w zamyśleniu wygładził wąsy - kusza nie robi hałasu... - Nóż też jest cichy.

- To prawda, ale z nożem trzeba podejść blisko, a poza tym... jakby tu powiedzieć... Nóż jest mniej... elegancki. Wtykać nóż między zębra?

Nieprzyjemna sprawa, nie każdy potrafi się na to zdobyć.

- W porządku, a więc cisza i atak z dystansu. Czyste ręce, działanie z ukrycia, bez szarpaniny. Santerre był wiekowy. - Hamish pokręcił głową. - Nie sędzę, aby chciał i mógł stawiać opór.

- Pewnie masz rację. Gdyby sprawcą był zdrowy i silny mężczyzna, takiej ewentualności nie brałby pod uwagę - odrzekł Zach i przerwał. Na podwórku Willi Tłustawa Murzynka w żółtym turbanie na głowie rozwieszała pranie na sznurze - Zachowi stale doskwierała myśl, że służący, z których

usług teraz korzystał - ci co go opierali, sprząтали jego pokój i zajmowali się tysiącem codziennych czynności - do niedawna byli jeszcze niewolnikami. Czuł się przez to współwinny grzechu, którego nawet ta wojna nie była w stanie zmazać. - Ale - podjął wątek - ktoś słaby albo kaleki, kto liczyłby się z możliwością, że Santerre zacznie walczyć, w każdym przypadku wybrałby kuszę.

- Chcesz przez to powiedzieć, że zabójcą mógł być któryś z pacjentów poczciwego doktora?

- Albo pacjentka. Sprawcą nie musiał być mężczyzna, mogła nim być kobieta.

Hamish drgnął. Jak Zach, patrzył na Murzynkę na podwórzu.

- Ale ta kobieta stała tuż przy nim. - Odwrócił się do przełożonego.
- A przynajmniej tak mówiła - dodał,

- Pani de Beauvais mogłaby równie dobrze użyć noża. - Zach jeszcze raz uważnie spojrzął na strzałę, którą obracał w ręku. Pociski tego typu sporządza się zwykle w całości z metalu. Ten jednak miał drewniany brzeszczot. Nadal widniały na nim ślady krwi. - Jeśli więc sprawca lub sprawczyni zdecydowała się na kuszę, to miała jakiś szczególny po temu powód, o jakim jeszcze nie pomyśleliśmy. - Spojrzął jeszcze raz na strzałę i podał Fletcherowi. - Zobacz, jest tu napis na brzeszczocie - DUFOUR ET FILS. To zapewne nazwa wytwórcy lub sprzedawcy. Postaraj się to sprawdzić. Przez sprzedawcę trafimy, być może, do nabywcy.

- Łatwo nie będzie - mruknął Hamish, biorąc strzałę do ręki.

- Ano nie będzie - przyznał Zach. Myślę, że wdowa mogłaby nam pomóc, gdyby tylko zechciała mówić. - Wstał z fotela. - Była na miejscu i powinna wiedzieć, kto zabił.

- Ale czy zechce mówić?

- Tego nie wiem. - Zach przeciągnął się, nabierając pełne płuca powietrza. Robiło się już gorąco, jeszcze parę godzin i zacznie się przesycony wilgocią skwar. - Ale złożę wizytę na rue Dumaine.

- Nie zastaniesz jej - rzekł Fletcher, przygryzając górną wargę. Zawsze tak robił, gdy się nad czymś głęboko zastanawiał albo gdy coś go nurtowało. Obrócił w rękę strzałę. - Mówiłem ci, że nie odezwała się do mnie słowem przez całą drogę. Jedno tylko powiedziała na pożegnanie, że gdybyś chciał ją rano znaleźć, to będzie w szpitalu.

Rozdział 4

Byla pewna, że się zjawi, mimo to poczuła uścisk w dołku, gdy zobaczyła go na szpitalnym dziedzińcu.

Wiedziała, że nazywa się Zachary Cooper i że zdążył już zyskać niemal równie szeroki i równie ponury rozgłos w mieście, jak jego przełożony, generał Butler. Był jego prawą ręką. Gdy Butlerowi zamarzył się jakiś dom albo chciał uciszyć jakiegoś niepokornego dziennikarza, zlecał sprawę Cooperowi i to on zjawiał się na miejscu z nakazem rekwizycji albo aresztowania. A teraz stał na szpitalnym dziedzińcu i mrużąc oczy od słońca, mierzył wzrokiem stare mury. Wysoki, szczupły, wyraźnie wyższy i smuklejszy od tego rudego Jankesa, który wczoraj odprowadzał ją do domu, i - dopiero teraz rzuciło jej się to w oczy - znacznie młodszy. W pełnym słońcu wyglądał na dwadzieścia sześć, dwadzieścia osiem lat, nie tak jak wczoraj, na cmentarzu. Wczoraj wydawał jej się starszy, ale wcale jej nie

ucieszył jego młody wiek, choć chyba powinien.

Gdy postąpił krok, w słońcu zabłysła wysrebrzona rękojeść jego szabli i Emmanuelle bezwiednie cofnęła się od okna na piętrze, przez które go obserwowała. Nagły ruch musiał zwrócić jego uwagę, bo podniósł głowę i na moment ich spojrzenia spotkały się ze sobą. Miał w oczach coś takiego, że Emmanuelle poczuła się tak, jakby jej dotykał i pętał wzrokiem, a co gorsza, patrzył tak, jakby miał moc czytania w jej myślach.

Dopiero gdy zniknął w podcieniu przed frontonem budynku szpitalnego, zdołała oderwać się od okna i zająć pacjentem, do którego tu przyszła.

- Jak się pan dziś czuje, poruczniku? - spytała, poprawiając prześcieradła.

Młody człowiek w łóżku wyglądał źle. Twarz miał wyszarzałą, oddychał z trudem i płytko, ale zdobył się na uśmiech.

- Myślę już o uczcie, którą sobie urządzę, gdy tylko się stąd wyrwę.

- Oj, coś widzę, że nie smakuje panu kuchnia mademoiselle La Touche, będę musiała jej powiedzieć, że doczekała się w panu niewdzięcznika - skwitowała z uśmiechem, pomagając mu usiąść na łóżku.

- A jak ramię? - spytała rzeczowo.

- Ramię w porządku, tylko prawa ręka nie dawała mi spać. - Zaśmiał się nerwowo, jakby nie był pewien, czy wypada tak żartować. Nie miał prawej ręki.

- No to ją sobie obejrzymy. - Emmanuelle wzięła nożyczki i zaczęła ciąć bandaż, gdy od schodów dobiegł stukot ciężkich kawaleryjskich butów.

Major wspinał się powoli. Już wczoraj zauważyła, że utyka, ale stara się to ukryć.

- Gabinet doktora Santerre'a jest na parterze - rzuciła, nie odwracając głowy. Proszę spytać pielęgniarki, gdyby pan nie mógł znaleźć.

Kroki ustały.

- Ale ja chciałbym porozmawiać z panią.

Nożyczki wypadły jej z rąk. Schyliła się, żeby je podnieść.

- Przykro mi, jestem zajęta.

- Poczekam.

Odór gnijących tkanek wypełnił pokój, gdy usunęła ostatnią warstwę bandażu z kikuta prawej ręki porucznika. W obozie jenieckim nikt się nim nie zajął, do szpitala trafił dopiero po zwolnieniu. Tu zrobiono wszystko co możliwe, żeby uratować mu życie. Amputowano rękę, ale gangreny nie udało się zatrzymać i nie było już nadziei. Młodzieniec gasł w oczach.

- Nie jest chyba dobrze? - Zdrową ręką chwycił Emmanuelle za nadgarstek i spojrzał błagalnie w oczy.

- Niestety - potwierdziła cicho. - Czy chciałby pan do kogoś napisać?

- Tak - szepnął.

- Zaraz przyślę pannę La Touche, to jej pan podyktuje.

Młody człowiek opadł na poduszki i zamknął oczy. Emmanuelle zajęła się raną, czując na sobie wzrok majora. Nic nie mówił, stał pod ścianą, z rękami założonymi na piersiach, i tylko patrzył.

Dopiero gdy skończyła i ruszyła do drzwi, zastąpił jej drogę.

- Dlaczego pani się tym zajmuje? - spytał.

- O co panu chodzi? - Wyszła na korytarz.

- Dlaczego pani opatruje rannego? - Ruszył za nią.

- A co? - Przystanąła. - Uważa pan, że nie robię tego dobrze?

- Nie w tym rzecz. Doskonale wiem, czym zwykle zajmują się

kobiety w szpitalach, na pewno nie opatrywaniem ran.

Dawno już powinna oswoić się z uprzedzeniami, wedle których kobietom nie przystoi parać się medycyną, ale nie potrafiła. Jedni uważali, że są one zbyt delikatnymi istotami, zbyt wrażliwymi jak na dramaty i okropności praktyk medycznych. Inni znów głosili pogląd, że z samej swojej natury nie są w stanie ani zgłębić, ani przyswoić sobie arkanów sztuki medycznej, a już na pewno nie potrafią sprostać wymaganiom ciężkich studiów w tym zakresie. Jedni i drudzy głosili też, że kobietom, zwłaszcza damom, po prostu nie wypada podejmować czynności, które ze swojej istoty wymagają dotykania męskich ciał.

- Widzę, że nigdy pan nie słyszał o Florence Nightingale - rzuciła surowym tonem, gdy zaczęli schodzić na parter. - Ani o siostrach miłosierdzia. Może pan wierzyć lub nie, ale są miejsca, jak choćby Paryż, a nawet Filadelfia, gdzie kobiety dopuszczają się do profesji lekarza. - Spojrzała na niego z wyższością. - Szok?

Nie wyglądał na zszokowanego, przeciwnie - w jego oczach zapaliły się błyski autentycznego rozbawienia. Jak na Amerykanina, a tym bardziej Jankesa, miał wyjątkowo ciemne oczy, niemal czarne, osadzone głęboko pod wspaniale zarysowanymi ciemnymi brwiami. I te oczy, jak również wysokie kości policzkowe, mocna szczęka i ciemna karnacja kojarzyły jej się z... kastylijskim rycerzem albo... piratem, a w każdym razie z daleką Hiszpanią.

- A i owszem - odparł z półuśmiechem, pomijając prowokację zawartą w ostatnim pytaniu. - Słyszałem o Florence Nightingale, ale nie jesteśmy na Krymie ani w Paryżu, ani nawet w Filadelfii i z tego, co wiem, także z własnego doświadczenia, wolontariuszki w szpitalach co najwyżej pomagają pacjentom pisać listy, rozdają leki wedle wskazówek lekarza, ale

nigdy nie opatrują ran.

Emmanuelle przystanęła, w jednej ręce trzymała tacę z bandażami, lekami i nożyczkami, drugą chwyciła się za poręcz. Zastanawiała się nad odpowiedzią i nad jego reakcją, gdyby się dowiedział, że to ona, osobiście, własnymi rękami, amputowała ramię nieszczęsnego porucznika. To prawda, że nie miała dyplomu lekarskiego -jako kobieta nie mogła go przecież uzyskać -ale od śmierci Philippe'a coraz częściej stawała przy stole operacyjnym. Henri Santerre był doskonałym i bardzo utalentowanym chirurgiem, lecz jego podeszły wiek dawał o sobie znać i nie miał już tak zręcznych rąk jak kiedyś i ona - Emmanuelle - była jego rękami.

- Porucznik czuł się źle - odpowiedziała z wymuszonym spokojem.

- Trzeba było zmienić opatrunek, a nikt inny nie mógł tego zrobić.

- Czy mam rozumieć, że Henri Santerre pracował sam? Nie ,ma innych lekarzy w tym szpitalu.

- Jest doktor Yardley, ale... jak by to panu powiedzieć... rzadko kiedy wstaje o świcie.

- Yardley?

- Doktor Charles Yardley. - Zeszli na parter i Emmanuelle nagle przystanęła. - Czy nie powinien pan notować? - spytała z nutą szyderstwa w głosie.

- Od tego jest kapitan Fletcher - odparł w podobnym tonie.

Emmanuelle obróciła się na pięcie i niemal biegiem ruszyła korytarzem.

Choć utykał, dotrzymał jej kroku.

- Elise Santerre powiedziała mi, że pani ojciec też był lekarzem.

- Był - odrzekła niechętnie. Zaniepokoiło ją, że rozmawiał z Elise o niej. Stawia pytania, więc otrzymuje odpowiedzi, a to znaczy, że zbiera informacje i dowiaduje się, dowiaduje coraz więcej... rzuciła tacę z

brudnymi bandażami na długą półkę zamontowaną na ścianie między gabinetem a drzwiami wiodącymi na wewnętrzny dziedziniec, zamknięty z drugiej strony rzędem pomieszczeń pomocniczych.

- Mówiła też, że także pani mąż był lekarzem. Stała w miejscu i spojrzała mu prosto w oczy.

- A opowiedziała panu, jak zginął?

- Owszem - odparł.

Był wysoki; stojąc, górował nad nią. Miała wrażenie, że ją przytłacza, a jej zaczyna brakować powietrza. - Niech mi pani opowie o doktorze Santerze.

Obróciła się na pięcie, nacisnęła klamkę najbliższych drzwi.

- To jego gabinet. Niech pan sobie obejrzy.

Nawet nie spojrzał w kierunku otwartych drzwi. Patrzył na nią tak samo jak przed chwilą.

- Gdy pytałem panią Elise Santerre, czy ma jakieś podejrzenia co do zabójcy, powiedziała, żebym spytał panią. Jak pani myśli, dlaczego? Czy Santerre miał wrogów?

Wrogów? Czy miał wrogów?' - powtórzyła w myślach.

- Każdy ma jakichś wrogów.

- Ale nie każdy pada ofiarą zabójstwa.

Minęła go i weszła do gabinetu, niewielkiego pomieszczenia pełnego oprawnych w skórę ksiąg, stłoczonych na regałach pod ścianami. Między tomami, wedle sobie tylko znanego porządku, Henri Santerre powtykał luźne kartki papieru. Przy oknie wychodzącym na wewnętrzny dziedziniec stało wiekowe mahoniowe biurko. Równie wiekowe i mocno już zużyte były dwa fotele, kryte barwioną na zielono skórą, stojące naprzeciw siebie po obu stronach biurka. W przeciwieństwie do lśniących czystością, pełnych

powietrza pokoiów dla chorych, tu było duszno i gęsto od kurzu. Widać było, że wszystkie fundusze i całą energię stary doktor poświęcał pacjentom, nie dbając o własne wygodę.

Emmanuelle podeszła do okna, wyjrzała na dziedziniec, na którym chłopczyk z blond czupryną uganiał się za kotem, i jak to matka pomyślała najpierw z troską, że skazała syna na zbyt długie czekanie.

- Więc? - dobiegło ją niecierpliwie ponaglenie Jankesa. Oderwała się od okna spojrzała na majora.

- Henri był bez reszty oddany swojej pracy - zaczęła, starannie dobierając słowa. - Miał zdecydowane poglądy i bywał aż do bólu szczery, co przysparzało mu nieprzyjaciół.

- I to mogło być powodem zabójstwa? Sprawy zawodowe?

- Mamy w tym mieście dwie szkoły medyczne i dwa towarzystwa lekarskie, francuskie i amerykańskie. Rywalizacja przybiera czasami bardzo ostre formy.

Zach przeszedł się wzdłuż pól, rzucając okiem na zgromadzone na nich tomy.

- A ja myślałem, że wszyscy jesteśmy Amerykanami - powiedział po chwili.

- Oczywiście, ale to nie wyklucza różnic i sporów. Medycy wywodzący się z Francji bądź Hiszpanii uważają, że nie należy walczyć z naturą. Amerykanie z kolei uprawiają tak zwaną medycynę heroiczną. Faszują organizm kalomelem i chininą, puszczają krew, dają środki na przeczyszczenie i na poty, aż pacjent traci przytomność. Doktor Santerre powiadał, że chory zdrowieje mimo, a nie za sprawą zalecanej mu kuracji. Tych, co myślą inaczej, nie wahał się nazywać półgłówkami.

Nie potrafiła niczego wyczytać z twarzy majora, który stał oparty o

półkę z książkami.

- Proszę mi powiedzieć o jego pacjentach. Może któryś z nich, jakiś ranny żołnierz, miał żal o amputowaną rękę albo nogę?

Też o tym myślała, ale wzgardliwy ton majora sprawił, że aż zaczerwieniła się ze złości.

- Henri Santerre był znakomitym lekarzem i zdolnym chirurgiem.

- Nie wykluczam, tylko z własnego doświadczenia wiem, że chirurdzy zbyt ochoczo sięgają po lancet i piłę.

Zarzut był tyle powszechny, co niesprawiedliwy. Ludzie po prostu nie rozumieją, jak trudno jest zapobiec gangrenie.

- Jeśli amputacja jest konieczna, a nie zrobi się jej na czas, pacjent nie ma szans na przeżycie - powiedziała rzeczowo.

- Tak pani mówi? A ja jednak przeżyłem.

- Miał pan szczęście, majorze. Cmentarze pełne są takich, co odpędzają chirurgów, grożąc im, że ich wykastrują, jeśli tylko sięgną po piłę.

Zaskoczyła ją jego reakcja; zaśmiał się tak głośno, tak serdecznie, z takim rozbawieniem i tak wdzięcznie, że aż się speszyła.

- Skąd pani wiedziała?

- Bo w przeciwnym wypadku nie miałby pan nogi - odparła niemal przyjaźnie, ale opanowała się i zmieniła ton. - Ma pan rację, rzeczywiście zdarza się, że pacjent po amputacji nosi w sobie żal do chirurga, tak samo jak bliscy tych, których nie daje się uratować. Jeśli pan sobie życzy, mogę sporządzić listę pacjentów doktora Santerre'a z ostatnich kilku lat.



Lista byłaby wystarczająco obszerna, aby nie miał już czasu na nic innego; studiowałby ją i sprawdzał aż do powrotu konfederatów.

- Przyślę kogoś, żeby się tym zajął - odparł z uśmiechem niepozostawiającym żadnych wątpliwości, że przejrzał jej grę. -A teraz proszę mi powiedzieć, kogo naprawdę pani podejrzewa.

Spryciarz! Nie wolno go lekceważyć, trzeba się pilnować.

- Niech mi pani powie, kto wiedział o wyprawie na cmentarz.

- Proszę pana, lista osób, które wiedzą o naszych dorocznych wyprawach na cmentarz, byłaby równie długa, jak lista pacjentów.

- Rozumiem. Spróbujmy inaczej. Kto przejmie szpital? Kto będzie właścicielem? Pani? Elise Santerre? A może doktor Yardley?

Tego właśnie pytania się bała.

- Właścicielką jestem ja - odparła, patrząc mu w oczy. -Doktor Yardley ma swoją własną praktykę, a nam tylko pomaga.

- Rozumiem.

- Nie sędzę. Jeśli wydaje się panu, że szpital to kopalnia złota, to wielce się pan myli. Bardzo niewielu pacjentów płaci za pobyt i leczenie. Mamy tylko jednego dyplomowanego lekarza, a długów... szkoda mówić. Po kontrybucji, którą nałożył pański generał na wszystkich, którzy udzielali poparcia Konfederacji, musieliśmy wziąć kredyt pod zastaw budynku. Będzie cud, jeśli uda mi się utrzymać szpital przez miesiąc.

- A nie lepiej zamknąć od razu? Po co się męczyć?

- Proszę pana! Ludzie rozpaczliwie potrzebują pomocy. Henri Santerre był moim przyjacielem, a ten szpital to jego marzenie i nie pozwolę, aby szczył. Będę walczyć. Nie pozwolę aby szpital skończył tak

jak Henri.

I znów w jego oczach zapaliły się iskry.

- To ciekawe, co pani mówi. Nie sądzi pani, że ten, kto zabił doktora Santerre'a, chciał doprowadzić do zamknięcia szpitala?

- Nie wydaje mi się, monsieur. Wojna wszystkim daje się we znaki... wojna i okupacja. Szpital to żaden interes, nikogo w mieście nie stać już na leczenie.

- Trzeba było o tym myśleć, zanim zdecydowaliście się przyłączyć do Konfederacji - odrzekł hardo, patrząc jej prosto w oczy.

Wytrzymała spojrzenie. Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem pełnym wrogości, ale nie tylko, bo w ich spojrzeniach było jeszcze coś, coś niebezpiecznego, coś niewypowiedzianego, niepokojącego, ale też coś bardzo prawdziwego.

I nie wiadomo, jak długo trwałby ów milczący pojedynek, gdyby go nie przerwał trzask otwieranych z nagłą drzwi.

- Emmanuelle? *Oui est* ta? To straszne, co się stało z doktorem Santerre'em. Czy to prawda, że Jankesi.. - W drzwiach stanęła młoda elegancka kobieta z burzą blond włosów. Szczupła, chłopięca niemal, zamilkła na widok majora.

- Mademoiselle Claire La Touche - dopełniła formalności Emmanuelle. - Wolontariuszka, pracuje z nami. A teraz zechce mi pan wybaczyć - wzięła rękawiczki i torebkę - ale mam inne zajęcia. Syn na mnie czeka. Obiecałam mu, że pójdziemy do dziadków. Gdyby miał pan jeszcze jakieś pytania, panna La Touche postara się panu pomoc.

- Oczywiście, proszę się mną nie krępować, możemy przecież porozmawiać później.

Drgnęła, zdjeta lękiem. Nie chciała żadnych rozmów i w ogóle

wolałaby go już nigdy nie oglądać. Mechanicznie, nie myśląc, zawiązała wstążki kapelusza pod brodą.

- W wolnej chwili zajrzyj do porucznika Rouanta - zwróciła się do Claire po francusku. - Chciałby podyktować list.

- A jak on się czuje? - spytała Claire z troską.

- Umiera.

- *Mon Dieu.*

Emmanuelle była już w drzwiach, wychodziła na dziedziniec, gdy zatrzymał ją głos majora.

- Jeszcze jedno, proszę pani?

- Tak?

- Skąd pani wiedziała, że do Santerre'a strzelano z kuszy?

Spytał jakby od niechcenia, ale Emmanuelle doskonale wiedziała, że specjalnie odczekał do ostatniej chwili, żeby ją zaskoczyć, sprawdzić, jak zareaguje. Był naprawdę sprytny, sprytny i inteligentny. Serce zabiło jej mocniej, poczuła suchość w gardle, ale się opanowała.

- Bo nie wydaje mi się, aby strzelano z czegoś innego - odparła obojętnie.

- A wiedziała pani, że strzała miała srebrny grot? Krople zimnego potu spłynęły jej po plecach. Milczała.

- Wiedziała pani? - powtórzył pytanie, mrużąc oczy.

- Nie - wykrztusiła, siląc się na spokój. - Niby skąd miałabym wiedzieć? Srebrny grot, powiada pan. To bardzo... dziwne - dodała, odwracając wzrok. Patrzyła na Dominika, który znalazł sobie kawałek postronka i ciągnął go za sobą, ku wielkiej radości kota. - Wybacz pan, ale bardzo się spieszę. Syn czeka. - Pchnęła przeszkłone drzwi i nie czekając na odpowiedź, wyszła na dziedziniec. Boże nie pozwól... kołatało jej w

sercu.

- *Maman!* - Dominik zostawił kota i podbiegł do niej radośnie, jakby chciał się w nią wtulić, ale miał jedenaście lat, dorównywał jej wzrostem i nie był już małym dzieckiem. Zatrzymał się w pół kroku.

- Jesteś wreszcie. - Uśmiechnął się. - A już myślałem, że zapomniałaś o mnie i dziadkach.

- Jakże mogłabym zapomnieć? - Przyglądała mu czuprynę. Był tak podobny do Philippe'a, że aż nie do wiary. - Idziemy, tylko po drodze musimy wstąpić do domu.

- Musimy? - Wysforował się naprzód. - Już jesteśmy spóźnieni. Babcia znów będzie się gniewać.

- Tylko na chwilkę. Muszę coś sprawdzić.

- Co takiego?

- Nieważne.

- Ale powiedz - domagał się. Zaśmiała się i potrząsnęła głową.

- Nic takiego.

Męczył ją przez całą drogę do domu, lecz nie ustąpiła. Nie powiedziała i nigdy mu nie powie.

Rozdział 5

Zupełnie do niej niepodobny, myślał Zach, odprowadzając ich wzrokiem. Blondynek, wysoki jak na swój wiek, za parę lat wystrzeli w górę tak, że przerośnie ją o głowę albo i więcej. Twarz też miał inną i oczy - niebieskie, rozmarzone.

- Dominik jest tak podobny do ojca, że aż mnie wzrusza - odezwała się panna Claire La Touche. Mówiła ze śpiewnym francuskim akcentem.

Zach zdziwił się, że ta młoda kobieta wcale nie patrzy za odchodzącą przyjaciółką i jej synem, lecz spogląda na niego.

Zdecydowanie młodsza od wyniosłej wdowy, liczyła co najwyżej osiemnaście wiosen. Wysoka, szczupła, niemal chłopięca, jeśli pominąć wydatne usta i sposób, w jaki mierzyła wzrokiem mężczyznę.

- Znała pana Philippe'a de Beauvais?

- Naturalnie. Jesteśmy, to znaczy - poprawiła się, a w jej oczach pojawił się cień - byliśmy kuzynami. Moja matka jest de Beauvais z domu.

Nie zdziwił się. Był tu od niedawna, ale zdążył się już zorientować, że w tym mieście, jak w małym którymś, liczy się rodzina i nazwisko, niekoniecznie zresztą nazwisko i rodzina ojca, bo także - a może zwłaszcza - matki. Miał nieodparte wrażenie, że to miasto i ci ludzie, wbrew wszelkim pozorom żyją w matriarchacie.

- I dlatego została pani wolontariuszką w tym szpitalu?

- Ależ nie. - Zaśmiała się, układając usta we wdzięczny grymas. - To wina Antoine'a. - Powiedziała „wina”, a nie „zasługa” i zrobiła to z rozmysłem.

- Antoine'a?

- Mojego brata. Zaraz na początku wojny zabrał mnie na obiad z Philippe'ami. Emmanuelle opowiadała o rannych żołnierzach, których przywieziono pociągiem, a ja, bezmyślnie chyba, powiedziałam coś takiego, że chciałabym coś robić, a nie tylko siedzieć w domu nad robótką. A ona wtedy: „Nic przecież nie stoi na przeszkodzie”.

- I tak przez jedno nieprzemyślane słowo została pani wolontariuszką?

- Można tak powiedzieć. - Znow roześmiała się, podeszła do drzwi i wyszła na wewnętrzny dziedziniec.

Poszedł za nią. W kuchni na zapleczu zamieniła kilka słów z kucharką Murzynką, po czym wzięła tacę, szklanki i dzban z lemoniadą. Gdy patrzył, jak się krząta, pomyślał o Rachel. Miały ze sobą coś wspólnego i wcale nie chodziło o wygląd, o blond włosy ani o sposób bycia - o pewność siebie, jaką daje bogactwo i pochodzenie. Po raz drugi w ciągu krótkich dwudziestu czterech godzin wspomniął Rachel i gdy zdał sobie z tego sprawę, zrobiło mu się nieswojo. Rachel zginęła przecież przez niego.

- Pracuje pani sama, czy są jeszcze inne wolontariuszki w tym szpitalu?

- Nie ma - odparła. Ciężką tacę niosła bez widocznego wysiłku; musiała być znacznie silniejsza, niż na to wyglądała. -Wie pan, większość ludzi uważa, że młodym damom nie przystoi zajmować się takimi sprawami. Szpital to okropne miejsce -dodała, jakby wyrażając nie swoje, lecz cudze zdanie.

Wziął od niej tacę.

- A rodzice? Co mówią?

Otworzyła drzwi, żeby go przepuścić.

- No cóż, mama ma spore wątpliwości.
- Których, jak widzę, pani nie podziela - wtrącił.
- A powinnam? Nie było, bo nie mogło być, żadnego porównania między tym szpitalem a lazaretem w dusznych namiotach, wystawionych na zapleczu frontu w Tennessee, w którym Zachowi przyszło spędzić wiele długich tygodni. Tu było czysto, wszystko błyszczało, nie brakowało powietrza, a jednak wzdrygnął się przed wejściem. Ten sam zapach, ta sama woń cierpienia, umierania i strachu! Każdy szpital miał taki sam zapach. Nie znosił szpitali, nienawidził tej woni, tego lęku, kryjącego się w każdym kącie.

Oddał tacę Claire.

- Niech mi pani opowie o Henrim Santerze.
- A cóż ja mogę powiedzieć? - Wzruszyła ramionami. - Był bardzo stary.

I zapewne nie zwracał na nią uwagi, pomyślał Zach.

- I to wszystko?

Znów wzruszyła ramionami.

- No cóż, jego nazwisko wiele znaczyło. Santerre'owie to szacowna rodzina- odparła tonem mającym wskazywać, że rodzina La Touche też ma powody do dumy.

Rodzina, *la famille*, powtórzył Zach w myślach, przywołując obraz białej krypty, z wykutym nazwiskiem MARET, przy której Emmanuelle de Beauvais odmawiała coroczną modlitwę. Na płycie - zapamiętał - widniały tylko dwa imiona; była wyjątkowo skromna, bez rzeźb i ozdób jak inne. Ciekawe, jak w tym mieście, w którym tak ceni się rodzinę, plasowali się Maretowie.

Stał w drzwiach, oparty o framugę, patrząc, jak Claire krząta się

między łózkami, rozdając lemoniadę, poprawiając pościel, zamieniając po kilka słów z chorymi. Czynności wymagające szczególnego wysiłku, jak zmiana pościeli, mycie pacjentów, wynoszenie basenów, należały do stałego personelu - pielęgniarzy, głównie zresztą Murzynów. Ale i tak wolontariuszki nie miały łatwego zadania. Zach aż w gardle ścisnęło, gdy patrzył, jak Claire La Touche pochyła się nad chorymi, jak podaje napoje, z jaką troską odnosi się do wszystkich. Szeptła właśnie coś do młodego pacjenta - nie mógł mieć więcej jak szesnaście lat - pogładziła go policzku, a gdy się odwróciła, żeby przejść do następnego, Zach dostrzegł łzy w jej oczach. Jeśli nawet zaczęła przychodzić tu za sprawą przypadku - niebacznie wypowiedzianego słowa - to jednak nie powiedziała całej prawdy. Trzeba naprawdę dużo samozaparcia i serca, aby dzień po dniu, tydzień po tygodniu, zajmować się rannymi.

Kobiety Południa, szczególny gatunek, myślał Zach, obserwując krzątanicę Claire. Z pozoru delikatne, zwiewne, niczym kwieciste pnącza oplatające skałę, a w istocie jak skała twarde i mocne, gotowe stawić czoło wszystkim i wszystkiemu. Ale Emmanuelle była inna, nie ukrywała niczego, ani siły, ani talentu, ani inteligencji, nie stwarzała fałszywych pozorów, nie kryła się za fasadą niby to słabości. Z takim usposobieniem i charakterem, w takim otoczeniu nie mogło jej być łatwo.

- Wzruszające widowisko, nieprawdaż - wyrwała go z zamyślenia uwaga wypowiedziana niezwykle jak na to miejsce angielszczyzną, wolną od zaśpiewu Południa i gardłowych dźwięków Północy, angielszczyzną Eton, Oksfordu i Ascot, językiem bywalców dworu św. Jakuba, lordów, monarchów i dworzan.

- Dziewica niosąca pomoc bohaterom wojny.

Zach obrócił się ciekawie. Mężczyzna stojący w otwartych drzwiach,

przez które napływało do wnętrza wilgotne, syte tropikalnym skwarem powietrze, wyglądał na trzydzieści kilka lat. Szczupły, średniego wzrostu, gestykulował równie kwiecście, jak mówił.

- Doktor Yardley, jak przypuszczam?

- Widzę, że panowie Jankesi postanowili rozwikłać tajemnicę naszej małej zbrodni. - Przybysz zdjął kapelusz i przetarł dłonią spocone czoło. Proste, długie blond włosy okalały oblicze obciągnięte tak delikatną, niemal przezroczystą skórą, że ledwie skrywała kości czaszki. Patrzył na Zacha brązowymi przekrwionymi oczami. Ubiegłej nocy spał, widać, niewiele. - Bez trzech kaw rano nie nadaję się do życia, do tej pory wypilem tylko dwie - oznajmił.

- A pacjenci?

- Ach. - Doktor Yardley zaśmiał się. - O ile wiem, to nasza znakomita madame de Beauvais już zrobiła obchód. Byłaby wspaniałym lekarzem, gdyby urodziła się mężczyzną.

Usiedli przy kutym w żelazie stoliku w cieniu platanu, zdobiącego szpitalny dziedziniec, zaraz też pojawiły się filiżanki gorącej, aromatycznej kawy z lekką puszystą śmietanką. Wokół truchtały kury, wyszukując między kamiennymi płytami podwórka jadalne drobiny.

- Madame de Beauvais twierdzi - zaczął Zach - że szpital chyli się ku upadkowi i lada dzień trzeba będzie go zamknąć?

- Niestety. - Anglik wypił łyk kawy i skrzywił się, jakby napój nie bardzo mu zasmakował. - Problem w tym, że jest tu zbyt wielu darmowych pacjentów. Santerre był hojny pod każdym względem. Nikomu nie skąpił, siebie też nie oszczędzał, a Emmanuelle jest taka sama.

- Był dobrym człowiekiem.

- Bez wątplenia, jeśli przyjmujemy, że dobry to ten, który wszystko

rozdaje hojną ręką. Ale był też irytujący, dumny, uparty i nie zmieniał poglądów.

- A pańskim zdaniem, dlaczego go zamordowano? Yardley wsparł się na krześle.

- Wydaje mi się, majorze, że już usłyszał pan odpowiedź na to pytanie - odrzekł z nutą drwiny w głosie. - Zgodzi się pan, że dumni, irytujący osobnicy o zdecydowanych poglądach miewają na ogół więcej wrogów niż ktokolwiek inny.

- A czy ostatnio doktor Santerre z kimś się szczególnie kłócił?

- Ostatnio? To znaczy kiedy? W ciągu ostatnich dwóch godzin? - Anglik zaśmiał się. Od śmierci Santerre'a minęło godzin szesnaście. - Jeśli tak, to nic o tym nie wiem - dodał kpiąco.

- A pan? Jak się panu z nim pracowało?

Yardley z impetem odstawił filiżankę na stół, pochylił się w stronę Zacha i pogroził mu palcem.

- Mam nadzieję, że nie jestem podejrzany? A zresztą cały wczorajszy wieczór spędziłem w oddanym mi towarzystwie.

- Oddane towarzystwo ma to do siebie, że kryje się nawzajem.

Yardley znów zaśmiał się nic nie mówiącym uśmiechem.

- To racja, majorze, ale jakże to wygodne.

Zza muru dobiegł turkot wózka i śpiewne wołanie ulicznego sprzedawcy, zachwalającego melony.

- A dlaczego wyjechał pan z Anglii? - spytał Zach.

- Nie podobał mi się klimat. - Doktor znów wyszczerzył zęby w obojętnym uśmiechu.

- A ten się panu podoba? - Major spojrział wymownie na gęstwiny zieleni pod murem i butwiejące liście pod drzewami.

Anglik znów się roześmiał, tym razem z wyrazem niekłamanego rozbawienia.

- Urodziłem się w Indiach. Skwar mi nie przeszkadza.
- Ale dziwne, że trafił pan tu do francuskiego szpitala.
- Widzę, że rozmawiał pan już z naszą nieocenioną madame de Beauvais. Jej zdaniem, w całej medycynie liczy się tylko Paryż. Kto się nie kształcił we Francji, ten nie jest prawdziwym lekarzem. Na szczęście daleki jestem od stosowania jankeskich metod w leczeniu i to mnie ratuje w jej oczach, a między nami mówiąc, Santerre nie był aż tak radykalny w kwestiach leczenia jak ona. Wedle niej, związki rtęci to trucizna, a co do chorób, to uważa, że sprowadzają je miniaturowe organizmy, tak małe, że w ogóle ich nie widać.

- Animalkule - dodał Zach.
- Wielkie nieba! Słyszał pan o tym?
- Jestem szefem żandarmerii i do moich obowiązków należy dbałość o bezpieczeństwo miasta, także i w tym sensie, żeby nie dopuścić do wybuchu epidemii żółtej febry.

- I sądzi pan, że uda się panu to osiągnąć, czyszcząc rynsztoki i wywożąc nieczystości? Nie mam wam tego za złe, żeby była jasność. Co prawda miasto podupało, odkąd złapaliście je za gardło, ale muszę przyznać, że pachnie znacznie lepiej niż kiedyś.

- A epidemia nie wybuchła - dodał Zach z uśmiechem zwycięzcy.
- Przypadek, zbieg okoliczności, łut szczęścia. - Yardley machnął ręką. - Ale i tak śmiertelność w tym mieście sięga dwudziestu procent rocznie. Jak pan myśli, ilu pańskich chłopców w granatowych mundurach przeżyłoby epidemię żółtej febry?

- W odróżnieniu od niektórych mam nadzieję, że się tego nie

dowiem.

Doktor zaśmiał się rozbawiony. Było tajemnicą poliszynela, że mieszkańcy Nowego Orleanu modlili się o epidemię. Żółta febra zwykle zbierała więcej ofiar wśród przybyszów niż miejscowych, liczyli więc, że za jej sprawą pozbędą się okupantów, a przynajmniej ucieszą oczy ich cierpieniami.

Zach skupił wzrok na filiżance i przez chwilę można było mieć wrażenie, że poza jej zawartością nic go nie obchodzi.

- A niech mi pan powie, jak to się stało, że mając wybór między wieloma innymi placówkami, jakie tu funkcjonowały, trafił pan właśnie tutaj, do tego szpitala?

- Przez Philippe'a. Philippe, majorze... - zawiesił głos, jakby się nad czymś zastanawiał - był moim przyjacielem.

- A Henri Santerre?

- Kolegą, kolegą po fachu, nie byliśmy przyjaciółmi. Szczerze panu powiem, że nie mam najmniejszego pojęcia, kto i dlaczego na niego czyhał. Jeśli Santerre miał jakieś tajemnice, to ja o nich nie wiem.

- A gdyby pan wiedział - Zach wstał od stolika - to i tak by mi pan nie powiedział. Dobrze zgaduję?

- Chyba każdy ma prawo do jakichś tajemnic, prawda?

- Nie, jeśli za tajemnicą kryje się morderstwo.

Major uznał rozmowę za zakończoną, wstał i odszedł od stolika, ale Yardley go zatrzymał.

- A niech mi pan jeszcze powie, panie komendancie żandarmerii, dlaczego ta sprawa tak bardzo zaległa panu na sercu? W rzeczy samej, co pana obchodzi, że jakiś stary miejscowy doktor trafił do grobu rok czy dwa za wcześnie?

Zach odczekał chwilę, zanim się obrócił.

- Sprawa wydarzyła się na moim, że tak powiem, dyżurze, dlatego mnie obchodzi.

- Rozumiem, ale to nie wyjaśnia jeszcze, dlaczego tak bardzo wziął ją pan sobie do serca. - Yardley znów się zaśmiał.

Zach zmilczał. Jego rozmówca i tak nie spodziewał się odpowiedzi. Gdy major zagłębiał się w szpitalną bramę, Anglik zawołał za nim:

- Wielka szkoda, że nie dane panu było poznać Santerre'a za życia!
Znaleźlibyście wspólny język!



Emmanuelle zatrzymała się w drzwiach pokoju, który przez ostatnie dziesięć lat służył jej mężowi za sypialnię.

Mieściła się w skrzydle domu zwanym z francuska garsonierą, a ta zajmowała pierwsze i drugie piętro nad kuchnią, która tu -w domu przy rue Dumaine - nie okupowała oficyny, jak w innych nowoorleańskich rezydencjach, lecz właśnie pomieszczenia w skrzydle. Od pozostałej części domu garsonierę oddzielała klatka schodowa. Pomieszczenia te wydzielano na potrzeby męskich potomków. Gdy chłopiec kończył trzynaście, czternaście lat, przeprowadzano go tu z pokoju dzieciennego, aby miał więcej swobody i mógł wychodzić i wracać, kiedy chce.

Przyjaciele i znajomi rodziny uważali, że Philippe zatrzymał sobie sypialnię w garsonierze z troski o żonę, że kładł się tu, gdy wracał po nocy od nagłych przypadków, żeby jej nie budzić. Prawda była inna. Philippe sypiał tu stale, jeśli już nocował w domu.

Po jego śmierci Emmanuelle zaszła tu tylko raz. Razem z Rose

spakowały rzeczy, które chciała zachować dla Dominika, cała reszta została tak jak za życia Philippe'a. I oto stała teraz w drzwiach, czując się jak intruz, zagląający do cudzej kryjówki pod nieobecność właściciela. Wszystko tu wyglądało tak, jakby Philippe miał za chwilę wrócić. Szpicruta leżała dokładnie w tym samym miejscu na biurku, gdzie ją cisnął, wracając z przejażdżki, zaraz obok fajki i kapciucha, rozsiewającego jakże znajome wonie. Wrażenie obecności Philippe'a było tak nieodparte, że Emmanuelle czuła wyrzuty sumienia, iż śmie nachodzić jego sanktuarium. Lękała się nie tego, co może tu znaleźć, bała się raczej, że nie znajdzie tego, po co przyszła.

Wyrzucała sobie, że nie zaszła tu od razu, wczorajszego wieczoru. Serce jej biło, a w dołku czuła uścisk lęku. Wiedziała przecież, wiedziała od początku, tylko nie miała odwagi się przyznać, nawet sama przed sobą. I odkładała tę chwilę, jakby w ten sposób można było zaprzeczyć prawdzie.

Musiała się zmusić, żeby wejść do środka, przejść tych kilka kroków do komody, gdzie Philippe przechowywał najcenniejsze pamiątki i przedmioty, do których był szczególnie przywiązany. Dalej poszło już lepiej. Przekręciła klucz w zamku. Zaskrzypiały nieoliwione od lat zawiasy, dobywając z wnętrza zapach haszyszu, olejku wetiwerowego, kurzu i jeszcze czegoś, czego nie potrafiła określić.

Nie szukała na ślepo. Wiedziała, po co tu przyszła, i nie miała wątpliwości, że jeśli gdziekolwiek to znajdzie, to tu. Widziała to bowiem na dolnej półce, gdy była tu razem z Rose - skrzyneczkę z palonego dębu, długą na pół metra, z mosiężnymi okuciami, kryjącą w sobie zestaw przedmiotów i środków do walki z wampirami. A więc flakon święconej wody, drewniany krzyż, osikowy kołek i - właśnie - miniaturową kuszę z kompletem czterech małych strzał, opatrzonych srebrnymi grotami. Philippe

bardzo sobie cenił tę skrzynkę i jej zawartość, a dostał ją na swoje ostatnie - jak się miało okazać - urodziny od brata Claire, Antoine'a La Touche.

Ale skrzynki nie było. Tylko prostokąt wolny od kurzu znaczył miejsce, gdzie zawsze stała.

Rozdział 6

Serce podeszło jej do gardła, osunęła się na podłogę. Zdjął ją lęk tak ogromny, że nie była w stanie zebrać myśli. Choć wokół panowała przejmująca cisza, słuch rozsadzało jej głucho dudnienie, usta wyschły na papier i przez dobrą chwilę nie mogła nabrać powietrza.

Dominik pewnie był już u dziadków - wysłała go samego, obiecując, że też zaraz przyjdzie. Tymczasem leżała na podłodze jak sparaliżowana.

Ocknęła się, gdy na korytarzu rozległy się spieszne kroki. Zaskrzypiały drzwi i w pokoju zrobiło się ciemno. Rose - ona to bowiem była - przysłoniła swoją sylwetką jedyne okno. Emmanuelle zerwała się na nogi.

- Nie ma - szepnęła.

- Wiem. Sprawdzalam, gdy tylko dowiedziałam się, czym ugodzono doktora Santerre'a.

Emmanuelle nawet nie spytała, skąd Rose dowiedziała się o małej drewnianej strzale ze srebrnym grotem. Nowy Orlean liczył niemal 170 tysięcy mieszkańców, ale pod pewnymi względami pozostał małym miasteczkiem, w którym wszyscy o wszystkim wiedzą, a wieści rozchodzą

się jak błyskawice.

- Jak myślisz, ile osób mogło wiedzieć o tej skrzynce?-zapytała Rose.

Emmanuelle odsunęła z czoła kosmyk włosów. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jest mokra od potu.

- Philippe traktował to jako niezwykłą ciekawostkę, pysznił się, że to ma, i z dumą pokazywał niemal każdemu.

A przez to, dodała w myślach, wszyscy wiedzieli, gdzie to trzyma.

Zapadła cisza. Obie kobiety patrzyły na siebie w niemym przerażeniu. Z wolna uświadamiały sobie cały ogrom nieszczęścia. Ten, kto zasadził się na Emmanuelle i Henriego Santerre'a na cmentarzu, wcześniej zakradł się tu, a że wiedział, czego szuka, musiał należeć do kręgu znajomych osób, które bywały w tym domu.

- Jakby tego było mało - szepnęła Rose, gdy Emmanuelle zatrzasnęła drzwiczki komody - to masz jeszcze na głowie tego Jankesa. Stoi na ulicy i gapi się na nasz dom, jakby wiedział, że coś ukrywamy.

Emmanuelle bez słowa pobiegła do sypialni Dominika, stamtąd do siebie i kryjąc się za zasłonami z ciężkiego zielonego aksamitu, wyjrzała na ulicę.

Zachary Cooper stał wsparty o latarnię, ręce założył na piersiach i łypał spod kapelusza z szerokim rondem.

Mon Dieu! Stłumiła westchnienie, jakby lękała się, że major może ją usłyszeć.

- To ten, o którym ci mówiłam, komendant żandarmerii.

- Wygląda groźnie - szepnęła Rose, patrząc przez ramię przyjaciółki i chlebodawczyni. - Niebezpieczny, ale przystojny -dodała po chwili. - Powiesz mu o szkatułce? - spytała, widząc, że Emmanuelle wkłada

rękawiczki, szykując się do wyjścia.

- Niby co mam mu powiedzieć? Że zbrodni dokonano za pomocą kuszy, którą mój zmarły mąż otrzymał od swego najlepszego przyjaciela? - Nałożyła kapelusz, ale tym razem nie zawiązała wstążek pod brodą. O wstążki było trudno, więc starała się je oszczędzać. - To pewna droga do szubienicy. Powiesiliby i mnie, i Antoine'a La Touche jak amen w pacierzu.

- A nie przyszło ci do głowy, że możesz się mylić - mruknęła Rose, odprowadzając ją do drzwi. Kto wie, może gdybyś mu powiedziała, złapałby mordercę. Pomyśl tylko, zabójca był tu, u nas w domu. Zapewne zakradł się nocą, gdy spałaś. Pomyśl o Dominiku! I o tym, co mogło się stać. No i jak, co zamierzasz?

- Zamierzam zamykać drzwi na klucz - ucięła Emmanuelle i wyszła na wygrzaną słońcem rue Dumaine.

Zach nawet nie drgnął. Czekał, aż madame de Beauvais do niego podejdzie. Szła energicznie, szeleszcząc spódnicami, z wysoko uniesioną głową, tak że słońce rozświetlało całą twarz. Była blada i jakby złęknioma, co go zaskoczyło i zaintrygowało. Nie wyglądała przecież na strachliwą, przeciwnie - zawsze, a przynajmniej do tej pory, zachowywała zimną krew w każdej sytuacji.

- Co pan tu robi przed moim domem? - spytała bez żadnych wstępów.

Oderwał się od latarni, stanął prosto i wykrzywił usta w chłodnym, nieszczerym uśmiechu. Nie zamierzał powiedzieć prawdy. Nie wyjawiłby jej nawet przed sobą samym. Prawda wprawiała krew we wrzenie, piekła i paliła jak ogień.

- Wydawało mi się, że zamierzała pani odwiedzić teściów?
-odpowiedział pytaniem.

- Właśnie do nich idę. Już jestem spóźniona.
- No to porozmawiamy po drodze - oznajmił.

Ulicą przetoczył się ładowny wóz na dwóch wysokich kołach. Osie zaskrzypiały na nierównościach. Emmanuelle stała, jakby nie zamierzała w ogóle ruszyć z miejsca. Nie mam najmniejszej ochoty na pańskie towarzystwo, monsieur - kusilo ją, żeby to powiedzieć, a jednocześnie zdawała sobie sprawę, że taka manifestacja niechęci niczego nie zmieni. Wszystko w niej wrzało, walczyła ze sobą, żeby się opanować. Udało jej się to. Miała jednak świadomość, że lada godzina, lada dzień, nerwy ją jednak zawiodą.

Bez słowa obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę ulicy Chartres, nie bacząc, czy major idzie, czy zmienił zamiar. Dzwon katedry odezwał się na Anioł Pański, wytłumiając na chwilę gwar miasta.

- Skoro nie spodziewał się pan zastać mnie w domu, to dlaczego się pan zjawił? - spytała, gdy się z nią zrównał krokiem.

- Chciałem porozmawiać ze służbą.

Tylko ktoś obdarzony niezwykłym słuchem mógłby wyłowić nutę irytacji w głosie Emmanuelle. Jak zawsze, starała się kontrolować każde słowo i gest.

- Skoro tak, to nie będę pana zatrzymywać. Rose jest w domu.

- Później z nią porozmawiam, bo wie pani, po naszym spotkaniu w szpitalu zastanowiło mnie kilka spraw.

Spojrzała na niego pytająco.

- Choćby to, dlaczego zostawiła pani Henriego Santerre'a samego.

Rozumiem, że jest to normalna reakcja każdej kobiety, biec po pomoc, ale w pani przypadku wydaje mi się to dziwne.

Szli ulicą Chartres okoloną wąskimi kamienicami z oblażącymi z

farby fasadami. Z bram wiodących na podwórka dobiegały dźwięki z warsztatów rzemieślniczych, woń prania, a z barów, których było tu pełno, kwaśna woń piwa.

Emmanuelle milczała, jakby zapomniała o pytaniu albo uznała, że nie będzie na nie odpowiadać. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

- Umierał i nie można mu już było pomóc. Kazał mi uciekać. Tak też zrobiłam. Żałuję, powinnam była zostać.

Zatrzymali się na rogu, przepuszczając wóz wjeżdżający w Chartres z Ursuline. Ciągący go muł zastrzygł uszami, wystraszony widokiem rosłej Murzynki w żółtych muślinach, dźwigającej na głowie wielki kosz pełen warzyw.

- A nie pomyślała pani, że Santerre mógł zginąć przez pomyłkę? Że zamachowiec mierzył w panią?

Potknęła się i gdyby nie Zach, wpadłaby w kałużę, która została na chodniku po wczorajszej ulewie. Chwycił ją za łokieć i podtrzymał, ratując z opresji.

Zrobiła się jeszcze bledsza niż przedtem.

- Nie mam wrogów, monsieur - wykrztusiła cicho, patrząc mu prosto w oczy.

Dopiero teraz spostrzegł, że jej oczy nie są brązowe, jak mu się na początku wydawało, lecz zielone, ciemne jak zieleń dziewiczego lasu albo przestwór oceanu.

- Każdy ma wrogów, sama pani tak mówiła.

- Nie sądzę, aby ktoś życzył mi śmierci, jeśli o tym pan mówi. - Pierś jej zafalowała, oddychała jakby szybciej. Zach uświadomił sobie nagle, że stoją niebezpiecznie blisko siebie, puścił więc jej rękę i cofnął się o pół kroku.

- Ale ktoś chciał panią zabić, to oczywiste - rzucił nie do końca przekonany, że tak mogło być.

Zabójcy kierują się różnymi motywami, nie zawsze racjonalnymi, bywają też chorzy, sadyści, którym morderstwo sprawia zwyczajnie przyjemność.

O co chodzi, kapitanie? Zła pamięć przywiodła głos z przeszłości. Jeszcze się pan nie domyśla? Podpowiedzieć?

- Monsieur?

Głos Emmanuelle też dobiegł jakby z oddali. Zach ocknął się z zamyślenia, dostrzegając nagle, że stoją na ulicy i że pokrzykuje na nich woźnica przejeżdżającego omnibusu.

- *Alors! Que'est-ce vous faites?*

Ruszyli dalej w milczeniu, kierując się w cień między wiązy i figowce, rosnące przy Esplanadzie.

Milcząc, przeszli dwie przecznice, gdy Emmanuelle nagle przystanąła na widok nekrologu przytwierdzonego do ulicznej lampy.

- Wydaliście ciało rodzinie?

- Uznaliśmy, że sekcja nie jest potrzebna. - Sekcje zwłok dopiero od niedawna stosowano w postępowaniu sądowym i ciągle jeszcze procedura ta wywoływała sporo kontrowersji. -Zwłaszcza przy takiej temperaturze - dokończył.

Przytaknęła. Nagły poryw przesyconego gorącym wiatru rozwiął wstążki czarnego wdowiego kapelusza. Temperatura rzeczywiście stanowiła problem, zwłaszcza że Elisa Santerre uparła się na tradycyjne czuwanie przy trumnie.

Zach czekał na odpowiedź, ale Emmanuelle milczała. Zerkał na nią spod oka, chłonąc wzrokiem wysokie kości policzkowe i rzęsy, wspaniale i

kusząco okalające zieleń źrenic. I znów poczuł, że krew zaczyna mu szybciej krążyć w żyłach. Emmanuelle de Beauvais! Równie tajemnicza i nieodgadniona, jak to miasto, miasto dębów i wudu, ocienionych dziedzińców i dorocznej parady masek w Mardi Gras, miasto groźne - wskaźnik śmiertelności był tu dwukrotnie wyższy niż gdziekolwiek indziej w całej Ameryce - i miasto piękne. Ona też była piękna, piękna i niebezpieczna, jak jej miasto. Czuł, że coś przed nim ukrywa, podejrzewał nawet, że to za jej przyczyną zginął stary doktor, a jednak pociągała go, kusiała, burzyła w nim krew, przepajała pożądaniem.

Zaprzężony w muły wóz przetoczył się przed nimi znikł za zakrętem na drodze wiodącej ku rzece. Emmanuelle przyspieszyła kroku.

- Jeszcze jedno mnie zastanawia - odezwał się, gdy doszli do rogu wąskiej uliczki wychodzącej na Esplanade.

- Co takiego, monsieur? - spytała, nie patrząc na niego.

- Jeśli rzeczywiście lubiła pani doktora tak, jak pani mówi, to dlaczego nie chce mi pani pomóc w schwytaniu zabójcy?

Stała. Czarne wstążki kapelusza spływały jej do ramion. Spojrzała na niego.

- Gdyby Henri zginął od kuli jankeskiego snajpera na polu bitwy, to najwyżej machnąłby pan ręką i tyle, choć taka śmierć nie różniłaby się niczym od tej, którą mu zgotowano.

- Ale nie byłaby aż tak bezsensowna.

- To wojna jest bezsensowna, brutalna i okrutna. I ta, i wszystkie inne.

- Nie zgadzam się.

- Tak też przypuszczałam. - Chciała się odwrócić i odejść, lecz

Zach chwycił ją za łokieć.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

Spojrzała na jego rękę z wyrazem najwyższej przygany i niechęci, ale wciąż ją trzymał.

- Niech pan sobie zakonotuje, majorze Cooper - powiedziała nienawistnym tonem. - Henri Santerre był dla mnie jak ojciec, ale to, że wyśle pan na szubienicę niewinnego człowieka, nie przywróci go do życia.

- A skąd pani wie, że niewinnego?

- Wszyscy widzą, co wyprawicie w tym mieście. Prawo i sprawiedliwość nie ma z tym nic wspólnego. - Użyła liczby mnogiej, lecz jej ton wskazywał, że ma na myśli jedną tylko osobę, jego. Odczuł to boleśnie, bo miała rację.

Zatrzymał się omnibus i nim Zach zdołał zareagować, Emmanuelle wsiadła i wspięła się na górny, otwarty pokład. Cofnął się. A więc nie będzie jej dalej towarzyszył.

- Idzie pan do Rose? - spytała.

- Tak.

- Traci pan czas, nic panu nie powie.

- Ludzie mówią nawet wtedy, gdy milczą - odparł. - Spotkamy się na uroczystościach żałobnych.

Omnibus ruszył, ale Zach zdążył jeszcze dostrzec błysk zaskoczenia w zielonych oczach, które tak go urzekły.

Rozdział 7

Długo czekał pod drzwiami, a gdy się już otworzyły, to tylko na parę cali. Rose nie śpieszyła się z zaproszeniem do środka.

Widział ją po raz pierwszy. Wysoka, z długą szyją, wysmukła, miała w sobie coś z arystokratki. Cera jasna - kawa z mlekiem - świadczyła o mieszanym pochodzeniu, ale rysy miała afrykańskie, szeroki, płaski nos, wydatne usta, pełne policzki.

- Pani Emmanuelle nie ma i doskonale pan o tym wie - oznajmiła z nieskrywaną wrogością. - Czego pan chce?

Zaskoczył go jej akcent, choć już powinien się przyzwycząić. Murzyni posługiwali się specyficzną angielszczyzną, ale tata mówiła niemal dokładnie z takim samym francuskim przyśpiewem jak jej pani. Butler pewnie z miejsca kazałby ją aresztować za obraźliwe naśladowanie innej osoby.

Zach zdjął kapelusz.

- Chciałbym pani zadać kilka pytań.

Zawahała się, ale trwało to chwilę, ułamek sekundy, nikt w tym mieście bowiem, żaden mężczyzna, żadna kobieta, biała czy Murzynka, nie śmiał lekceważyć sobie granatowego munduru. Wzruszyła więc ramionami i uchyliła szerzej drzwi, pozwalając mu wejść do środka.

- Jak pan chce, ale jestem zajęta - uprzedziła. Poprowadziła go na wewnętrzny dziedziniec okolony donicami z zielenią. Na otwartym ruszcie stał miedziany kociołek, z którego dobywały się wonie piorącej się bielizny.

- Nie wiem, o czym mamy rozmawiać. Nie znałam pana Henriego.

- Ale zna pani madame de Beauvais. - Zach wypatrzył ukrytą wśród zieleni ławkę i usiadł w cieniu jaśminów. W górze zaćwierkał ptak. - Nie urodziła się tu, prawda?

Rose obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem. Zastanowiła się, choć pytanie brzmiało niewinnie.

- Przyjechała z rodziną z Francji, będzie jakieś czternaście lat temu.

To znaczy w tysiąc osiemset czterdziestym ósmym, wyliczył. I pewnie nie przypadkiem Maretowie właśnie wtedy zdecydowali się na emigrację. Czterdziesty ósmy - rok niepokojów i rozruchów.

- A jak długo pani z nią jest?

- Byłam ich pierwszym nabytkiem po przyjeździe. Kupili mnie, gdy tylko zeszli ze statku. Miałam wtedy szesnaście lat, tyle co miss Emmanuelle. - Murzynka pomieszała drewnianą kopyścią w kociołku.

Zach zachnął się, z trudem opanował irytację. Już wiedział, że niewiele się od niej dowie. Nigdy nie potrafił zrozumieć owej przedziwnej lojalności, ba - miłości - jaką wielu niewolników okazywało względem swoich właścicieli. Jego irytacja była tym większa, że właśnie zdał sobie sprawę, że pociąga go kobieta, dla której inna była zwyczajnie własnością.

- Doktor Maret podarował panią córce, dobrze rozumiem?

Kopyść z łomotem potoczyła się po kamieniach dziedzińca, gdy Rose wyraźnie zezłoszczona wzięła się pod boki.

- Nic pan nie rozumie, panie Jankesie. Myśli pan, że jestem niewolnicą? Więc niech pan przyjmie do wiadomości, że jestem wolna, wolna jak pan. To prawda, że należałam kiedyś do pewnego starego Murzyna. Bił mnie cały czas, żeby mi udowodnić, że jest ode mnie lepszy. I właśnie zdzierał mnie kijem na nabrzeżu, gdy Maretowie wysiadali ze statku. I od razu mnie kupili. Dali mu trochę pieniędzy, ile tam chciał, i

uczynili mnie wolną. Z miejsca. To znaczy nie od razu, bo musiało to trochę potrwać. A ja im wszystko oddałam, co do centa, z mojej pensji. - Schyliła się, podniosła kopyść i znów zamieszała w kociołku. - Chyba pan nie zna mojej pani - rzuciła przez ramię -jeśli pan myśli, że mogłaby mieć przy sobie niewolnicę. W tym jednym zgadzała się z panem Philippe'em, w tym i w sprawach medycyny, że niewolnictwo jest złe, bardzo złe.

- Klócili się?

- Tego nie powiedziałam - odparła, pośpiesznie sznurując usta.

Zach zrozumiał, że jeśli o to chodzi, to nie dowie się już niczego więcej. Westchnął pod nosem i założył nogę na nogę.

- Niech mi pani opowie o Jacques'u Marcie i jego małżonce.



Chciałbym, żebyś sprawdził wszystkich, którzy mają coś wspólnego ze szpitalem - polecił Zach. Siedzieli z Hamishem w małej kafejce niedaleko sztabu, jedząc obiad.

- Wszystkich?

- Tak. Weź ludzi, niech przejrzą kartoteki pacjentów. Chcę znać nazwiska i adresy rodzin tych wszystkich, którzy w ciągu ostatniego roku zmarli w szpitalu lub przeszli amputacje.

- Myślisz, że w ten sposób do czegoś dojdziemy? - Hamish grzebał w przepastnej kieszeni, szukając swego nieodłącznego notesu. - Sądysz, że ktoś poczuł się skrzywdzony i postanowił się zemścić?

- Niczego nie sędzę, ale chcę sprawdzić. Skupcie się na współpracownikach Santerre'a. Interesuje mnie Yardley. Przyjrzyj mu się bliżej. Twierdzi, że ubiegłej nocy był w towarzystwie. Sprawdź, czy

rzeczywiście. Mówi, że nigdy nie kłócił się z Santerre'em, ale na mojego nosa coś kręci i ukrywa. Chciałbym wiedzieć co?

Hamish otworzył notes i pilnie notował ogryzkiem ołówka.

- Sprawdź też tę młodą wolontariuszkę, Claire La Touche. Wydaje mi się, że miała ze starym na pieńku.

- A madame de Beauvais? - spytał Hamish, odrywając się od notesu.

- Nią zajmę się osobiście. Hamish zastrzygł wąsami.

- Chyba jej nie podejrzewasz?

- Niby dlaczego miałbym jej nie podejrzewać? - Zach ułamał kawałek chleba.

- Bo... bo jest kobietą, to po pierwsze.

- A w Nowym Jorku nie miałeś do czynienia z morderczyniami?

- Ona jest inna.

- Niby jaka? Wydaje mi się, że nie znamy prawdziwej madame de Beauvais. - Zach wstał od stolika. -I niech ktoś od nas będzie na dzisiejszych uroczystościach żałobnych. Chcę wiedzieć, kto się tam zjawi, a kto nie. To drugie jest nawet ważniejsze.

Wieczorem miał się zameldować u Butlera i liczył się z tym, że generał przytrzyma go do późna. Chciał przecież omówić plan rekwizycji plantacji trzciny cukrowej i przekazania ich, razem z czarnym personelem, w ręce przybyszów z Północy.

- Pójdę osobiście. - Hamish z trzaskiem zamknął notes. -Sporządę ci całą listę - zapewnił solennie, a jego przełożony nagle parsknął śmiechem. - Co cię tak rozbawiło?

Ale Zach nie odpowiedział. Śmiejąc się, zawrócił na pięcie i poszedł.



Może teraz zgodzisz się wreszcie, że to ma sens - powiedziała Marie Therese de Beauvais, siadając w fotelu. W palcach bladej jak śnieg dłoni z delikatną pajęczyną żył widocznych pod skórą trzymała wachlarz. - Dominik powinien wyjechać z nami do Beau Lac, przynajmniej na parę najbliższych miesięcy.

Siedziały na werandzie z tyłu neoklasycystycznej rezydencji państwa de Beauvais - Emmanuelle i matką jej zmarłego męża. Dominik z dziadkiem - Jeanem-Lambertem - bawił się na trawniku. Starszy pan miał już siedemdziesiąt sześć lat, był siwy, szczupły, a po wylewie, którego doznał w maju, powłóczył nogą, co nie przeszkadzało mu bawić się z wnukiem.

Na Esplanade przenieśli się stosunkowo niedawno. Przedtem mieszkali na Ursulines, w śródmieściu. Ale Nowy Orlean stale pęczniał, wciąż przybywało mieszkańców, więc zmienili adres i zamieszkali właśnie tu, na wzgórzu wychodzącym na Zalew St. Johna. Należeli do najznamienitszych i najbogatszych rodów Nowego Orleanu, wywodzących się spośród pierwszych osadników, ale w przeciwieństwie do wielu z tych, co przybyli tu w poszukiwaniu fortuny, nikt z rodu de Beauvais nie uległ ani wtedy, ani później żadnym pokusom, które innych doprowadziły do ruiny. Nie pili, nie uprawiali hazardu, nie pojedynkowali się i nie korzystali nawet z owej szczególnej instytucji znanej w całej Luizjanie pod nazwą *placage*, inaczej mówiąc, nie trwonili pieniędzy na utrzymywanie murzyńskich kochanek. Dbali o majątek i stale go pomnażali. Nadal jego walną częścią była plantacja trzciny cukrowej nad zalewem Creve, zwana Beau Lac, ale mieli też udziały w liniach okrętowych, bankach, inwestowali w

nieruchomości, budowali fabryki. Jak wszyscy ponieśli straty na skutek okupacji, ale w sumie wychodzili z niej obronną ręką. Nie zbankrutowali jak wielu innych. Stary Jean-Lambert miał swoje zdanie na temat Jankesów, osobiście nie był im przychylny, lecz zawsze starał się oddzielać uczucia od interesów. W biznesie nie kierował się emocjami, tylko wyrachowaniem.

Emmanuelle uśmiechała się, patrząc na syna z wysokości tarasu. Młody człowiek ze skupioną miną szykował się do kolejnego rzutu podkową - to była ulubiona gra jego i dziadka. Ale uśmiech znikł z jej twarzy, gdy obróciła się do teściowej.

- To może być niebezpieczne. Wiem, wiem, że w opowieściach o okropieństwach Jankesów jest sporo przesady, mimo wszystko będę o niego spokojniejsza, mając go przy sobie, w mieście.

- Chyba nie mówisz tego poważnie - obruszyła się Marie Therese. Była młodsza od męża o dobre dziesięć lat. Wysoka, siwowłosa, ale nadal jeszcze przystojna, nosiła się z wytworną nonszalancją i wszystkich traktowała z góry. - A co będzie, gdy wybuchnie epidemia?

Przed wojną każdy, kogo było na to stać, wyjeżdżał z miasta na całe lato, zaszywał się w wiejskim majątku, żeby przeczekać doroczny atak żółtej febry. Teraz jednak maruderzy armii, która nadciągnęła z Północy, i bandyci podszywający się pod sztandary Konfederacji plądrowali wszystko i życie na wsi stało się wręcz niebezpieczne.

- Myślę, że w tym roku epidemii nie będzie - odparła Emmanuelle.

- Chyba żartujesz? - prychnęła Marie Therese. - Wydaje ci się, że wystarczy oczyścić kanały i opróżnić rynsztoki i to wystarczy? A zresztą co to ma wspólnego z żółtą febrą.

Emmanuelle zacisnęła palce na poręczu tarasu. Starła się myśleć i mówić spokojnie, choć nie było to łatwe. Nie pierwszy raz rozmawiała ze

starszą panią na ten temat i wiedziała, że nie trafiają do niej żadne logiczne argumenty. Marie Therese nigdy nie zmieniała zdania.

- Zabrali się za czyszczenie kanałów w swoim własnym interesie.

Wiedzą, że epidemia dotknęłaby najpierw ich.

- Ale nie tylko ich.

- Słabsi muszą zginąć - wzruszyła ramionami Marie Therese.

Nie była to zbyt taktowna uwaga wobec kogoś, kogo rodzice padli ofiarą epidemii. Najpierw na żółtą febrę zmarła matka Emmanuelle, a pięć lat później ojciec. Ale Marie Therese też straciła dwóch synów.

- Słabsi - powtórzyła Emmanuelle głosem drżącym z oburzenia.

Zabawa na trawniku dobiegała chyba końca, bo rozległy się wesołe okrzyki Dominika. Chłopiec pobiegł właśnie odnieść podkowy do stajni, a starszy pan, wspierając się na muskularnym ramieniu niewolnika Baptiste'a, z wolna zdązał do domu.

Marie Therese odłożyła wachlarz. Upierścienione palce zastukały w żelazną ramę stolika.

- Czy to prawda, co mówił Dominik, że Jankesi nachodzą szpital z powodu tego nieprzyjemnego wydarzenia.

Chwilę trwało, nim jej synowa uświadomiła sobie, że „nieprzyjemne wydarzenie” to śmierć Henriego Santerre'a.

- Nie Jankesi, tylko jeden, komendant żandarmerii generała Butlera.

Jean-Lambert doczłapał na taras.

- Nie sądzę, aby miał się jeszcze kłopotać - wtrącił, ciężko dysząc.

- Bo cóż Bena Butlera i tę bandę rzezimieszków może obchodzić śmierć jednego starego południowca.

Z pomocą Baptiste'a starszy pan dobrnął do fotela, usiadł zdyszany z wysiłku i tylko grymas na jego twarzy świadczył o tym, że każdy ruch

sprawia mu ból.

- Dziękuję, Baptiste.
- Służący skłonił się z szacunkiem i odszedł.
- Myślę, że major Cooper nie przerwie śledztwa - odrzekła

Emmanuelle, czując dziwny uścisk w gardle.

Jean-Lambert oderwał wzrok od fajki, którą właśnie starannie nabijał tytoniem, i spojrzał na nią ciekawie. Oczy miał błękitne jak niebo. Oczy wikingów, jak zwykł mawiać. Takie same miał Philippe i takie też odziedziczył Dominik.

- A więc uważasz, że to dla niego kwestia honoru? To bardzo ciekawe - dodał, rozpalając fajkę.

Emmanuelle milczała, choć gotowa byłaby przysiąc, że Zach Cooper nie traktuje tego akurat śledztwa w kategoriach zwykłego obowiązku. Jako komendant żandarmerii miał przecież masę zadań. Odpowiadał za bezpieczeństwo, nadzorował rekwizycje i zawiadywał mieniem skonfiskowanym przez generała Butlera, dbał o czystość w mieście, opiekował się wyzwolencami, a to oznaczało, że miał do wykarmienia i zakwaterowania tysiące osób. To, że pofatygował się wczoraj na cmentarz, można jeszcze zrozumieć, ale fakt, że osobiście zajął się śledztwem świadczył, iż nie traktuje sprawy tuzinkowo.

- Honor i poczucie obowiązku! - zawołała Marie Therese. - To niepodobne do Jankesów. Wydaje mi się, że gdyby Henri Santerre nie wybrał sobie tak niezwyklej drogi w zaświaty, to nikt by palcem nie kiwnął.

Jean-Lambert zapalił kolejną zapalną, próbując jeszcze raz rozpalić tytoń w cybuchu, i z niechęcią zerknął na małżonkę. Jak długo Emmanuelle potrafiła sięgnąć pamięcią, zawsze patrzył na żonę z ledwo skrywaną wrogością.

- Ten człowiek niczego sam nie wybierał - mruknął.

- A właśnie, że tak - odparowała Marie Therese, patrząc na męża równie chłodno, jak on na nią. - Przypomnij sobie, jak on żył, a ludzie wszystko widzieli. Sam sprowadził na siebie śmierć. Jean-Lambert wypuścił kłęb dymu i nic nie odpowiedział.

- W tej sytuacji zamkniesz chyba szpital? - Marie Therese odwróciła się od męża i spojrzała na Emmanuelle.

- Nie. Będę go prowadzić tak długo, jak się da.

Jej teść pokiwał głową w milczącej aprobacie, a teściowa znowu się obruszyła. W jej pojęciu żadna odpowiedzialna i przyzwoita kobieta, zwłaszcza nosząca nazwisko de Beauvais, nie powinna pracować poza domem, a tym bardziej w szpitalu.

- We wtorek urządzam szycie koszul dla jeńców na Ship Island - oznajmiła, wbijając wzrok w synową. - Mam nadzieję, że przyjdiesz.

Zwyczajem dam Południa Marie Therese co miesiąc urządzała spotkania charytatywne, w czasie których panie cięły bandaże, szyły koszule lub przygotowywały paczki, dawniej dla żołnierzy w polu, dziś dla jeńców. Naturalnie zawsze zapraszała Emmanuelle i miała jej za złe, że nigdy nie przychodzi.

- Teraz, gdy nie ma Henriego, mam bardzo dużo pracy w szpitalu.

- No to go zamknij.

Emmanuelle już otworzyła usta, ale zrezygnowała. Nie było sensu wdawać się w nową kłótnię. Zaległa cisza. Przerwał ją Jean-Lambert.

- Słyszałem, że na dziś zapowiedziano czuwanie przy zwłokach. Jak myślisz, przyjdzie? Ten major, o którym wspomniałaś?

- Jakżeby mógł - pospieszyła niepytana Marie-Therese. - Nawet Jankesi mają szacunek dla pogrążonych w żałobie i na pewno nie będą

narzucąc swojej obecności.

Emmanuelle patrzyła w przestrzeń. Daleko, na horyzoncie, zaczęły się zbierać chmury.

- Przyjdzie - powiedziała z przekonaniem.



Zmierzchało już gdy Emmanuelle skręcała w rue Conti. Zza parkanów otaczających ogrody dobiegał jednostajny szum szarańczy, wdzierając się w skwarną ciszę nadchodzącego wieczoru. Kałuże po deszczu, który spadł po południu, gdy Emmanuelle wróciła do szpitala, połyskiwały w zachodzącym słońcu. Niebo było czyste, a nad wschodnim horyzontem białął krąg księżyca, zapowiadający pełnię.

Od rzeki niósł się już gwar barów i kabaretów, czekających na sobotnich gości. Wojna i okupacja niewiele albo wcale nie wpłynęły na przemysł rozrywkowy w mieście. Sale bilardowe, bary, tawerny i burdele funkcjonowały, jakby nic się stało. Ale tu, na rue Conti, było cicho, słychać było tylko szcęk sztućców i talerzy przygotowywanych do kolacji, a powietrze przepajała woń czosnku brązowiejącego na rozgrzanych olejach. Emmanuelle zdała sobie nagle sprawę, że ulica jest opustoszała, że poza nią nie ma żywej duszy, i ogarnął ją lęk, z którym przez dobrą chwilę nie mogła sobie dać rady. Ulżyło jej, gdy dobiegała do domu Santerre'ów na rogu Conti i Burgundy.

Kamienica, którą Henri dzielił z siostrą, była wysoka i wąska. Do części mieszkalnej na pierwszym i drugim piętrze wchodziło się okazałymi kamiennymi schodami, wiodącymi z szerokiego, oświetlonego latarniami podjazdu!

W środku był już cały tłum gości. Kłębili się w mroku, bo z uwagi na gorąco nie zapalono gazowych lamp, zbierali się w grupkach, szeptem wymieniając powitania. Lustro przysłonięto kirem; w powietrzu niósł się zapach gromnic ustawionych wokół zaimprovizowanego katafalku, na którym ułożono zwłoki. Emmanuelle zmusiła się, żeby podejść bliżej. W szpitalu nawykła do widoku śmierci, ale zwykła śmierć i śmierć w wyniku zabójstwa to dwie różne sprawy.

Henri wyglądał dostojnie w nieskazitelnie białej koszuli, czarnej jedwabnej kamizelce, z rękami złożonymi na piersiach. Przeniosła wzrok na twarz. Pomarszczone starością policzki tchnęły spokojem, siwa broda była przycięta i przyczesana jak nigdy za życia, powieki zamknięte. Henri, a jakby nie on, przemknęło jej przez myśl. Po przyjacielu, któremu tyle zawdzięczała, została tylko ziemską powłoka. Poczowała uścisk w sercu i ogarnął ją wstyd. Przyszła tu przecież, by złożyć mu hołd, a tymczasem w myśli kołatało jej tylko jedno: że to nie on, a ona mogła zginąć. Przymknęła oczy. Wielki Boże, Henri, wybacz. To ja miałam zginąć.

Otworzyła oczy, czując na sobie niecierpliwy wzrok tych, co przyszli po niej i też chcieli pożegnać się ze zmarłym. Mężczyźni z kapeluszami w rękę przestępowali z nogi na nogę. Elise Santerre, zszarzała w żałobie, siedziała na krześle, sztywno jak to ona, z podniesioną wysoko głową.

Emmanuelle ucałowała ją w policzek.

- Był takim wspaniałym człowiekiem. Gdybym mogła w czymś pomóc - wyszeptała zwykle w takich sytuacjach słowa, ściskając wykrzywioną reumatyzmem dłoń starszej pani.

Śmierć w tym mieście należała do takich samych obrzędów towarzyskich jak śluby, chrzciny czy pierwsze komunie. Było tłumnie, przychodzili wszyscy, których nie widywało się na co dzień - wujowie,

ciotki, pociotki, kuzyni i kuzynki - sączyła się sherry, przegryzało przekąski i umawiało na rychłe spotkanie bez zamiaru dotrzymania słowa.

Zwykle w czasie uroczystości czuwania przy zwłokach było gwarno - szacunek dla zmarłego nie wykluczał wszakże konwersacji, a czuwanie to przecież okazja towarzyska. Tego dnia jednak było wyjątkowo cicho; jeśli rozmawiano, to szeptem, zerkając trwożnie na mężczyznę w granatowym mundurze, który stał nieruchomo pod ścianą, z rękami złożonymi na piersiach, i baczył na wszystkich, mrużąc oczy po grzywą złocistorudych włosów. Fletcher, przypomniała sobie Emmanuelle. Spodziewała się Coopera i zirytowała się na siebie, że poczuła się rozczarowana.

- *Alors*, co on sobie wyobraża? - usłyszała zza pleców wypowiedzianą szeptem uwagę. - Że wśród nas jest morderca? Że zdradzi się jakimś nieostrożnym gestem albo targnięty nagłymi wyrzutami sumienia, rzuci się na kolana przed zmarłym?

- Antoine! - Emmanuelle poznała go od razu.

Antoine La Touche - wysoki, szczupły, znacznie starszy odsiostry - miał już trzydzieści pięć lat i twarz pomarszczoną cierpieniem. Ubrany był w wytworny wieczorowy surdut, aksamitną kamizelkę i fular, ale i tak wyglądał na plantatora, którym był. Świadczyło o tym wszystko, woń drogiego tytoniu, patrycjuszowską aura, jaką wokół siebie roztaczał, i głęboki połysk wyglansowanych butów, a ściśle mówiąc, jednego buta, Antoine La Touche miał bowiem tylko jedną nogę. Druga kończyła się w połowie uda. Nie przesłużył nawet roku w kawalerii Konfederacji, gdy dostał postrzał w bitwie pod Pea Ridge. Philippe, Henri i Emmanuelle robili cuda, żeby uratować mu nogę, ale się nie dało, trzeba było amputować. Jeszcze gorszy jednak okazał się sztych bagnetem w brzuch. Rana do tej pory dawała o sobie znać i Emmanuelle miała bolesną świadomość, że dni

Antoine'a La Touche'a są policzone. Starości nie dane mu będzie dożyć.

- Antoine - powtórzyła, biorąc go za rękę. - Muszę z tobą porozmawiać.

- *Mais oui, ma chere* - odparł, jakby zaskoczony tą prośbą. - Ale jeśli to coś poważnego, to lepiej wyjdźmy na zewnątrz - dodał, zerkając na Fletchera, który pracowicie zapisywał coś w notesie.

Przeszli przez jadalnię na werandę wychodzącą na wewnętrzny dziedziniec. Zapadła już noc, z ogrodu niosły się aromaty kwitnących jaśminów, oliwek, kapryfolium i anielskich trąb.

Antoine zapalił cygaro. Emmanuelle, wsparta o poręcz, patrzyła na bielejące w świetle księżyca kwiaty.

- Nic ci nie dolega? Dobrze się czujesz? - spytał Antoine z troską.

- W porządku. - Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Ze wszystkich przyjaciół Philippe'a jego lubiła najbardziej. Miał fantazję i dawał jej czasami ujście, aby zabić nudę, bo choć odebrał staranne wykształcenie, nie robił nic konkretnego, szykował się do przejęcia rodzinnej plantacji, kiedy ojciec odda mu ją we władanie, na co jeszcze się nie zanosilo.

- Ale coś się jednak stało? Nie odpowiedziała wprost.

- Był już u ciebie ten Jankes? - spytała.

- Nie rozumiem.

- Szef żandarmerii.

- A po co miałby przychodzić... - Przerwał, zmrużył oczy i spojrzał na nią badawczo. - A więc to prawda, co mówią? Miniaturowa strzała ze srebrnym grotem! Tym ugodzono Santerre'a? - Cofnął się pół kroku, postukując drewnianymi kulami, i spojrzał w przestrzeń. - Wiedzą już? - spytał po chwili.

- Że Philippe dostał coś takiego od ciebie? Nie, ale... -Zamilkła, słysząc kroki i strzępy rozmowy na dole pod werandą.

- Nie możemy tu rozmawiać - szepnął Antoine, gestem nakazując jej milczenie.

- Przyjdź do mnie, do szpitala.

- Będę z samego rana - zapewnił zduszonym głosem. Przez chwilę żadne z nich się nie odezwało.

- Nie widziałam Claire. Nie przyszła? - spytała w końcu Emmanuelle.

- Wiesz, jaka ona jest. A dlaczego pytasz? - W mdłym świetle lampy gazowej Antoine wyglądał blado.

- Jankes rozmawiał z nią w szpitalu, boję się, czy nie palnęła czegoś nieostrożnego.

- Nie sądzę. - Antoine przygryzł cygaro. - A swoją drogą ten Jankes to ciekawy człowiek. Inny niż ta cała banda Butlera.

- Inny?

Antoine wypuścił kłęb dymu.

- Nie jest politykiem, ale żołnierzem, kawalerzystą. Skończył West Point. Był ranny i nie mógł wrócić do pułku, dlatego wylądował w sztabie Butlera.

- Zauważyłam, że utyka. Z tego, co mówisz, wynika, że nie ma zbyt wielkiego doświadczenia w żandarmerii.

- Przeciwnie.

- Co ty powiesz?

- A tak. Pisano o nim w gazetach kilka lat temu. Służył wtedy na Zachodzie, bodaj w Forcie McKenna i zdemaskował sprawcę kilku tajemniczych zabójstw. Było o tym głośno.

- Nie słyszałam.
- Bo poza medycyną świata nie widzisz, *ma chere*. - Antoine zaśmiał się. Dzwony na katedralnej wieży zaczęły wybijać pełną godzinę.



Różaniec zaczął się pół godziny później. Henri Santerre urodził się i wychował w wierze katolickiej, później jednak rozstał się z nią i od wielu już lat był z Panem Bogiem na bakier. Przesuwając mechanicznie paciorki różańca, Emmanuelle uśmiechnęła się w duchu, myśląc, co Henri powiedziałby na tłum odmawiający pacierze nad jego ciałem. Ale chyba nie miałby za złe. Rozumiał, że rytuał służy ukojeniu żywych, a nie zmarłym.

Z zamyślenia wyrwał ją odgłos nierównych kroków na schodach.

Jednak przyszedł.

Serce jej zabiło.

Wcale nie z lęku.

Zjawił się.

Wróg. Podejrzewał ją o współudział w zbrodni i jeśli tylko zechce, może ją wtrącić do więzienia albo jeszcze gorzej, bez sądu, bez niczego. Był groźny, niebezpieczny, a jednak gdy się zjawił, poczuła ulgę, jakby spełniły się jej oczekiwania, i poczuła dreszcz podniecenia, właśnie - podniecenia.

Rozdział 8

Od dozorczy cmentarnego niczego nie wyciągnęliśmy. Twierdzi, że nikogo nie widział i nic nie słyszał - rzekł Zach.

Wyszli z Hamishem na werandę. Brzęczenie szarańczy zagłuszało szmer modlitwy odmawianej przy zmarłym. Lekki wiatr niósł rozgrzane powietrze znad rzeki.

Z miejsca, gdzie stali, widać było mroczne wnętrza jadalni i salon pełen gości, w większości kobiet. Mężczyzn przyszło niewielu - kilku starców, kalek i trochę bardzo młodych ludzi, za młodych, aby pójść na front. Niektórzy ślali im złowrogie spojrzenia, reszta udawała, że nie dostrzega dwóch oficerów w granatowych mundurach.

Hamish odgryzł końcówkę cygara.

- A więc znalazłeś tłumacza z niemieckiego?

Zach tylko kiwnął głową na potwierdzenie; kątem oka obserwował parę, która szeptała w jadalni. On - elegancki mężczyzna wsparty na kulach; ona - ciemnowłosa, drobna, ale niezwykle zgrabna dama o prowokująco zmysłowych ustach, jakby skłóconych z delikatną jak u arystokratki buzią.

- Dozorca nazywa się Kessler - uzupełnił informację Zach, nie odrywając wzroku od madame de Beauvais, ona to bowiem szeptała z mężczyzną o kulach. - Jest tu od dwóch lat, typowy Prusak, wszystko poukładane i zapięte. Widział oczywiście Santerre'a i madame de Beauvais, a poza nimi, jak twierdzi, przez bramę przechodziło tylko paru starszków Murzynów, którzy przyszli naprawiać grobowiec swoich właścicieli.

- Co oznacza, że nasz kusznik musiał przeleźć przez mur. Teorię, że sprawca albo sprawczyni była słaba lub ułomna, możemy odłożyć do lamusa. - Hamish westchnął, klepiąc się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek.

Nie znalazł ich, więc Zach wyjął pudełko i podał mu ogień.

- Dowiedziałeś się czegoś o tej dziwnej strzale?

- Nic, zero. - Hamish wypuścił kłęb aromatycznego dymu. - Ale przeczesując miasto, zastanawiałem się, czy to jeszcze Ameryka. Jak słuchałem o tych różnych wudu, hudu, gris-gris, ju ju, amuletach i paciorkach, gratulowałem sobie, że jestem protestantem i nie muszę nurzać się w tym gównie.

Zach patrzył w przestrzeń. Też czuł się tu obco, ale to miasto pełne dziwnych obyczajów i niezwykłości wcale go nie brzydziło, przeciwnie - pociągało i kusiło.

- Nic o zabójcach wampirów?

- Zero, a z kartotek szpitalnych też nic nie wynika, przynajmniej na razie. Chłopcy wzięli pod lupę już sporo osób i niczego nie wygrzebali.

- A ten o kulach to kto? - Zach wzrokiem wskazał mężczyznę, szepczącego coś do ucha pani de Beauvais.

- A, ten... Miejscowy bohater. Poczekaj sekundę. - Hamish wyciągnął swój wielki notes i przerzucił parę kartek. - Antoine La Touche, stracił nogę w bitwie pod Pea Ridge. Jego siostra pracuje jako wolontariuszka w szpitalu Santerre'a.

- Claire La Touche, ale nie widzę jej tutaj.

- Bo nie przyszła, podobno nie lubi takich uroczystości, czemu wcale się nie dziwię. Doskonale ją rozumiem, z tym że gdybym był na jej miejscu, to jednak bym się przemógł i przyszedł, żeby ludzie nie strzępili sobie

języków na mój temat. Nie masz pojęcia, jak oni plotkują.

Zabrzącał komar. Zach mechanicznie odpędził go ręką, a gdy to nie pomogło - insekt znów zaatakował go w ucho - klepnął, zmniejszając owadzią populację o jednego osobnika.

- Doktora Yardleya też nie widzę.

- Tego Anglika? - Hamish zaciągnął się cygarem. - Był, ale krótko. Gdy wyszedł, gadali o nim dobre dwadzieścia minut.

- I co, co mówili? - zainteresował się Zach. Hamish swoim zwyczajem zastrzygł wąsami.

- Podobno nie przepada za kobietami. Rozumiesz, o czym mówię? Tak przynajmniej szeptali, a między nami mówiąc, oni nie lubią Anglików ani Szkotów -dodał z nutą pretensji w głosie.

Zach odwrócił się, żeby ukryć rozbawienie, lecz uśmiech znikł z jego twarzy, gdy zobaczył madame de Beauvais, nadal pograżoną w nader przyjacielskiej rozmowie z mężczyzną o kulach. Szeptali do siebie i uśmiechali z wyraźną sympatią.

- A o niej, co mówili? Hamish podrapał się w czoło.

- Niewiele. Mam wrażenie, jakby się trochę bali, jakby była inna, obca.

- Bo i jest.

- Co ty powiesz?! A, rozumiem, jest Francuzką.

- Właśnie. - Zach obrócił się w stronę otwartych drzwi jadalni.

Pani de Beauvais stała teraz przy stole, sięgając po kieliszek sherry. Poczula na sobie jego wzrok, podniosła oczy i ich spojrzenia się spotkały. Niemal jednocześnie kąciki jej ust uniosły się w ledwie zauważalnym, ale wyraźnie prowokującym uśmiechu, jakby mówiła: Jestem, złap mnie, jeśli potrafisz. Jeśli się czegoś lękała, to nie jego, ale tego, co ewentualnie mógł

się o niej dowiedzieć. Zach czuł, że madame de Beauvais rzuca mu wyzwanie, by stawiał jej czoło w grze, którą sama ułożyła, niebezpiecznej grze intelektu i zmysłów.

- Tak - powtórzył, nie myśląc - jest. Francuzką, a oni, choć też mają francuskie korzenie, już nimi nie są. Czy im się to podobna, czy nie, przestali nimi być ponad pół wieku temu.

- Nadal ją podejrzewasz? Myślisz, że maczała w tym palce? -Hamish wrócił do sprawy zabójstwa na cmentarzu.

- Jestem pewien... i udowodnię.



To bardzo niezdrowe - odezwała się na powitanie, gdy do niej podszedł. - Ten nałóg, któremu wy, mężczyźni, ulegacie -wyjaśniła. - Cygara, fajki, tytoń w ogóle to takie samo narzędzie śmierci jak karabin czy szabla.

- Czyżby martwiła się pani o moje zdrowie, madame? - Stał tak blisko niej, że szabłą dotykał fałdów jej czarnej spódnicy. -Jestem wzruszony.

Na jej ustach nadal gościł ledwie zauważalny uśmiech, ale zaczynała oddychać coraz szybciej, pierś jej falowała, wprawiając w drżenie czarne koronki sukni.

- Widział pan kiedyś płuca palacza? Otóż normalne płuca są różowe, wilgotne i... jakby tu powiedzieć, puszyste, a płuca pańskiego przyjaciela, i w ogóle palaczy, są z pewnością brązowe, wyschnięte i kruche. Przekonałby się pan, gdyby otworzyć mu klatkę piersiową.

Obraz, który roztoczyła, był tak sugestywny, że Zach poczuł mdłości,

ale zdobył się na uśmiech, lekko pogardliwy jak jej.

- Co pani powie? Teraz rozumiem, dlaczego Hamish zaczyna dyszeć jak lokomotywa, gdy przebiegnie kilka kroków.

Rozbawił ją, rozbawił naprawdę. Zaśmiała się najzupełniej szczerze, jakby na ułamek sekundy spadła z niej maska, za którą się kryła.

- Rozmyślnie to pani robi, prawda?

- Cóż takiego, monsieur?

- Odcina się pani od innych, trzyma dystans i nie pozwala zbliżyć.

Uśmiech znikł z jej twarzy, pojawił się natomiast cień niepewności, nadal jednak. wyglądała wspaniale.

- No cóż, jestem obca.

- Inna, ale nie obca.

Ich spojrzenia znów się spotkały i jakby połączyła ich nić wzajemnego zrozumienia. Zach drgnął. Nie chciał, lękał się, że znajdzie się po drugiej stronie niewidzialnej granicy, której wolał nie przekraczać.

Pierwszy odwrócił wzrok, wskazując na Antoine'a La Touche, który właśnie przysiadł się do Elise Santerre.

- Prawda to, co mówią - zaigrał temat - że rodzina La Touche, choć szanowana i bogata, nie dorównuje jednak de Beauvais?

- Wypytywał pan o nas?

- Spędziłem bardzo pracowite popołudnie.

- I czego się pan dowiedział?

- Że doktor Jacques Maret przybył z Francji w roku tysiąc osiemset czterdziestym ósmym. - Zach przerwał, sięgając po kieliszek sherry z tacy obnoszonej wśród gości przez zgarbionego wiekiem pana w czerni. - Data - wrócił do przerwanej wątku - jest znamieną. Rok niepokojów rewolucyjnych w całej Europie.

- *Liberte, egalite, fraternite* - weszła mu w słowo, podnosząc kieliszek jakby do toastu.

- Pani rodzice musieli stanowić bardzo interesującą i niezwykłą parę, paryski rewolucjonista i wnuczka księcia Burgundii, i który skończył na gilotynie.

Wypiła łyk sherry, czekając, co jej rozmówca jeszcze powie.

- A pani, madame? Kim pani jest, rewolucjonistką czy arystokratką?

Jej zwilżone winem wargi zdawały się jeszcze pełniejsze niż zwykle, a oczy błyszczały. Odwróciła się, żeby odstawić pusty kieliszek.

- Jednym i drugim albo ani tym, ani tym, ale cóż to może mieć wspólnego z zabójstwem Henriego Santerre'a? - Spojrzała na niego.

Wytrzymał jej spojrzenie.

- Poświęciłem też chwilę, żeby sprawdzić pani tezę o różnicach między - jak to pani nazwała, francuską a amerykańską medycyną. W mieście zostało niewielu lekarzy, większość pociągnęła na front, ci jednak, z którymi rozmawiałem, nie wspominali o żadnym głębszym sporze między Santerre'em a jego kolegami po fachu.

- A spodziewał się pan innej odpowiedzi? - Zdziwiona uniosła brwi.

- Niczego nie wykluczałem. A nad czym Santerre ostatnio pracował?

- Przygotowywał artykuł przeciwko praktyce puszczenia krwi. -

Wzruszyła ramionami, niby obojętnie, choć zaintrygowało ją pytanie. -

Zresztą analizował ten problem od lat. A w ostatnich miesiącach badał właściwości lecznicze miejscowych ziół. Przez waszą blokadę trudno o leki, dlatego się tym zajął.

- Ziół?

- O tym mówię. Niedaleko stąd, na bagnach, mieszka pewien starzec Murzyn, Papa John. Tak go nazywają i traktują jako króla wudu. Zna się na

ziołach i Henri do niego jeździł.

Zach niespiesznie podniósł kieliszek i wypił łyk sherry, nie spuszczać wzroku z jej twarzy, tchnącej spokojem, bez wątplenia pięknej i bez wątplenia zwodniczej.

- Dlaczego mi pani o tym mówi?

- Myślałam, że to może się przydać w śledztwie. - Znow wzduszyła ramionami.

- Tak? Przecież tak naprawdę to nie chce mi pani pomóc. Wolałaby pani, żebym sobie poszedł i dał jej święty spokój. Więc na co pani liczy? Że ten Papa John rzuci na mnie czary... - gris-gris czy coś takiego?

- Może. - Zaśmiała się perliście, ale zaraz spoważniała. - Powiadają, że Papa John potrafi czytać ludzkie myśli i przepowiada przyszłość.

- Była pani u niego?

Bezwiednie chyba dotknęła palcami broszki, którą nosiła na znak wdowieństwa, i nagle - jakby zdała sobie sprawę, że robi coś bardzo niestosownego albo nieostrożnego - opuściła rękę.

- Nie chcę znać przyszłości - oznajmiła z mocą. - Nie da się przepowiedzieć wszystkiego, a wrywkowa wróżba bywa... niebezpieczna.

- Ale Santerre'owi przepowiedział, prawda?

- Przepowiedział i Henri głęboko uwierzył. Nie był człowiekiem wiary, lecz słowa Papy Johna wziął do serca.



Jeśli chcesz, to mogę jeszcze zostać - zaofiarował się Hamish, gdy kwadrans później jego przełożony dał znak do wyjścia.

- Nie trzeba - odparł Zach. - I tak niczego więcej już się nie

dowiemy, a poza tym trzeba im dać szansę poplotkowania o nas.

Hamish zaśmiał się tak, że jego tubalny głos poniósł się echem po pustej ulicy. Od ogrodów ciągnęły aromaty jaśminów i magnolii, a od rzeki wilgotna woń ryb i wodorostów, mieszając się ze stęchlizną miasta.

Hamish skręcił w mroczną ulicę Burgundy, kierując się w stronę luksusowych willi na wzgórzu, gdzie Butler ustanowił swoją rezydencję i zakwaterował swoich oficerów. Zach poszedł prosto, ku bulwarom nad rzeką, pełnym barów, burdeli i domów gry, gdzie bawiono się, pito i dzielono nowinami ze świata i miasta.

Najpodlejsze z barów znajdowały się nad samym brzegiem wielkiej rzeki. Te zaś, które mieniły się lepszymi - restauracje, tawerny i koncesjonowane domy gry - rozlokowały się nieco dalej, na Burbon, Royal i jeszcze kilku ulicach biegnących równoległe do rzeki, w sąsiedztwie siedzib kompanii handlowych i kantorów, w których za dnia załatwiano się wielkie i małe interesy.

Minął właśnie skrzyżowanie z rue Dauphine, gdy jego uwagę zwróciła gromada pięciu czy sześciu podpitych żołnierzy w granatowych mundurach, kłębiąca się na chodniku w połowie ulicy. Podchodząc bliżej, zobaczył, że otaczają oni kołem jakiegoś Murzyna w średnim wieku, w garniturze i cylindrze. Nie wyglądał na biedaka, a przeciwnie, na człowieka, któremu nieźle się wiedzie, ale nie w tej chwili.

Jeden z żołnierzy, osiłkowaty kapral ze zmierzwioną jasną brodą, pchnął właśnie człowieka w cylindrze na tyle mocno, że ten ledwo ustał na nogach.

- Więc uważasz, że jesteś tak samo dobry jak biali, tak?!

-wykrzykiwał kapral. Akcent wskazywał na mieszkańca Ohio. -Wydaje ci się, że skoro twoja babka sypiała z właścicielem, a ten z wdzięczności dał jej

wolność, to ty masz prawo stroić się jak biały, rozpychać na chodniku i nie ustępować miejsca porządnym ludziom?

Murzyn milczał, starał się nie pogłębiać awantury. Takich jak on, *gens de couleur libres* - kolorowych, wolnych dżentelmenów - było w mieście co najmniej jedenaście tysięcy. Wielu cieszyło się wolnością od pokoleń. Dbali o wykształcenie, zajmowali się rzemiosłem, ale byli wśród nich i tacy, którzy sprawiali sobie plantacje z niewolnikami i z powodzeniem je prowadzili.

- Mówię co ciębie, czarnuchu - nie ustępował kapral.

- *Je suis desole, monsieur. Je ne comprends pas.* - (Przykro mi, proszę pana, ale nie rozumiem) - odparł napadnięty nienaganną francuszczyzną.

- Puśćcie go! - krzyknął Zach ostrym głosem.

- Spójrzcie, chłopaki, kogo tu mamy! Pan oficer kochający Murzynów! - zawołał kapral wyzywająco. Błysnął białkami i zaciskając pięści, ruszył do Zacha, podczas gdy jego kompani cofnęli się o pół kroku.

Major poczuł woń potu i nieprzetrawionego alkoholu. Nie zamierzał ustąpić. Nie przypuszczał, aby osiłek ośmielił się zaatakować oficera.

A jednak.

Cios był niepewny i wyprowadzony zbyt wolno. Zach odparował lewą ręką, a prawą pięścią łupnął z całej siły, mierząc w nos napastnika. Rozległ się trzask gruchotanych kości, bluznęła krew. Osiłek jęknął z bólu i zachwiał się, łapiąc się oburącz za zmiażdżoną twarz. Kompani stali, jakby ich zamurowało, ale tylko przez ułamek sekundy, bo zaraz całą szóstką rzucili się na Zacha.

Z dwoma albo trzema dałby sobie radę, lecz sześciu rosnących chłopów to za dużo, zwłaszcza- jak przemknęło mu przez myśl - że będą walczyć

bez pardonu i nie puszczą go żywego. Za pobicie oficera groziła przecież kara śmierci.

Ale nie oddał pola. Kopnął pierwszego z brzegu w twarz. Ten zatoczył się, pociągając drugiego. To dało Zachowi czas, by dobyć szabli. Sądził, że na ten widok napastnicy pierzchną, byli jednak zbyt głupi albo zbyt pijani, by pojąć, że oto stracili przewagę.

Ten, którego Zach dosięgnął kopniakiem, splunął krwią, zacharczał i sięgnął po kolta, lecz major Zach był szybszy. Ciął szablą w szyję, niemal pozbawiając go głowy. Drugiego trafił w brzuch. Ze strasznej rany trysnęła krew i wypłynęły trzewia.

Trzech spośród pozostałych, zdjętych śmiertelnym strachem, rzuciło się do ucieczki, ale jeden został. Zach odwrócił się instynktownie, słysząc podejrzany łomot za plecami. W samą porę, bo osiłkowaty kapral - on to bowiem został na placu boju - natarł na niego. W bladym świetle lampy błysnął nóż. Zach cofnął się, by lepiej wyprowadzić skuteczny sztych szablą, i usłyszał, że ktoś nadbiega. Hamish! Miał jednak spory dystans do pokonania. Zach wymierzył w głowę osiłka. Wziął zamach i... poślizgnął się, tracąc równowagę. I ten ułamek sekundy wystarczył, by nóż rozplątał mu bok. Major zaklął i pchnął szablą jak bagnetem z taką mocą, że ostrze przeszło osiłka na wylot.

- I niech go diabli! - syknął Zach przez zęby, wrywając stal z martwego już ciała.



Rany boskie! - Hamish kiwał głową, patrząc na rozplątane ciała, Jeżące na ulicy w kałużach krwi. Plamy krwi czerwieniały także na ścianach

domów. - Wystarczy zostawić cię na chwilę i zaraz urządzasz rzeźnię - mruknął z nutą podziwu w głosie.

- A ty, czemuś tak zwlekał? - Zach wytarł szablę o mundur jednego z zabitych.

- Nie zwlekał, tylko dostał zadyszki po paru krokach - rozległ się znajomy głos. Pani de Beauvais zjawiała się nie wiadomo skąd.

Była chyba w szpitalu z wieczorną wizytą - pomyślał Zach. Co za kobieta! Gdy okoliczni mieszkańcy pośpiesznie zamykali okiennice, udając, że niczego nie słyszą i niczego nie widzą, ona nie wahała się ani chwili. Przybiegła, słysząc, że coś się dzieje. Wsunął szablę do pochwy. Czarny dżentelmen, o którego poszło, zniknął gdzieś w mroku

- Nie powinna pani chodzić sama, a tym bardziej po nocy - rzekł Zach.

Zignorowała jego słowa. Z uwagą pochylała się nad ofiarami, badając, czy tli się w nich choć iskierka życia.

- Musiał ich pan zabijać?

- Trzech uszło z życiem. Uciekli!

- Ale i tak ich znajdziemy - mruknął Hamish gniewnie.

- Artylerzyści, zapewne z jednego oddziału, da się ich odszukać. -

Zach poczuł wilgotny chłód z boku. Mundur nasiąkał krwią. Nagle siły go opuściły

- Leci z ciebie jak z dziurawej beczki! - zawołał Hamish, ruszając na pomoc, lecz wyprzedziła go pani de Beauvais.

Objęła Zacha wpół, podając ramię, żeby się na niej wsparł.

- Jest pan ranny.

- To nic takiego. - Czuł przez ubranie jej gorące ciało.

- Ładne mi nic takiego - prychnęła. - Mundur całkiem przesiąkł.

Niech pan to weźmie. - Wcisnęła mu do ręki zwinięty kłęb materiału, włóczkową torebkę, jak się domyślił - z którą przysłała na uroczystość do Elise Santerre. - Niech pan to przyciśnie do rany, to powstrzyma krwotok, a zaraz dojdziemy do szpitala.

- A po co? To tylko draśnięcie - zaprotestował.

- Niech pan nie będzie głupcem. Szpital jest zaraz za rogiem.

- Nie marudź, tylko idź z panią - rzucił Hamish. - Ja zajmę się resztą. Nie potrzebuję, żebyś mi się tu wykrwawił.

- Właśnie - dodała pani de Beauvais stanowczym tonem. -

Idziemy, chyba że nie wierzy pan w moje umiejętności.

Nic już nie powiedział, wsparł się na niej i dał się poprowadzić w mrok pachnący jaśminem, krwią i kobietą, która zjawiała się w samą porę.

Rozdział 9

Skęcili w rue Bienville. Obejmowała go w pasie, a on wspierał się na jej ramieniu. Liście bananowców w ogrodzie za płotem zaszumiały, targnięte powiewem nocnej bryzy. Skądś dobiegały strzępy rozmów i szum fontanny. Zwykłe dźwięki, znajome domy, ale nic poza tym nie było ani zwykłe, ani znajome.

- Dlaczego? - przerwał milczenie Zach, gdy skęcili za róg, a krajobraz po bitwie znikł przysłonięty wielkim dwupiętrowym domem w hiszpańskim stylu. - Dlaczego pani to robi?

- Bo wiem, że w tym klimacie nawet najmniejsze zadrapanie zaczyna

się błyskawicznie paskudzić, i wiem, jak nieostrożni, wręcz głupi, potrafią być mężczyźni. Zawsze im się wydaje, że rana sama się zagoi.

- Troszczy się pani o mnie? Pochlebia mi to.

- Niepotrzebnie. Zatroscyłaabym się o psa, a nawet skunksa, gdybym go znalazła w takim stanie na ulicy. - Wyczuła przez ubranie, że Zach zaśmiał się bezgłośnie, i poczuła, że przez jej ciało też przebiega dreszcz. Nagle zdała sobie sprawę, że go obejmuje, że czuje bicie jego serca, że pod znienawidzonym granatowym mundurem kryje się mocne męskie ciało. Zawstydziała się własnej reakcji i ogarnął ją lęk. - Postąpił pan bardzo szlachetnie, ratując tego człowieka - odezwała się po chwili.

- A cóż w tym niezwykłego? Że chodziło o Murzyna?

- Nie o tym mówię i dobrze pan to wie. Ale swoją drogą nikomu z tej bandy, którą pan rozpędził, nie mieści się pewnie w głowie, że człowiek o czarnej skórze może być lepiej wykształcony, mądrzejszy i bogatszy od każdego z nich. Wie pan, tu w Nowym Orleanie, jest niemal tylu *gens de couleur*, ilu niewolników.

- Rozumiem, wykształconych, bogatych, ale i tak nie mających prawa głosu - zadrwił.

- Ja też nie mam prawa głosu - szepnęła jakby do siebie.

- I to też nie jest w porządku.

Powiedział to szczerze i po prostu. Zaskoczył ją. Większość ludzi, a już na pewno mężczyzn, traktowała prawa wyborcze kobiet jak żart. On jednak był inny.

Źle, pomyślała. Zrobiła źle, oferując pomoc, źle, dotykając go, źle, obejmując, pozwalając wspierać się na ramieniu jak komuś bliskiemu. Przecież to nieprzyjaciel, wróg. Ale nie cofnęła ramienia.

- Lubi pan to, prawda? Lubi pan zabijać! - rzuciła.

Milczał, westchnął tylko i znów ją zaskoczył. Wyczuła bowiem głęboki żal.

- Nie - odparł po chwili. - Nie lubię.

A jej przed oczami stanął obraz, który zapamięta na długo. Jego wyszczerzone zęby i złowieszczy świst szabli spadającej na kłębiącą się ludzką sforę. To było straszne, straszniejsze nawet niż zabójstwo Henriego Santerre'a. Owszem, widywała, i to nieraz, ofiary walki, nigdy jednak nie była świadkiem rzezi.

- Śmiał się pan.

- Byłem wściekły. Chcieli mnie zabić.

- A na czym polega wojna? Na zabijaniu, prawda?

- To nie była wojna. Ci ludzie byli po prostu głupi.

- Nie lubi pan bójek, rozumiem, ale wojnę chyba tak.

- Tego nie powiedziałem.

Gdy doszli do szpitala, Emmanuelle pociągnęła za sznurek dzwonka.

- Chyba jednak tak, skoro został pan żołnierzem. Przestał się na niej wspierać, odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

- Pani pragnie być lekarzem. Czy to znaczy, że lubi pani oglądać śmierć?

Spojrzała na niego, lecz w bladym świetle latarni przy szpitalnych drzwiach, niewiele mogła zobaczyć.

- *Mein Gott!* - padło od drzwi, gdy wreszcie otworzyły się z trzaskiem. Młody człowiek o kulach z niedowierzaniem i zdumieniem spojrzał na Emmanuelle i na mężczyznę w zakrwawionym granatowym mundurze.

Miał dziewiętnaście lat, nazywał się Hans. Przed pięcioma laty wyjechał z rodzicami z targanych wojną Niemiec, ale w Ameryce też nie

zaznał szczęścia. Kiedy wybuchła wojna, trafił oczywiście do wojska i stracił stopę w potyczce z jankeskim patrolem przy Bayou Creve i tak znalazł się we francuskim szpitalu, w którym już został.

- Pomóc pani? - spytał z przyciężkim germańskim akcentem.

- Dam sobie radę, ale przynieś mi gorącej wody z kuchni. - Weszli już do środka i Emmanuelle zapaliła lampę.

- Już niosę.

- Co to za jeden? - spytał Zach, odprowadzając kalekę wzrokiem.

- Hans? Pomaga nam i dogląda pacjentów w nocy.

- Kaleka?

- Nigdzie indziej nie znalazłby zajęcia, a nam się przydaje.

-Wprowadziła majora do starannie wysprzątanego pokoju naprzeciwko swojego gabinetu. - Niech pan zdejmie kurtkę i koszulę - poleciła, nie patrząc na niego, bo raptem poczuła się skrępowana jak nigdy dotąd, a przecież, choćby w tym pokoju, widziała niejednego nagiego mężczyznę. - Szablę oczywiście też - odpowiedziała, pragnąc, aby zabrzmiało to jak najbardziej rzeczowo.

Rozpinał kurtkę, kręcąc się w kółko i oglądając pomieszczenie - okna bez firanek, stół z kamiennym blatem i wyszorowaną do białości drewnianą podłogę.

- A więc tutaj przeprowadza pani operacje?

- A myślał pan, że co? Sekcje? - burknęła, zdejmując rękawiczki i kapelusz.

- Jeśli chciała mnie pani przestraszyć, to udało się pani. Patrzyła na jego dłonie, zręczne, zgrabne, o długich palcach.

I znów stanął jej przed oczami obraz z ulicy, gdy te dłonie dzierżyły szablę, zadając rany i śmierć.

- A od dawna tu jest?
- Kto? - Podeszła do umywalki, żeby umyć ręce.
- Hans.
- Ach - on. Od trzech lat. Pracował z nami, zanim jeszcze został ranny.

- A kiedy stracił stopę?
- W maju, jeśli dobrze pamiętam. Zanim pana opatrzę, muszę przemyć ranę, sprawdzić, czy nie wplątały się w nią nitki z munduru. - Skończyła mycie i odwróciła się do pacjenta.

Stał wsparty o stół, jedną ręką przytrzymał zaimprovizowany opatrunek, drugą złożył na biodrze. Był szczupły, ale nie chudy, silny, wspaniale umięśniony. Szeroka klatka piersiowa połyskiwała śniado w świetle lampy. Emmanuelle odebrało oddech.

- Przyniosłem wodę, madame.

Oprzytomniała, odebrała z rąk Hansa emaliowaną miednicę, podziękowała, odesłała chłopca i zamknęła za nim drzwi. Odwróciła się do Zacha i znów ją sparaliżowało. Co, u diabła? -zaklęła w duchu. Męskie ciało nie miało dla niej tajemnic. Widziała w swoim życiu więcej nagich mężczyzn niż niejedna *filie de joie* z nadrzecznych burdeli, więc co, u diabła! Nie pojmowała, skąd nagle taka nieśmiałość, takie, takie... nieprofesjonalne zachowanie.

- Nie palę - oznajmił ni stąd, ni zowąd. Drgnęła.

- Słucham? - zdumiała się, a w jego oczach zapaliły się iskry rozbawienia i coś jeszcze, co zaraz ukrył.

- Powiedziałem, że nie palę, na wypadek, gdyby zachciało się pani obejrzeć moje płuca.

- Proszę się nie bać, do tego typu studiów używamy zwłok, a pan

jeszcze się nie kwalifikuje.

- To mnie pociesza.

- No, czas obejrzeć ranę. - Stanowczym ruchem odsunęła jego dłoń z tamponem.

Cięcie okazało się spore, nóż rozplątał cały niemal bok, rana mocno krwawiła.

- Żebra w porządku - oceniła. - Ale stracił pan sporo krwi.

-Dotknęła go powyżej rany. Skóra była ciepła i gładka, mięśnie twarde jak stal. Zach syknął.

- Boli?

- Nie.

- Ale będzie. - Zmoczyła kawałek płótna w wodzie i zaczęła przemywać ranę. Wokół panowała cisza tak głęboka, że słyszała jego oddech.

- Gdzie pani się tego nauczyła? - spytał, jakby cisza zaczęła mu ciążyć.

- O co pan pyta, nie rozumiem? - rzuciła przez ramię, dobywając z szafki buteleczkę spirytusu.

- No, gdzie się pani uczyła? Sprawdziłem, tutaj ani francuska, ani amerykańska akademie medyczną nie przyjmują kobiet.

- Niestety. - Gdy zaczęła przemywać ranę spirytusem, zasyczał z bólu.

- Więc gdzie pani studiowała? W Paryżu? Skończyła przemywanie.

- Taki miałam zamiar, chciałam wrócić do Paryża i studiować. -

Odłożyła spirytus na miejsce, wzięła zwój bandażu, igłę i jedwabne nici.

- Ale nie wyjechała pani.

- Nie.

- Dlaczego?

Spojrzała na niego spod oka.

- A co to pana obchodzi?

- Obchodzi mnie morderstwo na Henrim Santerze, a pani była na miejscu zbrodni.

- I dlatego interesuje pana moja osoba? - Pochyliła się nad raną, ściągając oba jej brzegi.

- Dlatego.

Bez uprzedzenia ze złością wbiła igłę w żywe ciało. Syknął z bólu.

- Widzę, że lubi pani zadawać ból. Ale nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

- Na które? - Wprawnymi ruchami ściągała ścięgi. Zajęta, nie spostrzegła nawet, że wsparła się biodrem o jego udo, a gdy sobie to uświadomiła, zgubiła ścieg. Wytężyła uwagę. Zawsze była dumna, że z szyciem ran daje sobie radę lepiej niż Henri i Philippe. - Zadał pan dużo pytań, monsieur.

- Pytałem, gdzie się pani uczyła.

- No cóż, do akademii przyjmują tylko mężczyzn, ale jak się da dwadzieścia dolarów profesorowi, to każdy może słuchać wykładów, nawet kobieta. - Zakończyła zszywanie rany, końcówkę jedwabnej nitki zaplotła w zgrabny węzeł. - Ale znacznie więcej nauczyłam się od ojca i Henriego Santerre'a.

- A od męża? Nie odpowiedziała.

- Niech pan to przytrzyma. - Przyłożyła opatrunek do rany.

- To dość niezwykcyjne. Syn bardzo bogatej rodziny zostaje lekarzem...

- Wcale nie. - Zaczęła go bandażować. - Jest wielu lekarzy wśród

plantatorów.

- Tylko że de Beauvais to nie tylko plantatorzy.

- Philippe miał trzech starszym braci. Miał małe szanse, że cokolwiek odziedziczy. - Wzruszyła ramionami. - I tak też się stało.

Bandaż na śniadej skórze wyglądał olśniewająco biało. Pierś o barwie ciemnego złota poruszała się rytmicznie w takt oddechu. Emmanuelle znów poczuła dziwny ucisk w sercu.

- Zna pani kogoś, kto posługuje się kuszą?

Drgnęła. Pytanie było tak niespodziewane, że aż otworzyła usta.

- Słucham?

- To dość rzadka broń, a wygląda na to, że pani ją zna. Z miejsca rozpoznała pani strzałę, też zresztą niezwykłą, ze srebrnym grotem.

Zastanawiała się gorączkowo, co odpowiedzieć. Zaprzeczyć nie mogła, ale na wyjawienie prawdy też nie mogła sobie pozwolić. Milczała, patrząc, jak Zach sięga po koszulę i zaczyna ją wkładać, wolno, niezgrabnie, z wyraźnym trudem. Rana zaczęła mu doskwierać. Każdemu innemu natychmiast pomogłaby się ubrać. Teraz nawet się nie ruszyła.

- Philippe... - odezwała się wreszcie, nerwowo skubiąc fałdy spódnicy. - Philippe chadzał na polowania z kuszą. Lubił to. - Nie dodała, że pociągały go różne niezwykle sprawy i rzeczy, a im bardziej tajemnicze i niezwykłe, tym chętniej im się oddawał.

- Philippe... pani mąż?

- Tak.

Wciągnął kurtkę i zapiał guziki.

- Jest pani pewna, że on nie żyje?

Pytanie proste, najprostsze w świecie, a ją jakby obuchem zdzielił.

Cały dzień zastanawiała się nad jednym. Kto?

Jeśli Henri Santerre nie był celem, jeśli to nie ona miał zginąć, to kto, kto chciał jej zadać śmierć? I dopiero teraz, gdy padło to proste pytanie, zdała sobie sprawę, że Philippe... Philippe mógł mieć powody, aby ją zabić.

Tylko że Philippe nie żył.

Spojrzała na szablę Jankesa, podniosła ją i podała mu.

- Jeśli pan pyta, czy widziałam zwłoki, to odpowiedź brzmi nie. Nie widziałam. A gdzie są? O to niech pan zapyta swoich. Zabili go przy Bayou Creve. - Spojrzała na niego wzrokiem pełnym nienawiści. - Tak, panie majorze, pańscy ludzie go zabili i pańscy ludzie go pochowali.

Rozdział 10

Hans wezwał powóz, wyszedł z majorem, a gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, Emmanuelle zaczęła dygotać. Drżały jej ręce, nie mogła ustać na nogach. Idąc na górę - chciała zobaczyć nieszczęsnego Emile'a Rouanta, bo przecież po to wyszła wieczorem z domu - poczuła się tak słaba, że musiała się oprzeć o ścianę. Trzęsła się jak osika i nie mogła się opanować.

Bała się.

Lęk przenikał ją do szpiku kości, ścisnął żołądek, chwycił za gardło, nie pozwalał oddychać.

Nie było już żadnych wątpliwości. Nie mogło być.

Henri Santerre zginaj przypadkiem.

To ona była celem.

Ktoś chciał zabić ją i ten ktoś nie tylko umiał posługiwać się kuszą, ale doskonale wiedział, gdzie może znaleźć i kuszę, i komplet małych, lecz niezwykle skutecznych strzał.

Kto?

Antoine La Touche albo Philippe!

Obaj za młodu uganiaли się z kuszami po mokradłach, polując na brzegach Beau Lac.

To z rąk swego kuzyna - Antoine'a - Philippe otrzymał skrzynkę z kuszą, strzałami, wodą święconą, krzyżem i osikowym kołkiem.

Tylko że Antoine nie miał chyba żadnego powodu, aby czyhać na jej życie, a Philippe...Nonsens. Oderwała się od ściany, zła na siebie za absurdalne podejrzenie i uleganie lękom i słabości.

Przecież żaden z nich nie jest i nie mógł być mordercą, a już na pewno nie Antoine.

A Philippe nie żył.

Porucznik Emile Rouant leżał w malignie, cierpiał strasznie. Gdy odzyskiwał przytomność, błagał, żeby mu pomóc. Nieistniejąca ręka bolała go ponad ludzkie wyobrażenie.

Emmanuelle robiła z Hansem wszystko, co się dało. Przemywała chłopca octem, okładała zwilżonymi prześcieradłami, podawała opium i tak przez całą noc, do czwartej rano, kiedy zjawił się stary Senegalczyk Rudolph, pielęgniarz pracujący w szpitalu od dziesięciu lat. Przejął dyżur, a Emmanuelle, ledwie powłócząc nogami, udała się do domu, żeby złapać parę godzin snu i zająć się synem. Wróciła do szpitala o dziesiątej, zaraz po mszy za Henriego Santerre'a. Rouant spał, ale miała gorzką świadomość, że zostały mu już tylko godziny życia.

Zaszyła się w starym gabinecie Henriego. Śmiertelnie zmęczona

usiadła w jego fotelu, patrząc półprzytomna na zieleń za oknem.

- Sen to nie luksus i nie powinnaś go sobie odmawiać, a wygląda na to, że niewiele spałaś.

- Antoine! - Ocknęła się i objęła go na powitanie, całując w policzek, jak to przyjęte we Francji między przyjaciółmi. Amerykanie, którzy nie byli wylewni i witali się sztywno, co najwyżej podając sobie ręce, zawsze się temu dziwili. - Miło, że przyszedłeś.

Przyjrzał jej się uważnie. Uśmiechała się, ale jej oczy mówiły coś zupełnie innego.

- Coś się stało?

- Jeden z pacjentów, młody chłopak, dogorywa. - Westchnęła.

- Nie powinnaś tak tego przeżywać, *bebe*. - Pogłaskał ją po policzku. - Każda śmierć jest bezlitosna.

- Rozmawiałaś z Claire? - zmieniła temat.

Skrzywił się. Nie przepadał za młodszą siostrą, ona za nim też nie.

- Martwisz się, czy nie powiedziała temu Jankesowi o skrzynce z kuszą i resztą broni na wampiry? Bądź spokojna, nie powiedziała, a poza tym nie ma się czym przejmować. Owszem, kusza była dość niezwykła, ale istnieje przecież wiele podobnych. To samo dotyczy całego zestawu.

Świadczy o tym fakt, że Santerre'a ustrzelono z czegoś takiego.

- Jest gorzej, niż myślisz, Antoine. Komplet, który dałeś Phillipe'owi, zginął.

- *Mon Dieu*. - Z wrażenia przygryzł wargi. - Teraz rozumiem, dlaczego zależało ci, żeby ten Jankes nie dowiedział się o kolekcji Philippe'a.

- A skąd ty to miałeś?

Nie odpowiedział; spojrzął tylko na nią, jakby rozbawiony pytaniem.

- Rozumiem, nie muszę wiedzieć, powiedz tylko, czy ci albo ten, od kogo to kupiłeś, bądź dostałeś, będzie milczeć?

- Tego nie wiem, a zresztą domyślasz się, od kogo to wzięłem...

- Nie mam pojęcia.

- Od Papy Johna.

Otworzyła usta w niemym przerażeniu. W głowie jej huczało.

- Emmanuelle, co się z tobą dzieje? - przeraził się. Gestem nakazała mu milczenie.

- Powiedziałam wczoraj temu zandarmowi, że Henri często jeździł do Papy Johna na bagna.

- Oszalałaś!

- Chciałam, żeby przestał węszyć wokół szpitala. Myślałam, że to odciągnie jego uwagę od nas...

- Rozumiem - odezwał się Antoine spokojniejszym tonem. - Nie przejmuj się. Papa John zna największe tajemnice tego miasta. Niczego nie powie. Chyba - zmarszczył czoło - chyba że się mylę.



Sącząc kawę, Zach przyglądał się leniwie dwóm starszym już Kreolom, grającym w domino przy sąsiednim stoliku, w Café del Aquila na rogu ulicy św. Anny i Chartres.

- A nikt ci nie mówił, przyjacielu, że ranny powinien leżeć, a nie szwendać się po mieście - zadudnił Hamish, nadchodząc wreszcie.

- To nie rana, tylko zadrapanie, a poza tym nie łążę, tylko siedzę.

- Zadrapanie! - Hamish przysunął sobie krzesło, żelazne nogi mebla zazgrzytały o kamienną posadzkę. - Trzech facetów z Ohio bardzo się

ucieszy, gdy się dowie, że nic ci nie jest.

- Dopadłeś ich?

- Dopadłem. - Hamish zdjął kapelusz i zaczął się wachlować, chłodząc spocone oblicze. Znów zrobiło się parno. - Rozmawiałem też z towarzyszem naszego Angola. Okazuje się, że to nałogowy karciarz. Grywa stale na statkach pływających po rzece. Ten jego towarzysz przysięga, że Yardley rzeczywiście spędził z nim wieczór, ale innych świadków nie ma.

Zach dał znak kelnerowi i zamówił dwie kawy.

- Ma długi?

- Jeszcze nie wiem, ale jak na doktora, to obraca się w dziwnym towarzystwie. Mówią, że Santerre miał do niego o to pretensje.

- Yardley twierdzi, że przyjaźnił się z Philippe'em de Beauvais... - Zach przerwał, bo kelner wrócił z zamówieniem i stawiał właśnie Filizanki na stoliku. Każdy jego gest wyrażał najwyższą pogardę. Jankesi psuli interes. Miejscowi unikali miejsc, gdzie bywali żołnierze w granatowych mundurach, ale też żaden kelner, kupiec czy rzemieślnik nie śmiał odmówić żadnemu z nich w obawie o skutki. Gdy bowiem w jednym ze sklepów nie chciano obsłużyć żołnierza Unii, generał Butler urządził pokazówkę - kazał zlicytować sklep z całym towarem.

- A to, że uważał Philippe'a de Beauvaise'go za przyjaciela, ma jakieś znaczenie? - spytał Hamish konfidencyjnym tonem, gdy kelner zostawił ich samych.

- Nie wiem, może. Tymczasem chciałbym, żebyś sprawdził jeszcze jednego typu. Nazywa się Hans, pracuje w szpitalu Santerre'a jako pielęgniarz. Był ponoć w wojsku i, wedle panide Beauvais, w maju został ranny. Zorientuj się, ile w tym prawdy i co to za człowiek.

Hamish kiwnął głową na znak, że zapamiętał i że oczywiście zajmie

się sprawą. Zaraz potem zrobił tajemniczą minę.

- Nie pytasz o kuszę?

- No, bracie, widzę, że nie zmarnowałeś przedpołudnia.

- Pracowałem jak wół, ale warto było. Znalazłem człowieka, nazywa się La Barre i twierdzi, że posiadał kiedyś... posłuchaj uważnie, zestaw do zwalczania wampirów!

- Wampirów? Zestaw?

- A właśnie. - Hamish swoim zwyczajem zastrzygł wąsami. -Cały komplet przyrządów czy przedmiotów, bo Bóg jeden raczy wiedzieć, jak to nazwać, do obrony przed wampirami. W skład takiego zestawu wchodzi krzyż, fiolka ze święconą wodą, kołek z osiki oraz miniaturowa kusza z kompletem czterech strzał o srebrnych grotach!

- To ciekawe. I co ten gość z tym zrobił?

- Twierdzi, że pozbył się tego zeszłej wiosny, dał to jakiemuś królowi wudu w zamian za lubczyk.

- Lubczyk pomógł?

- Tego mi nie powiedział, ale zdradził mi, gdzie znaleźć tego króla. To stary Murzyn, mieszka nad zalewem Sauvage, nazywają go Papa John. A swoją drogą to dziwne... Słyszałem o królowych wudu, ale o królach nigdy.

- Ciekawe, a wiesz, że ja też słyszałem o tym szamanie. -Zach przerwał, patrząc z zainteresowaniem na ruch uliczny. Jakiś Grek w tureckim fezie zachwalał lody, obok niego stanął Indianin, sprzedający dmuchawki, i Mulatka w czerwonym zawoju, śpiewnie polecająca imbirowe piwo. *Mere douce!* - wołała. - Zimne jak lód!

- Ów Papa przybył tu z Santo Domingo. Ponoć stał tam na czele powstania.

- Rebelii niewolników?

- Zaczęli wyzwoleńcy, *gens de couleur*, oburzeni, że tamtejsi Francuzi mają za nic hasła swojej własnej rewolucji o wolności i równości.

- Może, ale pamiętam, że skończyło się to rzezią wszystkich białych. Nie było to przyjemne. - Hamish upił łyk kawy. - Nieważne. A skąd tyle wiesz o tym Papie Johnie?

- Od madame de Beauvais. Twierdzi, że Santerre często go odwiedzał.

- Co ty powiesz? Lekarz jeździł do króla wudu? A po co?

- Interesował się ludową medycyną, dowiadywał się o zioła i różne takie.

Hamish spojrział w niebo.

- Późno, cholera! - zaklął. - Nie da się obrócić w ciągu dnia.

- Zapowiada się księżycowa noc.

- Oszalałeś! - Hamish zerwał się z miejsca. - Mamy jechać nocą?

Na bagna pełne aligatorów? Do szamana, który pewnie niejedno ma na sumieniu? Mowy nie ma!

- Uspokój się, będzie pełnia.



Słońce miało się już ku zachodowi, gdy zostawili za sobą ostatnie rezydencje przy Esplanadzie i wyjechali na wąską drogę wśród mokradeł porośniętych cyprysami. Na początku okolica wyglądała jeszcze jako tako. Na co suchszych miejscach wznosiły chaty na palach, pasło się bydło, biegały półnagie dzieci.

Dalej jednak zaczęła się pustka- żadnych chat i żywego ducha. Wąska droga zamieniła się w ścieżkę wijącą się wśród bagien, nad którymi unosiły

się chmary owadów i bezgłośnie latały nietoperze. Koń Hamisha spłoszył się, gdy raptem nad ciemne lustro wody wychynął jakiś zwierz i pluskiem zanurzył się z powrotem.

- Myślę, że wcale się nie zdziwi - mruknął Zach. - Oczekuje nas.

- Kto? Ten szaman? A niby dlaczego?

- To proste, skoro my wiemy o jego istnieniu, to on z pewnością wie o naszym. - Zach zaśmiał się.

- Głupstwa gadasz - odparł Hamish i zaklął, ściągając cugle.

Wystraszony pohukiwaniem sowy koń, skręcił niespodziewanie w bok. -

Diabli nadali! Jedno tylko dobre, że nareszcie mamy ślad i jest podejrzany.

- Nie jestem pewien - odparł Zach półgębkiem.

- Jak to, nie jesteś pewien. Przecież facet ma kuszę!

- Ale nie sądzę, aby jej użył. Jeśli już, jeśli miałby zadać komuś śmierć, to znalazłby inny sposób, truciznę albo coś podobnego.

- Co nie zostawia śladów - dopowiedział Hamish.

- Właśnie. - Zach ściągnął cugle, zatrzymując konia, zaskoczony widokiem, jaki oto roztoczył się przed ich oczami.

Chata na pustkowiu wyglądała z daleka jak monstrualny grzyb i wcale nie przypominała prymitywnych domostw za miastem. Zbudowano ją solidnie, nawet z pewną elegancją, na wzór i podobieństwo chat w afrykańskich wioskach.

Na mieszkalne piętro wiodła drabina, sporządzona bez użycia gwoździ. Szczeble przywiązano do dwóch pali jakimś włóknem, rafią czy czymś takim.

W otwartych drzwiach stał wysoki, chudy czarnoskóry mężczyzna.

- To ile pan miał lat? - zawołał Zach, jakby wracając do przerwanej rozmowy.

- Dwanaście.

- O czym wy, do licha, mówicie? - spytał Hamish zaintrygowany pytaniem i odpowiedzią.

- O Afryce. Pytałem, kiedy opuścił Afrykę - wyjaśnił jego przełożony, zeskakując z siodła. - Zaprosi nas pan na górę czy zejdzie pan na dół? - zwrócił się do gospodarza.

- Wchodźcie, wchodźcie.

Papa John - bo on to był - wyglądał zgoła niezwykle. Czarna jak heban skóra, znaczona plemiennym tatuażem, świadczyła o tym, że urodził się w Afryce. Z czernią ciała kontrastowała biała jak śnieg, elegancka koszula. Musiał mieć co najmniej osiemdziesiąt lat, ale trzymał się prosto, a czarne włosy tylko gdzieś tam przetykane były siwizną.

Pomieszczenie na górze okazało się nader obszerne, umeblowanie skromne, ale wygodne. Stół, łóżko i siedziska sporządzono z tego samego materiału co chatę. Obok łóżka stała rzeźbiona w skomplikowany ornament szafka czy rodzaj kufra. Spod krokwi zwisały pęki suszących się ziół, wypełniając wnętrze symfonią aromatów, mieszającą się z wilgotną wonią ciągnącą z bagien i ostrym zapachem nafty z palącej się jasnym płomieniem nowoczesnej lampy.

Poza ziołami zwisającymi spod powały nic innego nie wskazywało na profesję właściciela, ale tylko na pierwszy rzut oka. Sporą bowiem część pomieszczenia zasłaniała czerwona kotara, którą zaraz i bez pytania Hamish odsunął. Oczom gości ukazał się rząd półek na ścianie, wypełnionych szklanymi, porcelanowymi i drewnianymi naczyniami z - jak można się domyśleć - gotowymi już miksturami i lekami.

Hamish stanął jak wryty, nie mając odwagi podejść bliżej. Słyszał, że wyznawcy wudu trzymają jadowite węże, i wołał nie ryzykować. Ale

jedynym żywym stworzeniem za kotarą był kot. Wielki, biały, wylegiwał się na jednej z półek i leżał tak nieruchomo, że przez moment Zachowi wydawało się, że to jakaś rzeźba, ale zwierzak otworzył ślepią, łypiąc na gości.

- Nie, nie trzymam żmij - odezwał się Papa John z rozbawieniem w głosie. - A tego, czego szukacie, też nie mam.

- A skąd pan wie, czego szukamy? - spytał Hamish podejrzliwie.

Papa John wzruszył ramionami.

- Broń przeciwko wampirom, a po cóż miałbym to trzymać? Tylko biali w to wierzą. - Mówił ze śpiewnym francuskim akcentem. - Pozbyłem się tego zeszłej wiosny.

- To znaczy?

- Sprzedałem.

- A komu? - Hamish ochłonął już ze zdziwienia, że Murzyn przejrzał ich zamiary.

Papa John nie odpowiedział od razu. Biały kot dał nagle susa z półki, lądując u nóg właściciela i Papa John pochylił się, żeby podrapać go za uchem.

- Nie przedstawił się, a nigdy przedtem go nie widziałem -odpowiedział wreszcie na pytanie przybysza.

- A jak wyglądał? - Hamish nie dał się zbić z tropu; był wytrawnym policjantem i zawsze drażył sprawy do końca.

- Był biały, a wszyscy biali wyglądają podobnie. - Papa John wydał dziwny dźwięk, jakby zamlaskał językiem, i kot natychmiast skoczył mu na ramiona.

Dla Zacha było oczywiste, że Hamish traci czas. Papa John z pewnością nie powie niczego, czego nie będzie chciał powiedzieć. Zaczął

więc przyglądać się pękcom ziół pod powałą. Rozpoznał naparstnicę i prawoślaz lekarski, który zbiera się na bagnach, lecz innych nigdy przedtem nie widział.

- Mówią, że potrafi pan czytać w ludzkich myślach - rzucił z nagłą, przenosząc wzrok na starca.

- Czytać w myślach? A po co? - Nie trzeba czytać myśli, żeby wyczuć lęk - spojrział wymownie na Hamisha - albo wyrzuty sumienia - dodał, przenosząc wzrok na Zacha.

Ten drgnął, ale nie dał nic po sobie poznać.

- Mówią też, że potrafi pan przepowiadać przyszłość.

- Czego to ludzie nie opowiadają?!

- Opowiadają, że Henri Santerre bardzo pana szanował i był pańskim przyjacielem. - Zach zmrużył oczy, bacznie obserwując reakcję starca. - Powiedział mu pan, co go czeka?

- Henri był już bardzo stary, sam wiedział, że czeka go śmierć.

- A jednak mógł jej uniknąć.

- Śmierci nikt nie uniknie. - Papa John poczłapał do drzwi i ogarnął wzrokiem zalew widoczny za konarami cyprysów. - Śmierć jest pisana każdemu, a przeznaczenia nie da się zmienić. - Odwrócił się i spojrział na Zacha. - Powinniście się już tego nauczyć.

- Nie wierzę w przeznaczenie, każdy jest panem swego losu.

- To prawda, podejmujemy decyzje, robimy to, robimy tamto, ale...

Skąd się biorą przypadki, które tak często zmieniają nasze losy?

Słońce zaszło już za horyzont i wszystko spowiała kurtyna mroku, jakby świat poza chatą przestał istnieć.

- A gdyby pan zniszczył kuszę, zamiast ją sprzedawać?

-podpowiedział Zach cichym głosem.

- Łatwo jest zabić człowieka, tak mężczyznę jak i kobietę, i dobrze pan o tym wie, kapitanie - odrzekł starzec, nie spuszczać z niego wzroku. Hamish wstrzymał oddech, słuchając tej dziwnej, pełnej napięcia konwersacji.

- Majorze - sprostował Zach bez cienia emocji w głosie.

- Oczywiście, przepraszam. I przepraszam, że nie zaproponowałem panom czegoś do picia. Może trochę *biere douce*?

- Dziękujemy, ale musimy się już zbierać.

Hamish, wbrew temu, czego się jego przełożony spodziewał, nie zaprotestował. Miał widać dość starca i dziwnej rozmowy. Bez słowa ruszył do drzwi i zszedł po drabinie na dół. Zach zatrzymał się w drzwiach.

- Powiada pan, że nabywca zestawu nie wyjawiał swego nazwiska, ale chyba pan wie, kto to był.

W oczach Murzyna pojawiły się iskierki rozbawienia.

- To prawda, ale przypadkowa wiedza bywa czasami niebezpieczna, majorze, a poza tym nie kupił tego dla siebie, lecz na prezent dla przyjaciela.

Nareszcie cię konkretniej wiadomości!

- Podał jego nazwisko?

- Nie było potrzeby, ów przyjaciel tak fascynował się wampirami i kuszami, że zestaw był jakby dla niego stworzony.

W zagajniku zahuczała sowa, głucho echo poniosło się nad rozlewiskiem. Było już ciemno. Sylwetki koni majaczyły niewyraźnie w świetle księżyca.

Czy potrzebna panu jeszcze jedna wskazówka, kapitanie? A może jeszcze jeden trup?

- Chodzi o Philippe'a, prawda? Philippe'a de Beauvais. Starzec nie zareagował, tylko patrzył.

- Ale Philippe nie żyje - szepnął Zach.
- Tak mówią.
- Pan też tak powiedział.
- Czyżby?
- Powiedział pan, że się „fascynował”, a to czas przeszły.
- Rzeczywiście, nie pomyślałem, pomyliłem się.
- Nie sądzę. Pan nie popełnia błędów.
- A jednak, majorze. Wszyscy błądzimy, bo jesteśmy tylko ludźmi.
- Chcę wiedzieć wszystko co dotyczy Philippe'a de Beauvais'go - zwrócił się Zach do swojego podopiecznego. - Popytaj ludzi, jaki był, jak zginął.
- Tak jest - odparł służbiście Hamish, gdy ruszyli w drogę do miasta. - A ty, mara nadzieję, odpoczniesz wreszcie - dodał patrząc z troską na przyjaciela. - Martwię się o ciebie, rana pewnie ci dokucza.
- Nie ma o czym mówić, a na razie zamierzam złożyć wizytę w szpitalu. Panią de Beauvais czeka poważna rozmowa.

Rozdział 11

Znalazł ją na piętrze.

Stała bez ruchu, z opuszczoną głową, pośrodku sali mieszczącej cztery łóżka. Musiała słyszeć kroki i na pewno wiedziała, że to on, bo ciągle jeszcze utykał, ale nawet nie drgnęła.

Stała jak posąg, zatopiona w myślach. Przez otwarte okna niosła się woń jaśminów i oliwek, gnana od ogrodów ciepłym powiewem nocnej bryzy. Trzy z czterech łóżek były puste, czwarte, pod oknem, na którym -jak Zach pamiętał - spoczywał porucznik Emile Rouant, zaciągnięto białym prześcieradłem.

- Niech pan tu nie wchodzi. Proszę, niech pan odejdzie -szepnęła, nie patrząc. Gardło miała ściśnięte, głos jej się łamał.

Wziął ją za ramię i obrócił twarzą ku sobie. W oczach miała łzy, twarz poszarzałą z rozpacz.

- I tak żył dłużej, niż było mu pisane - szepnął.
- Wiem, ale tak mi przykro.
- Nie było dla niego ratunku, wiedziała to pani od samego początku.
- Nie cofnął ręki, nadal trzymał ją delikatnie za ramię.

Gdy podniosła wzrok i na niego spojrzała, oczy jej błyszczały.

- Wiedziała i to było najgorsze. Tak mało jeszcze umiemy. Człowiek gaśnie, a my nic nie potrafimy zrobić.

- Kiedyś to się zmieni.

Przestała nad sobą panować. Wstrzymywane łzy spłynęły jej potokiem po policzkach. Zaczęła szlochać, tuląc się do niego, szukając

pociechy. Nie przyszedł, aby ją pocieszać. Przyszedł z oskarżeniem, że nie powiedziała wszystkiego, że utrudnia śledztwo. Chciał jej zagrozić, zmusić do mówienia, a tymczasem... Objął ją i przygarnął do siebie. Nie stawiała oporu. Szlochała jak dziecko w jego ramionach. Pachniała liliami, nocą i sobą, a on garnął ją do siebie, pozwalając, by w jego ramionach wypłakała całą swoją rozpacz.



Odprowadził ją do domu. Szli przez śpiące miasto i tylko echo kroków niosło się przez puste ulice malowane księżycem i migotliwym światłem lamp.

Szli w milczeniu, obok siebie, oboje pogrążeni w myślach, zatrwożeni tym, co stało się w szpitalu. Nie chciała tego, on też wzbraniał się przed pożądaniem, które paliło go od początku, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Pragnął tej kobiety, ale jej nie ufał, pożądał, lecz tak wiele ich dzieliło.

- Widział się pan z Papą Johnem? - spytała Emmanuelle, nie mogąc już znieść ciężaru milczenia.

Wyczuł lęk w jej głosie. Nie odpowiedział od razu. Podniósł głowę, spoglądając w nocne niebo, czyste, połyskujące miliardem gwiazd. Zwykle nad miastem unosiły się wilgotne opary od rzeki i rozlewisk. Dziś było inaczej.

- A dlaczego mi pani nie powiedziała, że pani mąż to miał? Dlaczego wysłała mnie pani nad rozlewisko?

- Dopiero dziś po południu dowiedziałam się, skąd to miał.
Powiedziała to szczerze, uwierzył.

- A więc wysłała mnie pani za miasto, żebym dał pani spokój w

szpitalu? O to chodziło, prawda? Wyszło jednak inaczej, wyprawa okazała się nader owocna.

- Niestety.

- Więc powie mi pani, gdzie to się teraz znajduje?

- Kusza i reszta? Przytaknął.

- Nie wiem. Były w sypialni Philippe'a, widziałam je jeszcze niedawno, po jego śmierci, ale zniknęły. W sypialni Philippe'a! Spojrzał zdumiony, jakby widział ją po raz pierwszy. Spokojna, opanowana na zewnątrz, ale przecież to maska, pod którą kłębią się namiętności. I oto okazuje się, że nie dzieliła sypialni z mężem, sypiała osobno!

- Zdaje sobie pani sprawę, że mógłbym zarządzić rewizję, przeszukać dom i szpital.

- Nie sądzę, aby zechciał pan to zrobić. Gdybym miała kuszę, to przecież nie trzymałabym jej ani w domu, ani w szpitalu.

- A kto mógł ją zabrać?

- Myśli pan, że powiedziałabym panu, gdybym wiedziała?

- Owszem.

Mijali właśnie Cabildo - zbudowany jeszcze przez Hiszpanów fort, który ongiś strzegł miasta i portu. Nad murami górowały maszty statków zacumowanych na rzece.

- A swoją drogą - odezwał się Zach w zamyśleniu - pani mąż miał niezwykle zainteresowania... - wampiry i kusze.

- Fascynowało go zjawisko śmierci, legendy, obrzędy... -przerwała, szukając właściwego słowa - ...istota śmierci. - Westchnęła jakby zmęczona wspomnieniem. - Czasami przychodziło mi do głowy, że właśnie dlatego zajął się medycyną. Chciał pokonać śmierć.

- Wygląda, że różnił się wielce od Henriego Santerre'a?

- To prawda, ale też był wspaniałym lekarzem, wybitnym chirurgiem, oddanym pracy...

- ...i swojej pasji.

- To cecha ludzi wybitnych.

- A Henri Santerre? Też interesował się wampirami i kuszami?

- Ani trochę. Dziwił się fascynacjom Philippe'a, ale je tolerował, póki nie przeszkadzały w pracy.

- A nie przeszkadzały?

- Te nie - odparła, a Zach dostrzegł w jej oczach jakby cień smutku czy żalu.

Wziął ją za ramię.

- Dlaczego Henriego Santerre'a zabito z kuszy pani męża? Wyrwała mu się, przygłęła do ściany budynku, przy którym stali.

- Nie wiem, sama zadaję sobie to pytanie - odparła złęczona. Bała się siebie, bała jego i tego, co może nastąpić.

Stał nad nią. Wielki, mocarny, męski i groźny w swoim granatowym mundurze, którego nienawidziła z całej duszy i serca.

- Nie mówi pani całej prawdy.

Pokręciła głową, patrząc mu prosto w oczy. Zdawała się taka mała, taka drobna, taka krucha.

- Niczego nie ukrywam.

Wsparł się rękami o mur, zamykając jej drogę ucieczki. Zadrżała z lęku i... oczekiwania.

- I chce pani, żebym w to uwierzył? Do diabła! - zaklął.

- Kiedy wreszcie pani zrozumie, że nie jestem wrogiem?

- Pan jest moim wrogiem - odparła z mocą.

Chwycił ją za podbródek, zmuszając, żeby na niego spojrzała.

- W tej sprawie nie jestem i nie będę, chyba że pani świadomie i rozmyślnie ukrywa zabójcę.

- Myślałam, że to mnie pan podejrzewa.

- Strzał z kuszy? To nie w pani stylu.

- Ale uważa pan, że mogłabym zabić.

- Tak, tak uważam - odrzekł szeptem, przeciągając palcem po jej policzku. - Sądzę, że potrafiłaby pani zadać śmierć, nie na zimno i z wyrachowaniem, ale pod wpływem impulsu, emocji... Na pewno tak.

- Nie kieruję się emocjami i nie jestem impulsywna.

- Czyżby?

Marzył o pocałunku. Marzył o jej ustach od tamtego wieczoru, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Nie obchodziło go, że jest w żałobie, że niedawno owdowiała, że w tej wojnie stoi po drugiej stronie, że ciąży na niej podejrzenie o straszliwą zbrodnię. Rozpalała go, pociągała tak bardzo, że nic się nie liczyło.

A ona to wiedziała. Czytała namiętne pragnienie w jego oczach, słyszała jego oddech, pełen nieokiełzanej żądz. Wiedziała też, że wystarczy go odepchnąć, rzucić niechętnie słowo, uczynić gest, a on odejdzie i pozwoli jej odejść. Nie wykonała jednak żadnego gestu, nie wypowiedziała żadnego słowa, patrzyła tylko na niego szeroko otwartymi oczami.

Zamknęła je, gdy jego wargi dotknęły jej ust. Przywarła do niego, chłonąc pocałunek, ofiarowując mu to, czego tak bardzo pragnął, wbrew wszystkiemu i wszystkim.

Przyciągnął ją do siebie, zgłodniały jej ust i ciała, przepelniony pragnieniem. I byłby ją wziął, tak jak stali, na ulicy, ale oderwał się od niej, uwolnił z uścisku.

Spojrzała na niego zdyszana, wiedząc, że oboje otarli się o

szaleństwo, od którego nie byłoby już odwrotu.

- Nie powinniśmy... - szepnęła, drżąca, rozdygotana, rozpalona tak samo jak on.

- Nie powinniśmy... Ale oboje wiedzieliśmy, że to Się stanie. Mówił prawdę.

- Mój mąż zginął ledwie trzy miesiące temu - szepnęła.

- A przedtem sypiał w osobnej sypialni. Od dawna?

- To nie ma nic do rzeczy. - Skuliła się w sobie, otaczając się ramionami jak tarczą.

- Przeciwnie, ma - odrzekł, nie będąc do końca przekonany, czy mówią o tym samym.

Patrzyli na siebie. Poryw wiatru zaigrał w jej włosach. Zach westchnął i cofnął się o krok, uwalniając ją od siebie.

- Stąd jest już blisko. Sama dojdę do domu.

- Nie, odprowadzę panią.

Milczeli, idąc; nie padło już ani jedno słowo, a gdy doszli do jej domu, Zach odwrócił się na pięcie i odszedł, nie oglądając się za siebie.

Rozdział 12

Dwa dni później, jadąc z oddziałem przez miasto, Zach usłyszał nagle hymn konfederatów - *The Bonny Blue Flag*, „Piękny, błękitny sztandar” - śpiewany głosem tak młodym i dźwięcznym, że nie sposób było nie zwrócić uwagi.

Takie manifestacje patriotyzmu, a zarazem pogardy dla okupantów wcale nie należały do rzadkości.

Zach uważał, że nie ma się czym przejmować, ale generał Butler był innego zdania. Zakazał manifestacji i śpiewów, a wszelkie przejawy nieposłuszeństwa w tyra względzie karał z całą surowością. Posunął się nawet do tego, że nakładał grzywny na uczniów, którzy swoje zeszyty zdobili wizerunkami konfederackiej flagi.

- Jedźcie dalej, kapralu, a ja się rozejrzę za łobuzem. - Zach odłączył od oddziału, zauważając kątem oka blond czuprynę wystającą zza beczek ułożonych na placu przy ulicy.

Młody śpiewak nawet nie zauważył, kiedy Zach zajęczał go od tyłu. Był wysoki jak na swój wiek - po głosie sądząc miał około jedenastu lat. Znoszone, ale czyste i zadbane ubranie świadczyło, że nie jest ulicznikiem.

- Zdajesz sobie sprawę, że mógłbym cię wsadzić do kozy za takie śpiewy?

Chłopiec podskoczył jak na sprężynie.

- Nie boję się! - krzyknął, lecz widać było, że zdjął go lęk. Zerkał na bok, oceniając szanse wyrwania się z pułapki.

- Nie boisz się? To dlaczego chcesz uciekać?

- Kiedy dorosnę, pójdę na wojnę i zabiję wszystkich Jankesów - prychnął Dominik de Beauvais, bo to on stał oko w oko z Zachem,

- Nie sądzę, aby mama ci pozwoliła.
- Moja mama nienawidzi Jankesów. Oni zabili mojego papę.
- Twoja maman nienawidzi przemocy.
- Ale nie wobec Jankesów - odparł hardo Dominik.
- Chyba się mylisz, mój chłopcze - odrzekł Zach, mając przed oczami obraz Emmanuelle, gdy pochylała się nad nieszczęśnikami, którzy zginęli z jego ręki na ulicy Conti.

- Zamknij mnie pan w więzieniu?

Zach nie odpowiedział od razu. Udał, że się namyśla.

- Tym razem ci daruję, ale uważaj, żebym cię znowu nie przyłapał.
- Niech żyje Jeff Davis i Beauregard*! - zawołał syn Emmanuelle de Beauvais i zerwał się do ucieczki.

Zach nie próbował go zatrzymać.

** Jefferson Davis - prezydent Konfederacji; Pierre Beauregard - generał wojsk konfederackich, zwycięzca bitwy nad rzeką Bull Run, 21 lipca 1861 roku, kiedy armia konfederatów zagroziła stolicy, podchodząc na 30 kilometrów pod Waszyngton.*



Słyszałam, że miałeś starcie z jankeskim oficerem? Emmanuelle przyglądała się, jak syn zabiera się do jedzenia zupy. Był wyraźnie spięty.

Usłyszała o jego przygodzie od pewnego Włocha, ulicznego sprzedawcy, który całymi dniami krążył po mieście z wózkiem owoców. Nie

znała szczegółów, ale to, co stary Włoch opowiedział, wystarczyło, żeby ją zmartwić.

Dominik uniósł brwi, zaskoczony pytaniem. Jak to się dzieje, że matka zawsze o wszystkim wie?

- Śpiewałem *The Bonny Blue Flag* - oświadczył z dumą.
- To bardzo nierozsądnie z twojej strony, syneczku.
- Wcale się go nie bałem! Nienawidzę Jankesów, to hołota i rabusie.
- Posłuchaj mnie, chłopcze. - Emmanuelle nachyliła się nad synem.
- Tak nie wolno mówić. Kolor munduru nie świadczy o człowieku.

- Jak to? - zdumiał się Dominik. - Przecież wiem, że ich nienawidzisz. Pamiętam, co powiedziałaś, gdy ta twoja znajoma z Baton Rouge opowiedziała, jak Jankesi ją napadli i wszystko ukradli. Powiedziałaś wtedy, że to potwory i żeby ziemia ich pochłonęła, wszystkich.

- Nie sądziłam, że słuchasz. - Emmanuelle zasepiła się, martwiąc się, że młody człowiek mógł także usłyszeć dalszy ciąg opowieści o wydarzeniach w Baton Rouge. Siepacze w granatowych mundurach nie tylko złupili dom, ale i zgwałcili córkę. Biedaczka do tej pory nie otrząsnęła się z szoku. - Byłam wtedy bardzo zła, a w złości mówi się różne rzeczy.

- A więc nienawidzisz Jankesów czy nie? - spytał takim tonem, jakby oskarżał ją o zdradę.

Mogłaby oczywiście powiedzieć, że nienawidzi ich z całego serca, i uciąć sprawę, ale nigdy w rozmowach z chłopcem nie uciekała się do kłamstwa. Zawsze traktowała go poważnie.

- Nie powinno się nienawidzić kogoś, kogo się nie zna - odparła, starannie dobierając słowa. - Nigdy nie wolno wyciągać zbyt pośpiesznych wniosków. Kolor munduru, jak kolor skóry, jeszcze o niczym nie świadczy, mój drogi. Ludzie są różni, biali i kolorowi, mężczyźni i kobiety, jedni

chodzą do kościoła, inni nie. Nie wolno mówić, że ktoś jest zły tylko dlatego, że nosi taki, a nie inny mundur.

- Ale oni robią nam krzywdę, prawda?

- Prawda.

- A więc są źli!

- Chciałabym, synku, żeby to było takie proste, ale nie jest.

-Emmanuelle westchnęła, uznając, że jednak trzeba zakończyć rozmowę. -
Idź umyj buzię. Babcia czeka, już jesteśmy spóźnieni, musimy się śpieszyć.

- A mogę wziąć dmuchawkę?

- Możesz, możesz, tylko się pośpiesz.



Biedne stworzenie niczego nie przeczuwało. Rozejrzało się wokół, uspokoiło, nie widząc żadnego kota, i czując się absolutnie bezpiecznie, przysiadło na konarze wielkiego orzecha przy płocie okalającym rezydencję na Esplanadzie. Młoda jeszcze, niedoświadczona, oceniła Emmanuelle, przyglądając się wiewiórce na drzewie, nie zdaje sobie sprawy, że groźniejszy od kota może być chłopiec uzbrojony w dmuchawkę - wydrażony bambusowy kij - i pociski z jałowca. Uznała, że bez jej interwencji wiewiórce grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Ani mi się waż - uprzedziła syna. - Jeśli tylko wycelujesz w tego zwierzaka albo w jakiegokolwiek żywe stworzenie, będziesz miał ze mną do czynienia.

Dominik westchnął z żalem, ale posłuchał. Wycelował dmuchawkę w zwieńczenie płotu, posłał pocisk i aż podskoczył z radości, że trafił w sam środek. Wystraszona nagłym ruchem wiewiórka smyrnęła w górę, kryjąc

się w koronie drzewa.

Emmanuelle też westchnęła, myśląc z goryczą o niezwykłej miłości syna do „męskich” rozrywek. Uwielbiał łapanie ryb, przepadał za polowaniami i jazdą konną.

- Takie jest życie - mawiał Philippe. - Tak właśnie żyje się na plantacji, łowi ryby, poluje, jeździ konno. Im wcześniej mały się nauczy, tym lepiej.

- Już się nauczył, a co gorsza przepada za tym.

- I uważasz, że to źle? - Philippe zmarszczył czoło, jak zwykle, gdy mówił o poważnych sprawach. - Popatrz tylko na niego. - Wziął ją za rękę, co w ostatnich latach niemal się nie zdarzało. - Jest szczęśliwy. Może nie jest dokładnie taki, jak sobie wymarzyłaś, ale jest mu dobrze w świecie, w którym żyje, czego ani ty, ani ja nie możemy niestety o sobie powiedzieć. My jesteśmy obcy, a on, o dziwo, znakomicie w tym świecie funkcjonuje i niech tak zostanie.

- Pewnie masz rację. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. Philippe miał rację, pod każdym względem. Sprawiała więc małemu wszystkie zabawki, które tak go radowały - noże, strzelby, dmuchawki, sporządzane na wzór i podobieństwo prawdziwych, indiańskich śmiertelnych narzędzi i zwożone do miasta przez czerwonoskórych handlarzy. Stawiała tylko jeden warunek, aby nigdy, przenigdy nie celował w nic, co żyje. Dominik pewnie nie zostanie ani lekarzem, ani uczonym, mimo to powinien rozumieć, że życiem szafować nie wolno.

- Maman! - zawołał, wyrrywając ją z zamyślenia. - Znowu jesteśmy spóźnieni. U dziadków jest już mnóstwo gości.

Na dziś właśnie Marie Therese zaprosiła panie na wspólne szycie i Emmanuelle - sama nie wiedząc dlaczego - postanowiła jednak przyjść i,

jak przystoi dobrej synowej i świeżo owdowiałej małżonce bohatera wojennego, wnieść swój wkład w dzieło szycia koszul dla „dzielnych chłopców” cierpiących w jankeskich więzieniach. Dlaczego nigdy wcześniej nie przychodziła na takie patriotyczne posiedzenia? No cóż, wielu rzeczy nigdy wcześniej nie robiła. Nie pozwalała się całować mężczyźnie, który był wrogiem, nie garnęła się do człowieka we wraźnym mundurze. Co gorsza, nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia, przeciwnie - na myśl o tym człowieku biło jej serce i ogarniało ją wielkie, przeogromne, bezwstydnego pożądanie.

- Maman - ponaglił ją Dominik.
- Już idę.



Nie minęła nawet godzina, gdy Emmanuelle zaczęła w duchu żałować, że zdecydowała się tu przyjść. Siedziała z Claire La Touche w salonie pod oknem i klnąc w duchu, próbowała przyszyć rękaw do koszuli.

Szło jej gorzej niż opornie.

- To w ogóle nie pasuje jedno do drugiego. - Westchnęła zrezygnowana.

- *Alors!* - Claire rzuciła okiem na „dzieło” Emmanuelle. - Pewnie, że nie pasuje, skoro przyszyłaś do góry nogami.

- Wiedziałam, że nie powinnam tu przychodzić.

- To po co przyszyłaś? - Claire zaśmiała się, patrząc wymownienia Marie Therese, która w drugim końcu pokoju szeptała z dwiema równie wiekowymi jak ona damami. - Jej i tak nie przekonasz do siebie, nawet gdybyś była równie doskonałą szwaczką, jak lekarką.

- Przyszłam, bo... - zaczęła Emmanuelle i przerwała. Nawet sobie nie potrafiła wytłumaczyć, a co dopiero Claire, że dręczy ją dziwne poczucie osamotnienia, a nawet nie osamotnienia, lecz wyobcowania, jakby raptem znalazła się w pustce. Przyszła do Marie Therese na damskie spotkanie, licząc, że to jej pomoże. -Przyszłam - zaczęła jeszcze raz - chyba dlatego, że nigdy nie bywałam na tych spotkaniach, a powinnam - dodała, ogarniając wzrokiem salon. Większość pań ubrana była w czerni. Niemal każda kogoś straciła, jak nie syna, to męża, jak nie ojca, to brata.

- Daj spokój - ucięła Claire. -I tak robisz dużo dla sprawy.

- Ty też.

- Ale z innych powodów - odparła Claire, jakby nieobecna albo wylękniona. Oczy jej zmatowiały.

- Claire - zaczęła Emmanuelle, ale nie dane jej było dokończyć zdania, bo w drzwiach salonu wyrósł Baptiste z tacą pełną kanapek i pokojówka z kawą.

- *Eh bien.* - Marie Therese klasnęła w dłonie, jakby miała poprowadzić przedstawienie. - Emmanuelle, Claire, podejdźcie tu proszę. Emmanuelle, ty zajmiesz się kawą, a Claire poda kanapki. No, dziewczynki, do roboty!

Zabrały się więc do podawania, gdy nagle Claire upuściła tacę i z przejmującym jękiem osunęła się na podłogę.



Zach był akurat na przystani, wykonując kolejne niewdzięczne zadanie. Rekwirował barkę z ładunkiem soli, którą przemytnicy zamierzali cichaczem przetransportować za linię frontu i dostarczyć konfederatom, gdy

nadbiegł zdyszany i spocony z pośpiechu kapral.

- Panie majorze! - Zasalutował, usiłując przekrzyknąć właściciela statku.

Ten nie dawał za wygraną; błagając i grożąc na przemian, usiłował uratować cenny ładunek przed konfiskatą.

- Mam specjalne zezwolenie od samego generała Butlera!

- Wymachiwał świstkiem papieru.

- O co chodzi? - zwrócił się Zach do żołnierza.

- Kapitan Fletcher kazał powiedzieć, że doszło do kolejnego zabójstwa.

- A sam nie może się tym zająć?

Zziębnięty żołnierz zamrugał. Nie miał nawet szesnastu lat. Dopiero przechodził mutację. Basował i piał jak kogut co drugie słowo.

- Kapitan mówi, że nie. Mówi, że pan major zechce zająć się tym osobiście. Zamordowano kobietę, białą, tutejszą.

Wielki Boże! Emmanuelle! Zach poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Znowu! Zimny pot wystąpił mu na czoło, z trudem łykał powietrze. To jego wina. Nie powinien był do tego dopuścić.

- Nazwisko ofiary? - wykrztusił wreszcie ochryłym głosem.

- Kapitan powiedział, że Claire, Claire La Touche i że pan major będzie wiedział, o kogo chodzi. Powiedział też, że ją otruto.

Zach zachwiał się na nogach i chwycił kurczowo burty barki.

- Gdzie?

- W takim dużym domu na Esplanadzie. Właściciele mają francuskie nazwisko... de... coś tam... zapomniałem, ale kapitan powiedział, że pan major na pewno będzie wiedział.

- De Beauvais - szepnął Zach, patrząc niewidzącym wzrokiem na

białą czapkę wznoszącą się do lotu nad ciemną wodą kanału.

- O właśnie! - zawołał kapral. - Już sobie przypomniałem.

Rozdział 13

Emmanuelle stała na werandzie; ściskając poręcz, patrzyła na ogród zlane promieniami zachodzącego słońca. Na dębie, który przysłaniał kuchenne okno, para sójek wyśpiewywała wieczorne trele, jak wczoraj, jak przedwczoraj i jak to będzie robić jutro. Dziś jednak ptasi ćwierk pobrzmiwał jakby z innego świata, a Emmanuelle czuła, jak lęk przenika jej ciało do szpiku kości.

Nie mogła pojąć, ani kto, ani dlaczego zabiera bliskie jej osoby. Nie miała jednak żadnych wątpliwości, że śmierć Henriego Santerre'a i śmierć Claire są ze sobą złączone jak dwie ręce tej samej osoby, i wiedziała też, że koszmar wcale się nie kończy.

Zach pochylił się nad złotowłosą kobietą leżącą na sofie pod oknami, w salonie Marie Therese de Beauvais. Okna otwarto, na oścież, ale powietrze stało i każdy oddech wymagał wysiłku.

Nie powinna była zginąć. Była taka pełna życia i pełna wiary. Nie zasłużyła na cierpienia, a umierała w strasznych mękach. Zach czuł, że ogarnia go złość, a zarazem lęk. Złość paliła jak ogień, lęk skuwał serce jak lodem. Wiedział, miał pełną jasność, że jeśli nie zdemaskuje zabójcy, jeśli go nie powstrzyma, to morderstwom nie będzie końca.

- O której to się stało? - rzucił do Hamisha, nie patrząc na niego.

- Ze dwie godziny temu, tak powiedziała pani de Beauvais.
- Jest tu jeszcze?
- Na werandzie. Była świadkiem agonii.
- Świadców było chyba więcej - prychnął Zach, ogarniając wzrokiem stosy uszytych koszul i pociętych bandaży.
- Starsza pani co miesiąc organizuje szycie dla chłopców osadzonych na Ship Island - wyjaśnił Hamish. Wyjął wielką chustkę i otarł pot z czoła.
- Nie podoba mi się to wszystko. Za dużo trupów. Człowiek zaczyna się rozglądać, kto będzie następny.
- Skąd wiesz, że to była trucizna? Hamish podrapał się po głowie.
- Tak powiedziała pani de Beauvais.
- Przeprowadź ją.



Weszła do pokoju sama. Błada, wstrząśnięta, ale zdumiewająco opanowana, co obudziło w nim stare podejrzenia. Czy ona nigdy nie traci nerwów?

Odgadła albo wyczuła, o czym myśli.

- Niech pan tego nie mówi - uprzedziła go, nim powiedział słowo.

Podszedł do niej, chłonąc oczami jej delikatne rysy. Zdawał sobie sprawę, że powinien, że musi wznieść mur między tym, co stało się tu, a tym, co zaszło w cieniu Cabildo.

- Czego mam nie mówić? Że ma pani fatalny zwyczaj pojawiania się w nieodpowiednim miejscu i w nieodpowiednim czasie? Że zginęła kolejna z bliskich pani osób? - Emmanuelle drgnęła i Zach z miejsca pożałował ostrych słów. - Proszę mi powiedzieć, co tu się stało - odezwał się

łagodniejszym tonem.

Splotła ręce ze zdenerwowania.

- Podawałyśmy z Claire kawę i kanapki... - Głos jej się załamał.

Zmilkła na chwilę. -I nagle dostała konwulsji. Chciałam wziąć jąna górę, ale nie dałam już rady. Serce jej nie wytrzymało.

- Czy jeszcze ktoś z obecnych poczuł się źle?

- Nie.

- Pani podawała kanapki, prawda? Wzięła głęboki oddech, tłumiąc oburzenie.

- Rozumiem, do czego pan zmierza, majorze, ale jest pan w błędzie. Jeśli Claire otruto, to nie w tamtej chwili, ale wcześniej.

- Na jakiej podstawie tak pani sądzi?

- Bo już wcześniej zauważyłam, że oczy jej mętnieją. Siedziałyśmy obok siebie.

- Ktoś jeszcze zwrócił na to uwagę?

- Nie, ale sekcja z pewnością wykaże, że ją otruto. Trucizna działa z opóźnieniem, lecz potem nie ma już ratunku. Myślę, że to wrotycz.

- Co takiego?

- Wrotycz pospolity, zioło. Mnóstwo tego rośnie w tych okolicach.

Liście i łodygi zawierają rodzaj olejku przydatnego do zwalczania pasożytów przewodu pokarmowego i - przerwała szukając stosownego słowa - używa się tego również w pewnych kobiecych sprawach.

- A więc to lek?

- W małych dawkach tak, ale w większych jest groźny. Wystarczy siedem, osiem kropeł, żeby wywołać konwulsje. -Zamyśliła się. -

Niewykluczone, że Claire to brała i że wzięła zbyt dużą dawkę.

- Nie wierzę, pani chyba też nie. - Spojrzał na nią, mrużąc oczy.

Nie odpowiedziała. Rozmowę przerwała głośna wymiana zdań w holu.

- Tam nie wolno wchodzić! Proszę pana, kapitan Fletcher wydał wyraźny rozkaz.

Sekundę później w drzwiach do salonu stanął Antoine La Touche. Pozornie spokojny, ale blade jak śnieg oblicze i zbiełałe kostki u dłoni zaciśniętych na kulach świadczyły o tym, że jest wzburzony do granic wytrzymałości. Obok niego, jak moskit, krążył żołnierz, próbując zagrozić mu drogę.

- *Mon Dieu*, Antoine. - Emmanuelle natychmiast podbiegła do niego. Ucałowała go i objęła.

Zach poczuł ukłucie w sercu.

Antoine odwzajemnił uścisk. Przyciągnął ją do siebie, szukając pociechy.

- *Alors* - szepnął. - A więc to prawda. - Zamknął oczy, trwał chwilę w milczeniu, po czym z głuchym stukotem kuli podszedł do siostry.

- Chcę ją stąd zabrać - powiedział. - Natychmiast.

- Obawiam, że to niemożliwe, sir, a przynajmniej nie zaraz - rzucił Hamish. Wartownik poderwał się na baczność.

- To jest moja siostra, sukinsynu. - Antoine odwrócił się tak gwałtownie, że z trudem utrzymał równowagę.

- Przykro mi. - Hamish udał, że nie usłyszał inwektywy. - Będziemy musieli przeprowadzić sekcję zwłok.

- Co takiego?! - ryknął Antoine.

Nim oficerowie zdążyli zareagować, Emmanuelle położyła rękę na jego ramieniu.

- Tak trzeba. Tylko w ten sposób można ustalić przyczynę zgonu.

Popatrzył najpierw na nią, potem przeniósł wzrok na Hamisha, a na koniec na Zacha.

- Nie - powiedział z mocą. - Nie pozwalam.

- Przykro mi - powtórzył Hamish. - Ale nie mamy wyboru, w tych okolicznościach sekcja jest niezbędna.

- Jeśli chcesz - zaoferowała się Emmanuelle, to będę przy tym asystować.

- Wykluczone - rzekł Zach.

- Dlaczego? Dlatego, że jestem kobietą? Proszę się nie martwić, brałam już udział w sekcjach.

Sama kroić trupy, pomyślał Zach z niejakim podziwem, patrząc na jej drobną postać. Jego sama myśl o sekcji przyprawiała o dreszcz obrzydzenia.

- Nie, proszę pani, nie dlatego.

- Więc dlaczego? - zdumiała się.

Z szeroko otwartymi oczami wyglądała jeszcze piękniej. Musiał zmobilizować całą siłę woli, żeby odwrócić od niej wzrok.

- Dlatego, że jest pani podejrzana.



O siódmej rano słońce paliło już tak mocno, że Zach spływał potem. Dochodził właśnie do cmentarza św. Ludwika. Dozorca Kessler przywitał go gromkim *Guten Morgen*.

Grobowiec Santerre'ów znajdował przy tej samej alejce co krypta Maretów, tylko dalej. Wiązanki kwiatów jawiły się jak kolorowa plama na tle bieli pomników i czerni żelaznych krat.

Zach z obnażoną głową stanął przy grobie, pogrążony w myślach.

Dwie gwałtowne śmierci, dwie ofiary w ciągu kilku ledwie dni. Stary doktor i młoda piękna kobieta. Doktor zginął od strzały, Claire La Touche otruto. Dwa różne przypadki czy przeciwnie? Czuł, że jest w tym wszystkim coś, czego nie potrafi dostrzec, coś, czego nie ogrania, ale coś ważnego, coś niezmiernie istotnego. Winił się za śmierć młodej kobiety.

Więc jak to jest, kapitanie? Pogubił się pan, prawda? A gdzie pańska niezłomna logika?

Wspomnienie wydarzeń sprzed dwóch lat zabolalo go bardziej niż kiedykolwiek. Wtedy, w forcie na pustkowiu, też stał w obliczu zagadki, której nie potrafił rozgryźć. Nie szefował wtedy żandarmerii, był zwykłym oficerem, ale fascynowały go zagadki, pysznił się, że każdą rozwiąże. Zajął się więc tajemniczymi zabójstwami. Zastanawiał się, co może łączyć ofiary, szukał rozwiązania, analizując sposób, w jaki morderca zadawał śmierć. Ginęli różni ludzie - starzy, młodzi, kobiety i mężczyźni -w różnych okolicznościach. I niestety, gdy wreszcie pojął, że morderca dobiera ofiary przypadkowo, aby jego - Zacha -wprowadzić w błąd, zakpić z niego i jego pychy, było już za późno.

Ale te przypadki są inne, muszą być inne. Ruszył w stronę bramy. A więc co łączy zabójstwo Henriego Santerre'a z morderstwem Claire La Touche? Wniosek nasuwał się sam - szpital i osoba madame de Beauvais. I może jeszcze coś, czego nie potrafił dostrzec.



Przed wejściem do szpitala kłębił się tłum. Dzieci biegały po chodniku, przekrzykując się wzajemnie. Pod murem w milczeniu przycupnęła gromada nędznie ubranych kobiet. Między nimi krzątała się

zafrasowana madame de Beauvais.

- Pamiętaj - mówiła do kobiety w czerni z zabiedzonym, pięcio - może sześciolatkiem na rękach - że musi jeść dużo zielonego. Wystarczą młode liście brodawnika, jeśli niczego innego nie znajdziesz. Sama też postaraj się jeść więcej świeżej zieleniny.

Na dźwięk ostróg pani de Beauvais podniosła oczy. Ich spojrzenia spotkały się. Zach dostrzegł błysk sympatii, ale ułamek sekundy później błysk zgasł równie nagle, jak się pojawił, ustępując miejsca wrogości.

- Nie mam teraz czasu, majorze - powiedziała bez żadnych wstępów i gdyby nie chwycił jej za rękaw, odeszłaby.

- Tylko dwa pytania.

Mały chłopczyk z ostrzyżoną do skóry głową, odziany w długą koszulę i nic ponadto, złapał go oburącz pod kolana i zaczął płakać. Zach schylił się, podniósł malca i wcisnął w ramiona wychudzonej kobiety o wypłowiałych rudych włosach i oczach, które mówiły, że zabiłaby go na miejscu, gdyby tylko mogła.

- Dwa pytania - powtórzył głośno.

Zaległa cisza, przerywana tylko szlochem małego. Wszystkie oczy obróciły się ku Jankesowi z nienawiścią tak ogromną, że zdawała się gęstnieć w powietrzu jak skwar poranka. Wiedzieli, że wcale nie musiał prosić ani o chwilę rozmowy, ani o nic. Był oficerem, nosił granatowy mundur i miał nad nimi wszystkimi władzę.

Czekał.

Emmanuelle de Beauvais obrzuciła go niechętnym spojrzeniem, a po chwili bez słowa poprowadziła go na dziedziniec, daleko od tłumu.

- Niech pan pyta.

- Kim są ci ludzie?

- W każdy wtorek i czwartek udzielamy bezpłatnych porad rodzinom naszych żołnierzy, wdowom i sierotom.

- Udzielamy? Nie widziałem Yardleya.

- Przyjdzie. Doktor Yardley daje z siebie znacznie więcej, niż się panu wydaje.

- Dlaczego?

- Dlaczego pracuje z takim poświęceniem czy dlaczego to ukrywa?

- Domyślam się, dlaczego się nie oszczędza.

- Czyżby? - Założyła ręce na piersiach, zmrużyła oczy, patrząc na niego z nieskrywaną wrogością.

- Zwrócił pan uwagę na tę rudą kobietę z dzieckiem na ręku?

- A powinienem?

- Nazywa się Mary Ann Cahill. Jej osiemnastoletni syn był na froncie i dostał się do niewoli. Zamarzył na śmierć w tym waszym osławionym Camp Douglas w Chicago. Jej mąż, Paddy, jeszcze żyje, jest w wojsku, w Wirginii, i właśnie dlatego, że Paddy walczy przeciwko wam, generał Ben Butler zarekwirował jej dom, taki mały budynek przy Annunciation, i wystawił na licytację. Człowiek, który go kupił, proponował, że jej odnajmie. Tylko że ona nie ma pieniędzy, w ogóle nie ma z czego żyć. Wyrzucili ją na ulicę tak, jak stała, z dzieckiem. Kupiec nazywa się tak jak generał, Butler, Andrew Butler, a żołnierzy do eksmisji przysłał szef żandarmerii, czyli pan, panie majorze.

Zach zacisnął zęby. Jeszcze przed dekretem Lincolna o konfiskatach Butler tuzinami rekwirował majątki w Nowym Orleanie, a teraz, gdy stanęła za nim ustawa, zaczął łupić miasto bez litości i zahamowań. Ostatnio tak zagustował w rodowych srebrach rdzennych mieszkańców, że dano mu przyzwisko Łyżka.

- Czy nigdy nie zastanawia się pan nad ich losem? - Madame de Beauvais aż poczerwieniała z gniewu. - Nie zastanawia się pan, czy te wyrzucane na ulice kobiety i dzieci mają gdzie pójść? Czy pan wie, że Mary Cahill, a takich jest więcej, koczuje po prostu w parkach? A co będzie w zimie? Proponowałam jej pokój w garsonierze, ale jest zbyt dumna, by przyjmować jałmużnę.

Zach zasepił się. Nienawidził rekwizycji; wszystko się w nim burzyło przeciwko ustawie, którą uważał za zaprzeczenie amerykańskich ideałów. Ale rozumiał też, że ustawa, jakkolwiek okrutna, była niezbędną, aby osiągnąć wyższy i szlachetny cel.

- Rose powiedziała mi, że jest pani przeciwko niewolnictwu.

- To prawda. Niewolnictwo jest złem.

- Skoro tak, to dlaczego stoi pani po stronie Konfederacji? Podeszła do niego wzburzona do ostateczności.

- W Nowej Anglii pięcioletnie dzieci tyrają w fabrykach po dwanaście godzin dziennie przez sześć i pół dnia w tygodniu. Dostają za to grosze, a pański rząd nie widzi w tym nic złego -wyrzuciła z siebie.

- To nie to samo, te dzieci nie są niewolnikami.

- Tylko formalnie. Przemysł Północy opiera się na taniej sile roboczej, nasze rolnictwo - na pracy niewolników. Jedno i drugie jest złe, a pan walczy z jednym, zapominając o drugim.

Miała racje. Wychował się i dorastał w Rhode Island i doskonale zapamiętał rzędy ponurych ceglanych budynków, do których świtem ciągnęły dziesiątki, a nawet setki dzieci o bladych twarzach i zapadniętych oczach. Większość umierała, nie dożywszy nawet nastu lat, a ci nieliczni, którzy przeżywali harówkę ponad siły i dorastając, zakładali rodziny, ślali swoje dzieci do tych samych fabryk, gdzie wypruwały żyły, bogacąc

bogatyh.

- Ale niewolnictwo to nie tylko wyzysk, to coś znacznie gorszego.

- To prawda - przyznała.

- Mimo to uważa pani, że walka o godność milionów ludzi, bo miliony żyją w niewoli, jest zła?

- Każda wojna jest zła. Nic i nigdy nie usprawiedliwi zabijania.

Niech pan pójdzie do tych ludzi, niech pan popatrzy na wdowy i sieroty.

Niech pan pójdzie na górę, niech pan popatrzy na młodych ludzi

okaleczonych na wojnie. Niech pan wreszcie pójdzie na cmentarz, niech pan

obejrzy rzędy grobów, w których obok siebie leżą ci z Południa i ci z

Północy. Wojna, monsieur, niczego nie rozwiązuje, przeciwnie, jeszcze

bardziej wszystko komplikuje.

- A więc uważa pani, że wojna nie ma sensu, a niewolnictwo powinno trwać?

- Ta wojna wcale nie toczy się o niewolników, i doskonale pan o tym wie. Gdyby chodziło tylko o niewolników, to ten pański prezydent Lincoln dawno wydałby dekret znoszący niewolnictwo.

Tymczasem wojna toczy się ponad rok, a ustawy o zniesieniu niewolnictwa jak nie było, tak nie ma.

- Będzie.

- Oczywiście, że będzie. Bez wojny też by ją wydano. Za pięć, może dziesięć lat. Niewolnictwo kończy się na całym świecie i wiele państw już wyjęło je spod prawa, bez walk, bez wojny, bez zabijania. Tymczasem skutki tej wojny odczuwać będziemy przez stulecie, a może i dłużej.

Zach nic nie odpowiedział. Zapadła cisza. Z wolna oboje się uspokajali. Z dala dobiegł płacz dziecka. Emmanuelle zaczęła nasłuchiwać.

- Wybacz pan, ale muszę już iść. Pacjenci czekają.

- Nie odpowiedziała pani jeszcze na moje pytania- zatrzymał ją.

Rozdział 14

A o co pan chce zapytać, majorze?

- Proszę sobie przypomnieć wieczór, kiedy zabito Henriego Santerre'a i proszę mi powiedzieć, czy widziała pani kogoś na cmentarzu?

- Już mnie pan o to pytał. Nikogo nie widziałam.

- Dozorca twierdzi, że było tam dwóch Murzynów, remontowali grobowiec swoich właścicieli. Widziała ich pani?

- Nie. - Pokręciła głową. - Cmentarz, jak pan wie, jest duży, grobowce wysokie, trudno kogoś zauważyć. - Założyła ręce na piersiach. - To jedno pytanie, a drugie?

- Proszę się skupić, chcę bowiem zapytać, czy poza szpitalem istniało coś takiego, co mogłoby łączyć Claire La Touche i Henriego Santerre'a? Cokolwiek? Może to być drobiazg albo coś wręcz nieistotnego, na przykład to, że oboje pasjonowali się operą albo urodzili się tego samego dnia? Proszę pomyśleć, bardzo mi na tym zależy.

Nie odpowiedziała od razu. Zmarszczyła czoło, przeszukując pamięć.

- Przykro mi, ale nic takiego nie przychodzi mi do głowy -powiedziała po chwili. - A rozmawiał pan z jej rodzicami?

- Owszem, wczoraj. Jej matka ma do pani ogromny żal, a szczerze mówiąc, obwinia panią za śmierć Claire?

- Mnie?

- Uważa, że gdyby nie pani, Claire nie została by wolontariuszką. Emmanuelle otarła czoło wierzchem dłoni; czuła się zmęczona, pracowała naprawdę ponad siły.

- No cóż, madame La Touche niewiele wiedziała o swojej córce.

- A pani?

- Chyba ją rozumiałam. Boleśnie przeżywała to, co się dzieje wokół.

- O czym pani mówi?

- O uprzedzeniach i zastałych obyczajach, o tym wszystkim, co nas otacza, o ograniczeniach, jakie nakłada na nas społeczeństwo.

- Może to panią zaskoczy, ale czytywałem i Mary Wollstonecraft*, i Johna Stuarta Millsa **. - Uśmiechnął się. - A czy nie zastanawiała się pani nad własnymi uprzedzeniami?

- Chodzi panu o mój stosunek do munduru, a zwłaszcza do granatowego?

- O niechęć do tych, którzy go noszą, a właściwie do mężczyzn w ogóle.

* Mary Wollstonecraft (1759-1792), brytyjska feministka, autorka *Vindication of the Rights of Woman* (1792) dzieła uważanego powszechnie za pierwszy manifest bojowniczek o równe prawa dla kobiet.

** John Stuart Mills (1768-1832), angielski filozof i ekonomista, twórca koncepcji utilitaryzmu, inicjator reform społecznych i równouprawnienia kobiet.

Emmanuelle spojrzała na niego pytająco.

Zmilczała, popatrzyła tylko na niego szeroko otwartymi oczami.

Sądził, że zaprzeczy, ale zmieniła temat.

- Czy wasi lekarze zakończyli już sekcje?
- Jeszcze nie, przyrzekłem jednak państwu La Touche, że postaram się, aby wydano im ciało na tyle szybko, by mogli jutro urządzać uroczystości czuwania. Niestety, trumny nie będzie można otworzyć.
- Poinformuj mnie pan o wynikach sekcji, mimo że jestem podejrzana?
- Poinformuję - odparł, przemilczając ostatnią uwagę. -A wracając do mojego drugiego pytania, to wie pani, co, poza szpitalem, łączyło Claire i Henri Santerre'a?
- Osoba Philippe'go de Beauvais'a i jego małżonki, czyli pani.



Późnym popołudniem, po całym dniu pracy, Emmanuelle wyprawiała się z synem i jego kolegą za miasto. Pojechali na błonia nad rzekę. Dzieci puszczały latawca, ciesząc się, że szybuje coraz wyżej i wyżej, ona zaś wspięła się na wzgórze, skąd roztaczał się widok na majestatyczną rzekę. Na jej brzegu wznosiły się na palach szałaszy pobudowane przez biedaków, których wojna wyrzuciła z miasta.

Od wody niosło chłodem. Nagły poryw targnął kapeluszem, tak że Emmanuelle musiała przytrzymać go ręką. Z dołu dobiegały radosne wołania chłopców, promienie słońca igrały w falach wielkiej rzeki, a jej łzy napłynęły do oczu, gdy nagle uświadomiła sobie, jak kruche jest to wszystko. Wystarczy chwila, jeden moment. Philippe, Henri, Claire. W nagłym odruchu chciała zbiec na dół, utulić syna, przekonać się, że jest cały i zdrow, że nic mu nie grozi, upewnić go, że ona - jego matka - jest z nim i zawsze będzie.

Pogrążona w myślach, nie dostrzegła jeźdźca. Trzymał się w siodle pewnie i z gracją, jakby wyrósł na plantacji. Jechał ku niej. Wróg, nieprzyjaciół, oprawca jej rodaków, a jednak na jego widok serce zabiło jej mocniej.

- Jak mnie pan tu znalazł?

- Wstąpiłem na rue Dumaine - wyjaśnił, zeskakując z siodła.

Przeszli razem kilka kroków, ku grani wzgórza. Koń - widać przyuczony - truchtał za swoim panem, skubiąc żdzbla trawy. Dominik trudził się nad splątana linką latawca.

- Są już wyniki sekcji? - przerwała milczenie. -Są.

- I cóż wasi lekarze stwierdzili?

- Potwierdzili pani diagnozę. Wrotycz - odparł, nie patrząc na nią. -

Przy okazji poprosiłem, aby wyjaśnili mi to, o czym pani wspomniała, że wrotycz „pomaga na pewne kobiece historie”. No i dowiedziałem się, że wrotycz wywołuje miesięczne krwawienie, inaczej mówiąc, kobiety sięgają po niego, gdy chcą się pozbyć dziecka. Emmanuelle zbladła, jakby serce przestało jej bić.

- Czy Claire... czy była w ciąży?

- Nie, ale też nie była dziewicą. - Spojrzał na nią uważnie. -Ale o tym chyba pani wiedziała?

Odwróciła się bez słowa, kierując wzrok w stronę chat nad brzegiem. Wzniesiono je palach, bo rzeka z wiosną zawsze wylewała. Między zabudowaniami gdakały kury i pochrząkiwały prosięta.

- Zna pani nazwisko człowieka, z którym się spotykała?

- Nie rozmawialiśmy o takich sprawach.

Nie skłamała, ale też nie powiedziała całej prawdy. Odwróciła się, spoglądając w zachodzące słońce. Zrobiło jej się zimno. Nawet w lecie tu na

wzgórzu nad rzeką wiało chłodem.

- I nie wie pani, komu mogło zależeć na jej śmierci? -napierał Zach.

- Nie wiem.

- Jej rodzicie, tak wniosłem z wczorajszej rozmowy, mieli ją za niewinną, dziewicę. Może nie znali prawdy, a może znali, tylko nie chcieli się przyznać. Ze wstydu albo lęku.

- A czegoż mieliby się bać? - Odwróciła się ku niemu. -Do czego pan zmierza? Sądzi pan, że to oni zabili Claire, bo straciła dziewictwo?

- To się zdarza, gdy rodzina czuje się upokorzona albo zbrukana postępowaniem młodej kobiety. Z tego, co się dowiedziałem, panna La Touche prowadziła raczej bujne życie. Wedle oceny lekarza, który przeprowadzał sekcje, nie stroniła od rzeczy, za które, jak by tu powiedzieć, w domach publicznych żądają dodatkowej opłaty.

- Rozumiem, ale niech pan sobie daruje szczegóły. - Emmanuelle zaczerwieniła się z lekka, widząc dziwne iskry w jego oczach.

- Zdarza się w takich przypadkach, że ojciec albo brat... -przerwał, szukając odpowiednich słów - ...sam wymierza sprawiedliwość, rozumie pani?

- Doskonale, ale Antoine nigdy by tego nie zrobił. - Powiedziała to chyba zbyt pośpiesznie, co nie umknęło jego uwagi.

- A czy panna La Touche była blisko z doktorem Santerre'em?

- Chyba pan nie myśli, że Henri...

- A dlaczego nie?

- *Mon Dieu*, przecież miał już swoje lata.

- To jeszcze nic nie znaczy - odrzekł z lekkim uśmiechem.

- Wykluczone, Henri był człowiekiem honoru, nie uwiódłby dziewczyny, która mogłaby być jego wnuczką.

- Ale mógł ulec wdziękom pięknej młodej kobiety. Wiemy już, że Claire była nad wyraz... śmiała w tych sprawach.

- Wykluczone - powtórzyła. - W życiu Henriego Santerre'a była tylko jedna kobieta, jego małżonka. Umarła trzynastu lat temu, ale on pozostał jej wierny jak za życia. - Dominik uporał się linką i czerwony latawiec znów pomknął pod niebo. - A poza tym... on nie lubił Claire. Owszem, doceniał jej pracę, ale nie godził się z jej postępowaniem.

- Wiedział, że Claire bierze opium? - Zaskoczył ją. - Zdaniem naszego lekarza, brała, i to regularnie. Proszę nie zaprzeczać, bo musiała pani o tym wiedzieć.

- To prawda, brała, nie sądzę, aby regularnie, ale z pewnością za dużo. Ostrzegałam ją, lecz nie chciała mnie słuchać.

- A skąd brała opium?

- No cóż, przed wojną nie było z tym problemu, a jak jest teraz, nie wiem.

Przed jedną z chat nad rzeką przysiadł Mulat i zaczął wyplatać koszyk. Przez chwilę Emmanuelle patrzyła z podziwem na zręczne ręce, wyczarowujące kształt z trzcinowych łądyg.

- A nie sądzi pan, majorze - odezwała się, nie patrząc na niego - że był to przypadek? Może Claire obawiała się, że zaszła w ciążę, i przedawkowała wrotycz.

Powiedziała to bez przekonania. Gdyby rzeczywiście tak było, to Claire nie brałaby lekarstwa w ciągu dnia, zwłaszcza że miała spędzić popołudnie w dużym towarzystwie. Poczekałaby do nocy i zażyła lek przed snem.

- Nie było przypadku. Truciznę znaleźliśmy w fiolce z opium. Fiolkę odnalazł Fletcher, przeszukując pokój panny Claire, do czego, nawiasem

mówiąc, jej brat starał się nie dopuścić.

- W fiolce z opium? To dziwne. Wrotycz jest bardzo gorzki, wyczułaby.

- Fiolka była świeża. Myślę, że nawet jeśli panna Claire zwróciła uwagę na dziwny smak, to nie sądziła, że coś może jej grozić. Nie zakładała chyba, że ktoś chce ją otruć?

Emmanuelle drgnęła odruchowo. Zach zauważył to. Wziął ją za ramię i przyciągnął, zmuszając, by spojrzała mu prosto w oczy.

- Czy pani jeszcze nie rozumie? Dlaczego, u diabła, nie chce mi pani pomóc? Dlaczego nie mówi pani wszystkiego? Przecież pani też grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Czy naprawdę nic to panią nie obchodzi?

- Sądzi pan, że się nie boję? - odpowiedziała pytaniem, patrząc na jego połyskujące czernią oczy. Mój syn stracił ojca ledwie trzy miesiące temu. Myśli pan, że nie martwię się o niego, nie zastanawiam się, co się z nim stanie, gdyby mnie zabrakło?

- Więc dlaczego nie mówi pani prawdy?

Stali tuż obok siebie spleceni spojrzeniem, targani dziesiątkami uczuć. Nienawiść mieszała się z oczarowaniem, żądza z lękiem. Jej serce było spieszonym rytmem, pierś falowała, a on nie odrywał od niej wzroku.

- Monsieur... mój syn... jego kolega...

Gdy puścił jej ramię, cofnęła się o krok do tyłu jakby oparzona. Nie próbował jej zatrzymać.

- Ilu ludzi musi jeszcze zginąć? - rzucił półgłosem, jakby do siebie.

- Ile ma być ofiar, nim wreszcie odrzuci pani uprzedzenia wobec munduru, który noszę, i powie wreszcie prawdę?

Zaprzeczyła gestem.

- Pański mundur nie ma z tym nic wspólnego - dodała po chwili.

- Maman, Maman. - Dominik biegł pod górę do matki. Latawiec wzbił się wysoko pod niebo. - Mamo, popatrz!

- Przeciwnie, to na tym właśnie polega - rzucił Zach z goryczą w głosie, dosiadając swego wierzchowca. Ruszył kłusem ku zachodzącemu słońcu. Emmanuelle odprowadziła go wzrokiem -samotnego jeźdźca na tle szarzejącego nieba.



Była północ, gdy Emmanuelle nagle zerwała się ze snu. Serce jej biło jak oszalałe. Usiadła na łóżku, nasłuchując. Nic, cisza, równie głęboka jak noc. Ale przecież coś ją wybudziło. Złęknioma, wstrzymując oddech, zsunęła się z łóżka. Uchyliła drzwi do sypialni Dominika. Spał spokojnie. Serce ciągle jej biło jak młotem. Przeszła na palcach do holu. Nic. Zrobiło jej głupio. Przecież przed pójściem do łóżka sprawdziła okna od ulicy, zasunęła zasuwkę w drzwiach wejściowych, nikt więc nie mógł się zakraść pod osłoną nocy. Ale lęk nie ustępował. Zmartwiła, gdy luźna deska podłogowa zaskrzypiała przeraźliwie pod jej ciężarem. Żołądek podszedł jej do gardła. Dobrą chwilę trwała nieruchomo. Zmusiła się, żeby zejść na dół. Okna w salonie były zamknięte. Cały czas gorączkowo myślała, co zrobi, gdy nagle odkryje intruza, ale nikogo nie było. Drzwi były zamknięte, ale... przecież zasunęła zasuwkę? Ktoś jednak był! Ktoś wyszedł, a obudził ją cichy trzask zamykanych drzwi.

Rozdział 15

Zaraz z samego rana Emmanuelle pożyczyła od sąsiadów wierzchowca. Pojechała nad rozlewisko, ku owej dziwnej chacie w kształcie grzyba, do starego czarnoskórego człowieka, o którym powiadano, że potrafi przepowiadać przyszłość. Nie wychowała się na plantacji jak Philippe, ale to on na początku małżeństwa zadbał, żeby czuła się w siodle w miarę swobodnie. Zabierał ją do Beau Lac i uczył, nie tylko zresztą konnej jazdy. Nic dziwnego, że teraz, wyjeżdżając z miasta na drogę, wijącą się między polami trzciny cukrowej, myślała właśnie o nim - o mężu. Gdy tylko odkryła, że zasuwka w drzwiach jest odsunięta, pobiegła do sypialni Rose, w przekonaniu, że to ona wyszła gdzieś po nocy. Ale Rose była u siebie, spała jak gdyby nigdy nic. Obudziła się dopiero, gdy Emmanuelle potrząsnęła ją za ramię.

- Ale jak? - zapytała wylękiona, gdy Emmanuelle opowiedziała jej o wszystkim. - Jakim cudem ktoś mógł tu wejść? I po co?

Razem sprawdziły wszystkie pomieszczenia. Niczego nie znalazły.

- Jest tylko jedno wytłumaczenie - powiedziała Emmanuelle, gdy usiadły później w kuchni nad kubkami kawy. - Ktoś musiał się tu zakraść w ciągu dnia. Poczekaj, aż zaśniemy, zrobił to, po co tu przyszedł, i się wymknął.

- Tak sądzisz? To ja ci powiem, że po pierwsze, od dziś będę zawsze zmykać wszystkie drzwi na klucz, a po drugie, zaraz z rana wyrzucę wszystkie zapasy, całe jedzenie do ostatniego okruska. Emmanuelle pominęła milczeniem solenną zapowiedź przyjaciółki. Nie sądziła, by

człowiek, który się tu zakradł, chciał je otruć. Gdyby był mordercą, mógł przecież pozbawić ich życia od razu, we śnie.

- Powiedz mi, co ludzie mówią? - poprosiła Murzynkę. - Słyszałaś coś na bazarze?

Bazar to najlepsze źródło wiadomości w mieście. Tam co dnia spotykała się służba, przychodzili niewolnicy, wymieniając nowiny i plotki o swoich chlebodawcach i właścicielach. Powiadano, że wróżbici i wróżbitki wudu stamtąd właśnie czerpali wiadomości, którymi później zadziwiali klientów.

- Stale coś mówią - odparła Rose niechętnie. - Ale i tak nikt nic nie wie.

- A co mówią?

- Same głupoty.

Emmanuelle pochyliła się w jej stronę i spojrzała prosto w oczy.

- Rose!

- No dobrze. - Służąca westchnęła z rezygnacją. - Mówią, że pan Philippe wcale nie zginął, ale uciekł Jankesom, tyle że zwariował. Wrócił do miasta i morduje wszystkich, których znał. Mówiłam ci, że to głupoty.

Emmanuelle zacisnęła palce na kubku z taką siłą, że naczynieomal że nie pękło.

- Co jeszcze mówią?

- Wszyscy o tym samym, kim jest morderca. Jedni mówią, że to ten angielski doktor, inni, że ten kulawy chłopak ze szpitala, co stracił stopę, ten Niemiec, wiesz. Ale na mój rozum, to mówią o nich tylko dlatego, że to obcy i śmiesznie gadają.

Emmanuelle zmilczała, ale właśnie wtedy, w kuchni, zaświtał jej w głowie pomysł i nie dawał spokoju do samego rana. Dlatego właśnie

rankiem pożyczyła wierzchowca.

Gdy tylko wyruszyła z rue Dumaine, czuła się niepewnie, targały nią mieszane uczucia, bo owszem ceniła - i to wysoko - wiedzę Papy Johna o ziołach i leczniczych naparach, ale co do jego innych umiejętności, to nigdy w nie nie wierzyła. A ludzie opowiadali dziwne rzeczy, że Papa John przepowiada przyszłość, że stoją za nim bóstwa i że w ogóle potrafi czerpać z czegoś, co nazywają zbiorową podświadomością. Nie wierzyła, ale Henri wierzył, był święcie przekonany, że tak naprawdę jest, że Papa John posiadał arkana tajemnej wiedzy. Zbliżając się do polany nad Bayou Sauvage, powtarzała sobie w duchu, że Papa John może coś wiedzieć, ale tylko dlatego, że stale odwiedzają go ludzie z miasta, zwierzają mu się, opowiadają, dzielą się z nim najprzeróżniejszymi wiadomościami, wśród których zawsze może znaleźć się okruszek prawdy. W głębi duszy wiedziała jednak, że jedzie do niego nie tylko dlatego. Zastanawiała się, jak zareagowałby Philippe, gdyby ją tu zobaczył. On też nie wierzył w nadprzyrodzone zdolności czarnoskórego starca.

A Papa John jakby na nią czekał. Siedział na zewnątrz, przy stole nakrytym białym obrusem, na którym stała grubo ciosana drewniana misa, pełna muszel, takich, których w dawnych czasach używano na Karaibach zamiast pieniędzy. Po drugiej stronie stołu stało puste krzesło.

- Nie wierze, że się mnie spodziewałeś - rzuciła na powitanie.
- Miss Emmanuelle jak zawsze sceptyczna. - Starzec zaśmiał się z rozbawieniem.

- Ale przyjechałam i jestem.
- Tylko dlatego, że sądzisz, iż mogły dojść do mnie jakieś słuchy.
- A doszły? - Przywiązała wierzchowca do drzewa.
- Ludzie zawsze coś opowiadają, ale mało w tym prawdy.

- A jaka jest prawda?

- Nie wiem.

Stała przez chwilę w milczeniu, po czym usiadła naprzeciwko Papy Johna.

- W porządku. - Położyła ręce na obrusie. - Zaczynaj, zamieszaj muszlami, przywołaj swoje bóstwa i powiedz, kto jest mordercą.

- To nie takie proste.

- Tak mówisz? - Wytrzymała jego spojrzenie. Podsunął jej misę z muszlami.

- Weź to w obie dłonie, skup się. Myśl o tym, o czym chciałabyś się dowiedzieć.

Zrobiła, jak kazał, ale bez wiary i przekonania. Grubo ciosane drewno okazało się dziwnie gładkie w dotyku i zdumiewająco chłodne. Misa wibrowała w jej dłoniach, jakby pulsowała w niej jakaś siła. Wrażenie było tak silne, że Emmanuelle wstrzymała oddech.

- A teraz zamknij oczy, zamieszaj muszlami i zadaj w myślach pytanie. Posłuchała. Otworzyła oczy, gdy starzec wziął misę w swoje dłonie. Teraz on zamieszał zawartością w takt ni to pieśni, ni wiersza, który wyśpiewywał w niezrozumiałym dla niej języku. Henri opowiadał jej, że Papa John zwraca się w ten sposób w cztery strony świata i przywołuje swoje bóstwo, tożsame z Panem w niebiesiech. Wyjaśniał, że wudu w sobie właściwy sposób łączy pogańskie wierzenia przywiezione jeszcze z Afryki z mistycznym katolicyzmem praktykowanym na Santo Domingo, gdzie trafiała większość niewolników sprowadzanych z Czarnego Kontynentu. Zaraz potem Papa John zaczął się kołysać rytmicznie do przodu i do tyłu, wprawiając się w trans. Oczu nie było widać, jakby źrenicami sięgał w głąb samego siebie. Nagle pochylił się do przodu, wysypując muszle na stół.

Emmanuelle nie dostrzegła w nich nic szczególnego, ale stary Murzyn wpatrywał się w nie z napięciem.

- Hmmm - mruknął, marszcząc czoło. - Widzę namietność, nienawiść, a właściwie złość. Gniew ciemny jak noc i gorejący jak ogień.

- Tyle to sama mogłabym powiedzieć - rzuciła rozczarowana.

- Taaak? A dlaczego? - spytał Papa John z nieznacznym uśmiechem.

Splonila się. Pytanie ją zaskoczyło, ale jeszcze bardziej zdumiała ją własna reakcja, bo z jednej strony gotowa byłaby przysiąc, że Papa John wyraża to, co sama instynktownie czuła, z drugiej, nie dawała przecież wiary własnym przeczuciom.

- Dlaczego? - powtórzyła pytanie. - Tak to czułam tamtej nocy, na cmentarzu.

- Gniew, złość skierowaną przeciwko tobie?

- Tak.

- Hmmm - mruknął tylko i znów zapatrzył się w rozrzucone na stole muszle. Trwało to dłuższą chwilę, a gdy podniósł wzrok, w jego oczach pojawił się cień trwogi.

- Więc?

- Spójrz uważnie, moje dziecko. Muszle ułożyły się w dwóch liniach. Popatrz tylko, tu i tu. Dwie linie oznaczają podwójne niebezpieczeństwo. Groźba wisi nad tobą i nad kimś, kogo kochasz.

Dominik! - Papa John jakby czytał w jej myślach.

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz?! - krzyknęła, zrywając się z miejsca. - Musisz mi powiedzieć, kim jest morderca, jak się nazywa.

- Tego też nie wiem. Przecież tu nic nie jest napisane. -

Gestem ogarnął muszle.

- Widzę, że nic nie jest napisane. Dla mnie muszle to muszle, ale ty ponoć potrafisz w nich czytać.

- Nikt nie może wyczytać wszystkiego - odparł Papa John cicho. - I to chyba dobrze - dodał.

Zawstydzila się i przeprosiła go za gwałtowne słowa.

- Przykro mi, że krzyczałam. - Wyciągnęła z torebki prymkę kubańskiego tytoniu, którą przywiozła w darze.

- Każdy z nas podnosi czasami głos. Czasami trzeba krzyżeć - rzekł Papa John, świdrując ją oczami.

- Dziękuję, Papo. - Zaczęła się zbierać do odjazdu. - A nie powiesz mi, że powinnam na siebie uważać? - spytała przekornie.

- A po co? Parcież i tak starasz się być ostrożna, ale... - podsadził ją na siodło - ...uważaj na siebie.



Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć? - spytał Hamish z nagłą. Siedzieli w kawiarni, przy pustych filiżankach po porannej kawie.

Wyjątkowo chłodnawy tego ranka wiatr niósł od rzeki pokrzykiwania robotników portowych. Pachniało, jak to w Nowym Orleanie, oliwą, melasą i świeżo paloną kawą. -Choćby o tej wdowie, Francuzeczce, której znajomi jakoś dziwnie żegnają się z życiem. Co tam się dzieje między wami? -

ciągnął Hamish, a gdy Zach uniósł brwi na znak zdumienia, dodał: - Tylko nie udawaj, bo nie jestem ślepy. Sam widziałem, że jak stoicie obok siebie, to powietrze aż iskrzy. Zach tylko się zaśmiał i odwrócił, patrząc na robotników wykuwających nowy napis na cokole pomnika Andrew

Jacksona*. Generał Butler kazał umieścić na pomniku cytat z jednego z przemówień prezydenta, że „Unię trzeba i należy chronić”. - Na Boga, przecież ona jest podejrzana.

** Andrew Jackson (1767-1845) siódmy prezydent Stanów Zjednoczonych, w roku 1815 stał na czele armii, która zadała klęskę Brytyjczykom w Nowym Orleanie.*

- Nie jestem pewien.

- Ale byłeś.

- No cóż, wydaje mi się, że madame de Beauvais wie więcej, niż nam mówi, jak zresztą każdy w tym mieście. Nie można powiedzieć, żeby nas tu kochali.

- Niestety - potwierdził Hamish.

- Chciałbym, żebyś posłał kilku chłopców na cmentarz. Niech spiszą ostatnio remontowane groby i niech porozmawiają z właścicielami. Trzeba znaleźć tych dwóch czarnych, o których mówił dozorca. Może coś widzieli.

Hamish dobył nieodłączny notes i pilnie zanotował polecenie. Przewrócił kilka kartek i coś przeczytał.

- Kazałeś mi wywiedzieć się o Philippe'a de Beauvais'go pamiętasz?

- Oczywiście, masz coś ciekawego?

Hamish podrapał się w brodę i przybrał tajemniczą minę.

- Sądziłem, że skoro był lekarzem, to wstąpił do korpusu medyków armii konfederatów i że zginął zwyczajnie, na froncie. Okazuje się, że nie. Zginął, ale nie na froncie i nie całkiem przypadkowo. Wywoził z miasta złoto konfederatów. Razem z paroma ludźmi zamierzał przewieźć je przez rozlewiska, bo w tym czasie zajęliśmy już miasto. Nigdy jednak nie dotarł

do celu.

- Zginął jako bezimienny bohater?

- Zależy jak na to patrzeć. Z tego, co się dowiedziałem, facet był dość... jakby tu powiedzieć... niezwykajny.

- To znaczy?

- To znaczy, że szanowny małżonek naszej pięknej Francuzeczki miał to i owo na sumieniu, a w każdym razie nie był świetlaną postacią.

- Jak większość ludzi.

- Chyba jednak bardziej. Pił, grał, i to wysoko, łąził do burdeli, i to tych najgorszych, jak choćby ten przy Old Levee Street, gdzie bywają bogaci klienci o szczególnych gustach, tacy, co lubią małe dziewczynki i... chłopców. Myślę, że i tak nie powiedziano mi wszystkiego.

Na placu, pod parkanem z żelaznych sztachet, stara Indianka rozkładała suszone owoce na sprzedaż. Zach patrzył na nią przez chwilę w zamyśleniu.

- Z tego, co mówisz, mogę się domyślać, że ten i ów mógł mieć niejaki pretensje do naszego bohatera i byłby skłonny posłać mu strzałę z kuszy albo wsypać trucizny do absyntu. Gdyby to szanowny monsieur de Beauvais padł ofiarą zabójstwa, sprawa byłaby prosta.

- To jeszcze nie wszystko. Mówiłem już, że de Beauvais nigdy nie dotarł do celu swojej tajnej wyprawy. Nasi wytropili go na rozlewiskach, tylko że to wcale nie był przypadek. Ktoś go zwyczajnie wydał.

Słońce pięło się coraz wyżej, żar znów zaczął płynąć z nieba, rozpalając wychłodzone nocą powietrze.

- Kto?

- Tego jeszcze nie wiem, ale jedno jest pewne: zdrada i dwa zabójstwa układają się w jeden ciąg. Krótko mówiąc, mamy trzy

morderstwa, a końca jeszcze nie widać. Wygląda na to, że szpital Santerre'a to wyjątkowo niezdrowe i niebezpieczne miejsce, co również tyczy naszej madame de Beauvais.

Przez resztę przedpołudnia i popołudnie Zach zajmował się rozdziałem żywności między najuboższych mieszkańców miasta. Cały czas jednak pewna myśl nie dawała mu spokoju. Nie umiał jej nawet sprecyzować, to było coś jak sen albo melodia, która gdzieś tam kołacze w zakamarkach pamięci, ale nie chce się przypomnieć. Wreszcie przekazał obowiązki jednemu z młodszych oficerów, a sam ruszył na poszukiwania Antoine'a La Touche'a. Zmitrężył sporo czasu, lecz w końcu namierzył go w lichym barze przy Old Levee Street. Antoine La Touche siedział w gęstym od dymu kącie, przy stoliku nakrytym byle jaką serwetą, ale koniak, którym się raczył, należał do najprzedniejszych. Ściana za jego plecami dawno już oblaźła z farby, a co większe jej ubytki zamaskowano tanimi reprodukcjami świętych obrazków. Gdzie indziej coś takiego byłoby nie do pomyślenia, ale nie tu, w Nowym Orleanie.

La Touche właśnie dopił kieliszek i sięgał po butelkę. Szło mu niesporo, widać wlał już w siebie większą część zawartości szkła z markową etykietą. Na widok Zacha zacisnął palce na szyjce butelki i uśmiechnął się krzywo.

- Czemu mam przypisać ten zaszczyt? Pan komendant żandarmerii we własnej osobie!

Bar rzadko chyba wietrzono. W powietrzu unosiła się kwaśna woń piwa, whisky i potu.

- Chciałbym z panem porozmawiać.

- Porozmawiać? - La Touche uniósł dłoń uzbrojoną w butelkę w geście mającym wyrażać zdziwienie.

Do wieczora było jeszcze daleko, ale w barze już kłębił się hałaśliwy tłum bywalców - Włochów, Irlandczyków, a także miłośników czegoś mocniejszego o ciemnym kolorze skóry.

- Porozmawiać - powtórzył Zach. - A zważywszy na temat, proponowałbym bardziej ustronne miejsce, jeśli nie ma pan nic przeciw temu.

La Touche otarł dłonią pot z czoła. Jego jedwabny fular dawno już opuścił przypisane mu miejsce na szyi, a na białej koszuli wykwitły żółtawe plamy potu.

- A więc chodzi o Claire. - Westchnął, patrząc tęsknie na butelkę. - Ma pan rację, majorze, porozmawiamy gdzie indziej.

Na zewnątrz słońce prażyło niemiłosiernie, ale w porównaniu ze stęchlizną baru, powietrze wydawało się świeże i pachnące. La Touche, wsparty na kuli, z butelką w ręce, spojrzał na błękitne niebo.

- Jest wcześniej, niż myślałem - stwierdził.

- Od dawna pan tak pije?

- Od dawna? Sam nie wiem.

- Był pan blisko z siostrą?

- Myśli pan pewnie, że dlatego piję? Myli się pan, majorze. Nie byłem z nią aż tak blisko, a poza tym - machnął butelką - nie należę do tych, co rozpaczają nad trumną.

Szli w stronę placu nad rzeką. Przekupnie zamykali już kramy, mewy skrzeczały, polując na odpadki.

- Znał pan dobrze siostrę?

La Touche pociągnął łyk koniaku prosto z butelki.

- Wydaje mi się, że na to pytanie już udzieliłem panu odpowiedzi.

- Wiedział pan, że pozostawała z kimś w intymnym związku?

- Gratuluje, majorze. - La Touche zaśmiał się. - Pięknie pan to ujął. Czy to wrodzony takt, czy też nie chciał mnie pan urazić w obawie, że wyzwę pana na pojedynek. Szablą co prawda już nie władam, ale z pistoletem daję sobie radę, i to całkiem nieźle.

Zach milczał; czekał. Czuł, że La Touche jeszcze coś powie.

- Niech pan się nie obawia, majorze, nie przyślę sekundantów. Moja siostra wdała się w pierwszy, jak pan to ładnie wyraził, intymny związek w wieku piętnastu lat. Tym pierwszym był chłopak z Irlandii, którego najęliśmy, by poprawił bruk na podwórzu. Bardzo przystojny, trzeba powiedzieć. Potem byli inni, a kto był ostatni? Bóg jeden raczy wiedzieć.

- Ktoś ze szpitala?

- Tak mi się na początku wydawało, bo niby skąd raptem tyle zapachu u mojej siostry do pracy wśród rannych i chorych. Ale chyba się myliłem - dodał niemal szeptem.

- Rodzice wiedzieli?

- Niby o czym? - La Touche spojrzał bystro na rozmówcę.

- O tym, że ich córka uznała, że w tych sprawach przysługują jej takie same prawa jak ich synowi? Nie sądzę, choć mogę się mylić. Nie wykluczam, że po prostu nie chcieli wiedzieć.

- A czemu nie wydali jej za mąż?

- Próbowali, a jakże, tyle tylko, że córeczka moich rodziców stawała okoniem. Mówiła, że nie ma zamiaru nakładać sobie jarzma na szyję, bo, jak powiadała, i nie bez racji, w tym pięknym kraju żona ma niewiele więcej praw niż niewolnica. - Znów pociągnął łyk z butelki. - A może panu się wydaje, że zamordowano ją, bo przynosiła wstyd rodzinie? Panie majorze -zaśmiał się chrapliwie -jeśli ktokolwiek przynosił wstyd rodzinie, to nie ona, ale ja.

- Pan jest mężczyzną.

- Jasne. - La Touche teatralnym gestem machnął ręką, w której dzierzył butelkę. - Honor rodziny zlega między nogami córek, o to panu chodzi? - Zaśmiał się. -I podejrzewa mnie pan także o zabójstwo starego Santerre'a? - Zmrużył oczy. - A może... -

Tym razem roześmiał się z prawdziwym rozbawieniem. - Absurd, majorze, w ten sposób do niczego pan nie dojdzie. Claire i Santerre? Dobre sobie! Moja siostra, cokolwiek o niej mówić, miała raczej zdecydowany gust. Jeśli chodzi o te sprawy, ceniła młodych, przystojnych i... męskich.

Słońce wsiąło już nisko nad horyzontem, niebo czerwieniało zmierzchem, ulica z wolna pustoszała. Zach przyglądał się przez chwilę, jak szewc zamyka swój warsztat, szykując się domu, po czym znów spojrzał na zmarszczoną bólem twarz La Touche'a.

- A co pan wie o śmierci Philippe'a de Beauvais'go?

- Co ja wiem? Przecież to wy, Jankesi, zadaliście mu śmierć. Słyszałem, że zginął na miejscu. Kula trafiła prosto w głowę.

- A wiedział pan, że nasi wiedzieli o jego wyprawie? Ktoś go zdradził.

La Touche spoważniał, oprzytomniał albo nie był tak pijany, jak mogło się wydawać.

- Zdradził? - powtórzył. - To bardzo ciekawe.

Robiło się już ciemno, wiatr wzmógł się, a niebo zasnuły ciężkie jak ołów chmury zwiastując ulewę.

- Spóźni się pan na uroczystości - zauważył Zach.

- Na czuwanie? - La Touche pokręcił głową. - To zabawne... - rzekł jakby do siebie. - Jak wszystko się zmienia... Claire nie znosiła takich uroczystości. Nigdy na nie nie chodziła. -Podniósł butelkę do ust, ale

zmienił zamiar. Westchnął ciężko. - Wie pan, na wiosnę, w szpitalu, wybuchła wielka awantura. Nie wiem, o co poszło, ale zaczęło się od mojej siostry i tego Anglika, Yardleya. Strasznie na siebie krzyczeli, doszło do przepychanek, co zresztą nie było wcale takie dziwne, jeśli chodzi o Claire. W każdym razie w awanturę wmieszał się Philippe, a na koniec Santerre, który wreszcie położył temu kres. Świadkiem był ten... no wie pan... - kulawy Niemiec.

- Hans Spears.

- Właśnie o nim chcę powiedzieć. Pewnie pan nie wie, że Hans był z Philippe'em na Bayou Creve. Tam stracił stopę. Mógłby pan z nim porozmawiać.

- Dlaczego mi pan o tym mówi?

- Och, panie majorze - La Touche zaśmiał się - niech pan da spokój z podejrzeniami. Ponieważ nikt z panem nie chce rozmawiać, wszyscy nabrali wody w usta, więc kiedy ktoś zaczyna mówić, to zaraz pan wietrzy podstęp. Sądzi pan pewnie, że opowiedziałem panu o tej awanturze ze względu na Claire. W pewnym sensie tak.

- Ale chodzi panu o madame de Beauvais, tak? Była przy tym? - spytał Zach cicho.

- Nie od początku, ale owszem, była. Zachowi zabiło serce.

- I myśli pan, że może mieć coś wspólnego z jednym z zabójstw?

- Emmanuelle? - La Touche roześmiał się głośno. - Pan jednak niczego nie rozumie, majorze. Gdybym żywił najmniejsze podejrzenia wobec niej, nigdy bym o niej wspomniał. - Spoważniał nagle. - Jeśli o niej wspominam, to tylko dlatego, że lękam się o nią, bo ona może być następną.



Ściemniło się już na dobre, gdy Zach stanął przed szpitalem Santerre'a. Tylko przez żaluzje jednego z okien na parterze przezierało światło. Nacisnął klamkę i skierował się w stronę oświetlonego pokoju. Doktor Charles Yardley czuwał przy łóżku małego czarnoskórego pacjenta. Słyszając kroki, podniósł wzrok i... zeszywniał.

- Nie spodziewałem się, że pana tu zastanę, doktorze. - Zach zatrzymał się w drzwiach.

- Tyfus. - Yardley westchnął. - Matka tego biedaka umarła godzinę temu, ale jego da się chyba uratować. Przetarł oczy znużonym gestem, wstał i podszedł do majora. - Nie ma jej tutaj - powiedział. - Madame de Beauvais już wyszła.

- Szukam Hansa Spearsa.

- A... jego? Ma wolny dzień i jest pewnie w domu ze swoją *Mutter* i braćmi, jeśli panu zależy, żeby go znaleźć. To bardzo porządny chłopak. Każdą chwilę poza szpitalem spędza z rodziną albo na budowie. Niemcy budują sobie kościół, jak pan pewnie wie.

- No to porozmawiam z panem, jeśli może mi pan poświęcić parę minut.

- Brzmi to groźnie. - Yardley spojrział z troską na śpiącego malca. - Myślę, że mogę sobie zrobić przerwę, tylko że ja naprawdę niewiele wiem, może mi pan wierzyć.

- Rozumiem, ale może pan wie, dlaczego młody przybysz z Niemiec, pielęgniarz, raptem zdecydował się wziąć udział w wielce ryzykownej wyprawie z konfederatami?

- Czy ja wiem? No cóż, mogę sobie wyobrazić, że młodemu człowiekowi zamarzyła się wielka przygoda, a może chciał się wyrwać spod

skrzydeł swojej *Mutti*. - Lekarz uśmiechnął się szeroko. - Sam pan widzi, że niewiele wiem. A przy okazji, majorze, mówi pan „ryzykowna” wyprawa. Nie jestem pewien, czy rzeczywiście ryzyko było tak wielkie. Złoto zamierzano przewieźć przez rozlewiska. Philippe de Beauvais znał je jak własną kieszeń. Wychował się nad Bayou Creve, były więc wszelkie szanse, ale, niestety, miał pecha i natknął się na wasz patrol.

- To nie był pech, doktorze.

- Jak to? - zdumiał się Anglik.

- A jak pan myśli, komu mogło zależeć na śmierci Philippe'a de Beauvais'go?

- Dobre pytanie, ale ja mam lepsze: co się stało ze złotem? Jeśli sądzi pan, że trafiło do Waszyngtonu, to jest pan bardziej naiwny, niż myślałem.

- Spotykał się pan z Claire La Touche?

- Ja? Chyba pan żartuje.

- Mówimy o morderstwie na młodej kobiecie, nie wypada żartować.

- Gdyby pan ją znał. - Yardley zaśmiał się i nagle spowaźniał. -

Ma pan rację, nie wypada. I nie powinienem tak mówić.

- Słyszałem o waszej kłótni na wiosnę tego roku.

- Kto panu powiedział?

- A o co poszło?

- Nie powiedziano panu? - Yardley oparł się o ścianę.

- Pytam pana jeszcze raz - rzekł Zach stanowczym głosem. -Czy spotykał się pan z Claire La Touche?

Yardley drgnął.

- Tak to panu przedstawiono? To nieprawda, niech mi pan wierzy.

- A wie pan, z kim się spotykała?

- Spotykała? To nie jest właściwe słowo.

- A jakiego pan by użył?

- Zna pan wyniki sekcji? Wasi lekarze musieli panu to i owo powiedzieć o... temperamencie Claire La Touche i upodobaniach, które, jak sędzę, zostawiły trwale ślady na jej ciele. - Yardley uznał rozmowę za zakończoną i chciał odejść, ale Zach chwycił go za ramię.

- Z kim? - syknął. - Chcę wiedzieć, z kim spotykała się Claire La Touche?

- Jeszcze się pan nie domyśla? - odrzekł Anglik z nieodłącznym uśmiechem, ale w jego głosie zabrzmiały ostre nuty złości. - Żąda pan nazwiska? Proszę bardzo. Philippe de Beauvais.

Zach puścił ramię lekarza. Cofnął się jak rażony piorunem. Oczywiście, Yardley mógł kłamać, ale Zach czuł, był wręcz przekonany, że Anglik mówi prawdę.

- Ona wiedziała? Madame de Beauvais wiedziała? Yardley otrzepał niewidzialny pyłek z rękawa i przygładził włosy.

- Czy wiedziała, że jej przyjaciółka robi to z jej mężem? -

Jeszcze raz przygładził włosy. - No cóż, dowiedziała się w czasie naszej głośnej awantury.

- Dopiero wtedy?

- Tak sędzę, bo rzuciła się na niego ze skalpelem!

Rozdział 16

Dlaczego, do diabła, urządzili to czuwanie? - prychnął Hamish. Szli

z Zachem przez Stare Miasto, w stronę Esplanady, żeby złapać omnibus do domu La Touche'ów. - Skoro ja wiem, że Claire nie znosiła tego rodzaju uroczystości, to tym bardziej oni.

- Taki jest obyczaj. - Zach spojrział na niebo. Nie było ani jednej gwiazdy. Ciężkie chmury wisiały nad miastem, wróżąc ulewę.

- Przedziwny, jeśli o mnie chodzi. Przyjęcie przy trumnie! To straszne.

- Udało się znaleźć tych Murzynów, co byli na cmentarzu? -zmienił temat Zach.

- Nie wymagaj cudów - zachnął się Hamish. - Czy wiesz, ile jest grobów? A nie wiemy nawet, co ci dwaj mieli robić. Równie dobrze mogli tam być, żeby pozamiatać i zmienić kwiaty.

- Nie sądzę. To załatwiliby w parę minut. Kessler twierdzi, że przyszli na cmentarz co najmniej dwie godziny przed Santerre'em. Nie zauważył, kiedy wychodzili, a to znaczy, że musieli opuścić cmentarz w zamieszaniu po zabójstwie.

- Ale gdyby nawet coś widzieli, to i tak nic się od nich nie wyciągnie. Niewolnicy już tacy są, nigdy nic nie mówią. - Doszli do Esplanady. Z daleka widać było nadjeżdżający omnibus zaprzężony w muły.

- Według mnie, coraz więcej poszlak wskazuje na madame de Beauvais. Pozbywa się niewiernego męża, zdradzając jego plany Jankesom, a później załatwia kochankę. Zach przygryzł wargi, żeby nie wybuchnąć.

- Warto by się najpierw dowiedzieć, kto naprawdę przekazał naszym wiadomość o wyprawie Philippe'a.

- Wiem, już zacząłem się rozpytywać - burknął urażony Hamish. Dotknęło go, że przyjaciel i przełożony mógł pomyśleć, że on, zawodowiec, przegapił taki ważny wątek śledztwa.

- A poza tym - ciągnął Zach - nie widzę motywu. Niby dlaczego pani de Beauvais miałby mordować Santerre'a?

- Ejże, a szpital? Jest teraz jej własnością.

- To żaden interes. Jest zadłużony po uszy. Jeszcze trochę, a zabiorą jej budynek za hipotekę.

- Skoro tak - Hamish wygładził sumiaste wąsy - to pozostaje nam Yardley. Ma sporo długów, to po pierwsze. Po drugie, w szpitalu nastąpił za sprawą Philippe'a, z czego Santerre nie był zadowolony. Z tego, co słyszałem, to po śmierci Philippe'a stary zaczął tępić Yardleya. Mierziło go, że pije, że gra, i w ogóle raczej go nie lubił - dokończył Hamish półgłosem, bo właśnie nadjechał omnibus. Usiedli z tyłu, z dala od reszty pasażerów. - Według mnie, kluczem do zagadki jest kusza i trucizna. Obie te rzeczy wskazują na madame de Beauvais i Yardleya, bo oboje wiedzieli o tym, że Philippe ma kuszę i całą resztę narzędzi przeciwko wampirom, i oboje znają się na truciznach.

- To samo można powiedzieć o Papie Johnie.

- To prawda, tylko że stare Murzynisko nie miałoby żadnego motywu, żeby mordować. - Hamish wyciągnął notes i przewrócił kilka kartek. - Mamy jeszcze Antoine'a La Touche. Co prawda nie zna się na truciznach, ale mógł przecież dostać wrotycz od Papy Johna, a dalej to już pestka. Ze wszystkich podejrzanych jemu najłatwiej byłoby wpuścić truciznę do fiolki z opium. Motyw też wydaje się prosty. Siostrę załatwił, żeby ratować honor rodziny, a Philippe'a za to, że ją uwiódł.

Zach patrzył na mijane domy, ocienione drzewami porośniętymi hiszpańskim mchem.

- A Santerre'a?

- Santerre'a za to, że ułatwił romans siostry z Philippe'em. Wszystko

działo się pod jego nosem, w szpitalu. I jeszcze jedno - Hamish ściszył głos - La Touche jest kaleką, tym łacniej więc sięgnął po kuszę, żeby uniknąć bezpośredniego kontaktu z ofiarą, a warto pamiętać, że nogę ucięli mu w szpitalu Santerre'a. Jest tylko jeden problem. - Zmarszczył czoło. - Jak on, u diabła przelazł przez mur na jednej nodze?

- A skąd wiemy, że zabójca przechodził przez mur?

- A jak inaczej mógłby się dostać na cmentarz? Przez bramę?

Musiałby być duchem.

- Jeśli to cała lista podejrzanych, to pominąłeś jedną osobę, Hansa Spearsa. Chłopak stracił nogę w wyprawie Philippe'a na Bayou Creve. Jeśli to Claire ujawniła zamiary Philippe'a wobec naszych, jeśli to ona zdradziła, Hans miałby motyw, żeby się na niej mścić.

- A co z Santerre'em?

- Może nie mierzył do niego, może chciał zabić madame de Beauvais i zwyczajnie chybił. A dlaczego chciałby zabić Emmanuelle? To też da się wytłumaczyć. Można przyjąć, że Hans nie wiedział, która z nich, Claire czy Emmanuelle, dopuściła się zdrady, więc postanowił zabić obie.

- Żartujesz albo kpisz sobie ze mnie. Zach zaśmiał się, ale nagle spoważniał.

- Jeszcze jedna osoba powinna znaleźć się na naszej liście.

- Któż to taki? - zdumiał się Hamish.

- Philippe de Beauvais.

- Philippe? Przecież on... nie żyje.

- Tak mówią, ale zastanówmy się nad czymś innym. Kusza to dość trudna broń, trzeba pewnej wprawy, żeby skutecznie się nią posługiwać.

Philippe miał spore doświadczenie - za młodu polował z kuszą. Jako lekarz znał się na truciznach, wiedział więc, jaka dawka wyciągu z wrotycza jest

śmiertelna. Z kolei jako kochanek Claire wiedział, że regularnie zażywa ona opium. Znał też pewnie dostawcę, co jest ważne, bo buteleczka z opium i trucizną była świeża, kupiona dopiero co. Można założyć, że truciznę wlano, jeszcze zanim buteleczka trafiła w ręce Claire.

- W porządku, ale co z Santerre'em? Dlaczego Philippe miałby go zabijać?

- Przypadek. Mógł mierzyć we własną małżonkę.

- Kręcisz, mój drogi. - Hamish wstał, omnibus dojechał już na miejsce. - Zaczynam podejrzewać, że wymyślasz te wszystkie kombinacje, bo nie chcesz się pogodzić z faktem, że wszystkie poszlaki wskazują na madame Emmanuelle de Beauvais.

Zach też podniósł się z miejsca. Czuł na sobie oskarżycielski wzrok podwładnego, ale nic nie powiedział. Podeszedł do wyjścia. Ulica nie była brukowana, tylko wzdłuż domów ciągnął się drewniany chodnik. Zach skoczył, nie chcąc brudzić butów w błocie na jezdni, i zaklął z bólu, lądując na kontuzjowanej nodze.

- Zabolało cię? - Hamish wyskoczył za nim.

- Ucieszyłeś się, ty draniu.

- Już dawno ci mówiłem, że powinieneś poleżeć parę dni i wreszcie się wykurować.

Klasycyistyczna willa La Touche przypominała na pierwszy rzut oka położoną przy tej samej alei rezydencję państwa de Beauvais, z tym tylko, że nie była tak zadbana. Tu i ówdzie widać było plamy obłazącej farby, a zieleń w ogrodzie wołała o rękę ogrodnika. Widać La Touche bardziej ucierpieli od wojny niż ich bogatsi sąsiedzi.

- Za dnia wygląda to jeszcze gorzej - dobiegło z ciemności, a zaraz potem z mroku wychynał wysoki mężczyzna o kuli. -Ale może powinniśmy

być wdzięczni za nasze ubóstwo. Łyżka Butler rekwiruję tylko domy w pierwszorzędnym stanie.

- Nie spodziewałem się pana tu zastać - rzekł Zach, zmierzając do wejścia.

Antoine La Touche wzruszył tylko ramionami. Zdążył się już ogolić i ogarnąć. Wyglądał daleko inaczej niż po południu w barze, ale chyba niezupełnie wytrzeźwiał.

- Nie chciałem robić przykrości matce.

- To dlaczego nie jest pan w środku? - spytał podejrzliwy jak zwykle Hamish.

La Touche obrzucił go niechętnym spojrzeniem i przeniósł wzrok na Zacha.

- Czekałem na pana, liczyłem, że się pan zjawi.

- Dlaczego? Coś się stało?

- Chodzi o Emmanuelle. Poszła do pacjenta na rue Poulet, we Faubourg Marigny, a to niebezpieczna dzielnica. Jak znam Emmanuelle, to będzie wracać do domu piechotą.

- Dlaczego puścił ją pan samą?

- Proponowałem, że z nią pójde, ale się nie zgodziła. Powiedziała, że moim obowiązkiem jest zostać tu, przy matce. Dałem jej powóz, kazałem chłopcu czekać, aż skończy wizytę, ale odesłała go, mówiąc, że musiałby tam sterczeć zbyt długo, a konie źle znoszą ciemności.

- Gdzie tu mogę nająć jakiś zaprzęg? - spytał Zach, spoglądając z niepokojem w niebo. Z daleka niósł się groźny pomruk burzy.

- Chyba nie masz zamiaru jechać, zaraz będzie lało - zagrzmiął Hamish.

- Tu bez przerwy leje - uciał Zach, gdy pierwsze krople deszczu

uderzyły o deski chodnika.



Na razie tylko kropiło, ale ciężkie chmury nie wróżyły nic dobrego i Emmanuelle pomyślała, że może by jednak rozejrzeć się za dorożką. Z Faubourg Marigny do miasta było daleko, machnęła jednak ręką i postanowiła iść pieszo. Po pierwsze, po dorożkę trzeba by posłać, a po drugie, nie miała pieniędzy. Za wizytę nie wzięła nic, nawet się nie upomniała; nie miała sumienia żądać pieniędzy od biedaków.

Uszła zaledwie kawałek, gdy lunęło jak z cebra. W mgnieniu oka rynsztoki zamieniły się w rwące strumienie. Zrobiła więc jedną rzecz, jaką w tej sytuacji mogła zrobić - zdjęła buty i pończochy. Tak nakazywał rozsądek. Po takiej ulewie obuwie byłoby do wyrzucenia, a na nowe jej nie stać.

Doczłapała właśnie do kanału okalającego stare miasto, gdy zdjął ją lęk. Uprzytomniła sobie, że jest sama i że jest noc, a do domu ma jeszcze kawał drogi. Skarciła się w duchu, że nie zatrzymała jednak powozu Antoine'a. Dumę i głupotę dzieli wąła granica i właśnie ją przekroczyła.

Serce skoczyło jej do gardła, gdy nagle z ciemności wychynęła kryta dorożka zaprzęzona w muła, a spod kół trysnęła fontanna błota. Stanęła jak wryta, zdjęta strachem, gdy niewidoczny w strugach deszczu woźnica ściągnął lejce, zatrzymując powóz tuż obok niej.

Drzwi otworzyły się z łoskotem i na chodnik wyskoczył... major

Zachary Cooper.

- Niech pani wsiada! - krzyknął, wyciągając rękę, żeby jej pomóc.

Jego dłoń zawisała w powietrzu.

Emmanuelle nawet nie drgnęła; stała w deszczu, przyciskając do piersi buty, dumna jak zawsze. Owszem, chętnie by się skryła przed ulewą, lecz nie za taką cenę.

- Dziękuję, ale nie skorzystam.

- Niechże pani będzie rozsądna! - zawołał, przekrzykując szum lejących się z nieba strumieni wody. - Pomijając już drobiazg, że morderca grasuje w mieście, to jest noc i ulewa. Nie ma pani szans, żeby dojść do domu. Niech pani wsiada.

Nawet go nie wysłuchała do końca. Bez słowa ruszyła przed siebie. Miała nadzieję, że da jej spokój. Myliła się. Chwycił ją za ramię i obrócił twarzą do siebie.

- Czy pani naprawdę nie ma odrobiny wyobraźni? Nie powinna pani chodzić sama po nocy, zwłaszcza teraz.

- Byłam u pacjenta! - odkrzyknęła, jakby to wyjaśniało wszystko.

- Wiem, tylko po diabła odesłała pani powóz La Touche'a? Dość gadania, niech pani wsiada.

- Nie wsiadę.

- Dlaczego, na Boga?

- Dobrze pan wie dlaczego. - Wyrwała łokieć z jego dłoni, obróciła się na pięcie i znów zaczęła iść, speszona nieco, że świeci gołymi łydkami.

- Wiem wszystko o pani mężu i Claire! - zawołał za nią.

Jakby ją piorun raził. Obróciła się tak gwałtownie, że niemal wypuściła buty z ręki.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Znowu pani kłamie! - Podszedł do niej. Twarz miał spiętą.
- O co panu chodzi? Philippe nie żyje, to już nie ma znaczenia.
- Ma. Przez pani kłamstwo straciłem mnóstwo czasu.
- I zabrakło go panu na wyrzucanie ludzi na bruk - zaszydziła.
- Niech pani sobie to daruje. - Stał nad nią, nie kryjąc złości. -

Pytałem panią, z kim sypiała Claire, a pani nawet słowa nie bąknęła.

Przestał oglądać się na konwenanse, walił prosto z mostu, tak zresztą było od początku.

- I co? - weszła mu w słowo. - Sądzi pan, że zabiłam Claire, bo sypiała z moim mężem? Panie majorze - zaśmiała się ponuro - nie tylko ona. Pół Nowego Orleanu przewinęło się przez jego łóżko.

- A więc dlatego sypiała pani osobno?

Drgnęła. Powiedziała za dużo, rozmowa przybrała zbyt osobisty i zbyt niebezpieczny obrót. Emmanuelle znów zaczęła iść i znów stanęła, gdy krzyknął za nią:

- Niech pani nie udaje, że to pani nie obchodziło, przecież rzuciła się pani na niego ze skalpelem!

Trafił celnie.

- Byłam wściekła - odparła z wymuszonym spokojem. - Ale nie chciałam go zabić, tylko...

- Tylko co?

- Pogroziłam, że kiedyś mu utnę... Patrzył na nią pytającym wzrokiem.

- Nie rozumie pan, majorze? - Zaśmiała się, widząc jego zdumioną minę. - Miałam na myśli ów fragment jego anatomii, do którego był tak przywiązany.

Zrozumiał, wykrzywił usta w uśmiechu, ale znów spoważniał.

- A pani zdaniem, kto mógł donieść o jego wyprawie? - spytał surowym tonem. Kto go zdradził?

- Zdradził? - powtórzyła cicho. - Tak przypuszczałam, tak myślałam. To musiała być zdrada. Zbyt wiele zbiegów okoliczności... - Przerwała i spojrzała mu prosto w oczy, próbując w nich coś wyczytać. - Uważa pan, że to ja?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Niepodobne do pani. Skalpel, owszem, ale zdrada, nie. - Zerknął na niebo. Nadal lało jak z cebra. - Niechże pani już wsiądzie, Emmanuelle.

Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu.

- Nie.

Teraz on odwrócił się na pięcie i zaczął iść. Była pewna, że to już koniec, gdy nagle przystanął, machając ze złością ręką.

- Czy pani naprawdę nie myśli?! - krzyknął. - Nie widzi pani, co się dzieje? Morderca celuje w ludzi związanych ze szpitalem. Dopadł pani męża, zabił Santerre'a i Claire. Został tylko Yardley i pani, chyba że policzymy także pielęgniarzy, Hansa i Rudolpha. Nie rozumie pani, że igrza pani z własnym życiem, że grozi pani śmiertelne niebezpieczeństwo.

Nie odpowiedziała; przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu przez strugi deszczu.

- Dla mnie to nic nowego - odezwała się wreszcie. - Od lat mam do czynienia jak nie z tyfusem, to żółtą febrą, jak nie z taką, to z inną zarazą. Nawykłam.

- Nie wątpię, że jest pani odważna. Ale odwaga nie idzie u pani w parze z rozumem - prychnął.

Nie mógł jej bardziej urazić. Emmanuelle zagotowała się.

Zawsze ogarniała ją wściekłość, gdy podawano w wątpliwość jej - i

w ogóle kobiet - inteligencję i zdolność logicznego myślenia. Mierziło ją, że kobietom odmawia się prawa głosu, że nie dopuszcza się ich do nauki, ogranicza możliwości zawiadywania własnymi sprawami, tłumacząc przewrotnie, że to dla ich dobra, bo i tak nie dałyby sobie rady.

Zatrzęsła się ze złości, nie zauważyła tylko, że stoi tuż nad brzegiem kanału, a śliskie błoto daje słabe oparcie. Zachwiała się, a próbując odzyskać równowagę, rozłożyła ręce jak linoskoczek, co miało tylko taki skutek, że jeden but wyfrunął jej z ręki, przeleciał łukiem i spadł na skraj pełnej brodów rzeczki.

Zach skoczył, żeby ją podtrzymać.

- *Mon Dieu*, mój but.

- Zaraz go wyciągnę! - krzyknął, unosząc ją w górę, jakby nic nie ważyła. Postawił ją metr dalej, na mniej śliskim gruncie.

- Nie - zaprotestowała. - Nie warto. Jeszcze wpadnie pan do wody.

- Nie utonę, umiem pływać, a poza tym jest płytko. - Zaśmiał się.

- Czy pan nie rozumie, majorze - świadomie powtórzyła jego słowa - że to nie o to chodzi. Oczywiście, nie utopi się pan, ale chodzi o pańską ranę. Ten kanał to ściek, najgorszy w mieście.

- Nic mi nie będzie, nie wpadnę.

Zaczął się zsuwać po pochyłym brzegu. Patrzyła na niego, ściskając kurczowo drugi but. Przygryzła wargi, gdy poślizgnął się i zachwiał, ale odzyskał równowagę. Już był na dole, miał zgubę na wyciągnięcie ręki i pewnie by ją chwycił, gdyby nie gałąź, a właściwie konar pchany wezbranym nurtem. Trafił go pod kolana, akurat gdy Zach zaciskał palce na bucie. Wystarczyło, żeby zwałił się w wodę jak kamień. W jednej chwili znikł pod niesionymi deszczem falami, a na brudnej powierzchni został tylko granatowy kapelusz ozdobiony dwoma złotymi skrzyżowanymi

szablami - odznaką Kawalerii Stanów Zjednoczonych.

Rozdział 17

Na szczęście kanał był płytki, więc po chwili major wygrzebał się z topieli. Klął strasznie, wyglądał jeszcze gorzej - cały był oblepiony czarną mazią.

- *Mon Dieu!* - Emmanuelle nie byłaby sobą, gdyby nie próbowała skoczyć na ratunek.

- Tylko nie to! - zawołał major wielkim głosem, brnąc do brzegu. - Jeszcze pani wpadnie, a tym razem już się nie ruszę.

Stała w miejscu, ale zaraz cofnęła się z obrzydzeniem. Major cuchnął ponad wszelkie wyobrażenie, a wyglądał tak śmiesznie, próbując się ogarnąć, że aż parsknęła śmiechem.

- Zgubił pan kapelusz - wykrztusiła.

Łypnął na nią wściekłym wzrokiem, lecz po chwili w jego oczach pojawił się inny błysk. Podniósł rękę gestem zwycięzcy.

- Ale znalazłem pani but- oznajmił, jakby obwieszczał wielką wygraną, i też zaczął się śmiać jak ona.

Ich spojrzenia splotły się ze sobą, śmiech zamarł i przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Teraz chyba pani wsiądzie, prawda? Razem podeszli do dorożki.



Trzy kwadransy później Emmanuelle zapukała do drzwi łazienki. Nie zamknął ich, więc zachybotwały pod naciskiem. Zaprowadziła go tam zaraz po przyjeździe do domu. Sama poszła się przebrać, zajrzeć do syna i przygotować wszystko, co trzeba do opatrunku. A teraz zapukała, że już czas.

- Monsieur?

- Może pani wejść! - zawołał.

Stał przy umywalce, nagi, jeszcze wilgotny od kąpieli, przepasany tylko ręcznikiem, i czyścił szablę. Gdy weszła, spojrzał na nią tak, że zaczęła żałować, iż nie poprawiła przynajmniej włosów i nie włożyła czegoś bardziej stosownego. W pośpiechu narzuciła na siebie tylko letni szlafrok.

- Piękna łazienka - pochwalił, ogarniając wzrokiem ściany wyłożone portugalskimi kafelkami, miedzianą wannę i prysznic okolony ceratową zasłoną. Schował szablę.

- To zasługa Philippe'a, on to urządzał. - Z tacy, którą Przydzwigała, wzięła opatrunek i nasaczyła go karbolem. Gdy kilka kropeł spadło na podłogę, zdała sobie sprawę, że drżą jej ręce. Buteleczka z karbolem zastukała, gdy odstawiała ją na tacę.

- Niech pan tu usiądzie. - Gestem wskazała długi, obity miękką tkaniną stół pośrodku łazienki.

- A to, cóż to takiego? - spytał z ciekawością.

- Stół do masażu.

- Widzę, że pani mąż lubił sobie dogadzać - skomentował.

- Miał na sumieniu chyba wszystkie siedem grzechów głównych - odparła, skupiając uwagę na ranach. Ta po cięciu nożem zdążyła się już całkiem nieźle zagoić, a w każdym razie wyglądała lepiej, niż Emmanuelle

się spodziewała. - Na szczęście szwy wytrzymały - oznajmiła, przykładając tampon z karbolem. -Oby nie zaczęło się paprać.

- Jezus Maria - jęknął. - Co pani robi?

- Przemyslam. To środek aseptyczny - wyjaśniła, jakby chodziło o rzecz najnaturalniejszą w świecie, choć przecież nie wszyscy wierzyli, że karbol zabija animalcule, a i w animalcule, drobne żyjątka, sprawiające, że rana zaczyna się paskudzić, też mało kto jeszcze wierzył.

- Pali jak terpentyna.

- I ma taki sam skutek. Pod opatrunek nałożę jeszcze trochę maści...

- Poczula na sobie jego spojrzenie i podniosła wzrok. -Muszę panu coś powiedzieć - wyrzuciła z siebie.

- Słucham.

- Ktoś tu był wczoraj w nocy.

- Nie rozumiem.

- Ktoś się zakradł. Obudziłam się w środku nocy, bo wydawało mi się, że coś słyszę, a gdy obeszłam cały dom, zauważyłam, że zasuwka przy drzwiach jest odsunięta.

- A jest pani pewna, że była zamknięta?

- Najzupełniej. Od czasu gdy... to się zaczęło, zamykam wszystkie okna i drzwi na parterze. Rose wyrzuciła całe jedzenie, jakie mieliśmy w domu. Uważa, że ktoś chciał nas otruć.

- Pani też tak sądzi?

- Nie.

- A domyśla się pani, kto się tu zakradał?

- Nie mam pojęcia. - Znów zajęła się raną. - Wierzy mi pan? - spytała, nie patrząc na jego twarz.

Nie odpowiedział. Zmienił temat.

- Niech mi pani opowie, co się wtedy stało, na wiosnę. Chodzi mi o tę awanturę między Claire, pani mężem i Yardleyem.

Podniosła wzrok.

- Proszę mi opowiedzieć - powtórzył.

- No dobrze, niech będzie. - Pochyliła się nad raną i zaczęła nakładać maść. Gdyby miała patrzeć mu w oczy, pewnie nie dobiłyby z siebie ani słowa. - Nie wiem, jak się zaczęło, bo byłam zajęta czymś innym. Byłam w salce prosektoryjnej, mamy taką zaraz za kuchnią, i studiowałam układ mięśni ramienia, gdy nagle doszły do mnie krzyki.

- Claire i Yardleya?

- Tak. Niech pan to potrzyma. - Gestem pokazała tampon. Zrobił, jak mu kazała, i na chwilę jego dłoń spoczęła na jej dłoni. Poczowała ciepło jego ciała. - Na początku nie zwracałam na to uwagi. - Wysunęła dłoń spod jego palców, by sięgnąć po bandaż. - Ale wrzeszczeli tak głośno, że cały szpital musiał słyszeć. Poszłam więc, żeby ich uciszyć.

- Ze skalpelem w ręku?

- Po prostu zapomniałam go odłożyć. - Zaczęła mu owijać bandażem klatkę piersiową. Deszcz szumiał za oknem, krople rozpryskiwały się o szybę. Płomień świecy odbijał się od kafli na ścianach. - Słyszałam tylko krzyki, nie wiedziałam, o co się kłóć.

- A wiedziała pani już o Claire? - spytał, podnosząc ramię, żeby ułatwić jej nakładanie bandaża.

- Że sypia z Philippe'em? Nie, wtedy jeszcze nie miałam o tym pojęcia, jakkolwiek wiedziałam już sporo o Claire i jej romansach. Miała ich wiele, tyle co niejeden mężczyzna. Wszystkie krótkie, przelotne, żadnego nie ciągnęła, nie chciała. Jestem pewna, że z moim mężem też tak miało być.

- Ale stało się inaczej?

- Właśnie, zakochała się. - Emmanuelle związała końce bandaża, kończąc opatrunek. Podniosła się i ich spojrzenia znów się spotkały. Z dala dobiegł odgłos gromu; przetoczył się z łoskotem ponad miastem, mieszając się z szumem deszczu. Jak to się stało, przemknęło jej przez myśl, że opowiada mu tak otwarcie i szczerze o tak intymnych sprawach i nie czuje nawet cienia skrępowania.

- Nie miała pani o to pretensji?

- O to? Żadnych. - Potrząsnęła głową. Przemoczone od deszczu włosy zaczęły już wysychać, układając się w burzę drobnych loków. - Rozumiałam ją. - Westchnęła, zdając sobie nagle sprawę, że wspomnienie ciągle jeszcze sprawia jej ból. -Rozumiałam - powtórzyła. - W końcu ja też zakochałam się w nim, gdy miałam tyle lat co ona.

- Ale nie wybaczyła jej pani, że z nim sypia?

- Nie - rzuciła, czując ucisk w sercu. Zaczęła zbierać resztki po opatrunku. Zamknęła słoik z maścią.

- A o co właściwie poszło? O co ta kłótnia z Yardleyem? - spytał jakby od niechcienia.

Emmanuelle zamarła w pół kroku. Ręka ze słoikiem z maścią zawisła nad tacą. Obnażał ją, jakby obierał jabłko. Warstwa po warstwie zdzierał kłamstwa, którymi tak skrupulatnie otaczała się od lat. Są jednak sprawy, których odkrywać nie należy, zwłaszcza zaś, powtórzyła sobie w myślach, przed żandarmem, oficerem wrogiej armii.

- Byli przyjaciółmi, i to bardzo bliskimi przyjaciółmi - zaczęła spokojnie, bez emocji. Dawno już posiadała tę umiejętność stwarzania pozoru spokoju, nawet gdy się w niej gotowała. -Mówię oczywiście o moim mężu i Yardleyu. Mieli... jak by tu powiedzieć... podobne gusta i Claire skądś, nie wiem skąd, dowiedziała się, że obaj odwiedzają pewne... miejsce przy Old

Levee Street. - Przerwała, nie będąc pewna, czy nie powiedziała jednak za dużo. - Wie pan o czym mówię?

- Owszem, słyszałem o tym... przybytku.

Nagle zdała sobie sprawę, że nadal ściska w dłoni słoik z maścią, i to tak kurczowo, że palce jej zdrętwiały. Odstawiła go i podeszła do umywalki. Nie chciała i nie mogła patrzeć na majora, musiała się czymś zająć.

- Cały problem polegał na tym - podjęła wątek - że Claire nie tylko się w nim zakochała, ale uwierzyła, że on ją też kocha. Oczywiście, błędziła. Niemniej, gdy dowiedziała się o wyprawach na Levee Street, uznała, że to wina Yardleya. No cóż, była zaślepiona, nie dopuszczała do siebie myśli, że Philippe ma... pewne wady.

Krople deszczu rytmicznie uderzały o szyby, ale tu, w blasku świecy, zamykał się inny świat. Nigdy jeszcze przed nikim Emmanuelle nie pozwoliła sobie na taką szczerość.

- Kiedy pani mąż przeniósł się do garsoniery?

Emmanuelle wsparła się o brzeg umywalki. Coraz trudniej było jej utrzymać maskę obojętności i coraz trudniej było mówić.

- Dawno, grubo przed Claire, jakieś... dziesięć, nie, jedenaście lat temu. Oczywiście, jedenaście! Jak mogłam zapomnieć, przecież Dominik ma jedenaście. Przeniósł się, gdy... - przełknęła ślinę - ...gdy dowiedziałam się, że mnie zdradził.

- Bolało, prawda?

Obróciła się, zaskoczona jego tonem. Mówił cicho, ze współczuciem i troską.

- Prawda - odpowiedziała po prostu. - Najpierw wydawało mi się, że uda mi się go zmienić, że wszystko będzie dobrze. - Zaśmiała się gorzko.

- Później jednak zdałam sobie sprawę, że to na nic, że Philippe nigdy się nie

zmieni. Żeby się zmienić, trzeba kochać, a on mnie nie kochał. To bolało jeszcze bardziej -dokończyła ze ściśniętym gardłem.

- Więc dlaczego po jedenastu latach, skoro od dawna pani wiedziała, jaki on jest, rzuciła się na niego ze skalpelem?

- Nie wiem. Poniosło mnie, przestałam nad sobą panować. Mieliliśmy z Philippe'em taką niepisaną umowę, że niech robi, co chce, byle mnie w to nie mieszał i zachował jaką taką dyskrecję.

- Rozumiem, że naruszył warunek dyskrecji.

- Właśnie. - Spojrzała na niego jakby dumna ze swojej szczerości. Szukała w jego oczach choćby cienia potępienia. Nie znalazła. - Szokuje to pana, prawda? Nie pojmuję pan, że można pójść na taki diabelski układ?

- A nie myślała pani o rozwodzie? Wiem, że to ostateczność, ale bywa, że nie ma innego wyjścia.

- Rozwód nie wchodził w rachubę.

- Jest pani katoliczką?

- Nie o to chodzi. Bałam się o syna, bałam się go stracić. Zna pan prawo, dzieci należą do ojca. Zabraliby mi go, Philippe i cała jego rodzina, a ja nigdy nie oddam Dominika, za nic. -Przerwała, zdając sobie sprawę, że powiedziała za dużo. Westchnęła. - To święta prawda - zmieniła ton - że jak się czegoś szuka, to się znajdzie, że wystarczy pogrzebać w czyimś życiu i zawsze znajdzie się jakąś tajemnicę. Pewnie pan teraz uważa, że miałam aż nadto wystarczający motyw, żeby zabić Claire.

- Tak uważam, ma pani rację.

Nagły poryw wiatru pchnął okno i do wnętrza wlała się woń oliwek i bananów z ogrodu. Emmanuelle podeszła do okna, żeby je zamknąć, ale stanęła nagle bez ruchu, patrząc w zamyśleniu na mroczną zieleń za oknem.

- Byłam na nią zła, to prawda, ale nie mogłam mieć do niej pretensji.

Miała ledwie osiemnaście lat i... znała prawdę. Wiedziała, że od dawna nie żyjemy z Philippe'em. Antoine opowiedział jej kiedyś o tym po pijanemu. Zakładała, logicznie przecież, że nie będę miała żalu.

- Ale bolało to panią?

- To prawda, choć nie na tyle, na ile mogło, a z pewnością nie na tyle, żebym chciała ją zamordować, ją i Philippe'a. -Spojrzała na niego przez ramię. Nadal siedział na stole do masażu. - Pewnie pan myśli, że to ja doniosłam na męża, prawda? I że otrułam Claire?

- Rzeczywiście, układałoby się to w logiczną całość, gdyby nie zabójstwo Henriego Santerre'a.

Zaskoczył ją. Obróciła się i poprawiła włosy na karku.

- A może miałam powód, żeby go zabić, tylko że pan jeszcze tego nie wie.

Wstał ze stołu, podszedł do niej, nagi, muskularny, silny. Nawet bez munduru jawił się jak wojownik - groźny i zapalczywy.

- A kusza? - spytał. - Niby jak miałyby pani przemycić kuszę na cmentarz. Owszem, słyszałem o paniach, które potrafią ukryć srebrne sztucce pod spódnicą, ale z kuszą byłyby pewne problemy. - Roześmiał się.

- A co pan powie na to, że ukryłam ją wcześniej na cmentarzu?

- To możliwe, ale nieprawdopodobne. Dlaczego miałyby pani strzelać do Santerre'a, skoro z łatwością mogłaby go pani otruć albo zasztyletować. Zna się pani przecież na truciznach i doskonale pani wie, pod które żebro najskuteczniej wsunąć nóż.

- Tak pan uważa? To dlaczego, pańskim zdaniem, nie skorzystałam ze swoich umiejętności, żeby pozbyć się Philippe'a? Jego też mogłabym z łatwością zasztyletować.

Nie odpowiedział; ku jej zaskoczeniu, podniósł rękę i delikatnie

odsunął jej kosmyk włosów z policzka.

- To przez niego nie wyjechała pani do Paryża na studia, prawda?

Pytanie zaskoczyło ją jeszcze bardziej niż jego gest.

- Prawda - odparła. Głos jej drżał. Czowała ciepło jego dłoni na swoim policzku. - Całe życie marzyłam, żeby zostać lekarką, aż spotkałam Philippe'a. Przysłonił mi cały świat - powiedziała ze smutkiem. - Nie wyobrażałam sobie życia bez niego.

- I zrezygnowała pani ze swoich ambicji. - Obu dłońmi pieścił jej włosy. Stał tak blisko, że czuła na sobie jego oddech. - Poświęciła pani wszystko dla niego, a on nie zrezygnował dla pani z niczego.

- I tak oto dochodzimy do prawdziwego motywu zabójstwa - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Milczał, ona też nic nie mówiła. Ciszę przerywało tylko rytmiczne dudnienie deszczu i coraz szybsze oddechy obojga. Wyciągnęła rękę, chwyciła go za nadgarstek, ściągnęła w dół blisko siebie, tak że jego place dotknęły jej piersi pod szlafrokiem.

- Niech mi pan powie, monsieur - szepnęła - jak to się dzieje, że uważa mnie pan za zdolną do zbrodni, a jednocześnie pragnie mnie pan jako kobietę?

Dotknął jej piersi i nie cofnął ręki. Przeszedł ją dreszcz.

- Nie wiem, ale to prawda, pragnę pani. - Patrzył na nią, spodziewając się, że zaraz się odsunie albo uczyni jakiś gest, który położy kres bliskości. Ale nic nie zrobiła, ani kroku, ani gestu. Wplątał więc palce w bujne włosy, odchylił jej głowę i zbliżył usta do jej ust.

Całował ją jak wygłodniały, śpiesznie, nienasycenie, żarłocznie, jak zakazany owoc. Wsparła dłonie o jego pierś, a zaraz potem, zarzuciła mu rękę na szyję, przyciągając do siebie. Drżąc, garnęła się do niego, chłonąc

jego ciepło i oddech, pełna oczekiwania i niecierpliwa. Uniosła nogę, owijając ją jak wąż wokół jego bioder, a on wsunął dłoń pod szlafrok, przesunął po udzie wyżej i jeszcze wyżej. Wysunęła język, szukając jego języka, ssała jego wargę z taką namiętnością, że jęknął.

Jego ręce stały się jeszcze bardziej niecierpliwe i śmiałe. Każdy dotyk przepajał ją gorącem i palił płomieniem, żądza odbierała oddech i rozpaliała zmysły. Nic się już nie liczyło. Chłoneła jego pocałunki, chłoneła męski zapach i ciało. Chciała, by zległ na niej, chciała poczuć na sobie jego ciężar, widzieć nad sobą twarz spiętą pragnieniem równie mocnym jak to, które ją przepajało do utraty zmysłów, chciała, by wypełnił sobą pustkę w jej wnętrzu. Ogarnęło ją pragnienie tak wielkie, tak gwałtowne i nieokiełzane, że znalazła w nim siłę, by oderwać usta od jego ust. Stał nad nią zdyszany z podniecenia i opuścił ręce.

- Uważa pani, że to był błąd? - Głos miał chrapliwy, z trudem dobywał słowa.

- Pan też to wie - odparła. Pierś jej falowała, raz po raz nabierała powietrza.

Musnął ją w policzek i wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu.

- Ma pani racje. - Nie cofnął ręki, przeciwnie, pogłaskał ją czule. Nie zaprotestowała. Potrzebowała czułości, choćby przelotnej.

- Znajdzie pan suche ubrania w pokoju Philippe'a - oznajmiła, odsuwając się od niego o krok, potem jeszcze jeden i jeszcze. Zmusiła się, żeby odejść na bezpieczną odległość. - Proszę wziąć wszystko, co potrzeba. - Gestem wskazała drogę.

Przez niezamknięte okno znów wdarł się poryw wiatru i targnął jej szlafrokiem, odsłaniając to, co się pod nim kryło.

- Emmanuelle! - krzyknął Zach, oczy mu zapłonęły, wyrzucił ręce

przed siebie.

Nie zdążył, wymknęła się, kurczowo ściskając poły szlafroka, a korytarzem poniósł się tylko tupot bosych stóp.



Zach otworzył drzwi i stanął w progu. Odetchnął głęboko, wciągając do płuc wilgotne od deszczu powietrze. Rozpalona do białości krew pulsowała mu w żyłach, a samczy instynkt podpowiadał, by pobiec za nią, chwycić w ramiona i wziąć, tak jak tego pragnęła. Opanował się jednak, odetchnął głęboko kilka razy i zagłębił się w mroczne wnętrze pokoju Philippe'a.

Uzbrojony w lampę, którą zabrał z łazienki, zaczął oglądać pomieszczenie. Pachniało tytoniem, skórą i kurzem.

Pokój był stosunkowo niewielki, ściany proste, na cyprysowych deskach podłogi leżała -jak to w lecie - słomiana mata; kominek był niewyszukany jak cała reszta. W bogatszych domach podobne pomieszczenia oddawano do dyspozycji dorastających synów bądź kwaterowano w nich niewolników. Ten jednak należał do Philippe'a, który postarał się stworzyć dość gustowne wnętrze, pełne książek w skórzanych oprawach, z eleganckim cedrowym łóżkiem w kącie i ładnymi obrazami w sutych złotych ramach. Pod oknem stał rzeźbiony stół, a w kącie cedrowa szafka i nią to Zach zajął się przede wszystkim. Przekręcił klucz i otworzył.

Nie było w niej ubrań, powiało natomiast haszyszem i opium. Na półce po lewej spoczywały trzy skurczone ludzkie głowy z wysp Pacyfiku. Włosy miały długie jak za życia, oblicza wysuszone i wykrzywione w

straszliwym grymasie. Obok leżał zwinięty skórzany bicz, mocno zużyta dyscyplina i zwój sznura z czerwonego jedwabiu. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by domyślić się, po co Philippe trzymał te „skarby”.

Potem Zach zajął się półkami na ścianach. Zbiór przedmiotów, jakie na nich zgromadzono, przypominał w pewien sposób chatę Papy Johna, z tym jednak, że nic z tego, co stało na tych półkach, nie miało ani naukowej, ani medycznej wartości. Książki i przedmioty gromadzono wedle innej zasady i innej potrzeby. Miały szokować, zaciekawiać i podniecać.

Wrócił jednak do szafki. W pierwszym odruchu chciał nawet zatrzaskać drzwiczki i nie zaglądać do niej więcej. Zdawał sobie sprawę, że Emmanuelle wolałaby, aby nie dotykał tajemnic człowieka, z którym czy ściślej - obok którego - spędziła dwanaście lat życia. Na dworze przestało już padać, burza przeszła, wiatr się uspokoił i wokół nastąpiła głęboka, nienaturalna cisza.

Metodycznie, powoli i spokojnie Zach zaczął przeglądać całą zawartość szafy. Nie był do końca pewien, czego szuka, ale wiedziony instynktem albo przeczuciem, sprawdzał wszystko, półka po półce. Nie mylił się. Na ostatniej półce, za sporym albumem z podobiznami nagich młodych dziewcząt odkrył skrzynkę z mosiężnymi okuciami.

Otworzył i jego oczom ukazał się cały starannie ułożony zestaw narzędzi przeciwko wampirom: krzyż, flakon z wodą święconą, osikowy kołek, miniaturowa kusza i strzały ze srebrnymi grotami. Powinno ich być cztery - tyle miejsc znajdowało się w skrzynce. Były tylko trzy.

Rozdział 18

Miżyło, gdy wkrótce potem Zach wychynął z domu przy rue Dumaine. Zamknął za sobą drzwi i na chwilę przystanął jeszcze na ceglany chodniku pod balkonem.

Miał na sobie czarny garnitur, białą, płócienną koszulę z czarnym krawatem, eleganckie buty i kosztowny pilśniowy kapelusz. Gdy wkładał rzeczy Philippe'a de Beauvais'go, stwierdził, że znakomicie nań pasują. Był tego samego wzrostu i miał podobną sylwetkę co kolekcjoner ludzkich głów oraz nagich podobizn dorastających dziewcząt, nie mówiąc już o instrumentach do obrony przed wampirami. Konstatacja ta nie sprawiła mu przyjemności. Tymczasem stał pod balkonem, dzierżąc pod pachą tłumok z przemoczonym i ubłoconym mundurem oraz skrzynkę z mosiężnymi okuciami.

Zastanawiał się, jak dobrze Emmanuelle znała męża, czy miała pojęcie o rzeczywistych rozmiarach jego przedziwnych zainteresowań, gustów i namiętności. Czy wiedziała, co przechowuje w komodzie pod kluczem. Uznał jednak, że musiała wiedzieć o wszystkim, skoro po zabójstwie Santerre'a sprawdzała, czy kusza jest tam, gdzie była.

Ruszył wreszcie spod balkonu. Kusiło go, żeby zerknąć za siebie, przekonać się, czy Emmanuelle stoi może w oknie, ale nie zrobił tego. Poszedł prosto przed siebie, nie oglądając się, ale myślami wracał jednak do tego, co się stało, i do tego, co się nie stało. Tam, na górze, w garsonierze, biorąc do ręki broń, z której zabito Henriego Santerre'a, doszedł do przekonania, że Emmanuelle jednak go oszukała, a podejrzenia, jakie żywił

wcześniej, znalazły pełne potwierdzenie. Teraz wyrzucał sobie, że fascynacja jej osobą, żądze, jakie w nim budziła, zaślepiły go do tego stopnia, że dał się wyprowadzić w pole, że przyjmował jej kłamstwa za dobrą monetę. Ale zaraz potem znów zmienił zdanie. Gdyby nie mówiła prawdy, gdyby naprawdę chciała wyprowadzić go w pole, omamić i oszukać, to nie zostawiłaby go samego w pokoju Philippe'a. Przypomniał sobie także, co mówiła o wydarzeniach poprzedniej nocy, o odciągniętej zasuwce. Było tylko jedno logiczne wytłumaczenie: ktoś, kto wcześniej zabrał skrzynkę z kuszą, zakradł się wczoraj, aby umieścić ją na dawnym miejscu. Myśl o tym, że po domu Emmanuelle buszował morderca, ścisnęła mu serce, a jeszcze bardziej zatroszczył się, zdając sobie sprawę, jak niewiele brakowało, aby sprawy przybrały znacznie tragiczniejszy obrót. Gdyby bowiem nakazał wczoraj przeszukanie domu, a miał przecież do tego wszelkie prawo, przeszukujący odkryliby skrzynkę, a tym samym istniałby dowód, że to ona - Emmanuelle - winna jest zabójstwa na cmentarzu. Nawet nie trzeba by sądu, aby posłać ją na szubienicę.

Dochodził już do końca rue Dumaine i nie, wytrzymał, zerknął przez ramię na piętro, gdzie - jak przypuszczał - znajdował się jej pokój. Nie potrafił się oszukiwać. Chciał jej i pragnął, rozpalala w nim żądze nie do opanowania, ona - świeżo owdowiała, buntowniczką, podejrzaną o morderstwa. A tam, w domu, tak niewiele brakowało, aby przekroczył ostatnią granicę. Wystarczyło, by poszedł do tego pokoju, w którym właśnie poruszyła się firanka.



Hamish z ciekawością obracał miniaturową kuszę w swoich wielkich

jak bochny dłoniach.

- I nie zadałeś jej najprostszego pytania, jak to się stało, że ten drobiazg najpierw znika, a potem się pojawia?

Zach stał w oknie swojego gabinetu i wyglądał na ulicę, patrząc z zainteresowaniem na młodego chłopaka, który właśnie rozstawiał stragan z kawonami. Nocny deszcz okazał się zbawienny; powietrze było tak rześkie i czyste, że chciało się oddychać pełną piersią.

- Nie, jeszcze nie zapytałem.

- Rozumiem, że nie bez powodu.

- Zgadłeś - odparł Zach, nie odrywając wzroku od okna. Gdyby zaraz po odkryciu skrzynki chciał uzyskać wyjaśnienia, musiałby się udać do pokoju Emmanuelle, o tym jednak nie chciał podwładnemu opowiadać.

- No i co o tym myślisz?

- Myślę - Zach wzruszył ramionami - że zabójca stara się rzucić podejrzenie na madame de Beauvais.

- Niewykluczone, co jednak nie wyklucza innego rozumowania. Nie ma dwóch zdań, że Francuzeczka jest sprytna, więc może specjalnie zostawiła cię samego, abyś znalazł ten drobiazg. Baba wie, że się do niej palisz, więc mogła być pewna, że uwierzysz w jej bajkę, iż ktoś to najpierw zabrał, a potem podrzucił. Masz na nią chęć, to widać. I to, niestety, komplikuje śledztwo.

- Nie spałem z nią. - Zach sięgnął po kuszę.

- Ale marzysz o tym.

Zach umieścił kuszę w skrzynce i zamknął wieko.

- Idę do kościoła - oznajmił, pakując skrzynkę do płóciennej torby z insygniami U.S. Army.

- Do kościoła? - zdumiał się Hamish.

- Nie gdzie indziej.



Kościół pod wezwaniem Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny, wzniesiony wspólnym wysiłkiem imigrantów z Niemiec, imponował rozmiarami. Zbudowano go w stylu przypominającym gotyk. W części wielkich, zwieńczonych łukami okien w głównej nawie zamontowano już witraże, w innych widniały jeszcze zwykłe szyby. To oraz woń świeżego drewna, łoskot młotków i piskliwe dźwięki pił świadczyło o tym, że budowa jeszcze się nie skończyła.

Zach zatrzymał się przy wejściu i chłonał znajomy zapach topiącego się wosku i kadzidła, ogarniając wzrokiem przepastne, ale skromnie, jak na razie, urządzone wnętrze świątyni. Stacje Drogi Krzyżowej na białych ścianach wykreowano z ceramicznych płytek. Przed ołtarzem powstawała właśnie wspaniale rzeźbiona balustrada. Słyszac kroki, młody człowiek z grzywą kasztanowych włosów odłożył piłę i młotek. Twarz mu stężała, gdy zobaczył majora, lecz wstał zaraz i powitał go w ojczystym języku.

- *Guten Tag.*

- A więc to tu pracujesz w wolnych chwilach - odpowiedział na powitanie Zach, pilnie go obserwując.

- To nie jest praca - odparł Hans Spears, otrzepując ręce z kurzu. - To zbożne dzieło. - Ubrany był w robocze spodnie i koszulę bez kołnierzyka. - I wspólna sprawa - dodał. - Każdy się dokłada, nawet dzieci noszą choćby po jednej cegle.

Zach z uwagą ocenił rzeźby na balustradzie.

- Wspaniale - pochwalił. - Masz talent. Jako cieśla mógłbyś

zarabiać znacznie więcej niż jako pielęgniarz w szpitalu.

Spears pociągnął ręką bo dopiero co skończonym fragmencie rzeźby. Widać, że był dumny ze swego dzieła.

- Praca w drewnie to przyjemność i służba Panu. - Przekuśtykał parę kroków do miejsca, gdzie zostawił kamizelkę i marynarkę. - Ale marzy mi się inna kariera. Jest nas czterech braci, ojca nie mamy, umarł. Matkę stać było na wykształcenie tylko jednego z nas, najstarszego, Bertranda. On z kolei łożył na edukację Carla, a Carl będzie teraz opłacał moją naukę. Gdy tylko skończy się wojna i znów otworzą uczelnię, będę studiował medycynę, a kiedy skończę, do szkoły pójdzie najmłodszy, Joseph, i ja będę za niego płacił.

- A więc chcesz, być lekarzem - ni to stwierdził, ni zapytał Zach.

- Chcę i będę - odrzekł Spears, wkładając kamizelkę. -W szpitalu już się sporo nauczyłem i nadal się uczę, z książek i od ludzi, którzy mają wiedzę, jakiej w szkołach nie uczą.

- Od takich jak Papa John?

- Oczywiście, dziwi to pana, majorze? - Spears energicznie obciągnął marynarkę.

Zach zbył pytanie. Milcząc otworzył torbę i wyjął skrzynkę z mosiężnymi okuciami.

- Widziałeś to kiedyś?

Spears patrzył chwilę na pudło, po czym przeniósł wzrok na majora.

- Widziałem.

Takiej odpowiedzi Zach raczej się nie spodziewał.

- Kiedy?

- Wiosną, Philippe mi to pokazał. - Spears wziął skrzynkę z rąk Zacha, przykucnął przy ołtarzu i otworzył wieko. - Gdy byłem mały, w

Bawarii, zrobiłem sobie kiedyś kuszę. Większą niż ta, naturalnie.

Wspomniałem o tym Philippe'owi i wtedy pokazał mi tę skrzynkę - dokończył przyglądając się jej zawartości. Musiał zauważyć, że brak jednej strzały.

- Umiałbyś z tego strzelić?

- Naturalnie - odparł Spears odruchowo i westchnął, podnosząc oczy. - Nie zabiłem Henriego Santerre'a, jeśli o to pan pyta.

- A kto jeszcze ze znanych ci osób potrafiłby posługiwać się kuszą?

- O co panu chodzi, majorze. Mam na kogoś rzucić podejrzenie, bo inaczej sam będę podejrzany? Chyba mnie pan nie zna.

- To prawda, nie miałem okazji cię poznać - przytaknął Zach. - A Philippe? Potrafił strzelać.

- I to jak! Wziął mnie kiedyś na polowanie na Bayou Creve. Ta kusza, choć mała, jest niezwykle celna, a poza tym łatwa w użyciu. Nawet dziecko potrafiłoby naciągnąć cięciwę.

- A kobieta?

W oczach Spearsa pojawiły się czujne błyski.

- Myślę, że tak.

- A Antoine La Touche interesował się kuszami?

- Nie wiem, ale ta kusza to był prezent od niego dla Philippe'a.

- Co ty powiesz! Nie wiedziałem.

Spears, nie wiedzieć dlaczego, zacisnął zęby. Spuścił wzrok i z trzaskiem zamknął wieko skrzynki. Po przepastnej nawie poniosło się echo.

- Każdy mógłby z tego wystrzelić - rzucił, podając skrzynkę majorowi.

- Celnie? Nie sędzę. A doktor Yardley? Umie strzelać z kuszy?

- Nie wiem. - Spears z wysiłkiem stanął na nogi. - Nie znam go aż

tak dobrze.

- Ale Philippe'a znałeś?

Spears sięgnął po kulę, którą zostawił przy ukończonym już fragmencie balustrady.

- Philippe był nie tylko znakomitym lekarzem, ale i wspaniałym nauczycielem. Wiedział, że chcę studiować medycynę, i bardzo mi pomógł.

Opinia Niemca zaskoczyła Zacha, nie zgadzała się bowiem z obrazem Philippe'a, jaki sobie nakreślał w myślach, obrazem, owszem, wielce utalentowanego człowieka, światowca, ale egoisty pochłoniętego własnymi obsesjami.

- Byłeś z nim na wyprawie, kiedy zginął?

- Potrzebny mu był ktoś, na kim mógł polegać, a mnie ufał.

- Byliście sami?

- Nie, był z nami Murzyn, Bubba. Zginął razem z Philippe'em.

- A poza nim?

- Nikt, tylko my trzej.

- Wiesz, że was zdradzono?

Spears schylił się po skrzynkę z narzędziami. Na kuli szło mu to niesporo, ale podniósł skrzynkę, wyprostował się i spojrzał na majora.

- O tym nie wiedziałem, ale Philippe coś podejrzewał, tak mi powiedział już po tym, jak go postrzelono.

- Mówiono mi, że zginął na miejscu.

- Takie szczęście, majorze, spotyka niewielu ludzi. Nawet po postrzale w głowę można się długo męczyć. - Spears zaczął kuśtykać do wyjścia.

Zach ruszył razem z nim.

- A co dokładnie mówił? Młody Niemiec zatrzymał się i zmarszczył

czoło, zastanawiając się.

- Jeśli dobrze pamiętam, to powiedział „kurwa”. Tak właśnie, „kurwa”. „Ta kurwa mnie wydała. Chciała mojej śmierci. Zawsze ma to, czego chce”.

- I umarł.

- Nie zaraz, ale wkrótce potem.

- Byłeś przy tym?

Spears znów zaczął kuśtykać w stronę skąpanego w słońcu wyjścia.

- Tak.

- A kogo Philippe miał na myśli?

- Nie wiem.

- Claire La Touche?

- Nie wiem.

- Małżonkę?

- Emmanuelle de Beauvais? - Niemiec zatrzymał się przy wyjściu i zmrużył oczy od słońca. - Nie, ona nigdy by tego nie zrobiła.

- Skąd ta pewność?

- Zginął nie tylko Philippe, ale i Bubba. Choć czarny, był jej przyjacielem, a poza tym ona nigdy nikogo by nie zabiła.

Wyszli już na ulicę.

- Ale rzuciła się na męża ze skalpelem. Spears parsknął śmiechem, aż się zachwiał.

- To prawda, ale wcale nie zamierzała go zabić, tylko pozbawić go pewnej części ciała.

- Z powodu Claire?

Spears spoważniał.

- Tak panu powiedziała?

- A był inny powód?
- Niby jaki? - Niemiec wzruszył ramionami i znów zaczął kuśtykać. Zach wyjął mu z ręki skrzynkę z narzędziami.

- *Danke schön.* - Spears niecierpliwym gestem sięgnął po skrzynkę. Nie chciał, aby major czynił mu uprzejmość. - Mamy takie słowo w języku niemieckim, *Leidenschaft*. Czasami przychodzi mi ono do głowy, gdy obserwuję Emmanuelle de Beauvais. Oznacza pasję, namiętność.

- ...oraz cierpienie - dokończył Zach.
- Zna pan niemiecki? - zdumiał się Spears.
- Czytuję Goethego.
- Dziwne zainteresowania jak na kawalerzystę.
- Nie mniej dziwne niż dłubanie w drewnie w przypadku lekarza. Spears zaśmiał się, szczerze rozbawiony.

- Ma pan rację, majorze. Nikt z nas nie jest wolny od uprzedzeń, prawda?



Chłopiec siedzący w bryczce przed domem na rue Dumaine musiał się mocno zamyślić, bo nawet nie zauważył, kiedy Zach zatrzymał wierzchowca tuż przy nim.

- Uważaj, bo twój koń zaraz zacznie wyjadać bazylię z ogródka pani Angelo - ostrzegł go Zach.

Chłopiec aż podskoczył z wrażenia i zaraz strzelił oczami, jakby chciał uciec. Oceniał wszelako, że raczej nie ma wyjścia, spojrzał więc na Zacha i zapytał zadziornie:

- Skąd pan wie, że nasza sąsiadka nazywa się Angelo?

- Różne rzeczy wiem, także i to, że ty nazywasz się Dominik de Beauvais.

- Przyszedł pan porozmawiać z moją mamą? - stropił się chłopiec, przypominając sobie incydent nad rzeką.

- A owszem, ale nie bój się, nie o tobie. - Zach przerzucił torbę ze skrzynką do drugiej ręki i zainteresowaniem spojrzał na spory kosz w nogach chłopca, wędki i siatki na kraby.

- A tak - pochwalił się Dominik, podnosząc nos do góry. -Jedziemy na piknik, będziemy łowić kraby. Tego chyba Jankesi jeszcze nie zakazali.

- Jeszcze nie. - Zach zaśmiał się. - A wiesz, gdy byłem w twoim wieku, łowiłem homary. Nie uwierzysz, ale w naszych stronach homary łowiło się do... garnka.

- Do garnka? - Dominik pokręcił nosem. Żartuje pan.

W tym momencie otworzyły się drzwi i na ulicę wyszła Emmanuelle. Niosła górę przedmiotów i w pierwszej chwili nie zauważyła majora.

- *Alors!* - zwołała do syna. - Szukałam, ale nie znalazłam. -Zbladła, widząc Zacha. Nawet blada wyglądała przepięknie, z wysokimi kośćmi policzkami, regularnymi rysami, delikatnym podbródkiem i wydatnymi ustami - grzesznymi i kłamliwymi. - Właśnie wyjeżdżamy, monsieur - uprzedziła wszelkie pytania.

- Przykro mi, ale muszę z panią porozmawiać. To ważne.

- Teraz?! - zwołał Dominik ze złością, nie bacząc na granatowy mundur. - I tak już jesteśmy spóźnieni. Jeśli zaraz nie ruszymy...

- Dominik! - przywołała go do porządku matka. - Czy to naprawdę takie pilne? - zwróciła się do Zacha. - Od tygodnia obiecywałam małemu tę wycieczkę.

- Pilne - odparł Zach, ale mogę pojechać z państwem. Chłopiec

pójdzie na ryby, a my porozmawiamy.

Przyjechał tu, aby przedstawić jej dowód, postawić zarzut, zmusić, by wreszcie powiedziała całą prawdę, wystarczyło jednak, że spojrzał w jej oczy, i znów ogarnęła go gorączka i wspomnienie nocy - naga, gładka jak aksamit skóra, smak ust tej kobiety i zapach jej ciała.

Patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu, jakby ważyła propozycję albo... wspominała noc, jak on.

- *Eh bien*. Skoro pan chce. Zaraz ruszamy. - Obróciła się na pięcie i wbiegła do domu.

Rose czekała już z prowiantem, który mieli zabrać ze sobą nad jezioro.

- Co ty wyprawiasz? - spytała ostro. - Zapraszasz Jankesa do towarzystwa?

- A co mogłam zrobić? Powiedział, że albo pojedzie z nami, albo zostaniemy w domu.

- Nie wiem, co mogłaś zrobić. - Murzynka spojrzała na Emmanuelle spod przymrużonych powiek. - Ale wiem jedno, że wodzisz za nim oczami i jeszcze trochę, a stracisz dla niego głowę. Uważaj.

- Nie żartuj. - Emmanuelle zaśmiała się nienaturalnie.

- To nie są żarty, moja panno. - Rose wzięła się pod boki. - Zbyt dawno nie byłaś z mężczyzną, a ten jest całkiem do rzeczy. Tylko nie zapominaj, kim on jest, słyszysz?! - zawołała, gdy Emmanuelle nacisnęła klamkę. - To Jankes! I może cię wtrącić do więzienia, nim zdążysz odmówić pacierz. Zapamiętaj to sobie.

Rozdział 19

Z Papere stale jeździmy na rozlewiska - pochwalił się Dominik, gdy tylko ruszyli spod domu. - Papere zna rozlewiska jak nikt i najlepiej ze wszystkich wie, jak się łowi kraby i krewetki.

- Papere? - spytał Zach z wysokości siodła. Prowadził wierzchowca jedną ręką, w drugiej trzymał worek z ukrytą w nim skrzynką.

- *Mon grand-pere* - wyjaśnił Dominik tonem wyrażającym zdziwienie, że ktoś może nie znać tak prostego słowa. - Mój dziadek - dodał, żeby nie było wątpliwości. - Nauczył mnie też powożenia zaprzęgiem - dorzucił, unosząc nieco lejce, żeby Jankes na pewno zrozumiał, o czym mowa. - Maman mówiła, że za wcześnie, że jestem jeszcze za mały, ale Papere powiedział, że wcale nie, bo każdy de Beauvais ma to we krwi! - Przerwał i przez chwilę jechali w milczeniu. Ciszę przerywał tylko rytmiczny stukot końskich kopyt. - Ale teraz nie jeździmy tak jak dawniej. Dziadek jest bardzo chory i bez Baptiste'a w ogóle się nie rusza - rzekł chłopiec ze smutkiem.

Emmanuelle łzy napłynęły do oczu. Jeszcze w maju jej teść był okazem zdrowia. Tryskał energią i aż trudno było uwierzyć, że jest dobrze po siedemdziesiątce. Stale coś organizował, jak nie wycieczki za miasto, to wyprawy do opery, i mimo że małżeństwo z Philippe'em już dawno zaczęło się kruszyć, nie odstępował ani synowej, ani wnuka, poświęcał im niemal każdą wolną chwilę. Tak było właśnie do maja. Potem wszystko się zmieniło. Na wieść o śmierci syna Jean-Lambert w ciągu jednej nocy postarzał się o dwadzieścia lat.

- Gdyby nie chora noga, to dziadek byłby w wojsku i zabijałby Jankesów na pęczki - oznajmił Dominik takim samym tonem jak przed chwilą, gdy chwalił się wspólnymi sukcesami łowieckimi.

- Dominik! - skarciła go Emmanuelle, oblewając się rumieńcem.

Zerknęła na Zacha, ale ten tylko się zaśmiał pod nosem. Puścił wodze i wcisnął głębiej kapelusz, bo właśnie zerwał się wiatr. Nowy kapelusz rzucał się w oczy. Podwójne strusie pióro niecierpliwiło się na wietrze i Emmanuelle uśmiechnęła się do siebie, ale zaraz - jakby speszona spojrzeniem majora i wspomnieniem wczorajszej nocy, gdy drżała w jego ramionach równie niecierpliwie, jak on - ściągnęła usta i odwróciła wzrok.

Mijali już ostatnie domy na przedmieściu, okolone bielonymi parkanami i ocienione zielenią. Teraz ona próbowała wcisnąć głębiej swój słomkowy kapelusz, ale zrezygnowała; zdjęła go i położyła na kolanach, wystawiając twarz na słońce i wiatr. Przymknęła oczy i na wpeł uspiona miarowym stukotem kopyt, rytmicznymi przechyłami powozu, szeptami chłopca i majora, poddała się marzeniom, myśląc, jak by to było, gdyby zamiast wroga, towarzyszył im przyjaciel, gdyby ustały wzajemne podejrzenia i niczego nie trzeba by ukrywać. Jak by to było...

Otworzyła oczy, czując na sobie wzrok Jankesa, podejrzliwy i łakomy jednocześnie. Poczuła, że ogarnia ją fala ciepła. Chłonał ją oczami i palił zarazem; wiedziała, że powinna odwrócić wzrok, nie spoglądać w jego stronę ani przez chwilę, ale nie miała siły. Patrzyła jak urzeczona z rozchyłonymi wargami, rumieńcem na policzkach i oczami, w których odbijało się marzenie zmieszane z bólem. W końcu to on odwrócił wzrok, spoglądając gdzieś w dal, po horyzont, gdzie majaczyła spokojna tafla jeziora.

Wspólnie zebrali trochę chrustu i przyszykowali ognisko i kociołek z

wodą. Emmanuelle rozciągnęła koc w cieniu rozłożystej wierzby, przygotowała wszystko, co trzeba na ucztę z krabów, a Dominik z majorem wzięli siatki i przysiedli na końcu drewnianego pomostu, wychodzącego kilkadziesiąt metrów w głąb jeziora Pontchartrain.

Chłopiec z całym zapalem jedenastolatka wcielił się w rolę nauczyciela, pokazując i wyjaśniając majorowi, jak umieszczać przynętę z kurzych skrawków w siatce, jak opuszczać sieć do wody, aby nie przepłoszyć zdobyczy.

Patrząc na nich z oddali, Emmanuelle wspomniała dawne czasy, gdy w to samo miejsce przyjeżdżali we trójkę z Philippe'em. Ale szczęśliwe lata trwały krótko, a potem... potem było już inaczej, wszystko się zmieniło, przestali wyprawiać się nad jezioro i w ogóle gdziekolwiek. Na mocy niepisanej umowy unikali wszystkiego, co wymagałoby ich wspólnej obecności.

Nie chciała o tym myśleć. Wspomnienia ciągle jeszcze przepajały ją bólem. Wstała i poszła na pomost.

- Mamo, mamó - wołał Dominik - major Cooper mówi, że tam, skąd pochodzi, łowią homary wielkie jak talerze. Czy to możliwe? Powiedz?

- A skąd właściwie pan pochodzi, monsieur?

Zach siedział tyłem na skraju pomostu i wprawnymi ruchami wiązał siatkę do patyka.

- Z Rhode Island - rzucił przez ramię, pochłonięty połowem. - Mój ojciec był marynarzem, kapitanem statku. - Zanurzył siatkę, bacząc, aby nie zmacić wody. - To rodzinny zawód, dziadek i pradziadek też spędzili życie na morzu.

- A pan? Jak to się stało, że został pan kawalerzystą? Nie ciągnęło pana na morze? - Przysiadła na mocno już steranej belce, służącej do

cumowania łodzi, patrząc na niego ciekawie.

- Lubiłem i lubię morze, ale nie na tyle, by pójść w ślady ojca. -
Wstał, stanął obok w niej w rozkroku jak na chwiejnym pokładzie. - Moja
matka zawsze mawiała, że morze jest prawdziwą miłością mojego ojca, a
ona tylko czasami.

Patrzyła na jego ręce, mocne, nawykłe do szabli, silne, a zarazem
zręczne i delikatne - ręce, które potrafią zadawać śmierć, ale potrafią też
rozpalać do białości najdelikatniejszym z dotyków.

- Nie było jej pewnie łatwo - powiedziała głośno, jakby chciała
uciszyć własne myśli. - Mąż miesiącami bywał na morzu... Chyba że go nie
kochała.

- Kochała całym sercem - odparł Zach, jakby mówił o naj-
oczywistszej sprawie na świecie. - Codziennie go wyglądała.

Nagły poryw wiatru targnął spódnicami Emmanuelle, a Zachowi
omalże zerwał kapelusz z głowy.

- Niech pan uważa, majorze - zaśmiała się - straci pan drugie
nakrycie głowy w ciągu dwóch dni.

- Ma pani rację, proszę potrzymać. - Podał jej kapelusz. Wzięła,
oglądając go ciekawie - pilśniowy kapelusz oficera

Kawalerii Stanów Zjednoczonych, ze strusim piórem po jednej
stronie, orłem po drugiej oraz skrzyżowanymi szablami i numerem pułku
pośrodku. Symbole wrogiej armii napawały ją nienawiścią; powinna także
nienawidzić człowieka, który je nosił, ale nie potrafiła. Chciała, wiedziała,
że powinna, powtarzała sobie po wielokroć w duchu, że on jest wrogiem,
lecz nie umiała wykrzesać z siebie nienawiści. Obróciła w dłoni kapelusz.
Po wewnętrznej stronie znalazła haftowane złotem litery: *ZACHARY X.*
COOPER.

- Jak brzmi pańskie drugie imię, majorze?
- Xavier - rzucił, nie patrząc na nią, zajęty wyciąganiem sieci ze

zdobyczą.

- To rzadkie imię, zwłaszcza jak na mieszkańca Nowej Anglii.

Wrzucił kraba do kubelka, nałożył przynętę, tak jak pokazał

mu Dominik, i znów zarzucił sieć.

- Mój dziadek po kądzieli był hiszpańskim gubernatorem na Kubie.

- Pańska matka była Hiszpanką? - zdumiała się. Rozbawiło go jej zaskoczenie.

- Nie tylko pani ma skomplikowany rodowód. - Roześmiał się. - Ojciec pływał między Nową Anglią a Kubą. Pewnego razu hiszpański gubernator niebacznie zaprosił wszystkich oficerów ze statku ojca na przyjęcie z okazji urodzin króla. Moja matka miała wtedy szesnaście lat i po raz pierwszy pozwolono jej być na balu. Tydzień później odpłynęła razem z moim ojcem do Nowej Anglii.

- Po tygodniu znajomości?

- Mama mawiała później, że i tak długo czekała. Gotowa była pójść za ojcem zaraz po tym balu.

Emmanuelle powiodła palcami po strusim piórze zdobiącym kapelusz.

- Była pewna, że się nie myli?
- Mówiła, że poszła za głosem serca.
- Nigdy nie żałowała?
- Zapytałem ją kiedyś, jak to było, o czym myślała, rzucając

wszystko dla mężczyzny, którego praktycznie nie znała.

- I co powiedziała?
- Nic, śmiała się.
- Miała szczęście. - Emmanuelle spuściła oczy i westchnęła

głęboko.

- Pani go nie miała?

Zmilczała, spojrzała na niego, na błyszczące, ciepłe i zmysłowe oczy. Nic nie musiała mówić. Rozumiał bez słów.

- Mamo, mamó! - rozległ się radosny krzyk Dominika. -Mamo, popatrz tylko, dwa kraby za jednym razem.

Odwróciła wzrok od majora. Czar przysł.

Po udanym połowie zasiedli we trojkę do obiadu złożonego z gotowanych krabów, jaj na twardo, sałaty i sera. Po posiłku Dominik zszedł buty, i uzbrojony w patyk zaczął wygrzebywać małże na płyciźnie.

Zach, wsparty wygodnie o drzewo, przyglądał się chłopcu.

- Mówiono mi, że miejscowe małże nie nadają się do jedzenia - zauważył leniwie.

- To prawda, mają za dużo mułu - odparła. Emmanuelle, zajęta obieraniem pomarańczy.

- To dlaczego on je wyciąga? - zainteresował się Zach.

- Na przynętę, będzie nęcił krewetki. Potłucze muszle i wrzuci do jeziora, a potem wyłapie krewetki, które przyjdą na żer.

- To dość obrzydliwe.

- Wcale nie gorsze od nęcenia krabów kawałkami kury.

- Może, ale wygląda obrzydliwie.

Emmanuelle podzieliła pomarańczę na cząstki poczęstowała Zacha.

- A więc co pan ma w torbie? Pokaże mi pan?

Obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem, a następnie, nie odrywając od niej wzroku, sięgnął po torbę, otworzył i wyjął znajomą skrzynkę z mosiężnymi okuciami.

Oniemiała patrzyła wielkimi oczami, zapomniawszy o pomarańczy,

którą właśnie zaczęła jeść.

- To skrzynka Philippe'a. Skąd pan to ma?
- Znalazłem ją w nocy w szafie w jego pokoju.
- Ale... - pokręciła z niedowierzaniem głową - to niemożliwe.

Zaglądałam do tej szafy dzień po zabójstwie Henriego Santerre'a, skrzynki nie było.

- Wygląda na to, że ten, kto ją zabrał, odniósł ją na miejsce i że działo się to tej nocy, kiedy usłyszała pani dziwny hałas.

Emmanuelle odłożyła niedojedzoną pomarańczę, sięgnęła po skrzynkę, otworzyła wieko. Przez chwilę patrzyła w milczeniu, po czym przesunęła palcem w miejscu, w którym brakowało strzały, mrużąc oczy, jakby nie była pewna, czy dobrze widzi.

- Wierzy mi pan?
- Niech pani z tego wystrzeli.
- Słucham?
- Niech pani wypróbuj kuszę. - Wyjął miniaturową broń z pudła i

podał jej. - Niech pani spróbuje trafić w tamten pień. - Gestem wskazał dorodne drzewo cyprysowe, rosnące jakieś dziesięć metrów od wierzby.

Mogła oczywiście powiedzieć, że nie umie, mogła udąć, że nie potrafi nawet naciągnąć cięciwy, a w ostateczności mogła chybić. Jednak postąpiła zupełnie inaczej. Spojrzała na niego w milczeniu, wprawnym ruchem naciągnęła cięciwę, nałożyła strzałę i wypuściła ją. Strzała pomknęła z furkotem i uwięzła dokładnie we wskazanym celu.

Rozdział 20

Zach zaniemówił. Przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu, patrząc na Emmanuelle. Od jeziora niósł się skrzek mew, poryw wiatru targnął konarami wierzby i podbił rondo jej słomkowego kapelusza.

Nadal bez słowa major zerwał się z miejsca, podszedł do drzewa i wyrwał strzałę z pnia.

- Kto panią nauczył strzelać? - spytał, stając nad nią tak blisko, że czubkami butów dotknął skraju jej spódnicy. - Mąż?

- Tak - odparła, podnosząc wzrok.

Zrozumiał, że kłamie. Wyglądała przy tym tak cudownie, nie mógł oderwać od niej oczu. - Antoine La Touche?

- Nie - zaprzeczyła pośpiesznie, jakby wylękniona, ale zaraz zatrzepotała rzęsami i spojrzała na niego tak szczerze, że odsunął od siebie wątpliwości.

- No więc kto? Niech pani wreszcie powie! - Usiadł tuż przy niej.

Nie odpowiedziała od razu, ale oddychała coraz spieszniej, coraz bardziej wylękniona.

- Dominik - szepnęła po chwili.

- On też miał to w ręce? - spytał, podnosząc rękę ze strzałą.

- Ależ nie - zaprzeczyła stanowczo. - Miał inną kuszę, dziecinną.

Została po moim mężu i kiedyś syn pokazał mi, jak się z niej strzela. Nie myśli pan chyba, że Dominik... - Położyła rękę na dłoni, w której trzymał strzałę.

- Nie myślę. - Cofnął dłoń jak oparzony i strzała została w jej ręce.

Zerwał się z miejsca i stanął pod wierzbą, patrząc na chłopca na brzegu jeziora. Dominik z całym kubelkiem małży rozsiadł się na pomoście. Dobywał muszlę po muszli, rozbijał kamieniem i rzucał w wodę.

- Mówiono mi, że pani mąż w młodości polował z kuszą? - spytał, nie patrząc na nią.

- To prawda. - Emmanuelle umieściła strzałę w wykładanym aksamitem wyłobieniu w skrzynce.

- Z Antoine'em La Touche? Dlaczego mi pani nie powiedziała, że pani mąż dostał te zabawki - gestem wskazał skrzynkę - właśnie od niego?

Emmanuelle wstała z miejsca. Twarz miała zmienioną, przejętą lękiem.

- Antoine nigdy by tego nie zrobił.

- Nie zabiłby Santerre'a, nie otrulby własnej siostry? O tym pani mówi? - Zach podszedł do niej i spojrzał na nią z góry. - Ale ktoś to, u diabła, robi! Ktoś, kto wiedział, że pani mąż miał kuszę i wiedział, gdzie jej szukać.

- Philippe miał wielu przyjaciół. Wiele osób wiedziało o tej skrzynce i jej zawartości.

- Ale ile z tych osób potrafiłoby wystrzelić z kuszy? - To przecież nie takie proste. Ile osób miałoby powód, żeby czyhać na życie Henriego Santerre'a? Albo Claire La Touche?

- Nie wiem, sama się nad tym głowię.

- Hans Spears?

- *Mais, non* - zaprzeczyła gwałtownie i znów w jej oczach pojawił się lęk.

- Yardley?

- Nie!

- Papa John?

Obróciła się energicznie z szumem spódnicy i podniosła palec w geście nakazującym milczenie.

- Niech pan nawet tak nie myśli. Nie wolno.

- Niby dlaczego? - spytał Zach, patrząc na jej szeroko otwarte oczy i rozchylone usta.

- Bo ma czarną skórę. Nie rozumie pan? Czarnym łatwo przypisać każdą winę, łatwo rzucić podejrzenie i jeszcze łatwiej skazać na śmierć.

- W porządku. A pani mąż? Drgnęła jakby targnięta bólem.

- Przecież on nie żyje - szepnęła.

- A jeśli to nieprawda?

Myślał, że zaprzeczy, powie, że to absurd, że to niemożliwe, że zmarli nie wstają z grobu. Ona tymczasem zmilczała. Przykucnęła na kocu i wolno, z rozmysłem zaczęła zbierać naczynia po posiłku i umieszczać je w koszu. Nastąpiła pełna napięcia cisza, przerywana tylko szumem wiatru w koronie wierzby i delikatnym pluskiem fal obmywających brzeg jeziora.

- Philippe nie miałby powodu, żeby mordować Henriego Santerre'a - szepnęła wreszcie, nie podnosząc wzroku.

- A panią?

Podniosła oczy i spojrzała na niego z wyraźną złością.

- Uważa pan, że to ja doniosłam Jankesom o Bayou Creve? Jak pan w ogóle może myśleć, że wydałabym im ojca mojego dziecka?

Nic nie odpowiedział. Podeszedł do niej, wziął ją pod rękę i podniósł.

- Bił panią?

- Nie, nigdy. - Odwróciła się od niego.

Chwycił ją mocniej, obrócił twarzą do siebie i zmusił, by popatrzyła mu prosto w oczy.

- Krępował panią jedwabnym sznurem? Smagał biczem?

- Nie.

Nie puszczał jej ramienia. Czuł, że Emmanuelle zaczyna cała drzeć, ale stara się nad sobą panować.

- Nie mówi pani prawdy.

Próbowała się wyrwać, ale trzymał ją mocno.

- *Eh bien* - westchnęła z rezygnacją, a jednocześnie spojrzała mu śmiało w oczy. - Philippe lubił urządzać sobie rozmaite zabawy. Ulegałam mu.

- To znaczy?

Słońce miało się już ku zachodowi. Promienie przeciskały się przez liście, malując jej twarz tysiącem odcieni złota. Patrzył na nią, czując, jak krew zaczyna mu pulsować w żyłach.

- Nie robił niczego, na co nie wyraziłabym zgody - odparła z dziwnym uśmiechem na ustach. - Czy to pana szokuje, monsieur? A może brzydzi?

- Nie.

Nie odwróciła wzroku. Patrzyła prosto w jego oczy, piękna, wyniosła, wspaniała.

- Nie brzydzi? Nie szokuje? To może podnieca?

Nie zwalniał uścisku. Czuł jej zapach, jej ciepło, patrzył na twarz okoloną lokami, spływającymi na ramiona aż po piersi. Serce biło mu młotem. Pragnął jej jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Stając nad nią, biorąc ją za ramię, chciał ją onieśmielić, zatrwożyć, zmusić, by wreszcie powiedziała wszystko, całą prawdę. Niczego nie zyskał. Nie uległa trwodze, nie onieśmielił jej, do niczego nie zmusił. Przegrał. Zwyczajnie i po prostu uległ, padł ofiarą własnej żądzy.

Kusiła go, budziła w nim najdziksze pragnienia, żeby zedrzeć z niej suknię, rzucić na ziemię, obnażyć, poznać wszystkie tajemnice jej ciała, dotykać, całować, wnikać w nią i posiąść. I zrobiłby to, zrobiłby to tu, gdzie każdy mógłby ich zobaczyć, wzięłby ją, nie bacząc na nic, uległby pragnieniu, palącemu go jak ogień, zatopiłby się w niej bez opamiętania, posiadał, uczynił swoją, ale myśl o tym, że jej dziecko, syn, jest tuż obok, sprawiła, że puścił ramię i obrócił się, żeby nie widzieć jej rozchylnych ust, błyszczących oczu, pełnych piersi i ciemnych włosów.

- Piekło i szatani! - syknął.

Gdy dotknęła jego ramienia, drgnął, jak rażony piorunem, ale odwrócił się do niej.

- Nie zdradziłam męża - powiedziała spokojnym głosem.

Chwilę trwało, nim Zach wrócił do rzeczywistości i zrozumiał, o czym ona mówi.

- Żyliśmy osobno - ciągnęła. - On miał swoje życie, ja swoje i tak to trwało przez całe lata. Łączył nas tylko szpital i, oczywiście, Dominik, a dzieliło wszystko inne. Była między nami niechęć, był żal, a nawet nienawiść, ale też byliśmy w pewien sposób... nie wiem jak to określić... zaprzyjaźnieni. Z jednej strony poczułam ulgę, że to się skończyło, że znowu jestem wolna, z drugiej nie mogę nie odczuwać żalu i smutku, że go nie ma. Nie zdradziłam go, nie wydałam Jankesom, nie mogłabym tego zrobić, nawet gdyby tamtej nocy był sam, a nie był.

- Powiedziała pani dużo, ale wiem, że to nie wszystko, wiem, że jeszcze coś pani ukrywa.

- Każdy z nas ma swoje tajemnice. - Westchnęła, patrząc na niego tak, że znów zaczął tracić kontrolę nad sobą.

- Ale to, co pani ukrywa, może panią kosztować życie.

- Nie wierzę. - Potrząsnęła głową.
- Niech pani lepiej uwierzy - rzucił, obrócił się na pięcie i odszedł.



Wieczorem Zach zasiadł z butelką brandy na balkonie willi, którą generał Butler zarekwirował dla swoich oficerów. Noc pachniała jaśminem, słonecznikami i wieżokrzewem.

Wiało chłodem, ale Zach nie otrząsnął się jeszcze z gorączki. Im częściej spotykał Emmanuelle, tym goręcej jej pragnął. Jeśli się nie opanuje, nie narzuci sobie żelaznej dyscypliny, to straci głowę z kretesem. Weźmie ją, czy tego będzie chciała, czy nie, bez względu na wszystko. Zadrżał na myśl o jej dotyku. Jednym haustem wypił szklanekę i nalał drugą.

- Napijesz się? - rzucił, słysząc znajome kroki za plecami.

- Chyba że to jest whisky - odparł Hamish, zdejmując zmęczonym gestem kapelusz. - A więc to była kobieta. - Przetarł spocone czoło. - Francuzka. Byłem na Bayou Creve - wyjaśnił. - Rozmawiałem z porucznikiem z oddziału, który wytropił Philippe'a de Beauvais'go. Powiedział mi, że wiadomość o jego wyprawie przyniosła im kobieta.

Zach zastygł; ręka z kieliszkiem zawisała w powietrzu.

- Twarzy nie widział, miała gęstą woalkę, ale mówiła z wyraźnym francuskim akcentem. Przyjechała do oddziału bryczką, przekazała wiadomość i odjechała, nie przedstawivszy się.

- A ten twój porucznik pozwolił jej odjechać, o nic nie pytając? Hamish wyciągnął się wygodnie na krześle i przyglądał wąsy.

- Mogę sobie wyobrazić, jak to było. Zjawia się dama, traktuje chłopaka z góry, a on zwyczajnie zapomina języka w gębie, bo nigdy w

życiu nie widział damy i w ogóle nic nie widział, bo pierwszy raz wyściubił nos poza rodzinną wieś. Znasz tych naszych gołowąsów.

Zach patrzył w noc, na dachy majaczące za zielenią ogrodów.

- To mogła być Claire La Touche.
- A równie dobrze madame de Beauvais.

Zach dopił brandy. Mocny trunek palił żywym ogniem.

- Madame de Beauvais twierdzi, że tego nie zrobiła.
- No jasne. Przedtem twierdziła, że nie wie, kto sypiał z Claire La Touche i kto podarował zestaw na wampiry jej małżonkowi. Mówienie prawdy nie jest jej największą zaletą.

Zach nalał kolejny kieliszek.

- Powiedzmy. Jeśli to ona, to dlaczego nie chce się przyznać. Mogłaby powiedzieć przynajmniej nam? I jeszcze jedno. Philippe de Beauvais... Czy mamy pewność, że nie żyje?

- Szczerze? Pewności nie ma - rzekł Hamish, wstając. Wsparł się o jedną z kolumn podtrzymujących dach werandy. - Pytałem tego porucznika. Twierdzi, że pochowali dwie ofiary, Murzyna i białego. Pochowali na miejscu, na rozlewisku.

- A dlaczego nie przywieźli ciał do Nowego Orleanu?
- W taki skwar? Konfederatów? Komu by się chciało.
- A co z Niemcem? Jak to się stało, że Hans Spears mimo postrzału w nogę zdołał ująć z życiem i wyrwać się z zasadzki?

- Przypadek albo szczęście i trochę odwagi. Trzeba mieć odwagę i szczęście, żeby z krwawiącą nogą przedostać się przez bagna pełne aligatorów.

Zach podniósł kieliszek.

- A skąd porucznik wiedział, że człowiek, którego dopadł, to

Philippe de Beauvais?

- Miał w ręku jego papiery.
- Ale czy ktoś zidentyfikował zwłoki?
- Nie.
- A więc to mogła być mistyfikacja.
- Wykluczyć nie można, ale pamiętaj, co powiedział Hans Spears, że wyprawili się tylko we trójkę, Philippe, Murzyn i on.

Zach z trzaskiem zgniótł obcasem karalucha, który miał nieszczęście wybrać się na balkon na żer.

- Powiedziałeś, że pani de Beauvais kłamie, a mnie się wydaje, że nie tylko ona.

Rozdział 21

W poniedziałek wieczorem Zach pojechał na Esplanade. Nie zapowiadając wizyty, zapukał do rezydencji Jeana-Lamberta i Marie Therese de Beauvais. Drzwi otworzył ten sam wiekowy i uroczysty Murzyn, którego widział w dniu śmierci Claire.

- Powiadomię madame de Beauvais, że pan przyszedł -oświadczył z godnością, wprowadzając gościa do salonu. Wziął od niego kapelusz i pieczołowicie ułożył na przeznaczonym do tego celu stoliku przy drzwiach.

Zach rozejrzał się po niezwykle wytwornym wnętrzu. Nawet śladu nie zostało po rozgardiaszu, jaki panował tu tamtego popołudnia. Wszystko wysprzątało, wypucowano, wygładzono, co trzeba, wyniesiono. Miał

wrażenie, że wymieniono nawet powietrze, aby nic nie przywodziło na myśl dramatu, jaki się tu rozegrał. Meble z różanego drewna lśniły wysokim połyskiem, płócienne pokrowce na fotelach i kanapach prezentowały się nieskazitelnie, sute firany w oknach dopełniały całości.

Zaintrygowany wołaniami w ogrodzie, Zach wyjrzał przez okno. Dominik baraszkował z psem na trawniku, śmiał się i pokrzykiwał wesoło, pies odpowiadał radosnym szczekiem. Przewracali się i tarmosili bez opamiętania z wyraźną szkodą dla garderoby chłopca, o czym jego matka zapewne nie wiedziała, bo nigdzie nie było jej widać.

- Wnuk opowiadał mi, że świetnie pan łowi kraby. Nawet gdyby Marie Therese nie powiedziała ani słowa, Zach i tak odwróciłby się od okna. Poczul bowiem na sobie jej wzrok. Stała w progu, wysoka, dumna, i mierzyła go badawczym spojrzeniem.

Mimo lat nadal wyglądała pociągająco. Należała do tych kobiet, które określa się mianem przystojnych. Jej upięte w kok włosy połyskiwały srebrem. Spoglądała na Zacha bez życzliwości; miała go za wroga i w głębi ducha nienawidziła. Skrywała wszelako nienawiść za szczelną zasłoną arystokratycznej uprzejmości. Wiedziała, że jako szef żandarmerii dysponuje znaczną władzą, i nie chciała go sobie zrażać.

- Pani wnuk jest świetnym nauczycielem - odparł Zach, zastanawiając się w myślach, co jeszcze chłopiec mógł opowiedzieć babce o wycieczce nad jezioro.

- Proszę, niech pan usiądzie - zaprosiła go do zajęcia miejsca wystudiowanym w każdym calu gestem. - Co pana sprowadza?

- Liczę na pani pomoc w wyjaśnieniu kilku wątpliwości.

- Wątpliwości? - Uniosła lekko brwi, demonstrując zdumienie.

- Chodzi o sprawy związane z Claire La Touche i Henrim

Santerre'em.

- Claire i Henri? - Usiadła z wdziękiem na brzeżku sofy. - Chyba nie ma związku między tymi dwoma... przypadkami?

- Uważam, że jest.

- Doktor Santerre pracował z moim synem. Owszem, został mi przedstawiony, ale nie mogę powiedzieć, abym go znała, monsieur.

- A Claire La Touche?

- Ach, Claire, to co innego. Jej matka jest spowinowacana z moim mężem.

- A kto, pani zdaniem, mógł czyhać na jej życie?

Drgnęła, jakby pytanie dotknęło spraw, o których wolałaby nie mówić, ale nie dała nic po sobie poznać, tyle tylko, że splotła ręce, by za chwilę znów jej rozpleść.

- Nie wyobrażam sobie, aby ktoś mógł czyhać na naszą Claire. Była tak miłym dzieckiem.

- Dzieckiem?

- Nie powinien pan dawać wiary plotkom, majorze - odparła stanowczym tonem.

Zach zmilczał, bo w drzwiach stanęła służąca, niemłoda już Murzynka. Przyniosła kawę w eleganckim srebrnym dzbanku, na równie wytwornej srebrnej tacy. Postawiła na stoliku, skłoniła się i wyszła. Reszty ceremonii dopełniła pani de Beauvais osobiście. Nalała kawę do filiżanek, uzupełniła mlekiem i z wdziękiem podała Zachowi. Tak pięknej i tak delikatnej porcelany nie widział jeszcze w życiu; ścianki filiżanki były niemal przezroczyste.

- Proszę mi opowiedzieć o swoim synu?

- O którym? Miałam czterech - odparła z gorzkim uśmiechem

Marie Therese.

- O Philippe.

- Ach, Philippe - westchnęła ze smutkiem. - Wspaniały, mądry chłopiec. Nie dane mu było cieszyć się długim życiem.

- A domyśla się pani, komu mogło zależeć na jego śmierci?

Marie Therese sięgnęła po filiżankę, wolno podniosła ją do ust i wypła mały łyk.

- Mój syn poległ w walce, zginął śmiercią bohatera.

- Nie dopuszcza pani do siebie myśli, że to nie był przypadek?

Na ułamek sekundy Marie Therese znieruchomiała; ręka z filiżanką zawisła w powietrzu.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że za śmiercią mojego syna kryje się zdrada? - Pani de Beauvais opuściła rękę z filiżanką. - A kto go wydał? - spytała już bez cienia emocji w głosie.

- Tego, niestety, nie wiemy.

- Kobieta? Dobrze się domyślam? - Filiżanka zadzwięczała o spodeczek, gdy gospodyni odstawiła naczynie na stół. Wstała, podeszła do okna.

- Nie odpowiem pani.

- Wcale pan nie musi - odrzekła wyniośle. - Mój syn nie był, niestety, szczęśliwy w małżeństwie i jak to mężczyzna szukał pociechy gdzie indziej.

- To znaczy?

- Tego, oczywiście, nie wiem, proszę spytać synowej.

- A ona wie?

- Że mój syn nie dochowywał wierności małżeńskiej? - Marie

Therese odwróciła się od okna. - Owszem, wiedziała.

- A co pani myśli o synowej? - Zach wstał z miejsca.

- A cóż ja mogę myśleć? - Marie Therese wydeła wargi. -Nastała wśród nas, bo tak zdecydował mój syn.

- Nie pochwałała pani jego wyboru?

Marie Therese zmarszczyła czoło. Rana widać jeszcze się nie zablźniła.

- Mój syn, panie majorze, mógł wybrać małżonkę spośród najprzedniejszych i najstarszych rodzin w naszym mieście. Jego wybór jednak padł na córkę prostego lekarza.

- I matki z wielce utytułowanej francuskiej rodziny - dodał Zach półgłosem.

- Owszem, to prawda, matka jego wybranki była osobą wysoko urodzoną, ale jej rodzina straciła wszystko w czasie rewolucji. Ale ojciec... ojciec pochodził z gminu, mało tego, brał udział w rewolucji i dlatego musieli opuścić Francję.

- To panią oburza?

Marie Therese przeszła parę kroków od okna i zatrzymała się pośrodku salonu.

- Myślę, panie majorze, że to wyjaśnia pewne zastanawiające, że tak powiem, cechy i ambicje mojej synowej.

- Jak na przykład to, że chciałyby zostać lekarzem.

- To też.

Zza okna dobiegły radosne okrzyki Dominika. Zach domyślił się, że chłopiec wita matkę. On też czuł jej obecność, był pewien, że właśnie zawitała na Esplanade.

- Czy, według pani, była dobrą żoną? - spytał, choć doskonale wiedział, co usłyszy w odpowiedzi.

- W dobrym małżeństwie mężczyźni nie szukają pociechy poza domem. - Marie Therese podeszła do stolika. - Może jeszcze kawy, majorze?

Zach sięgnął po kapelusz leżący na stoliku przy drzwiach.

- Dziękuję, ale na mnie już czas.

Zza drzwi dobiegała rozmowa w języku francuskim, Emmanuelle gawędziła z synem na korytarzu.

- Ma pan zapewne wiele zajęć, majorze. - Marie Therese też musiała usłyszeć te głosy, ale ani słowem, ani gestem nie dała tego po sobie poznać. - Jak wytłumaczyć, że poświęca pan tak wiele swego cennego czasu na rozwikłanie owych nieprzyjemnych incydentów, które nas dotknęły?

Zach nasłuchiwał, co dzieje się za drzwiami. Jego myśli krążyły wokół Emmanuelle.

- Pani jest w salonie, ma gościa - usłyszał głos lokaja na korytarzu.

- Dwa zabójstwa to aż nadto - odpowiedział na pytanie pani de Beauvais. - Zależy mi, żeby nie doszło do trzeciego.

- Jeśli pani ma gościa, to nie będę jej przeszkadzać - dobiegło zza drzwi.

- *Mais non* - odrzekł stary lokaj. - Madame wyraźnie prosiła, aby pani zaszła.

- Trzecie zabójstwo? To raczej nieprawdopodobne - rzekła Marie Therese.

- Przeciwnie, dopóki morderca pozostaje na wolności. Ten, kto raz bezkarnie targnie się na ludzkie życie, najczęściej czyni to powtórnie - odparł Zach, uświadamiając sobie, że gospodyni specjalnie przeciąga rozmowę, że doskonale wie, iż synowa ma się zjawić lada chwila, i chce

doprowadzić do ich spotkania.

Tak też się stało. Drzwi otworzyły się i w progu stała Emmanuelle. Ubrana jak zwykle w czerń, lekko zdyszana, pachniała ogrodem, sobą i deszczem. Zach chłonał wzrokiem jej drobną postać, oczy czarne jak węgle i twarz ocienioną kapeluszem z niezawiazanymi wstążkami. Przez myśl przemknęło mu tylko, że wszystkie uczucia, jakie nim targają - pragnienie, żądza, a także owo nieokreślone poczucie bliskości - muszą malować się na jego twarzy, bo nie potrafił ich ukryć, i że każdy, kto na niego spojrzy, może czytać w nim jak w otwartej księdze.

- Madame - skłonił się z galanterią, pełen myśli o ulotnych chwilach, które już dane mu było z nią przeżyć i które tylko wznagały jego pragnienia.

- Panie majorze - odpowiedziała Emmanuelle z taką samą sztuczną uprzejmością. Przeniosła wzrok na teściową. - Jeśli przerwałam państwu, to zabiorę Dominika.

- Ależ nie. Właśnie wychodziłem - rzekł Zach. - Bardzo pani dziękuję, madame. - Skłonił się w stronę Marie Therese.

- Przykro mi, że niewiele panu mogłam pomóc - odparła, marszcząc czoło, jakby rzeczywiście żałowała.

A Zach miał dziwne wrażenie podwójnego istnienia, jakby patrzył na scenę rozgrywającą się w teatrze, a zarazem był jednym z aktorów, jakby całą trójką grali wyznaczone przez konwenanse role w jakiejś dziwnej sztuce, w której nic nie dzieje się naprawdę, a każda wygłaszana kwestia jest kłamstwem.



Emmanuelle podeszła do okna. Major Cooper pojawił się na chodniku i ruszył energicznym krokiem; raz tylko podniósł głowę, patrząc na ołowiane chmury na niebie.

- Po co tu był? - spytała.

Marie Therese patrzyła na nią przez chwilę w milczeniu.

- Interesowały go szczegóły związane ze śmiercią Claire. -Wzruszyła nieznacznie ramionami., - Odniosłam wrażenie, że naprawdę zależy mi na schwytaniu zbrodniarza. Ciekawe, czy mu się uda?

- Nie ma łatwego zadania, nie wie nawet, gdzie szukać. -Emmanuelle znów spojrzała za okno. Zach uchylał właśnie kapelusza w odpowiedzi na pozdrowienie jej syna.

- Dominik opowiadał mi, że major był z wami nad jeziorem?

Za oknem chłopiec podbiegał do ogrodzenia, wołając coś do Zacha.

Wtedy, nad jeziorem, gdy skończyli rozmowę, Zach zostawił ją samą. Poszedł do Dominika i pomógł mu wyciągać sieć z krewetkami. Wdali się potem w kłótnię o Północy, Południu i wojnie, ale na koniec doszli widać do porozumienia, bo major zaczął pokazywać małemu swoją szablę i w ogóle wyglądało na to, że zadzierzgnęła się między nimi nie sympatii, co Emmanuelle odebrała z mieszanymi uczuciami. Było jej miło, a zarazem jednak coś się w niej buntowało przeciw takiej komitywie syna z oficerem w granatowym mundurze.

- Dominik nienawidzi Jankesów - oznajmiła Marie Therese takim tonem, że jej synowa natychmiast odwróciła się od okna. -Jankesi zabili jego ojca.

- Staram się wychowywać syna bez nienawiści i uprzedzeń -odrzekła Emmanuelle, usiłując mówić spokojnie.

- Kochaj wroga swojego jak siebie samego. - Marie Therese

skrzywiła się z dezaprobatą. -Podeszła bliżej. - Źle postępujesz, moja droga. Nie ma jeszcze trzech miesięcy, jak straciłaś męża, a tu ten Jankes.

Jeszcze trzy dni temu Emmanuelle oburzyłaby się na takie zdanie i stanowczo zaprzeczyłaby ledwo zawołowanemu oskarżeniu. Teraz jednak odpowiedziała inaczej.

- Nie interesuje mnie, co ludzie mogą powiedzieć.

- A więc przyznajesz, że czujesz do niego sympatię? - Marie Therese wsparła się o krzesło, chwytając oparcie palcami jak szpony.

- Nic takiego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś, i tak widać. A pomyślałaś o Dominiku? Co się z nim stanie, gdy wyjdiesz za tego Jankesa. Co będzie z moim wnukiem? Co z jego więzami z Beau Lac?

- Ja miałabym wyjść za mąż? Znowu? Po tym wszystkim, co przeszłam z Philippe'em? Chyba żartujesz. - Emmanuelle zaśmiała się boleśnie.

- Jak śmiesz? - Marie Therese podniosła głos i spiorunowała synową wzrokiem. - Jak śmiesz tak do mnie mówić!

- Między sobą nie musimy udawać. Obie doskonale wiemy, jaki był Philippe.

Marie Therese spurpurowiała ze złości. Rysy jej się wyostrzyły, przydając lat.

- To przez ciebie. Nigdy taki nie był, to przez ciebie się zmienił.

- Nieprawda - odpowiedziała Emmanuelle, siląc się na spokój. Zza okna dobiegł odgłos kroków chłopca, wbiegającego na schody, i pełne żalu skamlenie psa. - Siebie możesz przekonać, ale mnie nie. Znam prawdę, ty zresztą też ją znasz, tylko nie chcesz się przyznać.

- Wiem, jaki był jego ojciec.

- Ale on nie był swoim ojcem. - Emmanuelle ruszyła do wyjścia.
- Byłby inny, gdyby miał lepszą żonę.
- Być może, tylko że tego już nikt nie sprawdzi.
- Wiedziałaś, że ktoś go wydał? Ktoś powiadomił Jankesów o jego wyprawie.

Emmanuelle zatrzymała się przy drzwiach i obróciła się do teściowej. Dominik rozmawiał na korytarzu z Leonem, wiekowym lokajem.

- To dlatego major Cooper był tutaj? Interesował go Philippe

-powiedziała półgłosem, jakby do siebie.

- Dlaczego? Cóż Philippe ma wspólnego ze śmiercią Claire? -spytała Marie Therese. Przestała już ciskać gromy.

Nic albo wszystko, odpowiedziała sobie Emmanuelle w myślach.

- Nie wiem - powiedziała głośno.

Marie Therese poniosła wzrok i spojrzała na synową, jakby chciała przejrzeć ją na wylot.

- To ty go zdradziłaś? Wydałaś mojego syna Jankesom? Emmanuelle serce ścisnęło się z bólu. Nie zdradziła, nie

wydała Philippe'a, ale czuła na sobie ciężar winy. W pewien sposób czuła się odpowiedzialna za to, co go spotkało. Być może gdyby była lepszą żoną, zdołałaby go uratować... przed nim samym.

- A jeśli odpowiem nie, to mi uwierzysz?

Marie Therese odwróciła wzrok. Podniosła dłoń do oczu, jakby chciała osłonić je przed nadmiarem światła.

- Dominik pyta, kiedy pojedziemy do Beau Lac?

- Wiem.

Zwykle każde lato mały spędzał na plantacji. Chodził na ryby, uczył się wiosłować, jeździł konno. W tym roku jednak Emmanuelle nie chciała go

puścić, wołała sama mieć na niego oko.

- Jean-Lambert chciałby już wyjechać i wziąć chłopca ze sobą.
- Wołałabym, żeby nie jechał. W Beau Lac może być niebezpiecznie, Jankesi co prawda kontrolują Bayou Creve, ale konfederaccy rangersi raz po raz robią tam wypadki.

- A to źle?

- Źle jest, kiedy giną niewinni ludzie.

- Słyszałam, że nasi szykują się do odbicia Baton Rouge.

- Niech Bóg ma w swojej opiece mieszkańców - westchnęła Emmanuelle.

Rozdział 22

Środa dobiegała końca. Miało się ku północy, gdy Emmanuelle wyszła na dwór i spojrzała niebo. Ciężkie ołowiane chmury wisiały nisko nad miastem, grożąc ulewą. Na horyzoncie raz po raz rozpalały się błyskawice, z dali dochodziły ponure pomruki gromów, a deszcz zwlekał, jakby nie chciał opuścić matecznika w chmurach.

Zwlekało też dziecko, jakby nie kwapiło się z przyjściem na świat.

A ją opuściły siły; poczuła się zmęczona jak nigdy. Przysiadła na ganku, głowę oparła o steraną wiekiem i żywiołami poręcz. Za parę godzin zacznie świtać i minie niemal dokładnie doba, odkąd przysła tu, do tej ubogiej dzielnicy zwanej Kanałem Irlandzkim. Wezwano ją do porodu, matka cierpiała bóle, ale dziecko nie chciało się urodzić.

Jako licencjonowana akuszerka Emmanuelle odbierała już niejedną poród, w ostatnich czasach jednak wezwań było znacznie mniej, a jeśli były, to tylko do takich biednych domów jak ten. Bogatsze rodziny i te mieniające się postępowymi, słały swoje kobiety do szpitali, co zresztą niczego nie gwarantowało. Bywało, że lekarz konował przyjmował poród, nie umywszy nawet rąk po poprzedniej operacji albo sekcji, i dziwił się taki potem, że dzieci i matki marły jak muchy.

- Miss Emmanuelle, niech pani przyjedzie, szybko! - Trwożny krzyk wyrwał ją z zamyślenia. Pobiegła do wnętrza.



Dniało, świt malował złotem chmury na niebie, gdy Emmanuelle opuściła chatę przy przy ulicy Tchoupitoulas i - śmiertelnie znużona - ruszyła w stronę domu. Miasto jeszcze spało. Gdzieś tylko turkotały wózki mleczarzy i skrzypiały dwukółki, wiozące świeże warzywa i owoce na miejskie targowisko. Było sucho. Deszcz jednak nie spadł.

Emmanuelle oddychała pełną piersią, była zmęczona - nie spała od dwudziestu czterech godzin - ale szczęśliwa, że poród się udał, że znów dane jej było uczestniczyć w misterium przyjścia na świat ludzkiej istoty. Dziecko urodziło się tuż przed świtem; zapiszczało i zakwiliło, obwieszczając swoje przybycie. Było jak się patrzy, zdrowe i dorodne. Matka też czuła się nieźle mimo nader długiego porodu.

Robiło się coraz jaśniej, słońce zawędrowało wyżej i przestało malować chmury złotem. Świat zszarzał, a ołowiane niebo zawisło ponuro nad równie ponurą ulicą. Szkło z wybitej - widać niedawno - szyby wystawowej ubogiego sklepiku zaskrzypiało pod nogami i Emmanuelle

przeszedł dreszcz. Bywała tu nieraz z wizytami u pacjentów, rankami, wieczorami i nocą, i nigdy się nie bała, a dziś zdjął ją lęk. Przyspieszyła kroku, rada opuścić to miejsce jak najszybciej.

Wokół ani żywej duszy. Serce podchodziło jej do gardła, a całe ciało pokryła gęsia skórka. Zadrzała, gdy raptem zza pleców dobiegły ją dziwne szmery. Obejrzała się. Nic nie dostrzegła. Tylko kot skoczył, nie wiedzieć skąd, miauknął przeraźliwie, przysiadł na ulicy i zabrał się za poranną toaletę.

- *Bonjour, ma petite chat.* - Zaśmiała się nerwowo i poszła dalej.

Poczucie zadowolenia z udanego porodu już ją opuściło, ogarniało ją coraz większe zmęczenie i... coraz większy lęk. Skręcając w przecznice, mocniej zacisnęła palce na walizeczce z instrumentami i lekami, którą zawsze zabierała ze sobą na wizyty. Gdzieś za płotem zachrzakała świnia, zaszczekał pies, a zaraz potem zapiał kogut. Odruchowo spojrzała w bok, a gdy znów zwróciła wzrok przed siebie, zmartwiała z przerażenia. Stanęła jak wryta. Drogę zastąpił jej człowiek - obdarty, cuchnący piwem drab. Łypał spod oka, w ręce dzierżył nóż.

- Czego pan chce? - wykrztusiła, zdjęta trwogą.

Poruszył zmierzwioną brodą. Oblizał się i błysnął ślepiami bez wyrazu.

- Czekałem tu na panią całą dobę - syknął. Twarz miał żółtą od tytoniu i opium.

- Na mnie? - Zerknęła w lewo i prawo. Ulica była pusta, tylko on i ona. - Chce pan pieniędzy? Mam parę dolarów. Mam morfinę w walizce, też może pan wziąć. Tylko niech mi pan zostawi instrumenty lekarskie.

- Pieniądze? - Ożywił się. - Wezmę, a jakże, morfina też się przyda, ale nie po to tu czekałem.

Wysoko na niebie zaćwierkał skowronek, zaraz zawtórował mu drugi.

- A po co? - szepnęła zdjęta trwogą.

- Ja sam nic do pani nie mam. - Urwał, nasłuchując. Gdzieś niedaleko końskie kopyta wybijały miarowy takt na bruku. Emmanuelle jeszcze mocniej zacisnęła palce na walizce.

- ...i nigdy jeszcze nie zabiłem Francuzki - dokończył jakby z żalem, obrzucając obleśnym spojrzeniem jej piersi. Mówił z irlandzkim akcentem. Ledwie skończył, natarł na nią, wymachując nożem.

Emmanuelle krzyknęła na całe gardło - liczyła, że może ktoś usłyszy - a jednocześnie, z rozmachem łupnęła draba walizką. Trafiła w rękę. Zawył z bólu, upuścił nóż, uskoczył i zaklął

- *Batard!* - krzyczała Emmanuelle. - *Assassin.* - Trafiła go jeszcze raz, tym razem w skroń. Zatoczył się i upadł. - *Aidez-moi.* - Ze strachu i przerażenia wołała po francusku. Dopiero słysząc samą siebie, przeszła na angielski. - Na pomoc! Morderca.

Jedyną odpowiedzią był tylko trzask zamykanych okiennic. Po chwili jednak usłyszała jakiś krzyk i wyraźniejszy tętent końskich kopyt.

Bandyta próbował wstać, lecz szło mu niesporo. Zasłaniał głowę, bo tym razem zaatakowała go parasolką. Dał nura w bok, pod ścianę zamkniętego sklepu, gdzie wylądował jego nóż, gdy wytrąciła mu go z ręki. Emmanuelle dopadła zbira jeszcze raz, bijąc z rozmachem walizką.

- Ty kurwo! - zaskowyczał z bólu. Z nosa puściła mu się krew, a oczy nagle zdjął strach. Patrzył gdzieś za jej plecy.

Szykowała się, żeby uderzyć go jeszcze raz, ale nie trafiła, bo uskoczył.

- Wariatka, oszalała - prychnął. - Nie dziwota, że chcą cię wykończyć.

- Kto?! - zawołała, ale nie odpowiedział. Rzucił się do ucieczki, tupiąc buciorami tak głośno, że echo niosło się na całą ulicę.

Emmanuelle stała z bijącym sercem, zdyszana, drżąca, rozjuszona i wściekła.

Ktoś przebiegł obok niej. Dopiero po chwili doszło do niej, że to człowiek w mundurze. Granatowym. Zaraz potem poczuła na ramieniu przyjazną dłoń.

- Emmanuelle, nic pani nie jest? - pytał Zachary Cooper. Za jego plecami wierzcholec, ten sam, którego dosiadał, gdy wyprawiali się nad jezioro, zaczynał spokojnie wyskubywać kępki trawy spomiędzy ulicznych kamieni. Słońce wyszło zza chmury, rozświetlając złoty napis na derce „Kawaleria US”. -Nic pani nie zrobił, nie jest pani ranna?

I nagle siły ją opuściły, nie mogła nawet nabrać powietrza.

- Nie, nic mi nie jest - szepnęła.

Patrzył na nią, jakby zdumiony nagłą słabością. A ona marzyła tylko o jednym, aby przygarnąć się do niego, wtulić w jego ramiona. I byłaby to zrobiła, objęłaby go za szyję wtuliła się, wypłakała, bez względu na to, że nosił znienawidzony mundur i podejrzewał ją o najgorszą zbrodnię. Wstrzymało ją tylko jedno, że stoją na ulicy, a wokół przybywa gapiów.

Wyprostowała się, podniosła dumnie głowę i cofnęła się o krok.

- A co pan tu robi o tej porze?

- Kazałem moim ludziom chodzić za panią krok w krok -odparł, patrząc przez jej ramię w stronę wylotu ulicy, gdzie znikł napastnik i ścigający go żołnierz. - Jechałem właśnie do Carrollton, ale pomyślałem, że zobaczę i sprawdzę, czy wszystko jest w porządku. Wtedy usłyszałem pani krzyk.

- Pan, pan... - Postąpiła jeszcze krok do tyłu, zaciskając palce na

rączce walizki. Musiała przywołać całą siłę woli, żeby nie uderzyć go tak, jak przed chwilą uderzyła bandytę. - Pan kazał mnie śledzić? Szpiegować?

- Dla pani dobra - odparł, patrząc podejrzliwie na rękę zaciśniętą na walizce; przejrzał, widać, jej zamiary.

- Dla mojego dobra?

- Powiedzmy, że przede wszystkim dla pani dobra.

- A jeśli powiem dziękuję, nie życzę sobie, bo sama potrafię o siebie zadbać?

- Odpowiem, że jest co najmniej jeden człowiek, co prawda brodaty i obdarty, który może zaświadczyć, że jest pani w błędzie. A w rzeczy samej

- zerknął na gęstniejący tłum gapiów - takich ludzi znalazłoby się więcej.



Od dawna? - spytała ze złością.

Słońce zawędrowało już wysoko w swojej codziennej wędrówce, miasto rozbudziło się na dobre, skrzypiały otwierane okiennice, ale tu, w jej salonie, panował mrok. Dom jeszcze spał.

- Od jak dawna pańscy ludzie chodzą za mną? Oczywiście, odprowadził ją do domu, ale po drodze nie

rozmawiali ze sobą, a teraz stał, niepewny, miętosząc kapelusz w ręce, i patrzył na nią ze ściśniętym sercem. Znów stała się obca, niechętna i podejrzliwa.

- Od piątku - przyznał.

Drgnęła. W piątek byli razem nad jeziorem, trzymał ją w ramionach i zapewniał, że jej ufa. I oto okazuje się, że zaraz potem kazał swoim żołdakom nie spuszczać z niej oka.

Podeszła do okna i podniosła żaluzje. Szare światło chmurnego dnia wlało się do salonu.

- Nie rozumiem. Przecież mówił mi pan co innego. Sądziłam, że mi pan wierzy.

- Wierzę - potwierdził. - Ale nie we wszystkim - dodał ze zniewalającą szczerością.

Zaśmiała mu się w twarz.

- Skoro tak, skoro mi pan wierzy i skoro to wszystko dla mojego dobra, to dlaczego nie uprzedził mnie pan, że będę miała eskortę?

- *Calas! Tout Chaud!* - Zza okna dobiegło śpiewne wołanie ulicznego sprzedawcy.

- Lękałem się, że nie będzie pani zadowolona. Uprzymiła sobie nagle, że ciągle jeszcze ma kapelusz na

głowie i rękawiczki na rękach. Zdjęła je ze złością i rzuciła na fotel.

- I miał pan rację, nie jestem zachwycona.

- Dlaczego? - Podeszedł do niej na wyciągnięcie ręki, ale nie śmiał jej dotknąć. - Dlatego, że to moi ludzie i że noszą granatowe mundury jak ja?

- Nie chcę żadnych szpiegów, ani pana ludzi, ani w ogóle.

- Ale chodzą za panią, czy pani tego chce, czy nie. Choćby ten drab.

- Niestety - przyznała, ocierając czoło bezradnym gestem.

- Emmanuelle... - Przerwał, szukając słów, które mogłyby przełamać jej nieufność. - Musi mi pani powiedzieć, co się tu dzieje. Musi mi pani zaufać, bo inaczej nic nie będę mógł zrobić. - Powiedział to bez przekonania; wiedział i czuł, że ta kobieta ciągle jeszcze traktuje go jak wroga.

Opuściła rękę i westchnęła.

- Pytał mnie pan kiedyś, czy nie sędzę, że Henri Santerre zginał... przez przypadek, czy w istocie nie mierzono we mnie. Na początku wydawało mi się, że to absurd, ale teraz, po śmierci Claire, sama nie wiem. Być może miał pan rację, sugerując, że ktoś, komu w szpitalu amputowaliśmy rękę albo nogę, chce się na nas mścić.

- Być może - powtórzył odruchowo, choć już nie wierzył w takie wyjaśnienie. - A kogo pani podejrzewa? Komu może zależeć na pani śmierci?

- Zastanawiałam się nad tym - pokręciła głową - i doprawdy nie wiem.

- A Philippe?

- Przecież nie żyje.

- A gdyby to nie była prawda?

- On był lekarzem, a nie zabójcą - odparła z mocą.

- Ale zastanawiała się pani, czy to nie on, prawda? Odwróciła się do okna.

- Myślałam o tym - przyznała. - Może gdyby doszedł do przekonania, że to ja go wydałam, ale... - pokręciła głową - ...to niemożliwe, to niepodobne do niego. Philippe nie był szaleńcem, a ten zabójca musi być szalony. - Milczała przez chwilę, patrząc na rozbudzone miasto. - A wie pan, co powiedział ten drab, który na mnie napadł? Powiedział: „wariatka, nie dziwota, że chcą cię zabić”.

- Chcą? Oni? Jacy oni?

- Nie wiem i nie sędzę, aby on wiedział. Pewnie nawet nie wie, kto go wynajął.

- Coś jednak musi wiedzieć - szepnął Zach. Niczego w tej chwili tak nie pragnął, jak wziąć ją w ramiona, przytulić, otoczyć całym sobą, aby

wreszcie poczuła się spokojna i bezpieczna. Była tak strasznie zatrwożona i taka bezbronna. Ale bez słowa zawrócił na pięcie i podszedł do drzwi.

- Nie podziękowałam panu. Zatrzymał się.
- Za co?
- Za ochronę. Znow go zaskoczyła.
- Jest pani diabło trzeźwą kobietą.
- Wiem. - Zaśmiała się kwaśno.



Jak na Boga?! - zawołał Hamish. Jedną ręką przyglądał węża, a drugą machnął wymownie na stłoczone wzdłuż brzegu rzeki domy, sklepy, magazyny i szopy. - Jak, u diabła - zmienił inwokację - mamy znaleźć jednego zaplutego, irlandzkiego narkomana wśród dwustu tysięcy mieszkańców, z których żaden nie zechce pomóc, nawet gdybyśmy mieli glejt od samego papieża.

Spotkali się na nabrzeżu, naprzeciwko katedry, aby odprawić statek do Bostonu. Sprawa nie była skomplikowana, ale formalności musiało stać się zadość. Ładunek - bawełna i cukier - należał do Andrew Butlera -przedsiębiorczego i obrastającego w coraz tonowe piórka brata generała. Zach z niejakim zdziwieniem spoglądał na maszty statku - żaden nie wyglądał solidnie.

- Nie wiem, wymyśl coś, jesteś policjantem.
- Dobrze sobie - burknął Hamish, ale w głębi duszy czuł się mile połączony, że przełożony ufa jego zawodowym umiejętnościom. - A poza

tym czy my naprawdę wiemy, że ten drab zasadzał się na jej życie. Równie dobrze mógł być zwykłym rabusiem, któremu zależało na paru dolarach i porcji morfiny.

- Ona mówi, że chciał ją zabić.

- Ona, ona! - zakpił Hamish. - Od kiedy to zacząłeś wierzyć tej damie?

- Sądzę, że tym razem mówi prawdę.

- Tym razem! - prychnął Hamish nieprzekonany.

Zach zmrużył oczy i znów spojrzał na statek. Nie budził jego zaufania. Zbudowany był jak, dziób za szeroki, rufa za głęboka i w ogóle wyglądał podejrzanie. Na miejscu Andrew Butlera zastanawiałby się, czy zawierzyć ładunek tak niepewnej łajbie.

- Może i nie mówi prawdy, ale warto się przekonać. Hamish uniósł brwi.

- Przekonać o czym? Że to wszystko to sprawa jednego obdartego i zaplutego narkomana? Że to on dygoczącymi łapskami strzelał z kuszy do Henriego Santerre'a? Bzdura.

- Nie chodzi o to. Ktoś go wynajął, a skoro tak, to równie dobrze mógł wynająć jeszcze kogoś innego, żeby wykończył Santerre'a, i jeszcze kogoś, żeby otrul Claire La Touche.

- Ktoś? Mężczyzna czy kobieta? Nie możesz wykluczyć, że szanowna pani Emmanuelle de Beauvais sama urządziła napad na siebie, aby nas przekonać, że ktoś czyha na jej życie.

- Nie sądzę. Nie wiedziała, że chodzimy za nią krok w krok.

- A skąd wiemy, że nie wiedziała?

- Tak powiedziała.

- A może udaje?

- Nie jest aż tak dobrą aktorką.
- Moim zdaniem, coraz więcej poszlak wskazuje na nią. Pomyśl

tylko: kto miał kuszę przed zabójstwem Santerre'a? Ona. U kogo znalazłeś kuszę po morderstwie? U niej. I sam, na własne oczy, przekonałeś się, że potrafi strzelać, i to z niebywałą precyzją. Jeśli zaczniesz powtarzać te bajki, że ktoś najpierw ukradł jej tę kuszę, a później podrzucił, to dojdę do wniosku, że bierzesz jakieś świństwa, jak ten narkoman, i przestałeś myśleć.

- Jeśli któryś z nas nie potrafi myśleć, to raczej ty, mój drogi. Niby dlaczego Emmanuelle de Beauvais miałyby zabijać Santerre'a? Powiesz, że chciała przejąć szpital. To ja ci powiem, że szpital jest tak zadłużony, że lada dzień zostanie zamknięty.

- Ludzie zabijają nie tylko z chciwości.

- To prawda, czasami zabijają z zemsty, tylko że za co pani de Beauvais miałyby się mścić na starym doktorze? Był dla niej jak ojciec.

- Są jeszcze inne motywy. Mogła zabić ze strachu, że zostanie zdemaskowana. Santerre mógł wiedzieć, że to ona wydała męża.

Katedralny dzwon zaczął wybijać pełną godzinę. Metaliczny dźwięk niósł się na całe Stare Miasto.

- Hola - zaprotestował Zach. - Na razie nie wiemy, kto doniósł o wyprawie Philippe'a. A nawet przyjmując, że to ona, to i tak nie sędzę, aby stary Santerre zaczął o tym opowiadać na prawo i lewo.

- Nie mogłaby być tego pewna.

- Mimo to nie myślę, aby miała zabić ze strachu, że ją zdemaskują.

- Nie zabiła ze strachu, ale nie wykluczasz, że jest zdolna do zabójstwa. - Hamish zaśmiał się, dumny, że zapędził przyjaciela w kozi róg.

Dzwon uporał się z wybijaniem godziny i teraz wzywał wiernych na

mszę, strasząc gołębie, które przysiadły na wieży.

- Nikt się nie rodzi zabójcą, ale każdy, przymuszony okolicznościami, może się nim stać. Ci, którzy twierdzą, że nie, oszukują albo nigdy jeszcze nie znaleźli się w sytuacji, w której zabójstwo zdaje się jedynym wyjściem.

- To racja i pani de Beauvais może znajdować się w takiej sytuacji, tylko że my o tym nie wiemy. Krótko mówiąc, nie znamy jej motywów.

Ruszyli w stronę miasta. Zach mimo kontuzji szedł sprężystym krokiem, Hamish przeciwnie - włókł się, jakby ledwo chodził.

- Sam mówiłeś, że coś przed nami ukrywa. Podejrzywałeś ją, gdy mnie jeszcze to głowy nie przychodziło.

- Nadal tak uważam. Czuję, że coś ukrywa, ale nie sądzę, że to ona jest zabójczynią.

- A ja jestem pewien i udowodnię to!

Mewy skrzeczały pod ołowianym niebem, przepędzając wystraszone gołębie, które wdarły się na ich terytorium.

- Spróbuj. Tylko najpierw znajdź mi tego draba.



Chmury wisiały nad miastem już trzeci dzień, a deszczu ciągle nie było. Zach siedział w sądzie, załatwiając hurtem kilkanaście drobnych spraw, gdy przez tłum gapiów zaczął przedzierać się żołnierz od Hamisha. Pyszczaty chłopak, kapral, nie bardzo wiedział, czy wypada mu przeszkodzić w czasie rozprawy, czy raczej powinien poczekać, ale widać było, że ma coś pilnego do przekazania. Zach wyłowił go z tłumy. Była piąta, ale mrok był taki, jakby to już był wieczór.

- Panie majorze - chłopak zsalutował - kapitan Fletcher kazał powiedzieć, że znalazł tego bandytę.

Wreszcie, pomyślał Zach z nadzieją, że śledztwo ruszy w końcu z miejsca.

- Gdzie jest?

- Pan kapitan? W naszym szpitalu, znaczy, wojskowym, przy Magazine Street.

- Ranny?

- Nie żyje! Znaczy ten bandyta nie żyje. Kapitan kazał zawieźć ciało do szpitala, żeby zrobili sekcję.

Zach zbladł.

- Jezus Maria. Zabiliście go?

- Nie. - Kapral pokręcił głową, nie rozumiejąc, dlaczego major raptem zbladł. - Ten człowiek już nie żył, kiedy go znaleźliśmy. Wyglądał dziwnie, dlatego kapitan kazał zawieźć ciało na sekcję.

- Co to znaczy dziwnie?

- Jakby go otruli.

Rozdział 23

Szpital mieścił się w dawnym hotelu, który Butler zarekwirował na potrzeby swoich medyków. Budynek był solidny, z cegły, piętrowy, z wielkimi oknami i żelaznymi poręczami na werandach. Dziś z dawnej świetności zostało niewiele, a w szpitalu bez przerwy coś się działo. Z okolicznych garnizonów i placówek rozsypanych po wsiach i rozlewiskach stale przywożono ofiary dyzenterii, szkorbutu, ospy albo tajemniczej choroby zwanej zatruciem bagiennym, która oszczędzała miejscowych, ale dziesiątkowała przybyszów z Północy. Zdrowiało niewiele, większość po paru dniach w szpitalu trafiała na cmentarz.

Szpital śmierdzał na milę. Zachowi zebrало się na mdłości, gdy zagłębił się w dawny hotelowy hol zamieniony w salę przyjęć. Błoto na podłodze sięgało kostek, krwawych plam na ścianach chyba nikt nigdy nie próbował zmyć.

Jakże inaczej prezentowała się świecąca czystością klinika Santerre'a! Zach z jeszcze większym szacunkiem pomyślał o kobiecie, która z takim wysiłkiem starała się ów szpital utrzymać.

Uderzyło go też, że na pomieszczenie, w którym przeprowadzano sekcje i balsamowano ciała, wybrano ceglany budynek w podwórzu tuż obok dawnej hotelowej, a obecnie szpitalnej kuchni.

- Gdzieście go znaleźli? - spytał Hamisha, który czekał przed owym budynkiem.

- W jednym z wypalonych magazynów na nabrzeżu. Lekarz twierdzi, że drab wyzionął ducha wkrótce po napadzie na de Beauvais.

- A gdzie on jest? Znaczy lekarz.

- Doktor wszech nauk medycznych Austin Sinclair - oznajmił Hamish z udawanym bostońskim akcentem - raczy przebywać w swojej pracowni. - Gestem wskazał otwarte drzwi do prosektorium. - Balsamuje jakiegoś nieszczęśnika. Rodzina zażyczyła sobie, aby odesłać ciało do Kolorado. Uprzedziłem go, że zechcesz zobaczyć zwłoki, żeby się upewnić, czy to naprawdę ten bandyta.

- No to chodźmy. -W środku cuchnęło chemikaliami, zgnilizną i odchodami, a nad tym wszystkim unosiła się jeszcze woń wilgotnej stęchlizny. Budynek zagłębiono na prawie metr w ziemię, czego zwykle w Nowym Orleanie nie robiono z obawy przed zalaniem.

- Tak? - Młody człowiek pochylony nad zwłokami nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Niski, krępy, miał bladą twarz bez wyrazu i - mimo młodego wieku - dość zaawansowaną łysinę. Fartuch, który miał na sobie, był pewnie kiedyś biały, teraz jednak wyglądał jak pamiątka po uboju - cały w brunatnych plamach po krwi. Właściciel też nie świecił czystością, a na dodatek był przeziębiony, bo bez przerwy kapało mu z nosa.

- Oto major Cooper - oznajmił Hamish, przykładając chusteczkę do nosa. - Chciałby zobaczyć ten przypadek, który przywieźliśmy.

- Oczywiście. - Sinclair odłożył skalpel, przeszedł do stołu obok i odsłonił prześcieradło skrywające ciało.

- Wielki Boże. - Zach aż się cofnął.

- Strychnina -wyjaśnił lekarz obojętnie. - Tak właśnie działa strychnina. Najpierw konwulsje i zaraz potem *rigor mortis*. Stąd ta wykrzywiona twarz i wytrzeszcz oczu. Na tej podstawie zresztą można ocenić w miarę dokładnie czas zejścia.

Zach przemógł się i spojrział jeszcze raz.

- A coście zrobili z jego czaszką?
- Niech pan lepiej nie pyta? - poradził lekarz, widząc minę majora.
- To ten, o którego panu chodziło?
- Tak, to on.
- W porządku, wychodzimy - ponaglił Hamish i nie czekając, wyskoczył na zewnątrz.

- Wiesz, co ja myślę? - wykrztusił, gdy opanował mdłości i gdy przełożony dołączył do niego na podwórzu. - Myślę, że ktoś, kto kroi trupy, nie może być normalny. Gdy sobie wyobrażę naszą wdowę w prosektorium. - Przerwał, zaczął gwałtownie przelykać ślinę i łapać powietrze. Trwało dobrą chwilę, nim uspokoił rozedrgany żołądek. - Cholera jasna, ale mnie dopadło -poskarżył się. - Jedno ci powiem, dla kogoś, kto potrafi pokroić człowieka w prosektorium, strzał z kuszy do starego przyjaciela czy podsypanie trucizny kochance męża nie stanowi żadnego problemu.

- Chodź, idziemy stąd.

Z ulgą wyszli poza szpital. Gdy przystanęli przy kępie oleandrów, Hamish spojrział na niebo i zgarbił się, jakby nisko zawieszony chmury zaciążyły mu na barkach.

- Mogłoby już lunąć - mruknął. - Nie ma czym oddychać.
- Dowiedziałeś się czegoś o tym drabie. Nazwisko?
- Niczego. - Hamish przetarł czoło chusteczką. Jeśli przed chwilą jeszcze był blady z obrzydzenia, to teraz pokraśniał z duchoty. - Znaleźliśmy przy nim tylko zegarek, chyba kradziony, bo dość kosztowny, połamany grzebień i około stu dolarów w naszych banknotach.

- Naszych?
- Toż mówię, unijnych. I jeszcze to. - Wyjął z kieszeni niewielką

buteleczkę z ciemnego szkła. - Doktor Sinclair mówi, że to opium zaprawione strychniną. Taka mieszanka mogłaby byka powalić.

Zach obejrzał butelkę pod światło.

- Wygląda na to - mruknął - że nasz zabójca ma nieograniczony dostęp do opium.

- To żaden problem, można kupić w każdej aptece.

- Ale ze strychniną nie jest tak łatwo. Wszystkich, którzy kupują truciznę, apteki zapisują w specjalnej księdze.

Hamish zasepił się i westchnął trzy razy z rzędu.

- Chcesz, żebym sprawdził księgi we wszystkich aptekach w mieście?

- Wspaniały pomysł. Jak na to wpadłeś?

Hamish wzruszył tylko ramionami. Ruszyli spod oleandrów i przez chwilę szli w milczeniu.

- A gdzie dokładnie go znalazłeś?

- Mówiłem, w wypalonym magazynie, niedaleko od miejsca, w którym rzekomo napadł na panią de Beauvais, jeśli o to pytasz.

- Nie rzekomo, tylko napadł. Sam widziałem.

- Niech ci będzie i nie patrz tak na mnie. Ty pierwszy ją podejrzewałeś, wtedy, kiedy mnie to do głowy nie przyszło, a teraz masz mi za złe, gdy mówię, że coraz więcej śladów wiedzie w jej stronę.

- Jakich śladów? To, że potrafi przeprowadzić sekcję, to ślad?

- Przecież to kobieta. Żadna normalna kobieta nie zdobyłaby się na to.

- Za to ją podziwiam.

- Twoja sprawa. Co do mnie, to chyba nie przełknąłbym u niej ani kęsa, gdyby mnie czymkolwiek poczęstowała.



Zegar na katedralnej wieży wybił ledwie dziewiątą, ale dom przy rue Dumaine tonął w mroku. Z jednego tylko okna, na piętrze, przez żaluzje sączyła się smuga światła. Zach zapukał do drzwi bez wiary, że zostaną otwarte, ale już po chwili usłyszał kroki, a zaraz potem szcęk odsuwanej zasuwki.

W progu stała Emmanuelle. W jednej ręce trzymała świecę, drugiej nie spuszczała z klamki. Miała na sobie szlafrok z cienkiej bawełny, związany paskiem z tej samej tkaniny i chyba -a przynajmniej Zach tak ocenił - nic pod spodem.

- Nie powinna pani otwierać drzwi w takim stroju.

- Byłam pewna, że to tylko pan. - Uśmiechnęła się, otwierając szerzej drzwi.

Zawahał się, ale wszedł do środka.

- Nie przypuszczałem, że będzie już pani w łóżku - usprawiedliwił się, wstępując za nią na schody wiodące na piętro. -Przepraszam, że panią niepokoję. - Stopy miała bose, szlafrok niewiele co zasłaniał. Zach miał świadomość, że powinien odwrócić wzrok, ale nie uczynił tego.

- Nie spałam jeszcze. Dominik został u dziadków, Rose ma wychodne, więc położyłam się wcześniej, żeby poczytać w łóżku.

Wystarczyło słowo o łóżku, a usługowna wyobraźnia podsunęła mu kuszący obraz nagiego ciała w białej pościeli. Wszyscy inni, kładąc się spać, nakładali na siebie sute nocne stroje, nie mówiąc o falbanach, czepkach i koronkach, ale nie ona. Emmanuelle de Beauvais z całą pewnością sypiała nago.

U szczytu schodów przystanęła i obróciła się do niego. W bladym świetle świecy jej twarz, okolona gęstwiną czarnych, rozpuszczonych włosów, wyglądała jeszcze delikatniej i jeszcze bardziej pociągająco niż za dnia. W salonie było ciemno, ale drzwi na werandę były otwarte. Tam właśnie go poprowadziła.

- Znaleźliście tego bandytę?

- Znaleźliśmy.

Coś w jego głosie, a może w oczach, sprawiło, że domyśliła się prawdy.

- O mój Boże - westchnęła z żalem. Podniosła rękę do ust, jakby bała się słów, które odruchowo wypowiedziała. - Nie żyje?

- Ten człowiek chciał panią zabić? Dlaczego się pani przejmuje?

Wyszli na werandę. Świeca zamigotała pod powiewem wiatru.

- Każda śmierć jest zła, a ta jakby łączyła się ze mną.

- Chyba jest pani jedyną osobą w tym mieście, która go żałuje, choć nawet pani nie wie, kim on był. Niczego nie udało nam się ustalić - dodał.

Przez chwilę patrzyła w ciemność.

- Więc nie wiadomo, kto go wynajął - powiedziała w zamyśleniu.

- Niestety, ale wiemy, co było przyczyną śmierci. Strychnina - rzekł, gdy spojrzała na niego pytająco. - Strychnina w opium. Otruto go.

- *Mon Dieu*, strychnina, to straszne, straszna śmierć.

- Bez wątplenia, ale to ważny ślad. W aptekach zapisują kupujących truciznę, więc może uda się ustalić nabywcę, a tym samym tego, kto najął bandytę.

- Niekoniecznie. - Wsparała się o poręcz. - Trucizna wcale nie musi pochodzić z apteki. Strychnina występuje w pewnych nasionach i roślinach. Wystarczy znać się na ziołach, aby samemu wyprodukować truciznę, tak

samo jak olejek wrotyczowy.

Zach podszedł bliżej i stanął obok niej przy poręczy.

- Poza Papą Johnem, kto jeszcze może się na tym znać? -zapytał rzeczowo.

Zadrżała, a gdy podniosła wzrok, zobaczył lęk w jej oczach.

- Jezus Maria! - wykrzyknął półgłosem. Zrozumiał i serce mu zamarło z przerażenia. - Pani, prawda? Przecież pani zna się na ziołach.

Zbladła jeszcze bardziej.

- Strychniną zajmowaliśmy się we trójkę. Henri, Philippe i ja. W małych dawkach strychnina jest bardzo skutecznym lekarstwem na pasożyty przewodu pokarmowego, podobnie jak wrotycz.

- Ktoś wiedział o tych eksperymentach? - spytał. Wziął ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie.

- Nie robiliśmy z tego żadnej tajemnicy, więc wszyscy wiedzieli, a już na pewno Charles Yardley i Hans. Dlaczego pan pyta?

- Bo mój kapitan jest przekonany, że to pani jest zabójczynią, a jeśli dowie się o strychninie, uzna, że to wystarczający dowód, żeby zawiązać pani stryczek na szyi.

Jęknęła zatrwożona, ale nie odsunęła się od niego.

- A pan? - Spojrzała mu głęboko w oczy. - A jakie jest pańskie zdanie?

- Myślę, że prawdziwy zabójca jest szaleńcem, a pani -pogłaskał ją po policzku - pani nie jest szalona.

- Tak pan myśli? A może się pan myli. Przecież pan mnie nie zna.

- Chyba jednak znam. - Niczego w tej chwili tak nie pragnął, jak wziąć ją w ramiona, zamknąć jej usta pocałunkiem, wpleść palce we włosy, poczuć jej ciało, ale odsunął ją od siebie. Stanął dalej, patrząc w ciemność.

Wiatr niósł spod chmur zapowiedź deszczu. Zanosiło się już od kilku dni i ciągle nie padało. -Trzy lata temu - zaczął opowiadać - w pewnym garnizonie na Zachodzie też doszło do serii zabójstw. Różnica jednak polegała na tym, że wyglądały na przypadkowe. Morderstwa, z którymi tu mamy do czynienia, są jakby ze sobą związane, a tamte... -przerwał, wspomnienie nadal sprawiało mu ból - ...każde było inne. Zabijano mężczyzn, kobiety, a nawet dziecko. Nie było żadnego wspólnego mianownika, poza śmiercią, brutalną, okropną, straszną. Byłem wtedy zwykłym kapitanem, nie dowodziłem żandarmerią, ale jedną z pierwszych ofiar był żołnierz z mojego oddziału. Byłem młody, pewny siebie i wydawało mi się, że bez trudu zdemaskuję mordercę.

Podeszła do niego i stanęła obok. Pod chmurami przetoczył się grom, błyskawica na moment rozświetliła ciemności.

- Schwytał go pan?

- W końcu udało mi się, ale trwało to długo, zbyt długo.

I kosztowało życie Rachel i jeszcze wielu osób, dodał w myślach, czując gorycz porażki w sercu.

- Mordercą okazał się jeden z naszych oficerów. Młody człowiek, znacznie młodszy ode mnie. Miał dwadzieścia lat i dopiero co skończył West Point. Pochodził z Marylandu, z dobrej rodziny, wróżono mu karierę.

- Był nienormalny?

- Nie wiem, nie jestem lekarzem, ale nie wyglądał na szaleńca i to właśnie było najstraszniejsze. Żywy umysł, wybitna inteligencja, ale czegoś mu brakowało, coś było nie tak i długo trwało, nim zrozumiałem. Ten człowiek po prostu uważał, że jego pragnienia są ważniejsze od wszystkiego. Nic się dla niego nie liczyło, nawet życie drugiego człowieka. Był... nieludzki, nie czuł żadnej więzi z otoczeniem.

- A czego chciał, dlaczego zabijał?

- Też tego nie mogłem zrozumieć, dopiero później pojąłem, że prowadził grę, diabelską grę. - Poglaskał ją po ramieniu i przesunął rękę na plecy, czując jej ciało pod cienką tkaniną. - Grał ze mną, poddawał mnie nieustającej próbie.

- Dlaczego? - Położyła ręce na jego piersi, ale nie odsunęła go od siebie. - Znał go pan?

- Nie przyjaźniłem się z nim, ale owszem znałem.

- Widzi pan, to jest to, o czym mówiłam. - Znał go pan, a jednocześnie nic pan o nim nie wiedział.

- Ale wiem, że nie przejąłby się śmiercią jakiegoś bandyty narkomana, który zaczyna się z nożem w Irlandzkim Kanale.

Wiatr targnął jej włosami, zasłaniając kosmykami oczy. Zach odgarnął palcami niesforne loki i poglaskał ją po policzku.

- Czasami wydaje mi się, że zbyt bardzo przejmuję się pani losem innych.

- Nie jestem pewna, czy to prawda. - Uśmiechnęła się. - Chyba coraz bardziej przejmuję się sobą.

Chciała się obrócić, może nawet odejść od niego, ale chwycił ją za podbródek, każąc patrzeć na siebie.

- Boi się pani?

- Jestem przerażona - przyznała. Powiedziała to takim tonem, jakby od dawna pragnęła zwierzyć się z lęku, z którym sama nie dawała już sobie rady. - Dominik stracił ojca, nie chciałabym, żeby stracił również matkę. Nie chciałabym zginać ani z rąk mordercy, ani na stryczku kapitana Hamisha Fletchera.

- Nigdy do tego nie dopuszczę - szepnął, przesuwając palce ku jej

szyi.

Patrzyła mu w oczy.

- A gdyby miało się okazać, że kapitan Fletcher ma rację, to co wtedy?

Nie odpowiedział. Słowa nie były potrzebne. Wyczytała odpowiedź w jego oczach i uśmiechnęła się. Gdyby Hamish miał rację, to on - Zachary X. Cooper - gotów byłby osobiście zawiązać stryczek na jej szyi. I ani się nie zlekła, ani zatrwożyła. Złączyła ich namiętność, żądze pulsujące zgodnym rytmem, ale nadal dzieliło wszystko inne.

Uśmiech wciąż błędził na ustach Emmanuelle, gdy major wplótł palce w jej rozpuszczone włosy i przyciągnął do siebie. Nie broniła się, przylgnęła do niego i zarzuciła ramiona na jego szyję, nie mogąc i nie potrafiąc już dłużej czekać.

Złączyli się w pocałunku gorącym jak ogień, rozpalonym oczekiwaniem i głodnym niecierpliwością. Tak długo na siebie czekali. Emmanuelle uniosła nogę, pieszcząc nagą stopą jego nogi. Szlafrok zsunął się z jej uda, otwierając drogę jego równie niecierpliwym jak usta palcom. Jęknęła, chłonąc zapowiedź rozkoszy, i zaczęła nerwowo rozpinać kurtkę Zacha. Błyskawica rozświetliła ciemne niebo, nad miastem przetoczył się pomruk gromu, a na werandę wdarł się powiew wiatru, ogarniając żarem dwa złączone ze sobą ciała.

- Pragnę cię - szepnął zduszonym głosem. Palcami błędził po jej nagim udzie, coraz śmielej i coraz niecierpliwiej. - Chcę cię, tu, teraz, do końca.

- Do końca - powtórzyła, pozwalając nieść się w jego ramionach do spowitego w mrok salonu.

Wiedział, że nie powinien. Miał pełną świadomość, że oto przekracza

granicę, której przekraczać nie powinien, i z całą niecierpliwą świadomością ją ją łamać.

Rozdział 24

Nióśł ją w mrok i nieznane. Spiesznie i niecierpliwie, wiedziony pragnieniem, nad którym nie miał już żadnej władzy. Nie wypuszczał z ramion, nie odrywał warg od jej ust, garnał ją do siebie, jakby się bał, że jeśli choć na sekundę zwolni uścisk, to już jej nie odnajdzie. Na chwilę tylko, krótką jak mgnienie, błysk pioruna wyrwał z ciemności lustro na ścianie, kominek i co tam jeszcze stało w salonie. Ale on i tak nie widział. I nie czuł bólu, gdy udem uderzył w róg stołu, nie słyszał nawet łomotu krzesła, które tracone dwójgim ciał, z hałasem padło na podłogę. Położył ją na macie rozłożonej na podłodze i dopiero wtedy oderwał usta od jej warg, by oczami chłonać tajemnice, której do tej pory skrywała pod szlafrokiem - piersi i ciemniejszy trójkąt u szczytu ud. Przyłgął do nabrzmiałej pragnieniem piersi, drugą wziął w posiadanie palcami.

Jęknęła niezrozumiale, poddając ciało pieszczocie. Palce wplotła w jego włosy, przyciągając go jeszcze bardziej do siebie, równie spragniona i równie niecierpliwa, jak on.

Gdy myślał o niej i marzył o tej chwili, smakował w wyobraźni każdy ruch i każdy powtarzał po wielokroć, obiecując sobie, że chwila rozkoszy trwać będzie długo i że będzie się nią sycić bez końca. Pragnienie okazało się silniejsze od myśli, a samcza żądza domagała się najspieszniejszego

spełnienia. Na ślepo, wygłodniałe, jakby każda chwila dzieląca go od ostatecznego zespolenia sprawiała mu niewypowiedziany ból, zrzucił z siebie ubranie, a ona tak samo wygłodniałe poddawała mu biodra, ponagając do pośpiechu.

- Proszę cię, już, wejdź we mnie - szeptała, oplatając nogi wokół jego ud.

Pośpieszyła mu w sukurs, pomagając drżącymi rękami zsunąć bryczesy. Krzyknęła z cicha, gdy jej palce natrafiły na twardą jak stal, nabrzmiałą męskość.

- Chcesz tego? - szepnął jej do ucha, jakby nie był jeszcze pewny odpowiedzi.

Zaśmiała się tylko chrapliwie, kierując go dłonią w sam środek swojej wilgotnej kobiecości.

Wszedł w nią do końca, wypełnił całym sobą, a ona wyszła mu naprzeciw. Potem jeszcze raz i jeszcze. W życiu nikogo tak nie pragnął i nigdy jeszcze nie zaznał takiej rozkoszy jak z nią.

Pchnięte wiatrem szyby zadźwięczały w oknach. Gorący powiew wypełnił salon i otulił dwa ciała splecione na podłodze.

Unosiła i opuszczała biodra w takt jego ruchów. Zach dochodził do kresu i jeśli w całym swoim życiu był czegokolwiek pewien, to tylko tego, że chce z nią być i zawsze będzie chciał, że zbliżające się spełnienie nasyci go tylko na chwilę, bo nigdy, przenigdy nie będzie miał jej dość, że chce ją osiąść na zawsze, bo tylko wtedy ugasi pragnienie, które paliło go i będzie palić jak najżywszy ogień. Poczuł, że zapada się w nicość, słyszał tylko coraz szybsze bicie serca i coraz szybszy oddech - swój i jej, aż nagle Emmanuelle wydała z siebie krzyk, zacisnęła palce na jego ramionach, wygięła się w łuk, spięta i zesztyniała. Wnikł w nią jeszcze raz i z daleka,

jak przez mgłę, usłyszał odgłos grzmotu. Potem nic już nie słyszał i niczego nie widział. Zległ na niej jak bez życia.



Gdy przysła do siebie, echo gromu gasło w oddali. Czowała na sobie jego ciężar, a pod plecami ostre źdźbła słomy, z której utkano matę, wykładaną na podłodze na lato. Zaskrzypiało okno poruszone powiewem wiatru. Nie śmiała oddychać, bała się otworzyć oczy. Ile to lat nie była z mężczyzną? Czowała się syta, a zarazem jeszcze bardziej spragniona niż przed chwilą. Od lat nie była z nikim i lata muszą minąć, nim nasyci się do pełna.

- Przepraszam - szepnął, unosząc się na łokciach. - Chyba jestem za ciężki. - Musnął ją ustami w szyję.

- Nie jestem ani taka krucha, ani słaba, jak wyglądam. Uniósł się nieco wyżej, żeby widzieć jej oczy.

- Wiem.

Nie odpowiedziała, wodziła wzrokiem po jego twarzy, spiętej, nawet okrutnej - bo taka się wydawała w błyskach burzy - a zarazem ciepłej i ciepłej. Podniecał ją, a jednocześnie napawał lękiem. Bała się go i bałaby się, nawet gdyby nie podejrzewał jej o zbrodnię, nawet gdyby nie był władny wtrącić jej do więzienia czy posłać na szubienicę. Bała się jego namiętności, pragnienia, żądzy i obsesyjnej wręcz wiary, że związek ciał stanie się także związkiem dusz.

Lęk ustąpił jednak, gdy znów zamknął jej usta. Całował długo, zachłannie, a ona wplotła palce w jego włosy i przylgnęła do niego całym ciałem.

- Chcę jeszcze - szepnął, przerywając pocałunek. Znów uniósł się na

łokciach. W mroku wydało jej się, że się do niej uśmiecha. -Ta mata strasznie kłuje mnie w kolana, wyobrażam sobie, jak ty musisz cierpieć...

Zabrzmiało to tak wzruszająco zabawnie, że zaniósła się śmiechem.

- Wbrew pozorom w tym domu jest łóżko - wykrztusiła, z trudem opanowując wesołość. - Ale jak chcesz się tam przenieść, to musisz zdjąć buty i ostrogi.

- Wielkie nieba! - zawołał zaskoczony. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie pozbył się całego ubrania. Zerknął na spętane spodniami nogi i parsknął śmiechem tak żywiołowym i zaraźliwym, że nie mogła się powstrzymać; ogarnęła ją tak szaleńcza wesołość, że aż łzy potoczyły się jej po policzkach.

Później, gdy wracała myślami do tego, jak to się wszystko stało, zdała sobie sprawę, że ta właśnie chwila niepohamowanej radości zdecydowała o wszystkim. Wtedy właśnie zrozumiała, że chce z nim być na zawsze.



W sypialni paliło się światło. Schodząc na dół, żeby otworzyć drzwi, postawiła nocną lampkę na kominku. Płomień migotał, wyławiając z mroku kremowo-złote ściany. Emmanuelle weszła pierwsza i nagle zdjął ją lęk. Stała pośrodku pokoju i obróciła się do niego, podnosząc ręce do piersi. Zach - zdziwiony -zatrzymał się w progu. Przez ramię przerzucił kurtkę, pas i szablę, które zebrał z podłogi.

- Już nie chcesz? - spytał po prostu.

Milczała; patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Tam na werandzie i w salonie liczyły się tylko zmysły i pragnienia. Wszystko rozegrało się tak nagle, że o niczym nie myślała, ale tu - w sypialni - to co

innego.

- Mam sobie pójść?

Bez słowa podeszła do niego, wzięła jego kurtkę i starannie powiesiła na krześle przy toalecie z lustrem i znów stanęła pełna wahania i niepewności, jakby dopiero teraz dotarło do niej, że mężczyzna, który trzymał ją w ramionach, nosi obcy mundur.

Zrozumiał jej wahanie. Stanął za nią. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze.

- Jeszcze dwa lata temu - odezwał się półgłosem - nikt nie nosił innych mundurów, Mieliśmy jedną ojczyznę.

- Ale nie dziś...

Wziął ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie.

- To racja, zmieniło się... Nie jesteś już zamężna.

Serce jej zabiło; przez dłuższą chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

- Kto to mówi? - spytała. - Szef żandarmerii generała Butlera czy mój kochanek?

- Twój kochanek. - Objął ją za plecy, przygarnął do siebie i znów zamknął jej usta długim, namiętym pocałunkiem. -A teraz - szepnął, odrywając się od niej - zrobimy to tak, jak należy. - Pociągnął za pasek szlafroka, który zawiązała po drodze do sypialni. - Zdejm to - zażądał - chcę cię widzieć. Całą. Przy świetle.

Cofnęła się o krok. Na jej ustach zaigrał uśmiech.

- Mam wrażenie, mój panie, że lubi pan sycić zmysł wzroku na równi z innymi. - Zsunęła szlafrok z ramion. Delikatna tkanina bezszelestnie opadła na podłogę. Patrzył na nią rozognionym wzrokiem.

- A pani, jak widzę, też nie jest od tego - rzucił półgłosem, nie odrywając od niej wzroku.

Postąpiła jeszcze krok do tyłu, odgarnęła moskitierę i usiadła na skraju łóżka z różanego drewna z bogato rzeźbionym wezłowiem. Wsparta na łokciach, półleżąc, z lekko rozchylonymi nogami, patrzyła na niego, jakby pytając, czy sprostą wyzwaniu.

Staął nad nią, wsuwając odzianą w szorstki granat nogę między jej uda. Drgnęła, czując, jak fala perwersyjnego podniecenia zaczyna rozpalać się w jej wnętrzu, płynie w górę ku piersiom i wraca w dół, w miejsce, gdzie powstała. Pochylił się nad nią, wodząc delikatnie palcami po jej nagiej skórze. Dotknął piersi, przesunął rękę niżej i jeszcze niżej i cofnął, gdy jej oddech wyraźnie przyspieszył.

- Zwodzisz mnie, mój panie - zaprotestowała, przytulając się do niego.

Przyciągnął jej głowę do siebie, wdzierając się głębiej między jej uda, drażniąc jej skórę szorstką tkaniną munduru i tym, co przeżyło się pod nią.

- Jeszcze chwilę. - Zaśmiał, gryząc ją w wargę. Wcisnął ją w miękką pościel całym swoim ciałem.

Odepchnęła go.

- Hola, mój panie. Buty i ostrogi! - zawołała ze śmiechem. Oderwał się od niej i wstał wolno, nie spuszczać z niej wzroku.

Wytrzymała spojrzenie; patrzyła szeroko rozwartymi oczami, jak zdziera z siebie koszulę i rozpina spodnie. Przypomniawszy sobie o butach, usiadł na brzegu łóżka, zdjął najpierw jeden, potem drugi i znów stanął nad nią w całej swojej męskiej okazałości.

- Czy i teraz, bez munduru, masz mnie, pani, za wroga?

- Zawsze - prychnęła, otwierając się przed nim.

- Bo jestem mężczyzną? - spytał, stając między jej udami.

- Mężczyźni nie napawają mnie lękiem - odparła, potrząsając

głową. Burza czarnych jak noc włosów rozsypała się na białej pościeli.

- Chodzi więc o coś innego... - rzekł, kładąc dłonie na jej piersiach.

Mogłaby mu powiedzieć całą prawdę, że ma go za wroga, ponieważ obudził w niej dawno zapomniane uczucia, ponieważ rozpałił w niej ogień, których rozpałać nie chciała, ponieważ przez tyle nocy marzyła o jego ustach, o jego rękach, o spełnieniu i zatraceniu. Marzyła, choć od dziesięciu lat przysięgała sobie, że nikt nigdy nie będzie miał nad nią takiej władzy.

Tego jednak nie powiedziała. Popatrzyła na niego w milczeniu.

- Napawasz mnie lękiem, mój panie - szepnęła po chwili, zastanawiając się, czy i tego nie powinna zamilczeć.

Ktoś inny na jego miejscu zacząłby ją uspokajać, gładzić i całować, aby poczuła się bezpiecznie, ale nie Zach. Ujął ją za nadgarstki, jakby ją pętał, przycisnął obie ręce do poduszek nad jej głową i zaśmiał się jak zwycięzca.

- Ale to jest to, co lubisz, prawda?

Rozdział 25

Pierwsze krople deszczu zadzwoniły o szyby. Emmanuelle ocknęła się ze snu, niepewna, gdzie jest i czy to wszystko zdarzyło się naprawdę. Kochali się do zatracenia, najodważniej i najśmielej, głodni siebie i spragnieni. Ustami, językiem i palcami odkrywali dla siebie wszystkie tajemnice swoich ciał. Niczego mu nie wzbraniała i niczego nie wzbraniał jej. Ofiarowała mu wszystko, co kobieta może ofiarować mężczyźnie, wszystko poza... sercem.

Ale nawet patrząc na niego - leżał obok, nagi, szczupły z twarzą ukrytą w poduszce - nie wierzyła jeszcze, że to wszystko zdarzyło się naprawdę. I jakby chcąc się upewnić, wysunęła rękę i dotknęła go w ramię.

Nie spał. Uśmiechnął się i przeciągnął.

- Która godzina? - spytał, przygarniając ją do siebie.
- Nie wiem, ale chyba była już trzecia.
- Niech to diabli! - zaklął, wtulając twarz w jej rozpuszczone włosy.
- Coś się stało?
- Stało się to, że widziano mnie, jak wchodziłem tu o dziewiątej.
- Martwisz się o swoją czy moją reputację?
- Swoją. - Zaśmiał się bezgłośnie, a ona poczuła jego gorący

oddech na swoim ramieniu.

Pogłaskała go po głowie, tak jak zwykła głaskać Dominika, gdy chciała, aby uważnie jej wysłuchał.

- A ja uważam - zaczęła tak, jakby wracała do ledwo co przerwanej rozmowy - że chciwość, egoizm czy arogancja to daleko nie wszystko.

Zdarzają się jeszcze inne motywy zabójstwa.

Uniósł się na łokciu i spojrzał na nią zdumiony.

- Mam rozumieć, że leżąc tu obok mnie, w ciemności, rozmyślałaś o morderstwach?

- Od jakiegoś czasu - odparła niespieszona.

Obrócił się twarzą do niej i położył dłoń na jej nagim biodrze.

- Słucham?

- Zdarzyło się to zeszłego lata w Beau Lac. Dziecko jednej z niewolnic, ośmioletnia dziewczynka, spadło z bekonu i zabiło się na miejscu. Tak to wyglądało i tak wszyscy myśleli.

- A w rzeczywistości?

- W rzeczywistości nie był to wypadek. Dziecko nie żyło, kiedy wyrzucono je z balkonu, a zabił je kochanek owej niewolnicy. To była obrzydliwa sprawa. Murzyn molestował to dziecko, a gdy zaczęło krzyczeć, zakatował je na śmierć, a potem wyrzucił przez balkon.

- Ze strachu, że sprawa się wyda. To nic innego jak krańcowy egoizm.

- Może, ale to jeszcze nie wszystko. Otóż kiedy prawda wyszła na jaw, matka dziecka, niewolnica, popełniła samobójstwo, rzuciła się do rozlewiska. Przedtem jednak otruła kochanka. Dała mu sałatę z liści naparstnicy.

- Naparstnica? Co to takiego?

- Zioło, dość pospolite, ale trujące.

- Czy tu u was wszyscy nawzajem się trują, czy też dotyczy to tylko osób z twojego otoczenia? - Zach zaśmiał się. Pchnął ją na plecy i położył się na niej. - Hamish nie od rzeczy ostrzega mnie, żebym specjalnie uważał, zanim przyjmę od ciebie jakikolwiek poczęstunek.

- Nie ma się co śmiać, mój panie. Z tej opowieści wynika, że motywem zabójstwa może być głęboki żal, poczucie wielkiej nieodwracalnej straty.

Zach spoważniał.

- Sądzisz, że z czymś takim mamy do czynienia? Z zemstą? -Wziął ją za podbródek, zmuszając, by spojrzała mu w oczy. -Zemsta za co? Co takiego Henri Santerre i Claire La Touche mogli uczynić, by wyzwolić u kogoś aż tak wielki ładunek nienawiści?

- Nie wiem. - Westchnęła głęboko, czując dziwne ukłucie w sercu.
- A jeśli Henri zginął przez przypadek...

- ...to wtedy trzeba postawić inne pytanie: czym Claire La Touche i madame de Beauvais zawiniły, że ktoś się na nich mści? - Odsunął z jej twarzy kosmyk włosów gestem tak czułym i tak delikatnym, że Emmanuelle zadrżała. - Muszę to wiedzieć, bo tylko w ten sposób będę mógł cię ochronić.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie wiem, nic nie wiem i nic nie rozumiem.
- A jeśli zabójcą jest Philippe?
- On nie żyje.

Zach zerwał się, usiadł na łóżku i pociągnął ją za sobą.

- Tak mówisz, ale czy masz pewność? Ci, co grzebali ciało, owszem znaleźli papiery na nazwisko de Beauvais, ale żaden z nich go nie znał.

- Hans mówił mi, że Philippe zmarł na jego rękach.
- Ale Hans niekoniecznie musi mówić prawdę, może coś ukrywać.

W końcu on jeden uszedł z życiem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Tylko tyle, że niczego nie powinnaś przyjmować na wiarę. Chodzi

o twoje życie.

- Nie rozumiem. - Zsunęła się z łóżka i przykucnęła naga na podłodze u jego stóp. - Philippe mógł igrać ze śmiercią, na to było go stać. Robił w życiu różne rzeczy, które u innych mogły budzić odrazę, ale zabójstwo... Zabić kogoś z zimną krwią? Nie, to do niego niepodobne. Na własne oczy widywałam, jak bolał i rozpaczał nad pacjentami, których nie udawało się uratować, a poza tym... - Przerwała. Ciszę wypełniał tylko szum deszczu za oknem. - A poza tym nie miał żadnego powodu, aby czyhać na moje życie.

Obrzucił ją spojrzeniem tak głębokim, że aż zadrzała. Miała wrażenie, że jego wzrok sięga do najtajniejszych zakamarków jej duszy.

- Tak mówisz, ale zastanów się, czy to prawda? Tylko ty jedna możesz to wiedzieć.

Zaskoczył ją. Sądziła, że po jej ostatnim zdaniu zapyta ją o innych mężczyzn, którzy mogli zaistnieć w jej życiu, gdy Philippe przeniósł się do garsoniery. Hamish pewnie by tak zrobił. Ale on, Zach Cooper, uczynił coś zupełnie innego - przyciągnął ją do siebie, poszukał ustami jej warg i zaczął całować tak, że znów zadrzała, ale już nie z lęku, lecz podniecenia i żądzy.

Gdy później rozpamiętywała w samotności tę chwilę, doszła mimo wszystko do wniosku, że na swój sposób jednak zapytał ją o tamte trudne i złe lata, gdy Philippe - jak mawiała jego matka - szukał pocieszenia gdzie indziej. Zapytał, a ona - też na swój sposób - wyjawiała mu całą prawdę.



Szarówka obwieszczała rychłe już nadejście świtu, gdy Zach wysunął się z łóżka i w ciszy zbierał porozrzucane po podłodze części oficerskiej

garderoby. Emmanuelle nawet nie drgnęła i mogło się zdawać, że jest pogrążona w głębokim śnie, ale wcale nie spała; przyglądała mu się, spod przymrużonych powiek, patrzyła, jak wdziewa koszulę i zapina podwójny rząd złotych guzików na granatowej kurtce z dystynkcjami majora Kawalerii Stanów Zjednoczonych. Patrzyła i znów zadawała sobie pytanie, na które ani wcześniej, ani teraz nie znajdowała odpowiedzi: jak to się stało, że on i że ona. On - wróg, ona - podejrzana o zbrodnię! Ona, córka podbitego narodu, on - najeźdźca. Ofiara i kat! Ona - naga w łóżku; on - przypasuje szablę. A jednak nie czuła nienawiści. Nie potrafiła wykrzesać w sobie nawet cienia niechęci. Pragnęła go, pragnęła całą sobą i to było najgorsze.

Pochylił się nad nią i ucałował w policzek.

- Muszę już iść, nie wstawaj.

Jej ręka sama wysunęła się spod kołdry, by objąć go za szyję i przytulić. Pachniał sobą i nocą, która ich złączyła. Ogarnął ją smutek i żal, że noc dobiega kresu. Chciałaby go tulić bez końca, być z nim po wieczność albo po kres wszystkiego, jeśli istnieje jakiś kres.

- Muszę zameldować się dziś u generała Butlera. Nie wiem, jak długo to potrwa. Możemy umówić się na niedzielę? - spytał szeptem.

Zachłannie przyciągnęła go do siebie. Niedzielę obiecała Dominikowi. -Razem z Rose wybierali się na plac Congo, ale nawet gdyby nie poczyniła żadnych planów, odpowiedziałaby dokładnie tak samo.

- Nie wolno nam tego więcej robić - szepnęła, nie wypuszczając go z objęć.

Ukląkł przy łóżku, wplótł palce w jej włosy.

- Niczego nie musimy - szepnął, patrząc jej głęboko w oczy.

- Ale przecież zrobimy to i ty dobrze o tym wiesz.

- Wiem tylko, że cię pragnę. - Uśmiechnął się nieśmiało.

Nie musiał mówić nic więcej. Wystarczyło spojrzenie, czuły dotyk i ten uśmiech na ustach, a jednak...

- Kocham cię - powiedział z taką mocą i taką pewnością siebie, że zaparło jej dech w piersiach.

- Nie, tak nie wolno. - Przycisnęła palec do jego ust gestem nakazującym milczenie.

Pocałował ją w palce, a potem w rękę.

- Nie wolno kochać czy mówić?

- To, co stało się, to nie była miłość.

- A co? Żądza? Zmysły? - Chciała się odwrócić, ale nie pozwolił.

Oburącz ujął jej głowę i zmusił, by na niego patrzyła. - Tak uważasz? -

Oderwał jedną rękę od jej twarzy, przesunął niżej i położył jej na piersi. -

Tak myślisz? - powtórzył. - Dobrze, tylko nie każ mi myśleć tak samo - dokończył ze złością.

Wstał, a właściwie zerwał się na równe nogi, obrócił się na pięcie i wyszedł, nie mówiąc już ani słowa.

Tak właśnie chciała, chciała, żeby to się tak skończyło, a jeśli nawet nie chciała, to wmawiała w siebie, że tak właśnie powinno się to skończyć. Powtarzała to sobie z uporem jak mantrę, a mimo to, gdy tylko usłyszała trzask zamykanych na dole drzwi, wtuliła twarz w poduszkę pełną jeszcze jego ciepła. Chciało jej się płakać, ale nie potrafiła. Nie płakała od lat. Było jej tylko strasznie żal i sama nie wiedziała już, co myśleć.



Dzień wstał bezchmurny, słońce prażyło od rana, nasiąknięta ulewą ziemia parowała jak wrzący garnek

Po południu żar w gabinecie generała Butlera stał się tak gęsty i dokuczliwy, że trudno było wytrzymać. Nie było czym oddychać. Nie pomagały otwarte na oścież okna. W parnym powietrzu unosił się dym cygar i kwaśna woń spoconych męskich ciał.

- A teraz - generał Butler przerzucił plik papierów na biurku i przeszedł do kolejnego punktu narady - sprawa Eugenii Philips, aresztowanej za obrazę munduru i brak szacunku wobec naszych poległych żołnierzy.

Odprawa ciągnęła się już od czterech godzin i Zach miał absolutnie dość. Cały czas na nogach - generał uważał, że niżsi stopniem powinni stać w jego obecności - i dziesiątki ciągle tych samych spraw: rekwizycje, konfiskaty i aresztowania. Zach czuł, że dochodzi do kresu wytrzymałości. Był głodny, spocony, jakby zlano go kubłem wody, i dawno już stracił resztkę cierpliwości. I

- Panie generale - powiedział, nie czekając, aż Butler udzieli mu głosu. - Chciałbym zauważyć, że to chyba nieporozumienie. Z tego, co ustaliliśmy, w domu tej kobiety odbywało się przyjęcie z okazji urodzin jej dziecka. Dzieciaki bawiły się na balkonie i ani one, ani ona nie wiedziały, że dołem przechodzi kondukt pogrzebowy.

Generał spurpurowiał ze złości, ale jeszcze się opanował.

- Zapewne pan nie wie, majorze, że tę kobietę już raz zatrzymano, w Waszyngtonie, pod zarzutem szpiegostwa.

- Sprawdzaliśmy, panie generale - odezwał się Hamish pojednawczym tonem. - Rzeczywiście aresztowano, ale zaraz zwolniono.

Butler spojrzał na Hamisha, przeniósł wzrok na Zacha, otworzył usta, ale zmilczał. Zagłębił się w papierach, po czym, jakby sobie nagle przypomniał, wymierzył kopniaka małemu chłopcu - Murzynowi, który

drzemał na stojąco, zamiast poruszać wielkim wachlarzem uwieszonym pod sufitem, co było jego obowiązkiem. Sposób, w jaki Butler przywołał go do porządku, okazał się mało skuteczny. Chłopiec najpierw się zląkł, potem skrzywił z bólu, a później pociągał za sznurki tak energicznie, że pod powiewem powietrza część papierów sfrunęła z biurka, wprowadzając nieoczekiwane zamieszanie. Chłopak rzucił się, żeby je zbierać, a pozbawiony napędu wachlarz znów zawisł nieruchomo. Generał obrzucił chłopca wściekłym spojrzeniem, a Hamish - co zapewne nie miało związku z generałem i chłopcem - zerknął z przyganą na Zacha. Przełożony od rana tak się zachowywał, jakby go co ugryzło.

- Mamy do czynienia - generał wrócił do przerwane go wątku - z przykładem skrajnej nielojalności i świadomej demonstracji. Tej kobiecie dano możliwość wyrażenia skruchy i ubolewania za godne potępienia wykroczenie, ale nie zechciała z tego skorzystać, twierdząc, że nie będzie przepraszać, bo nie ma za co. Jej zdaniem, nie zrobiła niczego złego.

- Panie generale, ona ma dziewięcioro dzieci - znów wtrącił Zach, nie pytany.

- Właśnie! I wychowuje je w duchu nienawiści do oficerów Armii Stanów Zjednoczonych. Uważam, że dla dobra dzieci należy ją izolować. - Butler zanurzył pióro w kałamarzu, starannie strzepnął nadmiar atramentu na podłogę i zaczął podpisywać odpowiedni rozkaz. Pióro zaskrzypiało na papierze. - Polecam odebranie tej kobiecie wszelkich przywilejów i praw, ma być traktowana jak prostytutka.

Zachowi ręce opadły.

- Panie generale - spróbował jeszcze raz. - To znaczy... Butler nie dał mu dokończyć.

- ...wiem co to znaczy i nie musi mi pan przypominać, majorze.

Skoro te buntowniczkę zachowują się jak dziwki, to będziemy je tak traktować. Jako prostytutka kobieta podlega deportacji na Ship Island, a pan tego osobiście dopilnuje. Zrozumiał pan?

- Tak jest - odparł słuźbiście Zach.

Wiedział, co kryje się za tym rążęc surowym wyrokiem. Wcale nie chodziło o rzekomą obrazę munduru ani niestosowne zachowanie w chwili przemarszu konduktu pogrzebowego. Jedno i drugie było tylko pretekstem. Ta kobieta naraziła się Butlerowi czymś zupełnie innym. Po pierwsze, była Żydówką, co samo w sobie wystarczyło, aby generał jej nienawidził, a po wtóre -i na tym polegała prawdziwa istota sprawy - jej mąż, prawnik, wygrał kilka spraw przeciwko Butlerowi, gdy obaj naleźeli do waszyngtońskiej palestry. Wygrał, bo był znacznie lepszym adwokatem.

Ale tę opinię i te wiadomości Zach zachował dla siebie.

Rycerz - prychnął Hamish, gdy pół godziny później udało im się wreszcie wyjść od Butlera. - Samozwańczy obrońca uciśnionych kobiet! Tyś chyba oszalał. Przerywasz staremu, kłócisz się z nim i pyskujesz. Jeszcze trochę, a pan major wyląduje w swoim dawnym pułku i będzie gnił gdzieś na zadupiu jako szeregowiec,

„Pan major” w ustach Hamisha zabrzmiało jak obelga.

- Pan kapitan chce mi coś powiedzieć? - odciął się Zach w podobnym tonie.

Hamish groźnie poruszył węsami.

- Tylko przypomnieć, że pan major osobiście kazał mi wystawić posterunek przed znanym panu domem przy rue Dumaine. Więcej nic nie

powiem, bo mnie, prostemu kapitanowi, nie wypada kwestionować postępowania starszego oficera. Sądzę, że pan major miał powody, aby przebywać w owym domu od wczesnych godzin wieczornych do świtu, i że nie przekroczył pan żadnych zasad etycznych ani tym bardziej granic rozsądku.

Zach westchnął i zmienił temat.

- Jak idzie sprawdzanie ksiąg aptecznych?

- Jak do tej pory nie natrafiłem na żadne interesujące nazwisko, tyle tylko, że wśród kupujących truciznę było kilku lekarzy. Sprawdzamy obecnie, czy mieli coś wspólnego ze szpitalem Santerre'a. Sądzę jednak, że to fałszywy trop.

- Zamierzam wybrać się na Bayou Sauvage, chciałbym jeszcze raz porozmawiać z Papą Johnem - oznajmił Zach tonem sugerującym, że raczej wolałby pojechać sam.

Niepotrzebnie, bo Hamishowi wcale nie uśmiechała się wyprawa na rozlewisko, a tym bardziej towarzystwo przełożonego.

- Jedź. Dobrze byłoby, żeby ten stary szaman dał ci coś na uspokojenie, żebyś przestał latać z otwartym rozporkiem, gdzie nie trzeba.

- Słuchaj... - zaczął Zach groźnie, ale się opanował. - O tej sprawie nie będziemy rozmawiać - dokończył spokojniej.

- Jak pan major sobie życzy, ale i tak madame de Beauvais otwiera listę podejrzanych!



Słońce wisiało już nisko nad horyzontem, gdy Zach zajechał na polanę nad rozlewiskiem. Uwiązał konia w cieniu wielkiego drzewa

cyprysowego z korzeniami, które wbijały się w ziemię dookoła niczym pazerne szpony. Dzień się kończył, ale ciągle jeszcze żar lał się z nieba, a wilgotne powietrze nie dawało żadnego wytchnienia, oblepiało ciało jak niewidoczna maź.

Rozlewisko tętniło życiem, ptaki wyśpiewywały swoje trele przy jednostajnym wtórze owadzich skrzydeł, żaby kumkały, o brzeg jeziora uderzały fale wzniecone przez ruszające na żer aligatory.

Zach czuł się zmęczony. Miał za sobą długi dzień i nader krótką noc. Idąc ku chacie w kształcie grzyba, musiał natężyć całą uwagę, aby nie kuleć. Niezaleczona noga dawała o sobie znać.

- Zastanawiałem się właśnie, kiedy pan się zjawi, majorze - usłyszał.

Rozdział 26

Zapewne wie pan, po co przyjechałem? - odparł Zach, podnosząc wzrok. Stary Murzyn o tatuowanej twarzy stał w drzwiach swego domu, wysoko nad ziemią.

- Ja wiem. A pan?

Gdyby ktoś zapytał go po drodze, po co jedzie nad rozlewisko, Zach odpowiedziałby, że po to, aby wywiedzieć się o trujące zioła i trucizny. Teraz jednak, ku własnemu zaskoczeniu, podjął zupełnie inny temat.

- Niech mi pan opowie o Philippe de Beauvais - poprosił.

- Wszyscy mamy swoje zalety i słabości. Życie każdego człowieka jawi się jako zbiór niekonsekwencji i przeciwieństw. Czego chciałby się pan

dowiedzieć?

- Czy byłby zdolny do zbrodni?

Papa John zszedł na dół lekko i z gracją, jakby nie dźwigał na karku bagażu przeżytych lat.

- Tak pan myśli? Dlatego że fascynowała go śmierć i ból? Dlatego, że trzymał w szafie wysuszone ludzkie głowy? Że pętał swoje kochanki jedwabnym sznurem i smagał skórzanym biczem? Mało pan o nim wie, panie majorze! - Zach drgnął pod badawczym spojrzeniem starego Murzyna. - Philippe de Beauvais dał wolność wszystkim niewolnikom, których otrzymał w darze razem z plantacją od swego dziadka, a jeśli powiem panu więcej, że uwolniłby wszystkich czarnych w Beau Lac, gdyby dane mu było dożyć dnia, w którym wreszcie przejąłby tę plantację, to co pan powie, panie majorze?

- Powiem, że wszyscy niewolnicy otrzymają wkrótce wolność. O to idzie ta wojna.

Papa John machnął tylko ręką.

- Wszyscy tak mówią, a wojna trwa i nic się nie zmienia. Kobieta, która pierze panu koszulę, majorze, była i jest niewolnicą. Jedyne różnica, że dziś wypruwa żyły dla Jankesów.

Zach zdjął kapelusz i przetarł spocone czoło. Brzydziło go, że Butler, rekwirując dom na potrzeby swego sztabu, zabrał właścicielom wszystko, od sreber po niewolników. Brzydziło go, lecz cenił sobie czysto wypraną koszulę.

- Z tego co słyszałem, de Beauvais dostał postrzał w głowę -rzekł, chcąc zmienić temat. - Gdyby przeżył, byłby całkiem odmieniony.

- To prawda - zgodził się Papa John. - Słyszałem o takich przypadkach. Bywa, że ranny w głowę nie poznaje nikogo, a bywa, że

morduje nawet najbliższych, przyjaciół od serca, kochającą żonę...

- To ostatnie nie dotyczy chyba pani de Beauvais - zauważył Zach cierpko. Zdawał już sobie sprawę, że od Papy Johna nic się nie dowie. Stary Murzyn wyślizgiwał się jak piskorz. Stawiał więcej pytań, niż oferował odpowiedzi.

- A mogę zapytać, majorze, czy znaleźliście już tę kobietę, która doniosła Jankesom o wyprawie Philippe'a? - Stary przedreptał parę kroków na osłonecznioną polankę pełną ziół.

Zach został w cieniu przy chacie. Zastanowiło go, że dziś Papa John nie zaprosił go do środka.

- Nie, nie udało nam się.

Stary zebrał garść ziół, zmełł w ręce i w powietrzu uniósł się dziwny i raczej nieprzyjemny zapach.

- Patrzy pan, a nie widzi - rzucił stary jakby do siebie. - Niech pan odrzuci uprzedzenia i teorie.

- Co to ma znaczyć?

- Niech pan sam spróbuje do tego dojść. - Papa John zaśmiał się. Zach westchnął ciężko.

- A niech mi pan powie, kto zna się na ziołach czy, na przykład, Antoine La Touche potrafiłby wyprodukować strychninę z ziół? A ten Anglik, Yardley?

Papa John podniósł pęk ziół do nosa, powąchał i podszedł do Zacha.

- A gdzie jest pański przyjaciel, kapitan Fletcher? Nie wziął go pan dziś ze sobą? Dlaczego? Lękał się pan, że za dużo usłyszy?

- A cóż miałby usłyszeć, skoro pan nic nie mówi. - Zach machnął ręką, uznając, że nic więcej nie wskóra. Obrócił się, żeby odejść, ale po paru krokach przystanął i spojrzał na starego. - Ludzie mówią, że Henri Santerre

darzył pana sympatią, a pan też go lubił. Powinno panu zależeć, aby winni jego śmierci zostali schwytani, dlaczego więc nie chce mi pan pomóc, tylko traktuje mnie pan jak wroga?

Oczy starego zapłonęły dziwnym blaskiem.

- W tej wojnie, panie majorze, czarnoskórzy walczą po obu stronach. Dlaczego ja miałbym być po waszej? Powie pan, że dlatego, iż wasz prezydent zapowiada uwolnienie czarnych. Ja powiem panu na to, że to owszem, dużo, ale daleko za mało. Bo jak to będzie po wojnie? Co się stanie z byłymi niewolnikami? Kto im da pracę? Z czego będą żyć? Kto się nimi zajmie na starość?

- Będą wolni, a to chyba najważniejsze.

- Wolni? Wątpię. Może kiedyś, ale nie zaraz. Tymczasem wojna trwa i jest coraz gorzej, a im więcej padnie ofiar, tym większa pozostanie nienawiść.

- Czasami musi być gorzej, żeby było lepiej.

Z otwartych drzwi chaty dobiegł jakiś szmer, jakby coś się ruszyło i zaraz zamarło w bezruchu. I nie był to kot, ten bowiem zasadzał się na jaszczurkę na skraju polany.

Papa John jakby nie usłyszał, nawet nie drgnął.

- Niech mi pan powie, majorze - ciągnął swoje - na czym to jankescy handlarze dorabiają się majątków. Nie wiem pan? To panu powiem. Ich statki krążą stale między Nową Anglią, Karaibami i Afryką. Wożą cukier, rum i niewolników. Tak, panie majorze, niewolników. Przecież jeszcze parę lat temu w Connecticut, w Nowym Jorku i gdzie tam jeszcze też było niewolnictwo. I to, że tam zostało już zniesione, a tu jeszcze nie, nic nie znaczy. Nie jesteście ani lepsi, ani bardziej moralni. - Papa John podszedł jeszcze bliżej do Zacha i błysnął żółtawymi białkami oczu. - Ta

wojna wcale nie zdejmują z was winy, więc niech pan nie zakłada z góry, że jestem po waszej stronie.

- Wystarczy, nie musi pan więcej mówić- syknął Zach, odwiązując konia.

- Majorze - usłyszał za sobą. Papa John wspiął się już po drabinie i stał w drzwiach swego domu. - Niech pan na siebie uważa. Słyszysz pan?

- Słyszę. Skąd nagle ta troska?

- Emmanuelle to moja przyjaciółka.



Powiesz mi wreszcie, po co tu przyszliśmy? - Hamish z trudem przecisnął się przez gromadkę czarnych chłopców, grających w kulki na trawie, i zaraz znów musiał popracować łokciami, żeby przedrzeć się przez tłumek oblegający stragan z owocami.

- Żeby popatrzeć i wreszcie zobaczyć - odparł Zach, torując sobie drogę między ludźmi, szczelnie wypełniającymi plac Congo.

W niedzielne popołudnia gromadzili się tu miejscowi, głównie niewolnicy, choć nie tylko. Tu bawiono się, plotkowano, nawiązywano znajomości i odpoczywano po całonocnym znoju. Nie brakowało białych, którzy ściągali tu z ciekawości i łakomstwa. Na straganach można było bowiem spróbować rzadkich specjałów, lepszych niż w niejednej markowej restauracji.

Hamish przystanął, gapiąc się na drewnianego koguta na patyku, przystrojonego w kolorowe wstążki.

- Niby na co mamy popatrzeć i co zobaczyć? - spytał.

- Pomyśl tylko. To miasto liczy jakieś sto siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców. Z tego jedenaście tysięcy to wyzwoleńcy, drugie tyle to niewolnicy.

- I co z tego?

- Toż mówię, pomyśl. Dozorca z cmentarza St. Louis mówił nam o dwóch Murzynach, którzy tam byli w krytycznym czasie. Warto by z nimi porozmawiać. To nie wszystko. Mówiono nam też o tajemniczej wizycie jeszcze bardziej tajemniczej damy na naszym posterunku w Bayou Creve. Owa dama doniosła na Philippe'a de Beauvais'go. A kim ona właściwie była? Niejako z góry zakładamy, że musiała, to być albo żona, albo kochanka. A dlaczego? Hamish swoim zwyczajem poruszył sumiastymi wąsami.

- Bo to logiczne. Porucznik, dowódca posterunku, może i był gapą, ale nawet największa gapa zwróciłaby uwagę na kolor skóry. Jeśli chcesz mi powiedzieć, że owa dama była Murzynką, to ja powiem, żeś oszalał.

- Tak sądzisz? Przypomnę ci, że dama przybyła zawołowaną i że miała rękawiczki, to raz. A dwa: w tym mieście czerń ma wiele odcieni. Bywają Murzynki o cerze niemal tak białej jak twoja, bo krew mieszała się tu od pokoleń. I nie brak wśród nich i takich, których stać na najlepsze stroje i najkosztowniejsze powozy, nie mówiąc już o tym, że wszystkie mówią po francusku. Tak więc, mój drogi, popatrzmy, a może coś wreszcie zobaczymy.

Hamish przygładził wąsa, co u niego zawsze oznaczało, że się zastanawia. Tłum nagle zaczął gęstnieć i wszyscy ruszyli w jedną stronę, wabieni dźwiękiem trąbki, marakasów i bębna. Zaraz zaczęły się tańce. Ludzie już stawali w krąg, zajmując najlepsze miejsca, by podziwiać i zagrzewać do tańca półnagich ochotników i wraz nimi poddawać się magii

coraz to bardziej szaleńczego rytmu.

- Przejdź się kiedyś - ciągnął Zach - po obrzeżach Vieux Carre, starego miasta. Zajrzyj na Treme i Marigny, zerknij na wille i dworki. Przekonasz się, ile mieszka tam wytwornych dam o bardziej jasnej karnacji. To utrzymanki bogatych dżentelmenów. Nazywa się to *placage*. Biały, którego na to stać, bierze sobie czarną dziewczynę, łoży na nią, bywa nawet, że ma z nią dzieci. To wiekowa instytucja i opromieniona tradycją.

- Co chcesz mi przez to powiedzieć? - Hamish aż spurpurowiał z wrażenia. - Że mogła być jeszcze „ta trzecia”? Że de Beauvais miał jeszcze murzyńską utrzymankę i że to ona go wydała?

- Nie można tego wykluczyć.

- Skoro tak, to zamiast szukać w ciemno, trzeba było przepytać wdowę w tej sprawie. Miałeś przecież sposobną po temu okazję i niemal całą noc do dyspozycji.

Zach przygryzł wargi, żeby nie wybuchnąć.

- Emmanuelle mogła nie wiedzieć.

- Bzdura. Wiedziała o białej kochance, to musiałaby wiedzieć o czarnej, gdyby rzeczywiście szanowny małżonek taką sobie zafundował. - Hamish zatrzymał się przy stoisku z piwem imbirowym. Kupił dwie butelki *biere du pays*. - A skoro już mamy szukać czarnej flamy monsieur de Beauvais, to raczej nie tu. Chodźmy lepiej do Salle d'Orleans i tam przyjrzyjmy się hebanowym pięknościom, szukającym nowych opiekunów.

Ale Zach nie słuchał, jego wzrok przykuła postawna Murzynka o nader jasnej karnacji i łabędziej szyi, która właśnie znikwała w tłumie na drugim końcu placu.

- Trzymaj - oddał podwładnemu ledwo co rozpoczętą butelkę piwa.

- Gdzie się wybierasz? - zdumiał się Hamish.

- Kup sobie coś do zjedzenia. Mają tu pyszną *jambalaye* i jeszcze pyszniejsze *estomac mulatre*. Niedługo wrócę.



Gdy przedarł się wreszcie na drugi koniec placu, po Rose nie było już śladu.

Zdyszany, spocony i zły, Zach stanął przy kręgu ludzi, oklaskujących tańczących przy coraz szybszym rytmie tam-tamów. Czuł, że także i jego ta szalona, dzika muzyka zaczyna przenikać do kości.

- Trzeba być głupcem, żeby na taki zar wkładać na siebie ciężki, sukienny mundur, usłyszał za sobą.

Rose stała tuż za nim i patrzyła z przyganą na jego granatowy uniform, wilgotniejący od potu. W pełnym słońcu temperatura przekraczała czterdzieści stopni Celsjusza, a kurz wzniesany tysiącem stóp unosił się w powietrzu jak brudna wata. Rose tymczasem wyglądała świeżo, jakby słońce i zaduch w ogóle jej nie dotyczyły.

- Szukałem pani.

- Dlatego tu jestem.

Zaskoczyła Zacha. Do tej pory go unikała.

Potoczył wzrokiem po tłumie - starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni, w większości ubogo odziani prości ludzie, ale nie tylko. Bo oto wyłowił oczami rodzynek - egzotyczną piękność o kocich rysach i takich samych ruchach, kołyszącą się w rytm bębnow.

- Mówiono mi - zaczął jakby od niechcienia - że wielu białych dżentelmenów funduje sobie tutaj kolorowe kochanki.

- To prawda - odparła Rose niespieszona. - Ale Philippe do nich

nie należał, jeśli o to panu chodzi.

- Nie? To ciekawe. Nie był przecież wiernym mężem swojej małżonki.

- Niech pan spojrzy na to dziecko. - Rose wzrokiem wskazała, sześciolletnią na oko dziewczynkę, która jak zaczarowana śledziła wielkimi oczami tańczących w kręgu ludzi. Wyglądała jak figurka z porcelany, delikatna, z niebieskimi oczami i burzą złotych jak pszenica włosów.

- Piękna dziewczynka.

- Biała?

- To chyba widać.

- Widać, drogi panie, zupełnie co innego, tylko że wy, Jankesi, nie umiecie patrzeć. Niech pan spojrzy na te kręcone włosy, na pełne wargi, na długą szyję i niech pan zwróci uwagę, jak to dziecko się porusza. Dla nas to oczywiste, że nie jest biała.

- Ale jej skóra... Jest jaśniejsza od mojej.

- A i owszem. Obaj jej dziadkowie byli biali. Jedna z babek też, ale druga była czarna, i to się tu liczy. Takie jak ona nazywamy kwateronkami. Niebieskie oczy i blond włosy nikogo tu nie zwiodą. Tu zawsze pozostanie kolorową.

A dziewczynka nagle klasnęła w rączki, zaśmiała się radośnie i pobiegła w stronę wytwornie odzianego dżentelmena, białego, z wyglądu sądząc, zamożnego plantatora. Ten ojcowskim gestem wziął ją na ręce, pogłaskał po blond lokach i coś szepnął do uszka. Dołączyła do nich elegancka kobieta, o ciemniejszej niż dziewczynka karnacji, ale o podobnych rysach - bez wątpienia matka dziecka. Stanowili „rodzinę”, jakich wiele w Luizjanie -biały plantator, kochanka Murzynka i dziecko zrodzone z tego związku, naznaczone stygmatem czarnej krwi.

- A wie pan, co jest najgorsze? - ciągnęła Rose. - Najgorsze jest to, że dziecko wie, że lustro kłamie! Biała skóra, blond włosy, niebieskie oczy to fałsz. Dziecko wie, że jest kolorowe.

Zach milczał. Słuchał z uwagą i patrzył z szacunkiem na rozmówczynię. Dokładnie to samo, co Rose opowiedziała o dziewczynce, mogłaby przecież odnieść do siebie. Była przystojna, miała jasną karnację, białego ojca i gorzką świadomość stygmatu czarnej krwi.

- Niewielu białych rozumie, co to znaczy. - W głosie Rose zabrzmiały bolesne nuty. - Biorą sobie czarne kobiety, nie zastanawiając się, że rachunek za żądze zawsze płaci dziecko. Dla czarnych będzie zbyt białe, dla białych zbyt czarne i nigdzie nie znajdzie swego miejsca. Ale Philippe był inny, on to rozumiał.

Zach westchnął i zmarszczył czoło,

- Znała go pani dobrze, prawda? Czy istniała w jego życiu kobieta, czarna, mówiąca po francusku, która miałaby powody, żeby mu źle życzyć?

Rose w lot zrozumiała intencję pytania.

- Chodzi panu o to, kto na niego doniósł, tak? I podejrzewa pan, że to mogłabym być ja? - Zaśmiała się. - Panie majorze! - Spowaźniała. - Philippe byłby ostatnim człowiekiem, którego chciałabym zabić.

- A więc kto mógł go wydać?

- Kto? - Znów się zaśmiała. - Może pan! - Odwróciła się na pięcie i zniknęła w tłumie.



Hamish przepadł jak kamień w wodzie, nigdzie go nie było. Zach okrążył plac kilka razy, wyteżał wzrok, ale nie znalazł przyjaciela. Doszedł

w końcu do wniosku, że Hamish musiał wysledzić jakiegoś złodziejzka i jak prawdziwy policjant natychmiast zajął się sprawą - dopadł winowajcy i zaprowadził na posterunek. Zach zrezygnował więc z dalszych poszukiwań i już miał opuścić plac, gdy raptem jakiś kędzierzawy wyrostek wpadł na niego z takim impetem, że Zach aż się zachwiał i niemal runął na stragan z fistaszkami.

- Uważaj. - Chwycił chłopca za ramię.

Chłopak wywinął się zręcznie, łypnął oczami i zanim Zach zdążył zareagować, wyrwał mu kolta z kabury i zaczął uciekać.

- Ty draniu! - krzyknął Zach, puszczać się w pogoń.

Chłopak zanurkował w tłumie. Zach rzucił się za nim. Tłum nie ułatwiał mu zadania; owszem, rozstępował się na widok granatowego munduru, ale niechętnie, z ociąganiem, a chłopiec biegł chyżo. Bose stopy śmigały w kurzu. Kierował się ku uliczce wychodzącej z placu. Mimo okrzyków Zacha nikt go nie zatrzymał. Tłum przyglądał się pościgowi niby to obojętnie, lecz tak naprawdę sprzyjał uciekającemu, a nie ścigającemu. Wybiegli z placu. Zach dyszał ciężko i pocił się coraz bardziej w grubym sukiennym uniformie, ale nie rezygnował, wytężał siły, jednak dystans do zbiega wcale się nie zmniejszał. Tak wbiegli w ślepy zaułek otoczony rzędem nędznych chat. Tu chłopak nagle się zatrzymał. Skulił się pod ścianą, zmęczony i zdyszany, i tylko zerkał wylęknionymi oczami na prawo i lewo, jakby szukał wyjścia z pułapki.

- Oddaj pistolet! - krzyknął Zach równie zdyszany i wyczerpany jak zbieg. - Oddaj, a nic ci nie zrobię.

Chłopak przyciskał broń kurczowo do piersi i patrzył wystraszony.

- Nic ci nie zrobię - powtórzył Zach. - Tylko mi to oddaj.

Chłopak jakby nie słyszał albo nie rozumiał i nie patrzył już na Zacha,

lecz gdzieś za niego.

Zach odwrócił się wolno, odruchowo kładąc dłoń na rękojeści szabli.

Instynkt go nie mylił.

Od tyłu zachodziło go ośmiu rosyłych mężczyzn o czarnej skórze.

Dobył szablę, ale sytuacja wyglądała beznadziejnie.

Z ośmioma nie da rady. Nawet gdyby powalił czterech, pięciu, a nawet i sześciu, to i tak nie ujdzie z życiem, bo oto jeden z napastników podnosił do ust... indiańską dmuchawkę. Gdyby Zach miał kolta, pozostawałaby mu jeszcze szansa, lecz samą szablą nie zdoła się wybronić. Ktoś, kto to zorganizował, przewidział wszystko, dlatego wysłał małego, żeby skradł mu pistolet i zwabił w zaułek bez wyjścia.

Ale doskonały plan miał jednak lukę.

Nieważne, skąd się wzięła dama zbrojna w butelkę po imbirowym piwie, ważne, że wiedziała, gdzie łupnąć osiłka z dmuchawką, aby doskonały plan uśmiercenia majora Zachary'ego X. Coopera obrócić wniwecz.

Rozdział 27

Cios nie był na tyle mocny, aby grube szkło roztrzaskało się o pokrytą kędzierzawą czupryną czaszkę, ale wystarczył, żeby niedoszły morderca wypuścił dmuchawkę z rąk i złożył się wpół na nagle rozmiękłych nogach. To z kolei wystarczyło, by szabla Zacha zaczęła zbierać krwawe żniwo.

- Oszczędź, nie zabijaj wszystkich! - zdążyła jeszcze krzyknąć Emmanuelle, gdy Zach ciał śmiertelnie pierwszego z brzegu napastnika.

- A dlaczego nie?! - zawołał z furją, kładąc drugiego prostym sztychem, a trzeciego straszliwym cięciem w ramię. Przecież chcieli mnie zabić! - Czwartego już nie dopadł, bo ten z całą bandą rzucił się do ucieczki. Zach uznał, że pościg nie ma sensu. Upewnił się tylko, czy nikt z napastników nie ma zamiaru wrócić, i opuścił szablę, żeby spłynęła z niej krew.

- Skąd się tu wzięłaś? - spytał zachrypniętym głosem.

Emmanuelle podniosła wzrok. Twarz miała tak spokojną i obojętną, jakby nic się nie stało ani tu i teraz, ani przedtem -w nocy na rue Dumaine.

- Zauważyłam, że ścigasz tego złodziejaszka, a potem zobaczyłam tych drabów. Pomyślałam, że może się przydam.

Wtedy, w nocy, powiedział jej, że ją kocha. Nie przyjęła tego, niemal go wyśmiała.

Zach otarł czoło. Poryw wiatru wdarł się w zaułek, zeschłe liście zawirowały w powietrzu.

- Papa John cię ostrzegł? Od niego wiesz, że ktoś chce mnie zabić?

Zaprzeczyła.

- Ale byłeś u niego. Byłeś, gdy ja przyjechałem?

Milczała. Przykucnęła, podnosząc z ziemi pierzastą strzałę, która wypadła z dmuchawki, i powąchała grot.

- Zatruta? - spytał Zach, wsuwając szablę do pochwy.

- Chyba tak.

Wyciągnął rękę, pogłaskał ją po policzku, ujął za podbródek i obrócił twarzą do siebie.

- Uratowałaś mi życie - rzekł miękko. - Zwykle „dziękuję” to chyba za mało.

Usta jej zadrżały, jakby składały się płaczu, ale zaraz wykwitł na nich uśmiech tak wdzięczny, czarujący i ujmujący za serce, że Zach z miejsca by się w niej zakochał, gdyby już nie był zakochany po uszy.

- Też tak sędzę. Zafunduj mi piwo, a uznam rachunek za wyrównany.



Do wyrównania rachunku wszelako nie doszło, a przynajmniej nie zaraz. Najpierw trzeba było usunąć trupy i uporać się z gapiami, którzy jak rzeka zalali cały zaułek, zwabieni hałasem. Na szczęście i na nieszczęście zjawił się Hamish.

- Rozejść się, rozejść! - grzmiał, przepędzając ciekawskich. -Pani też to dotyczy - dodał, łypiąc podejrzliwie na Emmanuelle.

- Rozumiem, panie kapitanie - odpowiedziała z całym spokojem. - Ale radziłabym panu odpocząć parę minut i niech się pan czegoś napije. Przy pańskiej tuszy długie przebywanie na słońcu może być niebezpieczne.

Hamish jak niepyszny tylko nastroszył wąsy, ale nic nie powiedział. Emmanuelle zabrała się do odejścia, lecz zatrzymał ją Zach.

- Nic ci nie jest, dobrze się czujesz? - spytał z troską.

- Nic mi nie jest i dobrze się czuję - odpowiedziała tonem tak obojętnym, że aż go zmroziło. Spędził z nią noc, trzymał ją w ramionach, poznał wszystkie tajemnice jej ciała, ale duszy i serca nadal nie potrafił zgłębić.

- Zajrzę wieczorem - szepnęła, słysząc za sobą wymowne pochrząkiwanie Hamisha.

- Będę czekać - odszepnęła.



Zaprowadzenie porządku zajęło sporo czasu, a trzeba było jeszcze wydać rozkazy dotyczące poszukiwań zbiegłej piątki i chłopca. Popołudnie dobiegało kresu, gdy Zach z Hamishem znaleźli wreszcie wolną chwilę, by usiąść i porozmawiać. Zaszli się w portowej tawernie, gdzie podawano kraby, krewetki i - co najważniejsze - piwo, zwykle nie imbirowe.

- Mam nadzieję - zaczął Hamish, zabierając się za szczypce wyjątkowo dorodnego kraba - że jako niedoszła ofiara masz już bliższe pojęcie o zabójcy.

- Dobrze by było - odrzekł Zach. - Niestety, wiem tylko tyle co przedtem, że potrafi posługiwać się kuszą, że zna się na truciznach i że w jakiś sposób związany był z Santerre'em i Claire La Touche. Temu opisowi odpowiada tylko jedna osoba, ale ponoć nie żyje.

- Dlaczego tylko jedna? A madame de Beauvais?

- Rany boskie, aleś ty uparty. - Zach ze złością odstawił kufel. -

Pomyśl logicznie. Gdyby chciała mnie zabić, mogłaby mnie zwyczajnie udusić we śnie, nie wychodząc z domu.

- Mogła - zgodził się Hamish. - Tylko co zrobiłaby z ciałem. Jest z ciebie kawał chłopca. Dwie kobiety z dzieckiem nie dałyby rady znieść twoich zwłok ze schodów.

Zach milczał; patrzył przez okno na czerwieniejące zachodem słońce.

- Trzeba znaleźć tego małego drania, który ukradł mi kolta.

- To nic nie da.

- Boję się o niego.

- Hamish spojrzał na przełożonego ze zdumieniem.

- Że go zabiją - wyjaśnił Zach.

- Na litość boską, wróc wreszcie na ziemię i nie bądź świętszy od papieża. Przez tego małego sam niemal nie zginąłeś. Przestań się nim przejmować. - Hamish sięgnął po kolejnego kraba z półmiska.

Zachowi stanęła przed oczami złękciona buzia chłopca.

- Nie potrafię.

Podwładny spojrzał na niego badawczo; ręka zawisła mu nieruchomo nad półmiskiem.

- Wariat.

- Proszę się liczyć ze słowami, kapitanie. - Zach dopił piwo, wolno, z rozmysłem odstawił kufel i wstał od stołu.



Emmanuelle siedziała z książką na balkonie na piętrze. Była sama. Rose miała wychodne jak w każdą niedzielę, a Dominika na resztę dnia zabrali dziadkowie. Miała nadzieję wypocząć i poczytać, ale nie potrafiła się

skupić. Raz po raz zerknęła na ulicę. Czekwała. Obiecał, że przyjdzie, chciała, żeby przyszedł, lecz bała się, że się nie zjawi.

Rozpamiętywała wszystko, co stało się w nocy. Dała mu całą siebie, poddała się tak ochoczo i z taką namiętnością, że wielu na jego miejscu mogłoby się wystraszyć. Wielu, ale nie on. Tej nocy jednak stało się coś jeszcze. Powiedział jej, że ją kocha, a ona nie chciała tego przyjąć. Odrzuciła jego serce, zraniła go.

Są mężczyźni, którzy nie przywiązują wagi do słów. Są tacy, którzy wielbią wszystkie kobiety i nie mogą się bez nich obejść. Chcą je stale pieścić, dotykać, gładzić i wciąż mówią o miłości. Kłamią? Niezupełnie. Przesadzają albo zwyczajnie myślą chwile uniesienia z prawdziwą miłością. Prawdziwa miłość jest nie na chwilę, ale na zawsze. Jeszcze inni po prostu kłamią - świadomie, z rozmysłem, w jednym celu - aby zdobyć kobietę i dać upust swoim samczym żądom. Ale bywa - i Emmanuelle doskonale o tym wiedziała - że wypowiada się słowa o miłości naprawdę, z przekonaniem, wiarą i nadzieją, że tak jest i że tak będzie zawsze, po wieczność.

Był czas, kiedy sama wierzyła w prawdziwą miłość i kochała, kochała całym sercem i duszą, najgoręcej i najgłębiej. Żyła miłością i dla miłości, ale ta właśnie miłość ją zdradziła. Zwiędła, zszarzała i wreszcie umarła. Nie nastąpiło to nagle, przeciwnie, trwało. Uczucie gasło powoli, a każdy kolejny dzień był gorszy od poprzedniego i coraz bardziej bolesny. A potem nie było już miłości. Wraz z nią umarła wiara w jej istnienie. Tam gdzie nie ma miłości, nie ma też wiary, że miłość w ogóle może istnieć, i Emmanuelle straciła tę wiarę. Skoro nawet najgorętsza i najgłębsza miłość nie przetrwała, to znaczy, że jej po prostu nie ma i być nie może. Jest tylko złudzenie, karmione namiętnością i zwykłą żądzą. Zapomniała o książce; coraz częściej

zerkała na ulicę. Incydent na placu Congo mógł zatrzymać Zacha, ale nie aż tak długo. Spojrzała na zegarek. Późno. Nie przyjdzie. A tak chciała go zobaczyć. Nie myślała już o niczym, tylko żeby przyszedł, żeby był... I przeraziła się własnych myśli. Nie wierzy w miłość, a czeka, nie wierzy, a cierpi, więc jak to jest?

Krażyła po domu ze ściśniętym sercem, a rozpalona wyobraźnia podsuwała jej coraz to okropniejsze myśli. Nie przyszedł, bo znowu ktoś się na niego zasadził... Nie przyszedł i już nigdy nie przyjdzie. Zawstydziała się własnych myśli. Przestała czekać i wtedy właśnie zapukał. W pierwszym odruchu chciała zbiec po schodach, zaraz, natychmiast, już, lecz opanowała się. Odczekała chwilę, żeby się uspokoić, doprowadzić do porządku, a nade wszystko stłumić w sobie gorączkę oczekiwania. To że przyszedł i zapukał, nie musi przecież nic znaczyć. Może zjawił się tylko po to, aby jej podziękować za pomoc i nic więcej. Serce jej biło, gdy odsuwała zasuwkę i otwierała drzwi.

- Jesteś. Nic ci nie jest, nic się nie stało? - Nie potrafiła powstrzymać się od pytania.

- Martwiłaś się? - odpowiedział z przekornym uśmiechem, zdejmując kapelusz. - Martwiłaś, że zostawiłaś mnie bez opieki?

Nie odpowiedziała, objęła go tylko za szyję i wtuliła się w niego szczęśliwa, że przyszedł, że jest cały i zdrowy.

- Nie powinnaś się martwić. Ranisz moją męską dumę, uważając, że bez ciebie i twojej butelki po piwie nie dam sobie rady.

Rozśmieszył ją, ale zaraz spoważniała.

- Wiem, jak kruche jest ludzkie życie.

Wziął ją za ramiona i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Naprawdę martwisz się o mnie? - spytał z powagą.

Nie odpowiedziała; wspięła się na palce i przyłgnęła ustami do jego ust, a on podniósł ją, przygarnął do siebie i odwzajemnił pocałunek z całą mocą i niecierpliwością, nogą zatrzasnąjąc za sobą drzwi.

- Myślałem, że nie będziesz już chciała - szepnął, odrywając się od jej ust. Całował ją w szyję, rozpinając gorączkowo suknię.

- Kłamałam - szepnęła. Wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą na schody, prowadzące do sypialni. Nie doszli, zatrzymali się w połowie, spragnieni siebie i niecierpliwi. I tam ją wziął. Przycisnął do ściany, odgarnął spódnice i wszedł w nią bez słowa. Podała się równie spragniona, jak on i wtedy zdała sobie sprawę, że chciałaby, by jednak znów szeptał jej słowa miłości. Nie wierzyła w miłość, ale chciała usłyszeć słowa.



Woda pachniała lawendą i pieściła jej ciało tak samo cudownie jak jego dłonie. Leżeli w wannie w pokoju kąpielowym na piętrze. Płomień świecy wylawiał z mroku butelkę wina i dwa kieliszki na stoliku przy wannie, resztę spowijała ciemność.

Milczeli. Odwrócona plecami, pół siedziała, pół leżała między jego nogami, a on wodził palcami po jej ciele.

Czuła go całego, powiodła otwartą dłońią po jego ramionach. Był taki piękny, taki młodzieńczy i taki silny, Chciałaby tulić się do niego po wieczność. Skarciła się w duchu. To tylko chwila. Nic nie będzie trwało, bo nic nie może trwać.

- Jak myślisz, ile mam lat? - spytała z nagłą, odwróciwszy się twarzą do niego.

Nie odpowiedział od razu. Sięgnął po kieliszek i sączył powoli wino,

odwzajemniając spojrzenie.

- A czy to ważne?

- Trzydzieści. A ty? Dwadzieścia sześć? Dwadzieścia siedem?

Zgadłam?

- W listopadzie skończyłem dwadzieścia pięć. Poczula ukłucie w sercu, ale nie dała po sobie poznać.

- *Alors, un enfant.* - Podrapała go po piersi.

Chwyił ją za nadgarstek. Przyciągnął do siebie tak mocno i gwałtownie, że woda z pluskiem wylała się z wanny.

- *Enfant...* dziecko - powiadasz. - Niech ci będzie, ale uprzedzam, że z piekła rodem.

Myślała, że ją pocałuje, lecz nie zrobił tego. Dokończył tylko wino, nie odrywając od niej wzroku.

Odsunęła się od niego i też sięgnęła po kieliszek. Ręka jej drżała, więc wypila szybko i chyba za dużo, ale dobrze jej to zrobiło.

- Byłeś już kiedyś zakochany? - spytała, starając się, aby zabrzmiało to po prostu i naturalnie.

Westchnął, a w jego oczach pojawił się cień.

- Nie, ale byłem blisko.

- To znaczy?

- Ona... zginęła.

- Umarła?

- Została zamordowana.

Emmanuelle odstawiała kieliszek na stolik przy wannie. Widziała, że Zach nie patrzy już na nią; zamyślony wpatrywał się w płomień świecy.

Zdała sobie sprawę, że dotknęła rany nie do końca zabliźnionej.

- To było w Forcie McKenna, o którym mi opowiadałeś? Przytaknął

i przyciągnął ją do siebie. Położyła głowę na jego ramieniu.

- Jej ojciec był moim dowódcą. Planował, że wróci z rodziną na Wschodnie Wybrzeże i tam wyda córkę za mąż za kogoś solidnego, tylko że Rachel miała inne zamiary.

- Kochała cię, prawda? - spytała niemal odruchowo, czując w sercu absurdalne ukłucie zazdrości.

- Dlatego zginęła - odparł ponuro. Odstawił kieliszek i patrząc w przestrzeń, zaczął ją gładzić po mokrych włosach. - Długo nie wiedziałem, co łączy ofiary zabójstw. W końcu pojąłem, że łącznikiem jest moja osoba. Zabójca wybierał ludzi, z którymi w jakiś sposób byłem związany. Kapral należał do mojego oddziału, kobieta, stara Meksykanka, dbała o moje rzeczy, małą dziewczynkę uczyłem grać w szachy... - Przerwał. -A na koniec Rachel. - Wziął ją za rękę i uściskał. - Zabójca bawił się mną. Dlaczego? Bóg jeden raczy wiedzieć. Może dlatego, że pokonałem go kiedyś w szachy i chciał pokazać, że jest jednak sprytniejszy i lepszy ode mnie, że może mnie bezkarnie zranić, a ja nawet nie będę wiedział, że to on.

- Schwytaleś go jednak.

- W końcu tak, ale to było straszne. Podrzucał mi liściki, naigrawał się ze mnie, pytał, czy potrzebny mi jeszcze jeden trup, by rozwikłać zagadkę

- Chciał, żebyś go złapał?

- Nie, drażnił się ze mną, patrzył, jak się miotam, i niewiele brakowało, a uszedłby cało. Już miał wyjechać... dostał przeniesienie do Kalifornii... kiedy wreszcie go dopadłem.

- Zabiłeś go?

- Nie. Chciałem, ale nie mogłem, nie potrafiłem. Próbowałem nawet, lecz nie byłem w stanie się na to zdobyć.

- Ty?

Obrócił ją do siebie.

- Myślisz pewnie o tym, co zdarzyło się dziś po południu i przedtem na rue Conti. Jestem żołnierzem, Emmanuelle, i wiem jedno, że kiedy staje się do walki, to nie ma wyboru, albo ja zabiję, albo mnie zabiją.

- A tego porucznika mordercy nie zabiłeś?

- Nie stanął do walki, a ja nie jestem katem.

Chwyliła jego dłoń, podniosła do ust i pocałowała. Rozmyślała o tym, co powiedział. Widziała go z szablą w ręku i miała za zabójcę, za bezlitosnego mordercę, siejącego śmierć i zniszczenie. Ale prawda była inna. Jeśli sięgał po broń, to w obronie, swojej i innych. Na swój sposób szanował ludzkie życie.

- A tych, co chcieli cię dziś zabić, to kto nasłał? - spytała. - Ten sam, co najął draba, który próbował mnie zabić?

- Hamish jest tego zdania i wydaje mu się, że wkrótce znajdzie zabójcę.

- A znajdziesz?

- W tym mieście jest co najmniej dwieście tysięcy ludzi, którzy tylko marzą, żeby zobaczyć moje ciało na marach w pracowni doktora Austina Sinclaira. - Zaśmiał się ponuro.

- Nie mów tak, nawet o tym nie myśl. Wziął ją za ramiona i położył na sobie.

- Zaskakuje mnie pani swoją troską, madame. - Uśmiechnął się przekornie. - Jest pani pewna, że nie darzy mnie pani prawdziwym uczuciem?

- Pragnę cię i tyle - odparła, ale przyłgnęła do niego, jakby się bała, że go straci. Gdy pocałował ją w usta, poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

A on całował ją coraz goręcej i niecierpliwiej. A gdy w nią wszedł, wyszeptał słowa, na które tak czekała - „kocham cię” - i niewiele brakowało, a odwzajemniłaby się takimi samymi słowami.



W bladym świetle poranka wielki dom przy Esplanadzie wyglądał jak marzenie. Białe doryckie kolumny zdawały się wspierać o niebo, a wielkie schody, ozdobione kutymi w żelazie poręczami, zapraszały jakby na spotkanie pod chmurami. Emmanuelle ominęła schody i skręciła w bok, zanurzając się w wysadzaną rozmarynem wąską alejkę, która prowadziła do niewielkiego ogródka nieopodal stajni.

Wiedziała, że o tej porze znajdzie tam Jeana-Lamberta. Ogród był jego pasją. Zachodził tam codziennie o świcie i doglądał swoich kwitnących skarbów. Kończył o dziewiątej, gdy słońce wspinało się wyżej i z nieba zaczynał lać się żar.

Usłyszał ją z daleka. Utykał, ale wzrok i słuch miał nadal doskonałe.

- Papere! - Wspięła się na palce, aby pocałować go w policzek. Jej teść był równie wysoki jak Philippe. - Musimy porozmawiać.

- *Bien sur* - odparł, patrząc na nią badawczo. - A o czym?

- Chciałabym, żebyś zabrał Dominika do Beau Lac.

- I po to przychodzisz o świcie? - Schylił się, uciął kwitnącą lilię i dołożył do koszyka, w którym leżał już pęk naciętych od świtu kwiatów. - Już dwa miesiące temu chciałem go zabrać, ale twierdziłaś, że to niebezpieczne.

- Nadal tak myślę.

- Więc dlaczego chcesz, żebym to zrobił.

- Boję się, że tu grozi mu jeszcze większe niebezpieczeństwo
-odparła drżącym głosem. - Chcą go zabić.

Rozdział 28

Zabić! Dominika?! - wykrzyknął Jean-Lambert z przejęciem. W mieście uchodził za człowieka interesu, który żelazną ręką zawiadywał plantacją i rozlicznymi przedsięwzięciami. Uważano, że te sprawy wypełniają całe jego życie. Prawda była inna. W życiu Jeana-Lamberta liczył się tylko Dominik. Wnuka ukochał ponad wszystko i świata poza nim nie widział. - Kto chce go zabić i, na litość boską, dlaczego? Mów.

- Nie wiem - szepnęła Emmanuelle, złęczona reakcją starca. Jej teść miał swoje lata i nie był w najlepszym zdrowiu. Chyba nie powinna narażać go na takie przeżycia. - Nie jestem pewna, czy rzeczywiście coś mu grozi - stonowała nieco. - Ale sprawy przybierają dziwny obrót.

- Właśnie - odrzekł Jean-Lambert nieco uspokojony. - A jak to było w Kanale Irlandzkim? Nic mi nie powiedziałaś, że napadnięto na ciebie.

- A skąd wiesz?

- Wbrew pozorom - spojrzał na nią z ukosa - to jest całkiem małe miasto.

Drgnęła pod jego spojrzeniem. Zastanawiała się, co jeszcze teść mógł słyszeć. Czy doszły już do niego wieści o wydarzeniach na placu Congo i o nocnych wizytach jankeskiego majora w domu przy rue Dumaine. Jean-

Lambert rzadko ruszał się z domu, ale zawsze wszystko wiedział. Nurtowało ją, czy zna całą prawdę o swoim synu... i o niej.

Jean-Lambert przeszedł do klombu cynii i zręcznym ruchem uciął dorodny kwiat.

- A dlaczego sądzisz, że Dominikowi może grozić niebezpieczeństwo? - spytał rzeczowo.

Słońce wzniosło się już wysoko i żar zaczynał płynąć z nieba, a jej raptem zrobiło się zimno i miała wrażenie, że wokół zamyka się ciemność i że mrok spowija i ją, i wszystkich jej bliskich.

- Nie wiem, nie umiem powiedzieć, ale przeraża mnie, że wokół giną ludzie.

- A ten major, szef jankeskich żandarmów, już coś wie?

- Nie.

- A co mówi o Dominiku? Też uważa, że coś mu grozi?

- Nie wiem, nie rozmawiałam z nim o tym. Zależy mi tylko na tym, żeby Dominikowi nic się nie stało.

Jean-Lambert uciął jeszcze jeden kwiat i odłożył sekator do koszyka.

- A co będzie z tobą, pojedziesz z nami?

- Wiesz, że nie mogę. Mam pacjentów, jestem im potrzebna.

- Żywa. Martwa nikomu się nie przydasz.

- Nie zamknę szpitala, będę pracować tak długo, jak długo się da, a poza tym wyznaczyli żołnierza, żeby mnie pilnował. Nic mi nie będzie.

Starszy pan uniósł brwi, jakby zdziwiony wiadomością o ochronie. Potem spojrział na werandę, na której Celeste- czarna służąca - nakrywała do śniadania.

- Uważam jednak, że powinnaś jechać z nami.

- Muszę zostać, ale będę na siebie uważać.

- Nie dasz się namówić?
- Nie, znasz mnie.
- Oj znam, znam. - Uśmiechnął się. - Chodź, pomożesz mi wejść na schody. - Rozejrzał się bezradnie. - A gdzie jest mój sekator?
- W koszyku, Papere. Jean-Lambert zarumienił się nieznacznie.
- Rzeczywiście. Starość jest straszna, moja droga.
- Każdy wiek ma swoje wady. - Emmanuelle westchnęła, biorąc go pod rękę.
- No, no, co ja słyszę. - Jean Lambert zaśmiał się, wspierając się na synowej. - Chodź, napijesz się kawy i opowiesz mi jak dałaś łupnia temu bandycie. Mówią, że świetnie władasz parasolką i torbą z lekami.



Emmanuelle sprawdzała leki w szpitalnym magazynku, gdy drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadł Charles Yardley.

- Coś ty, u licha, zrobiła z moją pacjentką?! - krzyknął tak głośno i z taką złością, że Emmanuelle niemal upuściła tacę pełną lekarstw.

- Wystraszyłeś mnie.

- Chodzi o tę kobietę z owrzodzonymi nogami! Coś ty z nią zrobiła?

Wyglądał okropnie, jak nie ten sam Charles Yardley. Zawsze był zadbany, opanowany, z dystansem do wszystkich i wszystkiego, teraz ryczał na cały głos, był spocony, blady, wymięty, oczy miał zapadnięte, włosy zmierzwiłone.

- *Mon Dieu*, Charles, co się z tobą dzieje? Wyglądasz, jakbyś nie spał od paru dni.

- To racja - warknął. - Nie spałem, ale co, u licha, zrobiłaś z moją

pacjentką?

- Sam ją wypisałeś, nie pamiętasz? - odrzekła Emmanuelle, siląc się na spokój. - W sobotę wieczorem pytała cię, czy może pójść do domu, i się zgodziłeś. Naprawdę nie pamiętasz?

Wsparł się o ścianę i przetarł oczy.

- Wielki Boże - westchnął ciężko. - Rzeczywiście, jak mogłem zapomnieć.

- Charles, co się z tobą dzieje?

Yardley chwycił się oburącz za głowę. Spojrzał na Emmanuelle przekrwionymi i wylęknionymi oczami. Przez chwilę milczał.

- Znasz mnie już kilka dobrych lat, prawda? Powiedz mi, czy ja jestem normalny? Czy przez te lata nie zauważyłaś przypadkiem czegoś niezwykłego, że coś zmyślam albo opowiadam niestworzone rzeczy?

- Nigdy. Owszem, jesteś cyniczny, ale to nic nie znaczy. Wiem, że trzeźwo patrzysz na świat. A dlaczego pytasz? Coś się stało?

- Nie, nic takiego, tylko że ostatnio... - Oderwał się od ściany. - Nieważne. - Machnął ręką zrezygnowany.

- Charles? Powiedz, co cię gryzie.

- Będziesz się śmiać.

- Nie będę.

- Otóż - wbił wzrok w podłogę - otóż ostatnio wydaje mi się, że ktoś mnie. śledzi, chodzi za mną krok w krok i stale mnie obserwuje.

Emmanuelle poczuła mrowienie w krzyżu.

- Widziałeś?

- Problem w tym, że oglądam się i nikogo nie widzę. Czuję się jak ostatni kretyn, ale jednocześnie stale czuję na sobie czyjś wzrok... Boję się, Emmanuelle. Cały czas mam ciarki na plecach. Zawsze się śmiałem, gdy

ktoś tak mówił, ale teraz wcale nie jest mi do śmiechu.

- Rozumiem.

- Idąc ulicą, stale oglądam się za siebie. W domu nie mogę spać, bez przerwy wstaję i patrzę, czy okna są zamknięte, a drzwi zaryglowane i stale mam przekonanie, że ktoś stoi na zewnątrz i czeka. To straszne. Całą noc pałę światło, jak, nie przymierzając - kobieta.

- Mówiłeś już komuś o tym? Próbowalesz coś z tym zrobić?

- A co mógłbym zrobić?

- Mógłbyś porozmawiać z majorem Cooperem.

- Nie, pomyśli że zwariowałem. - Yardley wzruszył ramionami.

- Posłuchaj, Charles. Sprawa jest poważna. Henri i Claire nie żyją, parę dni temu mnie też próbowano zamordować. Jeśli jesteś przekonany, że ktoś cię śledzi, trzeba o tym zameldować.

Yardley zbladł jak ściana.

- Chciano cię zabić? Chcą zabić nas wszystkich? Ale kto?

- Nie wiem.

- Musisz coś wiedzieć. - Chwycił ją za rękę.

- Zachary Cooper sądzi, że to Philippe - powiedziała cicho.

- Philippe? - Yardley przyłgnął do ściany, jakby chciał się w nią wtopić. - Przecież on... nie żyje.

- Charles, proszę. - Wyciągnęła rękę, aby go dotknąć i pocieszyć, ale cofnęła się. Nie mogła się przemóc. Zbyt wiele ich dzieliło. Złe wspomnienia paliły jak ogień. - Musisz iść do Coopera.

Patrzył na nią wielkimi oczami.

- Pójdę - powiedział wreszcie. - Dzisiaj, zaraz po obchodzie, tylko powiedz mi, jakich mam jeszcze pacjentów. - Wykrzywił usta w uśmiechu.

Emmanuelle przemogła się i uścisnęła mu rękę.

- Idź zaraz, a potem prześpij się, a pacjentami ja się zajmę.



Tu ma pan listę. - Butler postukał palcem w zapisaną kartkę papieru.
- W niedzielę wyśle pan swoich ludzi do wszystkich wymienionych tu kościołów. Niech sprawdzą, jak wykonywany jest mój rozkaz o modły za prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jeśli któryś proboszcz nie wymieni prezydenta w kazaniu, kościół zamknąć, a klechę aresztować.

- Możemy mieć z tym kłopoty. Proboszczowie powołują się na zapis o wolności wyznania i praktyk religijnych.

- Niech się powołują, na co chcą. Żądam, aby wzywali do modlitwy za prezydenta.

- Wzywają do chwili zadumy.

- A wtedy ta hołota modli się za zwycięstwo konfederatów.

- Nikt tego ostentacyjnie nie robi.

- Wszystko jedno. Wydałem rozkaz i żądam, aby go przestrzegano, a tych, którzy go łamią, ma pan aresztować i odesłać do więzienia w Nowym Jorku. Nie życzę tu sobie żadnej szeptanej propagandy.

Zach zerknął na listę.

- Brak ojca Mullena - zauważył zdziwiony. Siedemdziesięcioletni proboszcz parafii św. Patryka słynął z kazań, w których otwarcie potępiał Butlera.

Generał łypnął spod oka i skrzywił się w uśmiechu, ukazując poźółkłe od cygar zęby.

- Mam słabość do Irlandczyków - wyjaśnił. - Następna sprawa. -
Znów przybrał ostry ton. - Redaktorzy i te ich gazety.

Gdy o piątej po południu Zach wreszcie wyszedł od Butlera, przy bramie zatrzymał go żołnierz.

- Panie majorze.
- Słucham.
- Był tu ktoś do pana, mówił, że w ważnej sprawie, ale bałem się zameldować. Generał Butler nie lubi, gdy przerywa się naradę.
- Wiem, wiem, a kto to był?
- Nie pamiętam, mówił, że jest lekarzem, ale nie wyglądał na doktora. Chyba Anglik.
- Doktor Charles Yardley?
- O właśnie!
- Dawno był?
- Jakieś dwie, może trzy godziny temu. Kazał panu powiedzieć, że idzie do domu.

Zbierało się na burzę, gdy Zach dochodził do Fauberg Treme, gdzie doktor Charles Yardley wynajmował niewielki, typowo kreolski dworek. Wiele podobnych rozsianych było po całym Starym Mieście. Budowano je oszczędnie, bez ozdób. Na parter wiodły ledwie dwa schodki, pokoje umieszczano w amfiladzie, dzięki czemu nie musiano budować korytarzy. Okna zasłaniano żaluzjami i właśnie -jak zauważył Zach, podchodząc do domu Yardleya - wszystkie były opuszczone. Zdziwiło go to, bo o tej porze zwykle otwiera się okna, korzystając z chłodnego wiatru znad rzeki. Jeszcze bardziej się zdziwił, gdy zapukał, a drzwi same się uchyliły.

- Panie doktorze!

Odpowiedziała mu cisza.

- Yardley?

Nie było odpowiedzi, więc wszedł do środka. Cisza jak makiem zasiał, tylko z ulicy dobiegł turkot toczącego się wozu, a z podwórka po sąsiedzku dziecinna wyliczanka - Pierwsza godzina niedźwiedź chrapie... Jeszcze dalej ktoś grał na skrzypcach, ale tu, w środku, panowała cisza tak głęboka, że Zach słyszał bicie własnego serca.

Rozdział 29

Zaraz za drzwiami wejściowymi rozpościerał się pokój pełen książek - zapewne gabinet Yardleya. Setki tomów stały na półkach wzdłuż ścian, leżały na podłodze i na stoliku przy biurku. Na biurku natomiast leżał stos papierów i świeżo napisany list. Obok nagłówek - „Kochana Mamo i Agnes” - widniała dzisiejsza data. Nie czytając, Zach wcisnął kartkę pod pustą butelkę po brandy. Opróżniona butelka bardziej pasowała do jego wyobrażenia o doktorze niż list do rodziny w dalekiej Anglii.

- Panie doktorze?

W domu panowała cisza.

Drzwi były otwarte więc w gabinecie było jasno lecz reszta pomieszczeń tonęła w mroku. Zach odczekał chwilę, aby przyzwyczać oczy do ciemności, i przeszedł do pokoju obok. Ten służył doktorowi za salon, ale w przeciwieństwie do miejscowych domów, nie został przysposobiony na lato. Nie było ani słomianej maty na podłodze, ani pokrowców na

wykładanych aksamitem meblach.

Yardley zdawał się spać. Leżał na pasiastej - bordowo-granatowej - sofie na prawo od kominka, z jedną ręką opuszczoną na podłogę, tam gdzie zsunęła się poduszka. W pokoju zrobiło się duszno; Zach czuł krople potu na plecach. Podeszedł do okna, otworzył je na oścież, odetchnął głęboko i dopiero wtedy przykucnął przy sofie, próbując odgadnąć, kto i jak uśmiercił doktora Charlesa Yardleya.



Też nie mam pojęcia - oznajmił Hamish godzinę później, gdy przybył na miejsce i rozejrzał się uważnie. Deszcz zdążył się już wypadać, ziemia parowała i zrobiło się jeszcze duszniej.

- Trucizna? Ale nie wygląda, żeby cierpiał. - Pochylił się nad ciałem i pociągnął nosem. - Pił?

- Brandy. Na biurku znalazłem świeżo opróżnioną butelkę. Zapadał zmierzch, w pokoju było jeszcze ciemniej, bo Zach zaciągnął zasłony, by zniechęcić ciekawskich, których gromada zebrała się przed domem, wietrząc sensację.

- Trzeba przewieźć ciało do naszego szpitala. Lekarze muszą zrobić sekcję. - Hamish z trudem wyprostował swoje opasłe ciało.

- Yardley był po południu w sztabie, chciał się ze mną widzieć, ale byłem u starego.

- A czego chciał?

- Stary?

- Yardley.

- Nie wiem, właśnie dlatego tu przyszedłem.
- Rozejrzałeś się już po domu.
- Trochę. Wolałem poczekać na ciebie. Jesteś policjantem, ja nie. -

Przemilczał, że czekając, przeczytał do końca list. Niewiele z niego zresztą wynikało; Trochę narzekań na pogodę, upał i duchotę, parę zdań o wojsku okupującym miasto, i tyle.

Hamish zaczął przeglądać papiery na biurku, a jego przełożony poszedł obejrzeć sypialnię. Łóżko zasłano, ale niewielkie wgłębienie pośrodku świadczyło o tym, że ktoś na nim leżał, nie zadając sobie trudu usunięcia kapy. To pomieszczenie różniło się od innych dość starannym urządzeniem. Meble były raczej kosztowne, dobre ze smakiem, wygodne i w ogóle pokój robił wrażenie, jakby właściciel najpierw starał się zadbać o najdrobniejsze nawet szczegóły, a później stracił zapal.

Zach zapalił lampę na nocnym stoliku i zaczął metodycznie przeglądać wszystko po kolei. Z niejakim skrepowaniem otworzył szuflady komody. Zawsze go peszyło takie odsłanianie ludzkich sekretów. Nie oczekiwał rewelacji. Zakładał raczej, że zabójstwo - jeśli Yardley rzeczywiście zginął z rąk zabójcy - łączy się ze szpitalem na rue Bienville i tam trzeba szukać klucza do rozwiązania kolejnej zagadki.

Jeszcze raz obejrzał cały pokój. Ładne sztychy na ścianach, przedstawiające londyńskie budowle słynnego architekta Christophera Wrena, i srebrny flet na stole z nutami mogły świadczyć tylko o umiłowaniu właściciela do pięknych przedmiotów i muzyki, ale nic ponadto.

Na samej górze stosu nut leżał egzemplarz *Le Rossignol-en-Amour* z dedykacją wypisaną delikatnym pismem: „Zawsze o tobie myślę, słuchając tego utworu, może i ty pomyślisz o mnie, grając to”. Zach obejrzał flet i odłożył na miejsce. Raz jeszcze uważnie sprawdził cały pokój i... znalazł

złożoną wpół kartkę papieru, z pośpiesznie pisanymi słowami:

„Przyjdź dzisiaj, koniecznie. Rozpalasz mnie jak nikt i nigdy. Błagam, przyjdź”.

Charakter pisma był podobny do dedykacji na nutach, a list kończył się podpisem, a właściwie inicjałem - de B.

De Beauvais.

- Znalazłeś coś? - Hamish stanął w progu.

- Nie, nic - odparł Zach, czując krople zimnego potu na czole. List zdążył już wsunąć do kieszeni.



Noc była ciemna, księżyc z trudem przebijał się przez zasłonę mgły, gdy Zach przystanął nad rzeką,

Znów, myślał, znów to samo. Śmierć zbiera żniwo, a on nie jest w stanie nic zrobić. Czuł się bezradny i coraz bardziej zły, a zarazem wylękniony, jakby wokół niego roztaczał się mur nie do przebicia. Zawiodło go wszystko - logika, intuicja i szczęście. Pierwszy na liście podejrzanych nie żył, a co więcej, wcale nie musiał być sprawcą, lecz ofiarą. Jeśli więc jego wykluczyć, to kto zostaje? Szaman - król wudu z Bayou Sauvage, który zna się na truciznach i podobno potrafi czytać ludzkie myśli? Jest jeszcze imigrant z Niemiec, kaleka, marzący o lekarskiej profesji. Uszedł z zasadzki, ale właśnie za cenę kalectwa i może o nie obwiniać kobietę, która dopuściła się zdrady. Następny - jednonogi arystokrata, brat jednej z ofiar. Ten miałby powody, żeby targnąć się na życie siostry i jej kochanka, może nawet na starego doktora za to, że przymykał oczy na to, co się działo w jego szpitalu, także na Yardleya, jeśli ten też był kochankiem Claire. Ale La Touche nie miałby chyba powodu, żeby czyhać na Emmanuelle?

Emmanuelle! Właśnie!

Stojąc na wysokim brzegu, Zach ogarnął wzrokiem miasto gotujące się do snu. Odpowiadał za nie, odpowiadał za bezpieczeństwo jego mieszkańców. Robił co mógł, starał się, dokładał wysiłków. Udało mu się odwrócić groźbę epidemii, dał sobie radę z tysiącami zrozpaczonych uciekinierów, którzy wielką falą napływali do miasta. W jakieś mierze udało mu się nawet ograniczyć grabieżcze zapędy braci Butlerów, ale zabójcy nie schwytał. Zawiódł.

Od rzeki wiało chłodem. Zach wcisnął ręce do kieszeni kurtki i wymacał palcami kartkę papieru. Jeśli założyć, że stary doktor zginął przez przypadek, to pozostaje czwórka - Philippe i Emmanuelle oraz Claire i Yardley. Dwóch mężczyzn i dwie kobiety wplątani w tajemniczą pajęczynę namiętności, zdrady i śmierci. Zabójca działa brutalnie, bezlitośnie i metodycznie. I nie spocznie, dopóki nie dokończy dzieła.

I tak jak kiedyś w forcie, tak i teraz Zach czuł bolesne ukłucie w sercu. Dziś zginął Yardley, ale równie dobrze ofiarą mogła być Emmanuelle, i to przerażało go najbardziej.

Powiedziała, że nie wierzy w miłość. Miłości nie ma, jest tylko chwila, oczarowanie, namiętność, żądza i gra zmysłów. On jednak wierzył. Głęboko. Wierzył, że istnieje miłość na całe życie. Wierzył, że można pokochać całym sercem. Wierzył, że miłość to nie tylko namiętność, ale coś znacznie więcej. Wierzył, że można kochać naprawdę, szczerze i głęboko, niczego nie skrywając, nie tworząc fałszywych pozorów, że, można kochać uczciwie i że taka miłość może trwać.

Tylko że Emmanuelle de Beauvais nie była z nim szczerą. Nie otworzyła przed nim duszy, coś skrywała. Wiedział o tym od samego początku, a mimo to pokochał ją całym sercem. Ale tajemnica nie dawała

mu spokoju, a żandarmski instynkt ostrzegał, że za zasłoną tajemnicy może kryć się coś strasznego.



Zastał ją w szpitalnej kaplicy na piętrze. Klęczała przed ołtarzem pogrążona w modlitwie, a poranne słońce wlewające się przez wysokie okno malowało ją na złoto. Słyszac kroki, przeżegnała się spiesznie i wstała z klęczek. Była blada i wylękniona.

- Wiesz już? - spytał.

- Dowiedziałam się przed chwilą. - Spojrzała na niego wzrokiem pełnym przerażenia. - Zach, kto to robi?

Wyglądała tak krucho, że w pierwszym odruchu chciał ją przytulić i pocieszyć. Nie zrobił tego.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że z nim sypiałaś? - spytał.

Żachnęła się, jakby ją spoliczkował. Oczy zaszyły jej łzami, spochmurniały, ale zaraz pojawił się w nich błysk zimny jak stal.

- To nie ma nic do rzeczy. Ja nie pytałam, z kim ty sypiałeś W ciągu ostatnich dziesięciu lat.

- Tylko że wokół mnie nie ma trupów.

- I kto to mówi? Mój kochanek czy żandarm Bena Butlera? -Ruszyła do wyjścia, ale chwycił ją za łokieć.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - powtórzył pytanie.

- Nie uważałam, że to ważne, i nadal tak sędzę - odpowiedziała chłodno.

- Z Henrim Santerre'em też chodziłaś do łóżka? Wyrwała mu się i spojrzała na niego ze złością.

- Jak możesz! - syknęła. - Jeszcze trochę, a zaczniesz mnie

podejrzewać, że sypiałam także z Claire La Touche.

- A sypiałaś?

Milczała.

- Skąd wiesz o mnie i o Charlesie? - spytała po chwili. Wyciągnął z kieszeni zmięty kawałek papieru.

Zawahała się, ale wzięła. Szelest rozprostowywanego papieru wdarł się w ciszę przepastnej kaplicy. Emmanuelle przeczytała list.

- I on to zachował? To bardzo do niego niepodobne - szepnęła.

- Miał to w kieszeni. - Z daleka dobiegł dźwięk katedralnych dzwonów. - Ostatnio też się z nim spotykałaś?

- Pytasz jako mój kochanek czy żandarm?

- Chcę wiedzieć.

Odwróciła się i podeszła do okna wychodzącego na ulicę.

- Nie - odpowiedziała po chwili. - Od dawna już się nie widywaliśmy.

- Dlaczego nie?

- Po prostu znalazł sobie kogoś innego.

Znał już ją dobrze, wiedział, że nie mówi całej prawdy.

- A ty? - spytał chrapliwym głosem. - Ciągle jeszcze paliłaś się do niego? - Chciał, żeby ją zabołało, żeby cierpiała tak, jak on cierpi.

Cios był celny, Emmanuelle skurczyła się w sobie.

- Nie zabiłam go. Nie byłam zazdrosna, jeśli to masz na myśli. -

Znów zapadła cisza, przzerwana tylko stukotem kół wozów jadących ulicą. - A jak zginął, już wiadomo? - spytała cicho.

- Uduszono go, tak mówią lekarze, którzy przeprowadzali sekcję.

Zabójca najpewniej zaskoczył go we śnie i udusił poduszką.

- Biedny Charles. - Emmanuelle zgarbiła się, jakby przytłoczona

ciężarem nie do zniesienia.

- Mówił mi wczoraj, że chce się z tobą zobaczyć. Był u ciebie? -
Opanowała się; w pytaniu nie brzmiała ani jedna nuta emocji.

A jego znów ogarnęło przemożne pragnienie, żeby wziąć ją w ramiona, ukoić, powiedzieć, żeby nie wstydziła się łez i bólu, że wcale nie musi bez przerwy nad sobą panować.

- Przyszedł do sztabu, ale nie mogłem go przyjąć. Siedziałem u Butlera, a gdy wyszedłem, jego już nie było. A mówił ci, w jakiej sprawie chciał się ze mną widzieć?

- Bał się. Uważał, że ktoś go śledzi.

- Kto?

- Tego nie wiedział. Rozglądał się, ale nikogo nie widział, czuł jednak, że ktoś za nim chodzi. - Uśmiechnęła się smutno. - Był cały roztrzęsiony. Nie wierzył w przeczucia, więc tym boleśniej to odczuwał.

- Był blisko z Philippe'em, prawda? - Zach podszedł do ołtarza.

- Tak.

- A twój mąż wiedział, że sypiasz z jego przyjacielem? - spytał, patrząc na nią przez ramię.

Przytaknęła.

- A jak się dowiedział?

- Od Charlesa. Charles mu powiedział.

Rany boskie, co za towarzystwo, jęknął w duchu Zach, a głośno zapytał jak Philippe zareagował na takie wyznanie.

- Nijak.

- Jak to „nijak”?

- Zwyczajnie, w ogóle nie zareagował. - Emmanuelle wzruszyła ramionami. - Był zakochany w kimś zupełnie innym.

- W kim?
- Tego nie wiem - odparła obojętnie, lecz Zach wiedział, że znowu kłamie, kłamie jak z nut.
- Nieprawda, wiesz - rzekł i wyszedł, zostawiając ją samą w rozświetlonej złotym słońcem kaplicy.

Rozdział 30

Wiatr targał spragnionymi deszczu krzewami i rozsiewał wyschnięte płatki kwiatów po całej ulicy. Emmanuelle rozmyślała w starym gabinecie Henriego Santerre'a i ze smutkiem spoglądała na szpitalny dziedziniec skąpany popołudniowym słońcem.,

Już po wszystkim. Poświęcili wszystko, pracowali z całych sił - ona, ojciec, Henri i Philippe - żeby stworzyć ten szpital, a teraz trzeba go zamknąć.

Z zamyślenia wyrwał ją głuchy stukot drewnianej kuli.

- *Alors.* - Antoine La Touche wyglądał jeszcze mizerniej niż zwykle, wychudzony, oczy nabiegłe krwią. - Właśnie się dowiedziałem. Przekleci Jankesi! Dlaczego, u diabła, nie położą kresu tym zabójstwom? - wyrzucił z siebie wylękniony i zdenerwowany.

Emmanuelle wzięła go za rękę, próbując pocieszyć.

- Robią wszystko, co mogą, Antoine, jestem o tym przekonana.

Antoine przysiadł na biurku,

- A co z tobą, *bebe*? Widzę, że nie najlepiej.

- No cóż - potoczyła smutnym wzrokiem po gabinecie -pożegnania zawsze są trudne.

- I nic się już nie da zrobić? - Teraz on ujął ją za rękę.

- Nic. - Potrząsnęła głową. - Od początku wiedziałam, że sprawa jest przegrana, ale walczyłam, starałam się, jak mogłam, wszystko na próżno. A teraz naprawdę nie ma wyjścia, trzeba zamknąć, nie da się prowadzić szpitala bez lekarza z oficjalnym dyplomem.

Zaraz po śmierci Santerre'a ona i Yardley zaczęli się rozglądać za jakimś lekarzem, którego można by zatrudnić. Bez skutku. Większość medyków opuściła miasto, dołączając do armii konfederatów. Zostało kilku stażystów i emerytów, ale i oni mieli pełne ręce roboty i żaden nie mógł przyjąć posady.

- Co będzie z pacjentami?

- Część przeniosę do Hotel-Dieu. Rozmawiałam już z zakonnkami. Reszta trafi do Szpitala Miłosierdzia, załatwiłam to już z Lewisem.

- Nie miej wyrzutów. Zrobiłaś naprawdę wszystko, co można. Z bladym uśmiechem ucisnęła go za rękę.

- Też tak sobie to tłumaczę. Racjonalnie myśląc, nic więcej nie mogłam zrobić.

- Cała Emmanuelle! Zawsze rozsądna, zawsze racjonalna!

-Uszczypnął ją w policzek. - Odpoczniesz sobie, a po wojnie, bo przecież ta cholerna wojna kiedyś się skończy, znowu będziesz miała swój szpital.

- Nie sądzę. - Westchnęła z żalem. - Budynek zabiorą za długi. Braлиśmy kredyty, żeby spłacić kontrybucję nałożoną przez Butlera. Nie da się tego spłacić, ani teraz, ani po wojnie.

- Emmanuelle. - Antoine spoważniał. - Nie rozumiem tego, co się dzieje wokół nas, ale wiem jedno: grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo.

Musisz wyjechać. Proszę cię, wyjedź z miasta.

- Teściowie zabierają Dominika do Beau Lac.
- Zabierz się z nimi. Jedź dla syna. Jesteś mu potrzebna. Żywa.
- Wiem... ale...
- Żadnych ale, szpitala już nie ma, więc nic cię tu nie trzyma.
- Jest jeszcze tyle do zrobienia... Wstał, wsparł się na kuli i

wyprostował.

- Skoro tak - uśmiechnął się - to ci pomogę. Od czego zaczynamy?



Dzień miał się już ku końcowi, gdy Emmanuelle wysiadła z omnibusu na Esplanadzie. Dominik był u dziadków, jak zwykle w ostatnich dniach. Uważała, że pod ich okiem i daleko od miasta jest bezpieczniejszy. Lepiej niech ugania się po polach na przedmieściu, niż miałby krążyć po ulicach pełnych tłumów albo włóczyć się po nabrzeżach lub podejrzanych zaułkach. Z drugiej jednak strony miała wyrzuty sumienia, że zbyt mało z nim przebywa.

Był jej pierworodnym i jedynym dzieckiem... nikogo tak nie kochała jak jego, ale po śmierci Philippe'a, a potem Santerre'a miała coraz mniej czasu. Nie starczało go nawet dla syna. Rzadziej chodzili na spacer, a to, co było kiedyś regułą- wspólne śniadania, kolacje i rozmowy do poduszki - też nie było tak częste jak kiedyś. Starła się jak mogła, lecz nie dawała rady. Niemal nie wychodziła ze szpitala, a stale miała poczucie, że nie nadąża ani z pracą, ani z obowiązkami matki, ani w ogóle z niczym.

Może to i dobrze, myślała, wchodząc do ogrodu boczną furtką, że szpital trzeba będzie zamknąć, bo wreszcie będzie mogła zająć się synem,

jak należy. Dominik wchodził akurat w ten wiek, kiedy trzeba o niego szczególnie zadbać.

- Mama, mama! - zwołał z daleka i zaraz puścił się pędem w jej stronę. - Popatrz tylko, ile złowiłem i jakie duże! - Pokazywał z dumą siatkę pełną ryb.

- Rzeczywiście, dużo i wielkie - pochwaliła go.

- Złowił więcej od nas - dorzucił Jean-Lambert, podchodząc do niej wsparty na ramieniu wiernego służącego. - *Bonsoir, ma petite.* - Ucałował ją w policzek. - Zmizerniałaś - zauważył z troską.

- Jestem bardzo zmęczona - przyznała, biorąc go pod rękę.

-Dominik, syneczku, idź z Baptiste'em do kuchni. Niech Celeste usmaży ryby na kolację.

- Słyszałem o Yardleyu - rzekł Jean-Lambert, odprowadzając wzrokiem wnuka i służącego. - To bardzo przykre i tym bardziej uważam, że powinnaś jechać z nami do Beau Lac.

Przeszli na werandę. Starszy pan umościł się w fotelu, ona usiadła obok na taborecie.

- Jestem tu potrzebna - odparła bez przekonania. Zdawała sobie sprawę, że gdy wieść o zamknięciu szpitala rozejdzie się po mieście, coraz mniej osób będzie chciało korzystać z jej usług, zwłaszcza że nie mogła prowadzić oficjalnej praktyki.

- Przesadzasz. Walki w okolicy ustały, do szpitali trafia mniej rannych, a te, co działają, dadzą sobie radę bez ciebie. A tymczasem na wsi brakuje lekarzy. W Beau Lac będziesz miała pełne ręce roboty, jeśli o to ci chodzi.

Emmanuelle zmilczała, westchnęła tylko głęboko. Z jednej strony chciałaby wyjechać, wyrwać się miasta i wreszcie odpocząć od tłumów,

upału i Jankesów. Na wsi będzie bezpieczna, a przynajmniej bezpieczniejsza niż tutaj i wreszcie będzie miała czas na rozmowy z synem, długie spacery, wyprawy nad jezioro. Z drugiej jednak strony perspektywa wyjazdu napawała ją smutkiem, jakby coś miała stracić albo już straciła.

Wyjazd nie przyniesie ukojenia, ale Beau Lac da jej schronienie. Nie oszukiwała się; zdawała sobie sprawę, że potrzebny jest jej azyl, kryjówka, gdzie nie znajdzie jej ani zabójca, ani Zach Cooper.

Czuła pustkę, w sobie i wokół siebie. Z kaplicy wyszła jakby odrętwiała i zobojętniała na wszystko. I chyba dobrze się stało, bo ból, że wszystko się kończy, byłby nie do zniesienia.

Te noce, pełne namiętności i spełnień - nie powinna była do tego dopuścić, a jednak... Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, że ona - wdowa w świeżej żałobie, lojalna obywatelka Południa, nienawidząca przemocy i wojny i on, żołnierz, wróg, okupant, żandarm podejrzewający ją o najgorsze zbrodnie... Jak to się mogło stać?

Zamyślona, ogarnęła wzrokiem ogród. Od rozlewiska niosło się kumkanie żab, wiatr szeleścił w liściach bananowców, a od kuchni dobiegały afrykańskie śpiewy. Oto jej świat i jej życie. Jeśli nocą mogło jej się marzyć coś zupełnie innego, jeśli w głębi duszy uwierzyła w miłość, to rano rozwiązał wszelkie nadzieje, a ciemne, stalowe oczy dowiodły jeszcze raz dobitnie, że marzenia są po prostu niebezpieczne.

- Emmanuelle - wyrwał ją z zamyślenia głos teścia. - Jedź z nami do Beau Lac.

- Masz rację, pojedę - odpowiedziała. Bolesne ukłucie w sercu trwało tylko chwilę i znów ogarnęło ją odrętwienie i poczuła się bardzo, ale to bardzo zmęczona.



Nazywali je „domami na przestrzał”. Były wąskie i długie, z izbami nanizanymi jak koraliki, jedna za drugą. Żartowano, że gdyby strzelić w drzwi wejściowe, to kula przeszłaby przez wszystkie pokoje i wypadłaby na podwórko z tyłu budynku. Budowano je tanio, z byle czego i pośpiesznie, bywały jednak i solidniejsze, staranniej wykonane, z ozdobami, skromnymi, ale jednak. Lecz nawet te bogatsze były tak samo wąskie jak cała reszta „przestrzałowców”, których dziesiątki stały w najuboższych dzielnicach, jak choćby w Kanale Irlandzkim.

Zach od razu rozpoznał dom Frou Spears i jej czterech synów, w zaułku nieopodal ulicy Tchoupitoulas. Budynek należał do tych solidniej wykonanych, ale nie tylko tym wyróżniał się od reszty. Okiennice były świeżo malowane, okna lśniące czystością, ulica przed domem zamieciona, schody wyszorowane - widać było, że mieszkańcy nawykli do porządku.

Hans Spears siedział z gitarą w rękę na ławce przed domem. Obok na stoliku leżał starannie ułożony stos książek i papierów.

- *Guten Morgen* - rzekł na powitanie, obrzucając przybysza podejrzliwym spojrzeniem.

- Dzień dobry.

- Przyszedł pan porozmawiać o doktorze Yardleyu? - Hans zagrał parę akordów na strunach.

- Mogę wejść?

Niemiec kiwnął głową przyzwalająco, nie przerywając melodii.

- Znał go pan dobrze?

- Nie tak dobrze jak Philippe'a, jeśli o to pan pyta - odparł Hans chłodno, ale nerwowy grymas na twarzy świadczył, że nie jest spokojny.

- Lęka się pan czegoś? - spytał Zach.

- Pyta pan, czy boję się, że mogę być następny w kolejce? - Hans uderzył mocnej w struny. - Boję się, a pan by się nie bał?

- Bałbym.

Hans odłożył gitarę, wstał i wbił wzrok w przestrzeń.

- Kto to robi, kto i dlaczego? - spytał drżącym głosem, nie patrząc na majora.

- Nie wiem - odrzekł Zach. Nagle zauważył jak bardzo Niemiec jest podobny do Emmanuelle. Jak ona opanowany, jak ona chłodny i zamknięty w sobie. - Miałem nadzieję, że pan mi pomoże znaleźć odpowiedź na te pytania. Niech pan pomyśli, czy nic niezwykłego nie zdarzyło się w szpitalu. Może to któryś z pacjentów uznał się za skrzywdzonego i próbuje się mścić? - Hamish ciągle jeszcze ślęczał nad listą pacjentów, starając się znaleźć jakiś trop.

- Nie, nic takiego nie przychodzi mi do głowy - odrzekł Hans po chwili zastanowienia.

- A niech pan przypomni sobie kłótnię między Claire La Touche i Charlesem Yardleyem. Była taka głośna awantura w maju, a pan był przy tym.

- Byłem, ale nie od początku. Przyszedłem pod koniec razem z doktorem Santerre'em. A dlaczego pan pyta?

- Bo poza panem i Emmanuelle de Beauvais wszyscy, którzy brali w tym udział, nie żyją.

- Wiem i nie daje mi to spokoju. Cały czas o tym myślę. Nie śpię, nie czytam, nie mogę się uczyć, tylko myślę. - Niemiec machnął ze złością ręką w stronę stosu książek.

Zach bezwiednie spojrział na stolik i stos papierów oraz otwarty

zeszyt, leżący na samej górze. Był już dość zużyty, ale charakter pisma wydał mu się znajomy.

- Co to jest? - spytał zaintrygowany, biorąc zeszyt do ręki.

- Nic takiego, notatki Philippe'a z akademii medycznej. Dał mi je, sądząc, że mogą mi się przydać. Dlaczego pan pyta?

- On sam to pisał? - Zach zacisnął palce, niemal gniotąc notatnik.

- Oczywiście. Mówiłem, to jego notatki ze studiów.

Wielki Boże! Zach poczuł zimny pot na plecach. Wszystkie dotychczasowe teorie brały w łeb, a wydarzenia układały się w zupełnie nowy sposób.

Rozdział 31

Miał nadzieję znaleźć ją w szpitalu, ale w opustoszałym budynku zastał tylko pielęgniarza Senegalczyka.

- Nikogo nie ma - usłyszał. - Odeszli, wszyscy. Zamykają, bo nie ma doktora. Pan Yardley nie żyje, a bez doktora nie ma szpitala.

Zach zawrócił od drzwi i przystanął zamyślony na skąpanym słońcem chodniku. Od katedry niósł się dzwon na Anioł Pański. Nie uprzedziła mnie, myślał. Gdy rano rozmawiali w kaplicy, słowem nie wspomniała, że ze szpitalem koniec. Nie powiedziała też prawdy o liście, który znalazł przy Yardleyu - liście od jej męża, Philippe'a de Beauvais'go. To on - Philippe - płonął namiętnością do Anglika. Niewykluczone, że jej też zdarzyło się spać z Yardleyem, ale prawdziwym jego kochankiem był Philippe.



Nie zapukał do drzwi na rue Dumaine. Obszedł dom dookoła i bocznym wejściem dostał się na podwórze. Rose uwijała się wśród kufrów i waliz, których pełno wyniesiono z domu. Pakowała dobytek, podśpiewując wesołą melodię.

- Po co pan tu przyszedł? - zdziwiła się, obrzucając Zacha niechętnym spojrzeniem. - Nie mamy czasu, pakujemy się. W piątek wyjeżdżamy do Beau Lac.

- Gdzie znajdę panią de Beauvais?

- Emmanuelle nie będzie z panem rozmawiać.

- Będzie musiała - rzucił szorstko, zastanawiając się w duchu, ile prawdy ta przystojna kobieta zna o ludziach, z którymi mieszkała przez te wszystkie lata.

- A więc nie przychodzi pan jako jej kochanek, tylko jako Jankeś, tak?

- Zaprowadzi mnie pani czy mam iść sam? - Zachowi wydawało się, że po takim oświadczeniu Rose rzuci wszystko i z należytą atencją zaprowadzi go do domu. Mylił się.

- Da pan sobie radę, zna pan przecież drogę. Pani jest w pokoju Dominika.



Okna i żaluzje otwarte były na oścież, mimo że słońce paliło niemiłosiernie. Emmanuelle pakowała rzeczy małego i nawet nie spojrziała

na niego, gdy stanął w progu, choć z pewnością słyszała jego kroki na schodach.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłaś, że wyjeżdżasz?

- A powinnam? Jestem podejrzana? - odrzekła szorstko, nie przerywając pracy. - Zależy mi na bezpieczeństwie syna -dodała nieco łagodniejszym tonem. - Dlatego wyjeżdżam.

- Tylko dlatego?

- Przede wszystkim.

Zach potoczył wzrokiem po pokoju, po półkach pełnych książek i zabawek.

- A gdzie jest Dominik?

- U kolegi, na Rampart Street. Dlaczego pytasz?

- Bo znów mnie okłamałaś.

Drgnęła jakby wylękniona albo zdjęta poczuciem winy.

- Zastanawiasz się pewnie, na czym tym razem cię przyłapałem. No pomyśl! - syknął, stając nad nią.

Nie odpowiedziała, a on ze złością uderzył pięścią w oparcie krzesła.

- Pomyśl także i o tym, że gdyby nie twoje kłamstwa, to mielibyśmy już zabójcę w ręku.

- O czym ty mówisz?

Zach przemierzył pokój i stanął przy oknie.

- Byłem rano u Hansa Spearsa. Bardzo się boi. Skarżył się, że jest tak roztrzęsiony, że nie może czytać nawet notatek z wykładów, które dostał od twojego męża.

- I co z tego?

- Co z tego? A to że list, który znalazłem przy Yardleyu, nie był od ciebie, tylko od twojego męża.

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

- Rozumiem, ale nie okłamałam cię. Sypiałam z Charlesem.

-Odgarnęła kosmyk włosów z czoła i spojrzała wyzywająco.

- Robiliście to we trójkę?!
- Nie.
- Przepraszam, zagalopowałem się, nie panuję nad sobą... -

Nie dokończył, bo od schodów dobiegł stukot spiesznych kroków.

Dominik. Emmanuelle zbladła jak ściana.

- Weź kapelusz i rękawiczki - opanował sytuację Zach.

-Wyjdziemy na zewnątrz.



Skrećili ku rzece. Słońce prażyło, od nabrzeży niosły się pokrzykiwania robotników rozładowujących statki.

- Opowiedz mi o swoim mężu - przerwał milczenie Zach.

Nie odpowiedziała od razu. Spuściła wzrok i tylko dłoń, w której trzymała parasolkę, zbielała, gdy kurczowo zacisnęła palce. Parasolka, podobnie jak rękawiczki, torebka i suknia, była czarna.

- Miałam siedemnaście lat, gdy go poznałam - zaczęła cichym głosem. -Wcześniej, także w Francji, całe moje życie wypełniały książki i nauka. - Przerwała, szukając w pamięci stosownych słów. -To ważne -dodała. -Mówiłam ci już kiedyś, że chciałam zostać lekarzem. O niczym innym nie myślałam, choć zdawałam sobie sprawę, że to może przekreślić wszystko inne w moim życiu. Kobieta z ambicjami, lekarka, nie jest atrakcyjną partią. Mężczyźni na ogół szukają czegoś innego. Ale moim marzeniem była medycyna.

- I gotowa byłaś zapłacić za to każdą cenę?

- Można tak powiedzieć. - Zaśmiała się nerwowo. - Ale wtedy poznałam Philippe'a.

- A on nie był taki jak inni?

- Właśnie. Dostrzegł we mnie kobietę, ale nie tylko. Widział we mnie także człowieka. Już za to poszłabym za nim w ogień, rozumiesz mnie? - Zerknęła na niego ukosem.

- Rozumiem. Mówił, że jesteś nie tylko piękna, ale i inteligentna. Tak było?

- Owszem. Inni albo mnie unikali, bo byłam za mądra, albo wyśmiewali się ze mnie i moich ambicji, a Philippe podziwiał mnie i zachęcał do studiów. Był przy tym przystojny, błyskotliwy i taki... pełen życia. Lubił muzykę i w ogóle miał rozległe zainteresowania...

- W tym także... dość dziwne - dodał Zach z nutą szyderstwa i przygany.

Emmanuelle zmilczała, uśmiechnęła się tylko, jakby do własnych wspomnień, a on poczuł ukłucie zazdrości w sercu.

- I dla niego zrezygnowałaś ze swoich ambicji. Nie pojechałaś do Paryża na studia, nie zrobiłaś dyplomu...

- Wypełnił mi całe życie. - Spoważniała. - Świata poza nim nie widziałam. Bałam się tylko, że jego rodzice nie zechcą mnie zaakceptować, ale zgodzili się.

Skrećili w ulicę św. Anny, mijając po drodze wielką salę bilardową z tłumem gości w ciemnych surdutach i kolorowych kamizelkach, na których pyszniły się złote łańcuchy od zegarków.

- Byłaś szczęśliwa? - spytał Zach cicho.

- Na początku tak. Philippe wprowadził mnie w świat, o jakim

wcześniej nie miałam pojęcia.

- Świat zmysłów, haszyszu, jedwabnych pęt i podniecającej erotyki, gdzie rozkosz graniczy z bólem - dokończył Zach, jakby czytając w jej myślach.

Doszli do placu Jacksona, okolonego rzędem rozłożystych jaworów i wiązów. Szumiały liście poruszane delikatnym powiewem wiatru znad rzeki. Emmanuelle przystanęła, odsunęła parasolkę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak, to prawda. - Uśmiechnęła się blado. - Tak było i ja to uwielbiałam. Szokuję cię?

- Nie.

- Bo też taki jesteś - rzuciła mu w twarz. - Też podnieca cię to, co zakazane.

Nie zaprzeczył, mówiła prawdę.

- A co było później? - spytał, wytrzymując jej spojrzenie.

- Później była ciąża. Philippe był zachwycony, czekał na syna... ale...
- przełknęła ślinę - ...przestał się mną interesować jako kobietą. Najpierw wydawało mi się, że lęka się o dziecko, które miało przyjść na świat. Potem przyszło mi do głowy, że przestałam mu się podobać. Przytyłam w ciąży, a jemu zawsze podobały się szczupłe kobiety, wręcz chude.

Jak Claire La Touche, dopowiedział sobie Zach w myślach, wąskie w biodrach, bez biustu, chłopięce.

- Wmawiałam w siebie, że po porodzie wszystko znów się ułoży i będzie jak dawniej.

- Ale stało się inaczej?

- Niestety - odparła, spoglądając ku rzece. Zza wysokiego brzegu widać było cały las okrętowych masztów. - Philippe coraz więcej czasu

zaczął spędzać poza domem. Na początku niczego nie podejrzewałam. Wykładał przecież na akademii medycznej, a przede wszystkim miał szpital na głowie. Urządził sobie apartament w garsonierze. Przeniósł się tam, gdy byłam w ciąży, żeby mi nie przeszkadzać, jak mówił. A później, gdy Dominik przyszedł na świat, tłumaczył mi, że wraca zmęczony, a dziecko nie daje mu wypocząć. I tak zostało, że sypiał osobno. -Przerwała. Słońce paliło niemiłosiernie i nawet w cieniu wiązów powietrze było lepkie i ciężkie. - Którejś nocy - Emmanuelle podjęła opowieść - obudziłam się i nie mogłam zasnąć. Brakowało mi go, pragnęłam, żeby znów wziął mnie w objęcia. -Zaczerwieniła się, zawstydzona własną szczerością. - Wstałam i poszłam do niego. Pamiętałam, że wieczorem miał gościa, przyszedł do niego jeden ze studentów, ale sądziłam, że jest już dawno po wizycie.

- Okazało się, że nie?

- Niestety, zastałam ich razem... w łóżku. - Emmanuelle nerwowo ścisnęła palce. - Philippe wyznał mi później, że... jakby tu powiedzieć... że zawsze bardziej pociągali go mężczyźni niż kobiety i że nie powinien był się zenić. Poślubił mnie, bo rodzina potrzebowała spadkobiercy. Zapewniał, że zawsze bardzo mnie lubił i szanował i że pod tym względem nic się nie zmieniło. Dodał nawet, że w pewnym okresie bardzo go pociągałam i że miał nadzieję, że małżeństwo „wyleczy” go ze skłonności do mężczyzn. Później jednak, gdy „kuracja” zawiodła, uświadomił sobie, że wcale nie chce się „leczyć”.

Zaległa cisza. Emmanuelle błędziła wzrokiem po domach i drzewach. W jej oczach zalśniły łzy. Po chwili znów podjęła opowieść.

- Strasznie to przeżyłam. Czułam się zdradzona i oszukana.

Wyrzucałam sobie, że tak mu ufałam, że wierzyłam w każde jego słowo, podczas gdy zwyczajnie mnie okłamywał. Właśnie to, że nigdy nie był ze

mną szczerzy, bolało mnie najbardziej. Miałam żal, że nie powiedział mi prawdy, że ołgał, oszukał i doprowadził do tego, że wyszłam za mąż za kogoś, kogo nie znałam. Pamiętam, że powiedziałam mu owej nocy, że okradł mnie ze wszystkiego i że już nigdy nie będę szczęśliwa. I tak się rzeczywiście stało. Szczęście nie było mi już dane.

W każdych innych ustach takie wyznanie zabrzmiałoby melo-dramatycznie, lecz nie w jej. Mówiła ze smutkiem, ale i z prostotą, szczerze aż do bólu.

- Było mi ciężko. Niełatwo jest podnieść się, gdy wpadnie się w taką przepaść.

- Co było dalej?

- Zwyczajnie. - Wzruszyła ramionami. - Obiecał mi solennie, że to się już nigdy nie powtórzy, a ja... ja mu uwierzyłam. Chciałam mu wierzyć - dokończyła ze złością. - Chciałam, żeby wszystko było jak dawniej.

Odwróciła się od Zacha i znów patrzyła niewidzącymi oczami w przestrzeń, a on musiał przywołać całą wolę, żeby nie wziąć jej w ramiona. Niczego tak nie pragnął w tej chwili, jak utulić ją, ukoić i pocieszyć.

- Ale nie było już jak dawniej, nie dotrzymał słowa?

- Nie minął nawet rok, gdy przekonałam się, że nadal mnie oszukuje. Tym razem znalazłam go w łóżku z kobietą. Jeszcze później dowiedziałam się, że przez jego łóżko stale przewijało się wiele kobiet i wielu mężczyzn.

- Inna na twoim miejscu by go rzuciła.

- Ja nie mogłam, straciłabym Dominika. Zabraliby mi syna i nigdy nie oddali.

- Nawet gdyby prawda wyszła na jaw?

Obróciła się gwałtownie i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Do tego nigdy bym nie dopuściła. Chroniłam dziecko. Wyobrażasz

sobie, jak wyglądałoby jego życie, gdyby ludzie zaczęli mówić. Zresztą nie myślałam tylko o synu, także o mężu.

- Mimo wszystko zależało ci na nim?

- Dziwisz się? Nie da się przekreślić miłości jednym gestem.

Prawdziwa miłość umiera powoli. Nie da się nawet przewidzieć, jak długo może trwać agonía. Powiem ci więcej, do samego końca pozostaliśmy z Philippe'em przyjaciółmi. Mieliśmy przecież wiele wspólnego. Oboje pasjonowaliśmy się medycyną, mieliśmy szpital, pracę, a nade wszystko mieliśmy przecież syna. W sumie życie jakoś się układało. To nie było tak, że stale rozpaczałam. Żyłam, tyle tylko, że z czasem pojawiała się między nami coraz więcej zadrążeń i coraz bardziej zdawałam sobie sprawę, że coś tracę, że życie przemyka mi między palcami.

Na północy zaczęło się chmurzyć. Widok był wspaniały, gdy w słońcu kłęby białych obłoków jeły lśnić wszystkimi odcieniami złota, lecz daleko na horyzoncie niebo ciemniało, zapowiadając burzę.

- Nie mówiłem, ale rozmawiałem któregoś dnia z Rose. Spotkałem ją na placu Congo. Powiedziała mi coś, co zapamiętałem, a mianowicie, że Philippe nigdy nie wzięłby murzyńskiej kochanki. Bałby się skutków. Nie chciałby spłodzić dziecka, które nie znalazłoby swego miejsca w życiu. Dla czarnych byłoby za białe, a dla białych za czarne. Tak mi to powiedziała. Powiedziała jeszcze, że on jak mało kto rozumiał, co to znaczy nie mieć swojego miejsca w życiu. On też czuł się wyobcowany? Bez swojego miejsca w życiu?

- Nie miał na to wpływu. Ludzkie pasje i ludzkie namiętności są ślepe i nie zależą od nas.

- Ale tylko od nas zależy, czy im się poddamy, czy nie -odrzekł Zach, zdając sobie sprawę z pokrętności logiki tego zdania. Sam przecież nie

potrafił zapanować nad własnymi żądzami.

- Philippe był hedonistą. - Uśmiechnęła się. - Niczego sobie nie odmawiał. Nie chciał, a może nie potrafił.

Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu. Wiatr wzmagął się, wprawiając w płas zeschłe liście na chodniku.

- Opowiedz mi o tej pamiętnej awanturze w szpitalu zeszłej wiosny.

Drgnęła, jakby wylękniona, że już powiedziała za dużo. Zamyśliła się.

- Dobrze, opowiem - zdecydowała po chwili. - A więc... -

zaczęła. - Po drugim incydencie zawarliśmy z Philippe'em rodzaj porozumienia. Umówiliśmy się, że każde z nas pójdzie swoją drogą, ale z zachowaniem absolutnej dyskrecji. Na zewnątrz pozostaniemy zgodnym małżeństwem, ale Philippe przeniesie się na stałe do garsoniery. - Spojrzała na niego, czekając, co powie. Zach milczał, więc podjęła wątek. - Myślałam, że tak już będzie zawsze, ale... - zaczęła nerwowo obracać parasolkę w rękę - ...no cóż, nie ma co ukrywać. Samotność mi doskwierała, zaczęłam tęsknić, już nie za nim, ale za mężczyzną w ogóle. Pomyślałam sobie, że skoro jemu wolno, to mnie też. No i... spróbowałam. Tylko że niewiele miałam z tego satysfakcji.

Spróbowała, powtórzył Zach w myślach. Ile razy, z kim? Poczul ukłucie w sercu.

- Z Charlesem Yardleyem? - spytał chrapliwym głosem.

Przytaknęła, nie patrząc na niego. Dłonią odgarnęła niesforny kosmyk włosów.

- A wiedziałaś, że on jest taki sam jak Philippe, że sypia nie tylko z kobietami?

- Nie, dowiedziałam się dopiero w czasie awantury. Philippe bardzo go kochał. To była naprawdę wielka miłość, namiętna, pełna pasji i

zaborcza. Zwykle wydaje nam się, że takie uczucie zdarza się tylko między mężczyzną a kobietą, ale wcale tak nie jest.

- A Claire? Wiedziała, że Philippe... lubi także mężczyzn?

- Wiedziała. Była znacznie lepiej zorientowana w tych sprawach niż ja w jej wieku.

Powiedziała to po prostu, niemal obojętnie. Zach dziwił się w duchu, że Emmanuelle potrafi tak spokojnie, bez cienia emocji, mówić o sprawach, które przecież tak boleśnie musiały ją dotknąć.

- Ale wtedy o co właściwie poszło? - spytał. Emmanuelle powiedziała już dużo, lecz chciał znać całą prawdę.

- Claire знаła Philippe'a i jego niezwykle, nazwijmy to, gusta, ale kochała go mimo to, kochała głęboko. Równie głęboko przeżyła fakt, że on kochał się w Yardleyu. Dowiedziała się o tym właśnie wtedy i dlatego zrobiła tę scenę.

Zach przywołał w myślach wizerunek Yardleya - cynicznego, szczupłego i nader przystojnego Anglika, ale w tej chwili co innego zaświtało mu w głowie.

- Hans Spears? Też należał do kręgu osób... bliskich twojemu mężowi? - spytał.

- Szczerze powiem, nie wiem - odparła, zamykając parasolkę, bo słońce kryło się już za chmurami.

Zach zmilczał, Emmanuelle też zamilkła. Ciszę przerywał tylko wrzask mew i coraz głośniejszy wiatr.

- A więc dlatego przestałaś wierzyć w miłość? - odezwał się Zach po dłuższej chwili. - Dlatego, że cię oszukano?

- Nie, nie dlatego. - Spojrzała z niepokojem na czerniejące niebo. - Bardzo kochałam Philippe'a. Kochałam go całym sercem i wydawało mi się,

więcej nawet, byłam przekonana, że to miłość na zawsze, do końca. Nie wyobrażałam sobie, że może stać się inaczej. A jednak...

- Coś zawsze się zaczyna i coś kończy.

Obróciła ku niemu czarne, smutne i jakby naznaczone odrobiną szaleństwa oczy.

- Nie można więc niczego obiecywać na zawsze. Można obiecać wierność, ale nie można obiecać, że uczucie nigdy nie zgaśnie. Nikt nie wie, kiedy miłość przychodzi, i nikt też nie wie, kiedy odejdzie.

- Jednak wierzysz w miłość...

- Na to wygląda. - Zaśmiała się. - Wierzę, że miłość istnieje, nie wierzę, że może trwać.

Pierwsze krople deszczu spłynęły po chodniku, przepelniając powietrze wilgocią zmieszaną z kurzem.

- Jeszcze o jedno, chcę cię zapytać... Mężczyźni, z którymi sypiałaś...

- W całym moim życiu było ich trzech, z Yardleyem włącznie....

- Powiedziałaś, że żaden nie potrafił cię zaspokoić. Dlaczego?

Dlatego, że ich nie kochałaś?

Nie odpowiedziała. Obróciła się do niego poblądła i drżąca, zaciskając usta, jakby w obawie, że powie coś, czego wolałaby nie mówić. Wiatr targnął wstążkami jej kapelusza.

- A ze mną było ci dobrze? - spytał szeptem.

- Wiesz przecież

Padło coraz mocniej. Zach marzył, żeby wziąć ją w ramiona. Bał się, lękał, że nigdy już nie będzie mu to dane.

- Miłość to wiara - powiedział cicho, odgarniając kosmyki włosów z jej twarzy. - Zawsze tak było i tak jest.

Łzy napływały jej do oczu, ale powstrzymała płacz.

- Nie mogę, nie potrafię, nie mam odwagi - odszepnęła.

- Jesteś najodważniejszą osobą na świecie - odrzekł z przekonaniem, patrząc na jej usta. Pragnął jej bardziej niż kiedykolwiek. Musiał natężyć całą siłę woli, żeby się od niej odwrócić.

- Kiedy wyjeżdżasz? - spytał, ruszając z miejsca.

- W piątek rano - odpowiedziała, idąc za nim. Szli obok siebie, blisko, ale jakby oddzieleni przepaścią, której nie da się przekroczyć. - Zostaniemy w Beau Lac do końca września.

- We wrześniu już mnie nie będzie - powiedział. - Napisałem raport do Waszyngtonu z prośbą o odesłanie mnie do macierzystego pułku. Ale jedno ci obiecuję, nie wyjadę, zanim nie znajdę zabójcy.

Patrzyła na niego przez strugi deszczu. Tak jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy.

- A jeśli go nie znajdziesz?

- Znajdę.

Rozdział 32

Gruba teczka z plikiem papierów wylądowała z trzaskiem na biurku Zacha.

- A to co?

Hamish zastrzygł wąsami.

- Dane o rodzinach pacjentów, którzy przeszli amputację lub zmarli

w szpitalu Santerre'a.

- Warto czytać? Coś z tego wynika?

- Nic. Tego też nie musisz czytać. - Hamish rzucił na biurko jeszcze jedną teczkę.

- A to?

- Sprawozdania z aptek o sprzedaży środków trujących.

- Też nic?

- Niestety.

Zach wstał, odsunął krzesło i podszedł do okna. Butler dał mu gabinet z widokiem na północ, dzięki temu było tu chłodniej, ale na szybach, do których nigdy nie zaglądało słońce, stale gromadził się zielony nalot pleśni. Tak to już było w tym mieście - czego nie zżerała rdza, pokrywało się pleśnią.

- I co zrobimy? - spytał Zach, patrząc przez okno na ulicę. Słońce przeglądało się w kałużach po wczorajszym deszczu, zapowiadając kolejny skwarny dzień.

- Nie mam bladego pojęcia - odparł Hamish z ponurą miną. Dobył chustkę, przetarł czoło i westchnieniem rezygnacji rozsiadł się w fotelu przed biurkiem przełożonego. - Co pojawi się podejrzany, zaraz ginie. A ten Anglik, Yardley, od początku wydawał mi się jakiś dziwny...

Hamish skrzywił się ze wstrętem, gdy Zach opowiedział mu o Phillipie, Yardleyu i ich skłonnościach, a teraz coś sobie przypomniał i znów zrobił minę wyrażającą obrzydzenie.

- A ten Niemiec... Spears, też taki?

- Taki, powtórzył Zach w myślach. Mina i ton Hamisha przywiodły mu na myśl blond dziewczynkę, której ojciec żadną miarą nie mógł poślubić jej matki, bo na przeszkodzie stał kolor jej skóry. Pomyślał także o Benie

Butlerze i jego pełnych samozadowolenia oczach, gdy skazywał na więzienie Żydówkę - matkę dziecka, które rzekomo zaśmiało się na widok konduktu zdążającego na cmentarz z poległymi żołnierzami. Przypomniawszy sobie także Yardleya i jego pogardliwą uwagę, że Emmanuelle, owszem, byłaby wspaniałym lekarzem, gdyby urodziła się mężczyzną.

Im dłużej myślał, tym bardziej upewniał się, że są sprawy, których lepiej nie rozgłaszać. Z tego względu w rozmowie z podwładnym słowem nie wspomniawszy o małżeńskich przeżyciach Emmanuelle. Doskonale ją rozumiał, a nade wszystko rozumiał, dlaczego z takim poświęceniem chroniła dobre imię męża. Gdyby prawda o nim rozeszła się po mieście, rachunek za jego grzechy płaciłby Dominik.

- Nie wiem, może tak, może nie - odpowiedział na pytanie Hamisha. - Sądzę jednak, że warto posłać paru ludzi, żeby mieli na niego oko.

- Myślisz, że to on jest zabójcą?

- Trudno powiedzieć. Jeśli jest, to lepiej go przypilnować, a jeśli nie jest, to tym bardziej, bo może stać się kolejną ofiarą. A swoją drogą, to dziwne, że prawda o de Beauvais, wyszła na jaw dopiero teraz. Przecież, do diabła, pytaliśmy ludzi, nicowaliśmy jego życiorys i w ogóle.

- Ja się nie dziwię. - Hamish przygładził wąsa. - Takie sprawy trzyma się głęboko pod korcem, a on sam też dokładał starań, żeby nikt nic nie wiedział. Był kimś, należał do jednej z pierwszych rodzin w mieście, nie mówiąc już o tym, że był katolikiem.

- Pewnie masz rację, ale tajemnice bywają niebezpieczne. - Zach odszedł od okna. - Czasami ludzie uciekają się do morderstw, aby tylko tajemnica nie wyszła na jaw.

- O czym ty znowu mówisz? - Hamish uniósł brwi.

- Sam nie wiem. A tymczasem dobrze byłoby, żebyś posłał kogoś na Bayou Creve, niech sprowadzi tutaj dowódcę patrolu, który zatrzymał de Beauvais'go. Chciałbym z nim porozmawiać. - Zach sięgnął po kapelusz, szykując się do wyjścia.

- O czym? Nie sądzę, aby miał coś nowego do dodania.

- Mimo to chciałbym go zobaczyć. Może usłyszę coś, czego twoi ludzie nie usłyszeli. - Zach podszedł do drzwi.

- O Boże, znowu!

- Znowu? - Zach zatrzymał się w progu.

- Znowu mówisz zagadkami jak ten szaman z Bayou Sauvage.



Wyjazd miał nastąpić w piątek niemal o świcie, więc Emmanuelle zdecydowała, że noc spędzą na Esplanadzie, a dom przy ruderze Dumaine zaniknie się w czwartek. Po południu wszystko było gotowe. Okienne zamknięto na głucho, dzwonek u drzwi wejściowych zdjęto, kufry załadowano.

Można już było ruszać, ale Emmanuelle zwlekała. Stała w salonie i ciągle jeszcze miała nadzieję, że usłyszy charakterystyczne kroki na schodach.

- Naprawdę sądziłaś, że przyjdzie? - spytała Rose. Nie dało się zaprzeczyć.

- Samaś sobie winna - prychnęła Rose. - Powiedział ci, że cię kocha, a ty, jak ta głupia, powtarzałaś, że nie wierzysz w miłość i w ogóle nie masz odwagi spróbować, więc co miał zrobić? Błagać cię na kolanach?

- Mógłby jednak przyjść.

- Dziwisz mnie, niby inteligentna, a jak przyjdzie co do czego, to jesteś jak dziecko we mgle.

Emmanuelle próbowała się uśmiechnąć, ale nic z tego wyszło. W gardle ją ścisnęło i z największym trudem powstrzymała łzy.

- A gdyby przyszedł, uwierzyłabyś w miłość?
- Nie wiem.
- Właśnie, i dlatego nie przyszedł.



Dzień dopiero wstawał, lampiarze ledwie zaczęli wygaszać gazowe światła na ulicach, gdy Zach wymknął się z domu. Skoczył na siodło i pognął konia w stronę Esplanady. Nim dojechał, słońce wychynęło zza horyzontu, malując miasto złotem. Przyspieszył, bo nie chciał się spóźnić.

Przyjechał w sam raz. Przed rezydencją państwa de Beauvais stały już dwa ładowne wozy. Zach zatrzymał wierzchowca w cieniu dorodnego wiązu i skrył się za zwisającą z konarów kurtyną hiszpańskiego mchu. W samą porę, bo oto z bramy wyjechała błyszcząca czernią i ochrą karetą na podwójnych resorach. Woźnica strzelił z bicia i powóz pomknął, wznosząc tumany kurzu.

Zach byłby w kłopotcie, gdyby go zapytano, po co tu przyjechał. Nie liczył przecież, że uda mu się zamienić z Emmanuelle kilka słów, nie miał nawet takiego zamiaru. A jednak przyjechał. Oczekał, aż opadnie kurz po powozie, i ruszył dalej, nad Bayou Sauvage.



Papa John pracował w ogródku przy domu, zbierając sobie tylko znane zioła. Przerwał, gdy przybysz podjechał bliżej. Wytarł dłonie i uśmiechnął się tajemniczo, jak to on.

- A więc dowiedział się pan o paru sprawach? - ni to zapytał ni stwierdził.

- Byłoby prościej, gdyby pan mi o nich opowiedział. -

Zach zeskoczył z siodła.

- Może i tak, a może nie.

- Próbowano mnie zabić. Napadło na mnie kilku drabów o czarnym kolorze skóry.

- Uprzedzałem, żeby miał się pan na baczności.

- Kto ich najął?

- Nie mogę powiedzieć. - Haitańczyk pokręcił głową.

- Ale pan wie?

- Ba... Ludzie mówią, że zawsze wszystko wiem...

- Więc wie pan, że mógłbym pana aresztować.

- Oczywiście, tylko nic by pan nie wskórał.

- Niestety. - Zach zaśmiał się krótko i zajął się koniem na znak, że uznaje rozmowę za zakończoną.

- To po co pan przyjechał?

- Emmanuelle należy do pańskich przyjaciół? - Zach skoczył na siodło.

- To prawda.

- Więc pewne pan wie, że wyjechała do Beau Lac. Starzec milczał, ale oczy mówiły prawdę. Nie wiedział o wyjeździe Emmanuelle, a wiadomość wyraźnie go przygnębiła.

Zach ścisnął konia ostrogami.

- Panie majorze! - usłyszał za sobą.

Zatrzymał wierzchowca. Krople potu zrosiły czarne czoło starca.

- Niech pan się dowie, kto wydał Philippe'a Jankesom, a będzie pan wiedział, kto nasłał zabójców na pana.

- Kobieta? - spytał Zach odruchowo.

- Tego nie powiedziałem. - Papa John cofnął się o krok, ale nie spuszczał wzroku z Zacha. - Miss Emmanuelle mówiła mi, że nie jest pan jak wszyscy inni. Podobno potrafi pan widzieć ludzi takimi, jacy naprawdę są, a nie takimi, jak chciałby ich pan widzieć. Oby to była prawda.



Porucznik z placówki na Bayou Creve zameldował się w mieście w poniedziałek rano. Młody, choć już lekko łysiejący blondyn, robił wrażenie stale zamyślnego i bez przerwy opuszczał wzrok, jakby nie śmiał patrzeć w oczy starszego stopniem.

- Pyta pan, skąd wiedziałem, że człowiek, którego pogrzebaliśmy na rozlewisku, to Philippe de Beauvais? Takie miał papiery.

Zach z rozkazu Butlera od rana zajmował się remontem wypalonego magazynu na nabrzeżu. Andrew Butler upatrzył sobie ten budynek, bo nie miał już gdzie gromadzić swoich i brata łupów, a generał oczywiście poszedł mu rękę. Porucznik, gdy już wreszcie odnalazł Zacha, zameldował się służbiście.

- Porucznik Presley melduje się.

- A pamięta pan przynajmniej, jak wyglądał? - Zach przywołał sierżanta, przekazał mu obowiązki, wziął porucznika za łokieć i pociągnął za sobą na wysoki brzeg.

Presley zatrzymał się i długo myślał.

- Był chyba wysoki... tak, wysoki i szczupły. Blondyn, kręcone włosy, oczy niebieskie, wręcz błękitne. Szczególnie je zapamiętałem, bo gdy złożyliśmy ciało w grobie, jeden z żołnierzy zsunął się do środka i opuścił mu powieki. Powiedział, że choć to rebeliant, to nie wypada sypać ziemi na otwarte oczy. Trumny nie mieliśmy, bo niby skąd.

Dominik też miał niebieskie oczy i kręcone blond włosy.

- Jest pan pewien, że był martwy.

Pytanie nie było absurdalne. Zach słyszał wiele opowieści o ludziach, których grzebano, nie upewniwszy się, czy rzeczywiście pożegnali się z życiem, i którym udawało się później wydostać z mogiły.

- Panie majorze, nie było żadnych wątpliwości. Kula odstrzeliła mu pół głowy.

Odpowiedź, nie wiedzieć dlaczego, zirytowała Zacha. Odwrócił się i przez dłuższą chwilę patrzył na statek, właśnie dobijający do nabrzeża.

- Tylko jego zabiliście?

- Nie, jeszcze jakiegoś czarnucha. A w ogóle to było ich trzech, tylko że ten trzeci uciekł, nawet nie wiem jak.

Nie wie jak! Zach zaklął w myślach, lecz patrząc na zastrachanego porucznika, przestał się dziwić.

- Mówiono mi, że zjawiała się u pana kobieta i że to ona uprzedziła, że ktoś będzie próbował przekradać się przez rozlewiska.

- Tak było. Powiedziała, żeby uważać na przemytników.

- A jak wyglądała?

- Twarzy nie widziałem. Miała gęstą woalkę.

- Mogłaby być Murzynką?

- Wykluczone, to była dama - odparł porucznik tonem wyrażającym

absolutną pewność, co Zacha znów wprawilo w irytację.

- Wykluczone, powiada pan. To niech pan się przejdzie po ulicach w śródmieściu. Zobaczy pan setki takich, które nazywa pan damami, wykształconych, świetnie ubranych, mówiących nienaganną francuszczyzną, i zdziwi się pan, poruczniku, ile z nich ma ciemną skórę.

Presley speszył się, opuścił wzrok i zaczął wiercić czubkiem buta w ziemi.

- Skoro pan tak mówi... Może i była kolorowa. Była wysoka.

Murzynki są wysokie, prawda?

- Wysoka? - upewnił się Zach. Rose była wysoka!

- Bardzo wysoka, zwłaszcza jak na kobietę w jej wieku.

Zach zbladł, jakby raptem wypłynęła z niego cała krew. Jak to mawiał Papa John? Trzeba nie tylko patrzeć, ale i widzieć!

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Nic takiego, tyle tylko, że dama była raczej wiekowa. Tak przynajmniej brzmiała. Starzy ludzie, a zwłaszcza kobiety, mówią w taki szczególny sposób, i to się słyszy.

Zach poczerwieniał, w uszach poczuł szum krwi, jakby na nowo wypełniającej jego żyły. Nie panując nad sobą, chwycił porucznika za klapy munduru.

- Ile miała lat?

- Nie wiem, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt... - wykrztusił Presley, zdumiony i przerażony zarazem gwałtowną reakcją majora.

- Jest pan pewien? - Zach potrząsnął nim, jakby chciał dobyć z niego całą prawdę, a rozdygotana wyobraźnia podsuwała mu dwa wizerunki. Wysoką sylwetkę Marie Therese ze złowieszczym grymasem na twarzy, gdy stojąc w salonie przy Esplanadzie, syczała: „Mężczyzna, który ma dobrą

żonę, nie musi szukać ukojenia poza domem". I drugi obraz - czarno-żółtej karety, uwożące ukochaną kobietę... na śmierć.

- Nie wiem, ile miała lat, ale na pewno nie była młoda - dodał Presley.

Ale Zach już nie słuchał. Zaczął biec co sił w nogach.

Rozdział 33

Plantacja trzciny cukrowej Beau Lac liczyła niemal tyle lat co Nowy Orlean. Założono ją nad brzegiem Bayou Creve, gdy zaczynała się kolonizacja tych ziem. Z tamtych też lat pochodziła rezydencja właścicieli, zbudowana w typowym dla epoki stylu z pomieszczeniami gospodarczymi na parterze i częścią mieszkalną na piętrze. Państwo de Beauvais nigdy nie zdecydowali się na przebudowę, choć przy ich majątku mogliby bez najmniejszego trudu wznieść coś bardziej okazałego. Lubili tę posiadłość i dobrze się w niej czuli, a dom, choć skromny, cieszył oko bielą ścian, czerwienią spadzistego dachu i zielenią okalających go dębów, przystrojonych malowniczymi brodami hiszpańskiego mchu.

Zach nie miał ani czasu, ani chęci na kontemplowanie uroków Beau Lac. Przed dom zajechał galopem. Całą drogę gnał co koń wyskoczy, nie oszczędzał ani wierzchowca, ani siebie.

Zeskoczył z siodła i pierwsze, co usłyszał, to wesoły śmiech Dominika. Chłopiec bawił się w przydomowym sadzie cytrusowym. Stał pochylony nad sadzawką czy raczej basenikiem z fontanną w kształcie

nimfy i próbował wyciągnąć z wody psa, który jednak wolał się moczyć i polować na ryby, niż biegać po trawie.

- Napoleon! - karmił czworonoga, gdy ten bez przerwy wskakiwał z powrotem do sadzawki z takim impetem, że wielkie fale wody przelewały się przez wcale nie taki niski murek okalający basen. - Napoleon, jesteś naprawdę nieznośny! - krzyknął, gdy fala wyrzuciła na brzeg czerwoną rybkę. Machnął ręką na psa i pobiegł ratować rybę.

Na ten widok Zach odetchnął z ulgą. Skoro chłopiec bawi się bez troski, to znaczy.... że nic się nie stało. Kamień spadł mu z serca, ale niepokój jeszcze go nie opuszczał.

- Zajmę się pańskim wierzchowcem - zaoferował się z uśmiechem młody człowiek w słomkowym kapeluszu, ocieniającym czarne jak heban oblicze.

- Dziękuję. Proszę go nakarmić i dobrze napoić. Ciężko pracował przez cały dzień.

- Niech pan będzie spokojny, zrobię wszystko, co trzeba.

- Pan major! - ucieszył się Dominik. *Ou'est-ce vous faites ici?!* - zawołał, podbiegając razem z psem.

Przedwieczorna bryza niosła aromaty kwitnących jaśminów, cytryn i róż. Promienie słońca odbijały się w lustrze sadzawki, malując złotem białe ściany wiejskiego domu. Wszystko tchnęło spokojem, a widok roztaczał się tak wspaniały, że Zach zwątpił w swoje przeczucia i sam sobie zadał pytanie, czy w takiej świątyni pokoju i spokoju może kryć się zbrodniarz.

- Mama w domu? - spytał chłopca.

- *Non* - odparł zdyszany biegiem i zabawą z psem Dominik. - Jest z Papere.

- Poszła na spacer?

- Popłynęli na ryby. Maman świetnie łąwi. Wybierałem się z nimi, ale Napoleon gdzieś się zapodział i musiałem go szukać.

- I znalazłeś, jak widzę. - Zach spojrział na mokrego od kąpieli ulubieńca Dominika.

- *Il est tres mechant*, jest taki nieposłuszny, że coś okropnego. Znalazłem go dopiero w stajni. Wlaził tam i nie mógł wyjść, bo drzwi się zatrzasnęły, a potem skoczył do sadzawki. - Dominik pogłaskał psa.

Kątem oka Zach zauważył ruch na tarasie otaczającym piętro. Marie Therese de Beauvais - wysoka, szczupła, jak zwykle zadbana i... groźna wychylnęła z cienia.

- Możesz coś dla mnie zrobić? - spytał Zach Dominika.

- Ależ oczywiście.

- To idź do stajni i dopilnuj, żeby zajęli się moim koniem.

- *Mais oui, monsieur* - odparł uprzejmie chłopiec i razem z psem ruszył pędem za dom.

- Major Cooper! - zawołała starsza pani z wysokości balkonu. - Czy coś się stało?

- W samej rzeczy, w samej rzeczy - odparł Zach, wchodząc na schody. - Próbowano mnie zabić. - Szedł wolno i nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

- To okropne! - Marie Therese uniosła brwi, manifestując najwyższe zdumienie. - A któż to śmiał podnieść na pana rękę?

- Pani! W niedzielę, na placu Congo.

- Przykro mi, majorze, ale chyba pan się myli. Nigdy nie byłem nawet w pobliżu tego miejsca.

- Ale było tam ośmiu drabów, których pani najeła.

- Czyżby? Tak panu powiedzieli? I pan im uwierzył? - odrzekła, z

całym spokojem mierząc gościa zimnym wzrokiem.

Zręczna odpowiedź. Zach nie miał żadnych dowodów, a gdyby doszło do konfrontacji, to żaden trybunał nie dałby wiary ośmiu podejrzanym Murzynom. Liczyłoby się tylko słowo madame de Beauvais.

- Niech mi pani powie, madame, czy pani małżonek wie, że zabiła pani własnego syna? - Zach odwrócił wzrok. Patrzył z wysokości balkonu na łąn trzciny ciągnący się po horyzont.

- Nikogo nie zabiłam.

- Jasne, nie zwykła pani brudzić sobie rąk. Zrobili to inni, ale za pani sprawą.

- Mój syn zginął z rąk Jankesów - odpowiedziała, obrzucając nienawistnym spojrzeniem granatowy mundur Zacha. - Żył niegodnie, ale zginął jak bohater - dodała z dumą.

- Właśnie dlatego wydała go pani na śmierć. Bała się pani, że przyniesie wstyd nazwisku.

Marie Therese drgnęła; w jej oczach pojawił się cień.

- Boleję nad jego śmiercią. Miałam czterech synów i żaden się nie ostał. - Głos jej się załamał. - Zostałam sama na tym świecie.

- A mąż? - Zach nagle zdał sobie sprawę, że ta kobieta budzi w nim najwyższe obrzydzenie: nosi żałobę po synu, którego sama zamordowała.

Ona tymczasem spojrzała na niego z wyzywającym uśmiechem.

- Przypuśćmy, że ma pan rację, majorze, że to ja wydałam Philippe'a. Aresztuje mnie pan?

- Wydała pani syna, ale ma pani więcej na sumieniu. Henri Santerre, Claire La Touche, Charles Yardley - wyliczył - to pani ofiary.

- Ależ pan uparty. - Uśmiechnęła się. - Mówiłam przecież, że nikogo nie zabiłam. - Uśmiech znikł z jej twarzy równie nagle, jak się

pojawił. - Ale nie mam zamiaru udawać. Akurat nad tymi osobami wcale nie boleję. Taka Claire! - Marie Therese wyduła wargi. - Niby z dobrej rodziny, ale... - przerwała, szukając odpowiedniego słowa - ...ladacznica.

- Rodzina nie potrafi pogodzić się z jej śmiercią.

- Tylko dlatego, że jej nie znali. Gdyby poznali prawdę, byłiby szczęśliwi, że już jej nie ma.

- A Charles Yardley?

- Świat z pewnością odetchnął, że się go pozbył. Miał takie same wstrętne... upodobania jak mój syn.

- Ale był wspaniałym lekarzem, tam samo jak Henri Santerre. - Zach postąpił krok naprzód, nie potrafiąc powstrzymać nerwów. - Zabiła go pani, wszystkich pani zabiła, żeby tylko tajemnica syna nie wyszła na jaw. Ale nie udało się. Za, sprawą morderstw wszystko to, co chciała pani ukryć, przestało być sekretem.

Marie Therese nawet nie drgnęła, podniosła głowę i patrzyła dumnie na Zacha.

- Czy pan nie rozumie po angielsku? Mówię przecież, że nikogo nie zabiłam.

Kłamała? Na to z pewnością była zbyt dumna i zbyt wyniosła. Zach nagle uświadomił sobie, że jednak się mylił. Owszem, nie zaprzeczyła, że wydała na śmierć syna, ale śmierć Henriego Santerre'a, Claire La Touche i Charlesa Yardleya to nie jej dzieło. I nie ona próbowała zgładzić Emmanuelle. Równie nagle mozaika zaczęła się układać w zupełnie nowy obraz.

Dominik umie strzelać z kuszy, nauczył się od dziadka -tak mówiła Emmanuelle. Papere zna rozlewiska jak własną kieszeń - to słowa Dominika. Popłynęli na ryby - to też słowa chłopca.

Zach poczuł zimny pot na plecach. Nie bacząc na nic, chwycił Marie Therese za ramiona.

- Gdzie oni są? Gdzie ją zabrał?

Starsza pani zmierzyła go takim spojrzeniem, że zwolnił uścisk.

- Spóźnił się pan, majorze - powiedziała zimno.

- Pani mąż nic nie wie, prawda? Nie wie, że to pani wydała syna na śmierć? Myśli, że to Emmanuelle? Dowiedział się o awanturze w szpitalu i obwinia ją o śmierć syna. I to on zabił wszystkich. Chciał ich ukarać, a pani... pani mu pozwoliła! Została tylko Emmanuelle i ją też chce zabić.

Marie Therese zmieniła się w oczach. Odrzuciła maskę wyniosłej arystokratki i wreszcie ukazała swoje prawdziwe oblicze.

- To ona jest winna. To wszystko przez nią - zapiszczała głosem pełnym nienawiści. Była nikim, śmieciem, ale zgodziłam się, żeby wyszła za mojego syna. Myślałam, że wpłynie na niego, tak jak ja wpłynęłam na jego ojca, bo jego ojciec, żeby pan wiedział, też był taki jak on, ale ja nie dopuściłam do skandalu. Ona też powinna była się postarać, ale tego nie zrobiła, więc to wszystko jej wina.

- Gdzie oni są? - Boże spraw, żeby nie było za późno.

- Skąd mogę wiedzieć? Nigdy nie wyprawiałam się na rozlewisko.

- Dominik! - krzyknął Zach.

- Dziecka niech pan w to nie miesza! - Marie Therese rzuciła się na Zacha, usiłując go przytrzymać.

Wyrwał się i zbiegł po schodach.

- Spóźnił się pan, majorze - dobiegł go rechetliwy śmiech.

Rozdział 34

Emmanuelle uwielbiała wyprawy na rozlewisko. Lubiła słuchać o tym, jak kiedyś tędy właśnie wielka Missisipi toczyła wody do oceanu. Potem rzeka zmieniła swój bieg i tak powstało Bayou Creve, wijące się wśród bagien i moczarów płytkie jezioro, pełne tajemniczych zatok i zakątków porośniętych wierzbami i cyprysami.

Nieraz wypływała na mroczne wody w towarzystwie Jeana-Lamberta, który rzeczywiście znał rozlewisko jak nikt. Zasadzali się na sumy żerujące w mule, zarzucali wędki i godzinami chłonili dostojny spokój tego prawdziwego królestwa natury.

Dziś jednak nie czuła spokoju. Raz po raz wzrok uciekał jej w dal, ku wschodniej, niewidocznej z łódki części jeziora, gdzie - jak wiedziała - pogrzebano Philippe'a w naprędce wykopanej jamie na kawałku bezimiennego gruntu.

- Też bez przerwy o nim myślę - odezwał się Jean-Lambert, jakby czytając w jej duszy. - Nie powinien tam tak leżeć.

- Gdy tylko skończy się wojna, weźmiemy ludzi i odnajdziemy grób - przyrzekła, biorąc go za rękę.

- Będzie za późno. - Staruszek westchnął z bólem.

Miał rację. W tym klimacie i w tym miejscu przyroda działa błyskawicznie. Za dwa, trzy lata po mogile nie będzie śladu.

Daleko przed dziobem łódki zerwała się do lotu biała czapla. Emmanuelle śledziła ją wzrokiem, aż ptak znikł w przestworzach. Tu, na jeziorze, czuła dziwnie bliską więź z Philippe'em. Dobrze, że przyjechałam

do Beau Lac, pomyślała. To miejsce powinno ukoić jej rozedrganą duszę. Będzie miała czas, żeby uładzić sobie życie.

- Dlaczego to zrobiłaś, Emmanuelle? - wyrwał ją z zamyślenia cichy głos teścia. - Dlaczego wydałaś go Jankesom?

Spojrzała na niego zdumiona i zmartwiała.

- To nie ja, Papere. - Z trudem dobyła głos.

- Skoro nie ty, to Claire. - Jean-Lambert westchnął ciężko.

-Wiedziałem, że któraś z was. - Odłożył wędkę, wziął wiosło i skierował łódkę w stronę otwartej wody. - Philippe opowiedział mi, co wydarzyło się w szpitalu, o tej awanturze między nim, tobą, Claire i tym Anglikiem.

Wtedy właśnie postanowił zaciągnąć się do wojska. - Wyrzucał z siebie słowa, nie patrząc na synową. Całą uwagę skupił na wiosłowaniu. -

Wiedziałaś o tym? Planował, że jak tylko dotrze do Biloxi i przekaże złoto, pójdzie na front. Chciał zginąć. Miał już dość udawania i życia w kłamstwie.

- Przerwał, a w ciszy słycać było plusk odgarnianych wiosłem fal. - Mój syn, ostatni, jaki się ostał, chciał zginąć. - Głos mu się załamał i znów zaległa cisza.

- Papere - odezwała się Emmanuelle po chwili, patrząc na pomarszczoną twarz starca. - Powiedz mi, czy to ty... - Domyślała się odpowiedzi, ale modliła się w duchu, żeby to nie była prawda - Ty ich zabiłeś?

- Santerre to był wypadek - odpowiedział obojętnym głosem, jakby wyjaśniał zawiłości zakładania przynęty na haczyk. -Żałuję, że tak się stało, ale cóż, potknęłaś się, zachwiałaś i strzała trafiła Santerre'a.

- Papere, nie wydałam Philippe'a - powtórzyła Emmanuelle z mocą, wierząc jeszcze, że słowa mogą sprawić cud.

- To już nie ma znaczenia. Wszyscy jesteście winni, cała wasza

trójka. Przez was Philippe wyjechał i przez was zginął.

Emmanuelle zerknęła na coraz bardziej oddalający się brzeg.

- Gdzie płyniemy? - spytała, siłąc się na spokój.

- Pośrodku jezioro jest całkiem głębokie, wiedziałaś o tym? Zerknęła jeszcze raz na brzeg, gdzie Baptiste czekał na nich, drzemiąc pod dębem, a teść jakby znów czytał w jej myślach.

- Na niego nie licz, palcem nie kiwnie. Słucha tylko mnie.

Emmanuelle łuski opadły z oczu. W jednej chwili zrozumiała, jak to się wszystko odbyło.

- Wtedy na cmentarzu byłeś z nim, prawda? Dwóch czarnych robotników, o których mówił dozorca, to ty i Baptiste.

Jean-Lambert uśmiechnął się jak ktoś, komu udało się wyprowadzić wszystkich w pole.

- Nikt nigdy nie zwraca uwagi na Murzynów. Wystarczyło narzucić na siebie trochę starych łachów i nasunąć kapelusz na oczy. Dozorca spojrział na Baptiste'a, a mną w ogóle się nie zainteresował.

- A jak było z Charlesem?

- Zwyczajnie. Baptiste chodził za nim krok w krok, a gdy nadarzyła się sposobność, dolał mu opium do brandy. Ale poduszka to już moja sprawa. Ja go przydusiłem. Nie chciałem zmuszać Baptiste'a.

- Dlaczego? Co za różnica?

- A owszem, ogromna. W ogóle nie chciałem go w to mieszać, ale sama wiesz, że trudno mi się ruszać. - Powiedział to tak, jakby się przed nią usprawiedliwiał.

Emmanuelle spojrzała na drzemiącego na brzegu wiernego sługę rodziny de Beauvais. Nigdy o nic nie pytał, niczemu się nie dziwił, robił, co mu kazano. To on skradł kuszę i on odłożył ją na miejsce. Mimo swojej

potężnej sylwetki potrafił przemykać jak cień.

- Ale jeśli idzie o Claire, to wszystko zrobiłem sam - pochwalił się starzec. - Poszło bardzo łatwo. Przyszła do mnie, skarżąc się na ból głowy. Użalała się, że przez tę wojnę trudno o opium. Niemal mnie błagała. Dałem jej buteleczkę, uprzedziłem nawet, że zaprawiłem zawartość pewnymi ziołami, które jej dobrze zrobią. Specjalnie tak powiedziałem, bo wiedziałem, że może poczuć obcy smak.

Odkąd go znała, Jean-Lambert zawsze interesował się ziołami. Miał specjalny ogródek w Beau Lac, a w mieście grządkę, a ona nigdy nie zwracała na to szczególnej uwagi, aż do teraz...

- Nie rozumiem tylko, dlaczego nająłeś tego Irlandczyka. Przecież mogłeś mnie otruć, jak Claire, albo użyć kuszy.

- Po wypadku z Santerre'em bałem się, że znów mogę chybić, a trucizny wolałem nie używać. Wypadki chodzą po ludziach, nie chciałem narażać Dominika.

Wysoko na niebie szybował jastrząb. Unosił się nad plantacją. Jean-Lambert pracowicie odgarniał wodę wiosłem. Brzeg oddalał się coraz bardziej; jeszcze trochę i dopłyną do środka jeziora.

- I co zamierzasz, Papere?

- Utopimy się, córeczko, razem, ty i ja - odpowiedział spokojnie.

- Papere! - wykrzyknęła w przerażeniu. - Nie możesz tego zrobić.

Pomyśl o Dominiku.

- Pomyślałem, będzie mu ciężko, ale nie zostanie sam. Jest przecież Marie Therese. Uwielbia wnuka. Czasami wydaje mi się, że kocha go jeszcze bardziej niż ja. Pewnie nie wiesz, ale próbowała nawet zabić majora Coopera, bo bała się, że możesz za niego wyjść, a ona straci wnuka. Ukrywała to przede mną, ale i tak się dowiedziałem.

- Papere, posłuchaj... - Jeszcze trochę i dopłyną na sam środek jeziora. Philippe zawsze ją uprzedzał, żeby nigdy się tam nie zbliżała. Na głębinie są bardzo niebezpieczne wiry, mówił, mogą pociągnąć na dno nawet najbardziej wprawnego pływaka. Specjalnie ją ostrzegał, gdy uczył ją pływać. Owszem, nauczyła się, ale na myśl o tym, że musiałaby walczyć z niebezpiecznymi prądami, spętana spódnicą, halkami, serce jej zamarło.

-Papere -powtórzyła - zastanów się. Zawsze byłeś taki dobry dla wszystkich, taki miły... Nie wolno ci tego robić.

- Mówią, że śmierć przez utonięcie wcale nie jest straszna. Tylko nie wolno się szamotać.

Nie patrzył na nią. Wbił wzrok w kępę wierzb na horyzoncie, gdzie najprawdopodobniej spoczywał Philippe. A Emmanuelle straciła już nadzieję; zrozumiała, że nie przekona starca. Jean-Lambert postanowił umrzeć i zabrać ją ze sobą w tę ostatnią podróż.

Musiała coś zrobić.

Zaczęła gwałtownie kołysać łódką.

Jean-Lambert krzyknął coś niezrozumiale.

Emmanuelle całym ciężarem swego drobnego ciała naparła na burzę.

Łódka nabrała wody i oboje wpadli do jeziora.

Rozdział 35

Zach pędził ścieżką na grobli, która dawniej wyznaczała brzeg rzeki. Porośnięta dębami i leszczyną wąska grań - *chenier*, jak nazywali ją Kreole - miała zaprowadzić go na miejsce, nad zatoczkę pełną sumów, gdzie Jean-Lambert od niepamiętnych czasów trzymał swoją łódkę.

Pędził galopem, nie bacząc na nic, ani na to, że ścieżka wiła się jak wąż, ani na zwisające gałęzie, boleśnie kaleczące twarz i ręce. Strach palił go jak ogień, odbierał oddech i ścisnął serce.

Wreszcie gęstwina zrzędnęła i jego oczom ukazał się szmat wody. Zobaczył też samotną łódź pośrodku jeziora z dwojgiem ludzi. Ścisnął kasztanka ostrogami, zmuszając go do jeszcze szybszego biegu. I wtedy właśnie, na jego oczach, łódź przechyliła się jakby targnięta wielką siłą.

- Emmanuelle! - krzyknął, odruchowo kierując wierzchowca prosto do jeziora. Usłyszał jeszcze chrapliwy krzyk Jean-Lamberta i ciężki plusk maconej ludzkimi ciałami toni. Zaraz potem nastąpiła cisza. Nie widział już ani Emmanuelle, ani jej teścia, tylko oślizgłe dno łódki unosiło się na mrocznej tafli jeziora.



Woda była przerażająco zimna i to było jej pierwsze wrażenie. Czując, że od chłodu cierpi jej twarz, ręce i nogi, a gdy zmusiła się do otwarcia oczu, widziała tylko mętną zielen. Zaraz potem zadziały zwykłe prawa fizyki. Nabrzmiąca powietrzem spódniczka wyniosła ją na powierzchnię jak

balon. Gdy tylko wychynęła z toni, nabrała powietrza i zaczęła machać rękami jak ptak dobywający się z kałuży. Poczowała ból, gdy uderzyła dłonią w coś twardego, a zarazem gładkiego. Przypadek albo cud sprawił, że trafiła na wiosło, które wypadło z rąk Jean-Lamberta. Uchwyciła się go kurczowo, rozglądając się, gdzie najbliżej do brzegu.

Zdawała sobie sprawę, że ma niewiele czasu, bo za minutę albo nawet jeszcze szybciej, spódnice i całe ubranie nasiąknie wodą i to będzie koniec. Wiosło było za wątle, aby utrzymać ją na powierzchni. Zaczęła pracować ręką i nogami, aby jednak zdążyć do brzegu.

I wtedy poczuła kościste palce teścia na swojej kostce. Obróciła się, nie wypuszczając wiosła. Przemknęło jej przez myśl, że starzec chwycił ją rozpaczliwie, próbując się ratować, ale wykrzywiona grymasem twarz Jean-Lamberta mówiła co innego. Chciał zginać i chciał, żeby ona też zginęła. I tak też się stanie, jeśli nie zdoła się uwolnić z uścisku.

Zacisnęła dłoń na wiosle i z całej siły pchnęła drzewce prosto w twarz starca. Uścisk na kostce zelżał. Nie oglądając się, zaczęła znów płynąć w stronę brzegu.

Ale ubranie już nasiąkało, a woda wciągała ją coraz głębiej. Młóciła toń rękami jak opętana, ale siły ją opuszczały. Raz po raz lustro wody zamykało się nad jej głową. Z trudem udawało jej się chwytać powietrze. Nie poddawała się panice, czuła złość - wielką wszechogarniającą złość. Nie chciała umierać, a już na pewno nie w ten sposób. Ale śmierć zbliżała się nieuchronnie. Nie widziała już błękitu, tylko mroczną zieleń, która coraz żarłoczniej wciągała ją w głąb.

I znów poczuła, jak na jej ramieniu zaciskają się obce palce i ktoś ciągnie ją wbrew jej woli. Uderzyła na ślepo, przekonana, że to Jean-Lambert zabiera ją na śmierć. I wtedy usłyszała znajomy głos:

- Uderz mnie jeszcze raz, a zostawię cię na pastwę aligatorów.

Nawet nie otworzyła oczu. Poczowała tylko wielką, ogromną ulgę i zrozumiała, że kocha i że będzie żyć.



Dominikowi powiedzieli, że dziadek wypadł z łódki i poszedł na dno, co w pewnym sensie było zgodne z prawdą. Ale Emmanuelle przysięgła sobie w duchu, że kiedyś, gdy nadejdzie sposobny czas, powie synowi całą prawdę. Powinien ją poznać i musi ją poznać, bo tajemnice, sekrety i kłamstwa niosą ze sobą śmiertelne niebezpieczeństwo.

Ciało Jean-Lamberta znaleziono razem ze zwłokami Baptiste'a. Czarny sługa przyciskał swego pana do piersi. I nikt już nigdy nie dowie się, czy próbował go ratować, czy też postanowił odejść z tego świata razem z nim. Natomiast Emmanuelle, patrząc na gładkie rysy rosłego Afrykańczyka, przypomniała sobie uwagę Marie Therese wypowiedzianą do Zacha, że jej mąż miał takie same „skłonności” jak jego syn.

Emmanuelle postanowiła wyjechać jeszcze tego samego dnia. Kończyła właśnie pakowanie, gdy teściowa wychynęła ze swojego pokoju i spytała, czy będzie jej wolno widywać wnuka.

- Owszem, czasami - zgodziła się Emmanuelle, mając na względzie interes syna. Przez chwilę obie kobiety patrzyły na siebie w milczeniu, a Emmanuelle myślała, że chyba nigdy nie będzie jej dane zrozumieć tej kobiety, która wydała na śmierć własnego syna, próbowała zgładzić jej kochanka, a ją oddała w ręce szaleńca. Mimo to Emmanuelle nie czuła nienawiści ani nawet złości, tylko zwyczajną ludzką litość.

Gdy odjeżdżali z Zachem, Rose i Dominikiem, raz jeszcze ogarnęła

wzrokiem biały dworek nad jeziorem. Marie Therese stała na werandzie i odprowadzała ich wzrokiem.



Niewiele ujechali przed zmrokiem i zatrzymali się na noc w starej tawernie nieopodal. Gdy Rose z Dominikiem poszli spać, Emmanuelle z Zachem wyszła na balkon okalający całe piętro gospody. Noc była parna, niebo bez jednej gwiazdy, szczelnie zakryte chmurami. W mroku nie widać było nawet jeziora. Emmanuelle nawykła do takich widoków - mrocznej gęstwiny tropikalnej zieleni i ciszy zakłócanej ciągłym brzęczeniem cykad. Raptem jednak poczuła się dziwnie obco w tym otoczeniu.

- Nadal nie mogę uwierzyć, że to mój teść... - szepnęła, tuląc się do Zacha. - To chyba przez ten wylew, którego doznał w maju na wieść o śmierci Philippe'a. Wtedy się zmienił. Jean-Lambert, którego znałam, nigdy nie dopuściłby się tych wszystkich okropieństw.

- Chyba masz rację.

- A co będzie z moją teściową? Odpowie przed sądem?

- Za co? Z punktu widzenia armii jest bohaterką. Dzięki niej wojsko przechwyciło konfederackie złoto warte pół miliona dolarów.

- Ale próbowała cię zamordować.

- Tylko że tego nie da się udowodnić.

- Jean-Lambert wiedział, że nasłała na ciebie zabójców, ale nie miał pojęcia, że to ona wydała Philippe'a na śmierć.

Zach przyciągnął ją bliżej do siebie.

- To straszne - rzekł, gładząc ją po włosach - że można cenić nazwisko bardziej niż własnego syna.

- Taka była. Obserwowałam ją przez dwanaście lat, ale do głowy mi nie przyszło, że może się posunąć aż tak daleko.

Milczeli przez chwilę.

- Jakie masz plany? - spytał Zach cicho.

- Wyjadę do Paryża i zrobię dyplom lekarski, potem wrócę. Cały majątek de Beauvais należy teraz do Dominika, a poza tym tu jest nasz dom i nie wyobrażam sobie, abym miała mieszkać gdzie indziej.

- Nawet z dyplomem nie będzie ci wolno otworzyć praktyki.

- To prawda, ale prawo się zmieni. Ktoś musi zacząć...

I znów zapadła cisza. Od ogrodu niesły się wonie jaśminów, od jeziora ciągnęła wilgotna bryza.

- Nie znam zbyt dobrze francuskiego, ale chętnie się nauczę. Ta wojna nie będzie trwać bez końca.

Emmanuelle poczuła, że serce jej mięknie.

- Pojechałbyś ze mną do Paryża i wróciłbyś tutaj? - spytała niepewnie.

- Kocham cię - odparł po prostu. - Chcę z tobą być i przysięgam...

- Nie przysięgaj - przerwała mu. - Jeszcze nie. Nie opowiedziałeś mi jeszcze wszystkiego o sobie.

- To prawda - przyznał cicho i zamilkł, patrząc w zamyśleniu w mrok. - Mówiłem ci - odezwał się po chwili - że mój ojciec był kapitanem i pływał na Karaiby.

- Tak mówiłeś.

- Prawda jest trochę inna. Ojciec był nie tylko kapitanem, ale i właścicielem kompanii żeglugowej.

- W tym chyba nie ma nic złego?

- A jednak. Przedsiębiorstwo odziedziczył po swoim ojcu, a w ogóle

interes zapoczątkował mój prapradziadek. Rodzina wzbogaciła się na handlu niewolnikami.

- Nie twoja wina.

- Mimo to uważam, że powinnaś o tym wiedzieć, nim zgodzisz się wyjść za mnie. A teraz twoja kolej. Czy jest coś, czego nie wiem.

- Jest - wyznała cicho.

- Co takiego?

- Okłamałam cię.

- To już ustaliliśmy.

- Ale nie wiesz wszystkiego,

- Jeszcze coś ukrywasz.

- Wstydzę się, że skłamałam.

- Kiedy?

- Mówiąc, że cię nie Kocham. Kocham cię całym sercem i całą duszą i chciałabym, żeby tak było zawsze.

- Ja też - rzekł Zach chrapliwie, zamykając jej usta pocałunkiem.

A jej łzy wzruszenia napłynęły do oczu.

Epilog

Na strych w domu przy alei St. Charlesa wiodą schody wyjątkowo strome i kręte, ale nie stanowiły żadnej przeszkody dla dziewczynki. Wspięła się na nie w pośpiechu, ponaglając swoją dużo starszą towarzyszkę.

- Nie mogę tak szybko, wnusiu - usprawiedliwiała się starsza pani.
- Musisz poczekać.

Ale Emmanuelle - tak się nazywała dziewczynka - nie chciała czekać. Niecierpliwie pchnęła drzwi i zagłębiła się w mroczną przestrzeń poddasza pełnego starych mebli, kufrów i skarbów gromadzonych przez pokolenia.

- Ten tam, w rogu - starsza pani wskazała zakurzony kufer, z trudem łapiąc powietrze - ten należał do niej.

Dziewczynka przykucnęła, przesunęła dłonią po wieku.

- Mogę? - spytała.
- Oczywiście, otwieraj.

Zaskrzypiały dawno nieoliwione zawiasy i ukazało wnętrze pełne papierów przewiązanych kolorowymi wstążkami.

- A to co? - zainteresowała się Emmanuelle, dobywając spomiędzy papierzyk wielce zużytą skórzaną torbę.

- To była walizeczka lekarska mojej babki. Była jedną z pierwszych kobiet w całej Luizjanie, która zdobyła dyplom lekarski.

- I siedziała w więzieniu, była sufra... sufra... babciu jak brzmi to dziwne słowo?

- Była sufrażystką, walczyła o prawa kobiet. To między innymi

dzięki niej, gdy dorośniesz, będziesz mogła głosować.

- Popatrz, babciu, to nasz dom. - Mała wyciągnęła z kufra poźółką fotografię.

Starsza pani pochyliła się nad wnuczką.

- Tak, kochanie, to moja babka i mój dziadek z dziećmi, wnukami i prawnukami przed naszym domem. To była ich pięćdziesiąta rocznica ślubu.

- Mieli aż tyle dzieci? - zdziwiła się mała, przyglądając się całemu tłumowi otaczającemu wiekową parę pośrodku. Sama nie miała rodzeństwa.

- Bardzo się kochali - odparła babcia z uśmiechem.

- A ten pan to kto? - Mała wskazała paluszkami siwego jak gołąbek starca o kuli.

- To wuj Antoine, daleki kuzyn pierwszego męża mojej babki.

Stracił nogę na wojnie. Ledwo przeżył. Babka zawsze mawiała, że wuj Antoine był zbyt uparty, żeby umrzeć.

- Na wojnie?

- Secesyjnej. Pamiętasz, niedawno oglądałyśmy w telewizji taki film.

- Starsza pani sięgnęła do kufra i wyjęła wypłowiały ze starości kapelusz oficera Kawalerii Stanów Zjednoczonych.

- Ten kapelusz należał do mojego dziadka.

- Był Jankesem. - Mała wyduła pogardliwie wargi. Ponad sto lat minęło od wojny, ale zadawnione niechęci jeszcze się trzymały.

- Tak, służył pod generałem Butlerem.

- Bestią?

- Właśnie, ale potem wrócił do swojego pułku, a po wojnie zwolnił się z wojska, zamieszkał tu, w Nowym Orleanie, i prowadził oddział przedsiębiorstwa żeglugowego, które należało do jego rodziny.

Dziewczynka słuchała z uwagą, z jeszcze większą przyglądała się siwej damie na zdjęciu.

- Wiesz, babciu, cieszę się, że dostałam imię po niej, bo, wiesz, ona jest taka...

- ...ładna? - weszła jej w słowo babcia.

- Nie, babciu... jest taka...

- Jaka?

- Taka, jak się pisze w bajkach, że żyła długo i szczęśliwie.

Scandalous